NAKŁAD 12 400 CENA 14,70 ZŁ (w tym VAT 5%) NR 3 (194) MARZEC 2015

ODKRYWCA®

SKARBY · WOJNA · HISTORIA

Jezioro Słobno

polowanie na pancerne wraki

EXTREMALNE EXPLORACJE

INDEKS 37010X ISSN 1505-6104

Viking
NAJWIĘKSZY WYBÓR W POLSCE!
GARRETT® METAL DETECTORS
www.garrett.com
GTI 1500
GTI 2500
ACE 150
ACE 250
EuroAce
ATX
Infinium LS
Sea Hunter Mark II
AT Pro
AT Gold
white's
Spectra V3i
Spectra VX3
MXT Pro
MXT Tracker
Matrix M6
MX5
Coinmaster
Coinmaster Pro
Coinmaster GT
TM 808
MINELAB
CTX 3030
E-Trac
Safari
Excalibur II
X-Terra 305
X-Terra 505
X-Terra 705
Nokta ENGINEERING
FORS CoRe
NOWOŚĆ
VELOX One
SDC 2300
NOWOŚĆ
FISHER RESEARCH LABS
Detecting & Underground Locating Equipment
F70
F2
F4
F5
F19
NOWOŚĆ
Pro-Tech
NOWOŚĆ
F75
CZ 21
1280-X Aquanaut
Pro-Arc
NOWOŚĆ
XP
Deus
GMaxx II
Adventis 2
NOWOŚĆ
Gold Maxx
ADX150
NOWOŚĆ
podwodny wodoszczelny do 3m
ul.Radna 6, 00-341 Warszawa tel./fax: 22 829 84 80 viking@viking.waw.pl
www.viking.waw.pl
sprzedaż wysyłkowa i ratalna

MARZEC 2015

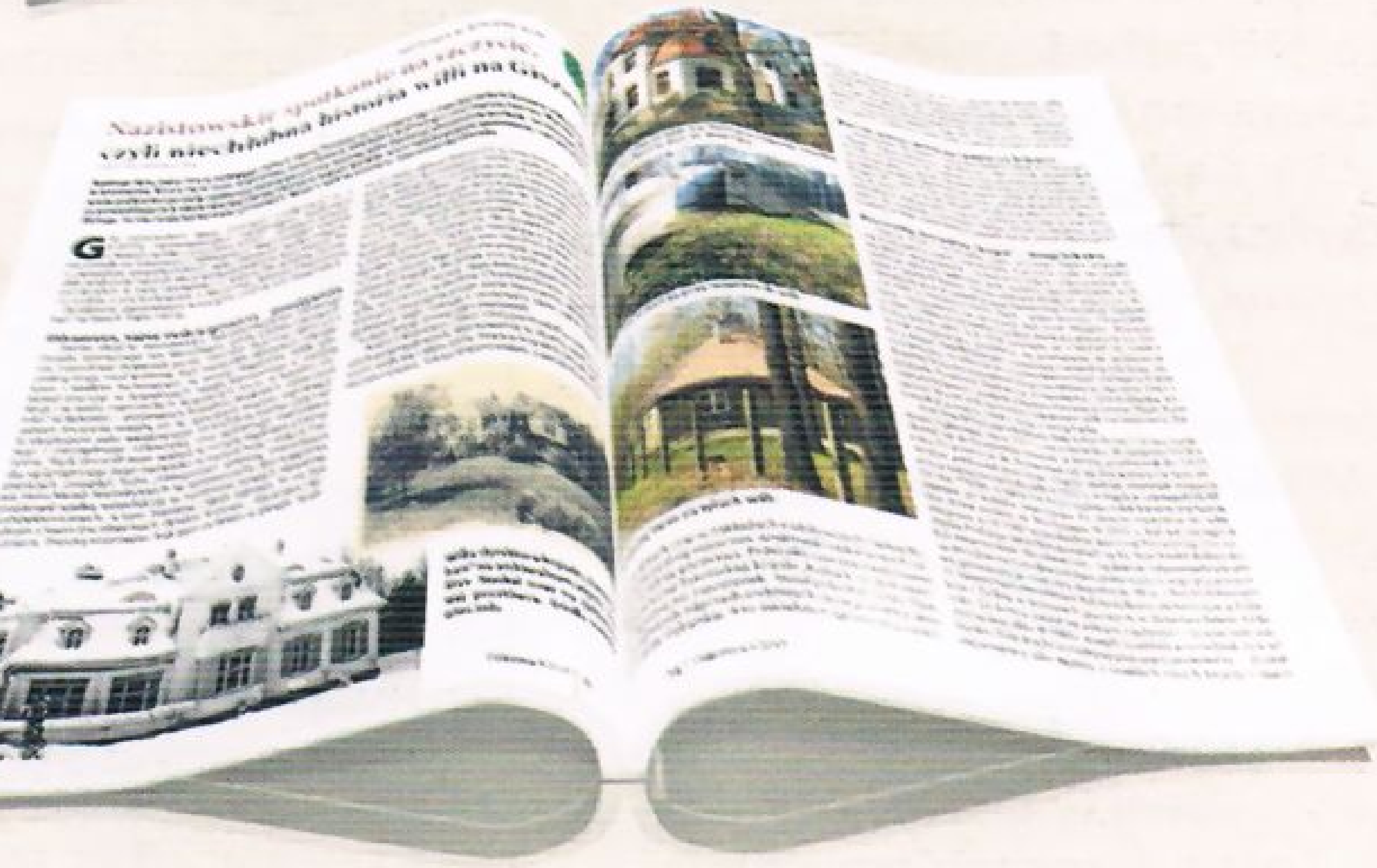

POSZUKIWANIA

3 Czołgi na dnie Jeziora Stobno
Łukasz Orlicki

8 Łup marszałka von Kleista
Rabowali nie tylko Niemcy i Rosjanie. Rabowali też Polacy po II wojnie światowej, okradając samych siebie. Wywóz dzieł sztuki z ziem zwanych odzyskanymi do centralnej Polski był bowiem również rabunkiem. I tą drogą do Warszawy trafiła przepiękna ambona...
Leszek Adamczewski

13 „Skarby" w oparach celulozy
Piotr Maszkowski

17 Clément Couillaud – jeniec nr 116
Wojciech Gudaczewski

21 Ja, numer 154 z fabryki „Arado"
Przyjechał tu po latach, bo chciał zobaczyć, co się zmieniło. Wsi nie mógł poznać, zupełnie inaczej wyglądała wówczas, gdy w 1945 pojawił się w niej po raz pierwszy i zaczął pracować w młynie. Gdy zaczął opowiadać, gdzie był i przy czym pracował, padały nazwy różnych samolotów, które poznał od podstaw. W końcu padła nazwa „Arado"...
Janusz Skowroński

HISTORIA W ROCZNICACH

26 Więźniowie z Gebhardsdorf
Podobozy KL Gross-Rosen, a przemysł zbrojeniowy III Rzeszy (cz. 1)
Szymon Wrzesiński

32 Zapalono znicze pamięci...
70. rocznica marszu śmierci więźniów Gross-Rosen z Hartmannsdorf do Buchenwaldu.
Janusz Skowroński

33 Nazistowskie spotkanie na szczycie, czyli niechlubna historia willi na Giszowcu
Wieczorem odbyło się wspólne przyjęcie dla oficerów garnizonu obozowego i zaproszonych gości... przyjęcie w obozie w Auschwitz. Himmler był w doskonałym humorze. Po uroczystym spotkaniu Bracht zaprosił wszystkich do swojej willi na Giszowcu. Temat obozu, ani wstrząsających obrazów, których był świadkiem, nie istniał tego wieczoru...
Dariusz Pietrucha

40 Tego dnia cały świat był w Oświęcimiu...
70. rocznica wyzwolenia niemieckiego nazistowskiego obozu koncentracyjnego i zagłady Auschwitz-Birkenau
Izabela Kwiecińska, Piotr Maszkowski

WĘDRÓWKI ODKRYWCÓW

43 Podziemie dosłowne i w przenośni
Tomasz Rzeczycki

AKTUALNOŚCI/ WYDARZENIA

48 Muzeum Militarnych Dziejów Śląska w Pszczynie
Jarosław Ptaszkowski

KOLEKCJONERSTWO

49 Austro-węgierskie kwadranty artyleryjskie
Łukasz Chrzanowski

56 Pili sake, jedli ryż... czyli japońska wojna od kuchni
Tomasz Bienek

KULISY HISTORII

60 Feldgrau, krew i złoto
Piotr Galik

BATALIE I POTYCZKI

64 Przegrane zwycięstwo... Bitwa pod Trutnovem
Paweł Kukurowski

KSIĘGARNIA ODKRYWCY

71 Marcowe nowości w Księgarni Odkrywcy

Okładka: Jezioro Stobno. Akcja poszukiwania pancernych wraków. Zdjęcia: Szkoła Nurkowania ANDAtek

Wydawca
Instytut Badań Historycznych
i Krajoznawczych Sp. z o.o.
Prezes Zarządu: Magdalena Haber

Redakcja miesięcznika „Odkrywca"
ul. Kaszubska 4
50-214 Wrocław
Tel.: 71 329 71 85, 71 329 71 86
fax: 71 328 83 71
e-mail: redakcja@odkrywca.pl
www.odkrywca.pl
http://www.facebook.com/Odkrywca

Zespół redagujący

Redaktor Naczelna
Izabela Kwiecińska
e-mail: kwiecinska@odkrywca-online.pl
kwiecinska@odkrywca.pl
Piotr Maszkowski
e-mail: redakcja@odkrywca.pl

Dział Fortyfikacje
Jerzy Sadowski

Stali współpracownicy
Proteus, Leszek Adamczewski. Marek Dudziak, Piotr Galik, Dariusz Pietrucha, Janusz Skowroński, Tomasz Rzeczycki, Szymon Wrzesiński, Lech Zwirełło

Konsultanci
Andrzej Bossowski – Geologia.
Maksymilian Frąckowiak – Archeologia.
Piotr Galik – Historia wojskowości.
Maciej Kęszycki – Militaria i technika wojskowa.
Krzysztof Krzyżanowski i Dariusz Wójcik – Górnictwo Dolnego Śląska.
Aleksander Rostocki – Nieśmiertelniki.
Marek Sokołowski – Numizmatyka.

Dział Reklamy
Tel.: 71 329 71 71
e-mail: reklama@odkrywca.pl

Dział Graficzny i DTP
Cezary „Essperto" Chmielewski

Twórca i administrator strony
www.odkrywca.pl
Kazimierz Ruszel „Bocian"

Grupa Eksploracyjna Miesięcznika „Odkrywca" (GEMO)
Łukasz Orlicki
e-mail: gemo@odkrywca.pl

Druk
Zakład Poligraficzny TECHGRAF
ul. Podzwierzyniec 25
37-100 Łańcut

Redakcja zastrzega sobie prawo adiustacji, skracania i opracowania redakcyjnego tekstów. Zastrzega także prawo przedruku nadesłanych tekstów i materiałów graficznych w czasopismach współpracujących z „Odkrywcą". Tekstów niezamówionych redakcja nie zwraca. Za treść ogłoszeń i reklam redakcja nie ponosi odpowiedzialności. Wszelkie przedruki artykułów i kopiowanie materiałów graficznych – wyłącznie za zgodą redaktora naczelnego.

10. jubileuszowa Konferencja Popularnonaukowa miesięcznika „Odkrywca". 15–17 maja 2015 r.

Przygotowania do naszej tegorocznej, jubileuszowej konferencji nabrały rozpędu. Pora zatem na najważniejsze informacje organizacyjne.

Po wyjątkowo burzliwych naradach, biorących pod uwagę liczne Państwa sugestie, dokonaliśmy ostatecznego wyboru miejsca naszej tegorocznej, jubileuszowej Konferencji.

Spotykamy się we WROCŁAWIU!

W mieście wyjątkowym ze względu na swoją historię, mieście wielu kultur i tradycji, skrywającym mnóstwo tajemnic przeszłości i wciąż nieodkrytych sekretów. To też miejsce nieprzypadkowe dla „Odkrywcy", gdyż nieprzerwanie od ponad 15 już lat mieści się tu nasza siedziba. Zresztą trudno sobie wyobrazić, by redakcja pisma o tak specyficznym profilu tematycznym mogła znajdować się w innym miejscu.

Kto z nas nie słyszał o Złocie Wrocławia? Tajemniczych podziemiach pod miastem? Schronach pod Rynkiem czy dworcem kolejowym? Umocnieniach fortecznych, czy nieodkrytej do końca tajemnicy szpitala przy placu Grunwaldzkim... O lądowisku przy Stadionie Olimpijskim, ukrytych poniemieckich skarbach i wywiezionych pod koniec wojny depozytach tutejszych banków... Te i inne opowieści wielokrotnie gościły na naszych łamach. Podczas tegorocznej edycji będziemy mogli tych tajemnic w większości doświadczyć. Zarówno podczas tradycyjnych prelekcji, jak i wędrówek po mieście oraz wypraw w jego najbliższe okolice. Pokażemy Wam Wrocław, jako jedną z największych atrakcji turystycznych w Polsce.

Poza stolicą regionu chcemy Was zabrać do jakże licznych, urokliwych miejsc Dolnego Śląska. Między innymi do największego zespołu pocysterskiego w Lubiążu, gdzie poznacie jego wojenną i powojenną historię; pokazać Wam zamki i pałace – te piękne, i te zrujnowane, liczne zabytki militarne z różnych okresów. Chcemy także pochwalić się nowoczesnym Wrocławiem. Mamy nadzieję, że zaplanowany program oraz specjalne, jubileuszowe atrakcyjne niespodzianki uda nam się zrealizować w 120%.

W najbliższym, kwietniowym numerze zaprezentujemy szczegółowy program oraz propozycje noclegów, w sprawie których obecnie negocjujemy najlepsze dla Państwa warunki. Staramy się wybrać ofertę, która spełni nasze wysokie wymagania i jednocześnie pozwoli Wam uczestniczyć w corocznej Nocy Muzeów, która w tym roku wypada 16 maja. Na pewno warto z tej oferty skorzystać (lista instytucji i muzeów, które biorą udział w tej wyjątkowej nocy, na stronie: www.wroclaw.pl)

Uwaga: koszt tegorocznej akredytacji wynosi **249,69 zł brutto** – w tym 49,69 zł podatku VAT (203, zł netto) za osobę.

Koszt akredytacji obejmuje: materiały konferencyjne w tym płytę CD ze specjalną prezentacją, okolicznościowy znaczek, przejazdy autobusami, wejście do wszystkich zwiedzanych obiektów bez dodatkowych opłat, ubezpieczenie NNW na czas trwania konferencji, piątkową kolację oraz sobotni obiad i jubileuszową kolację-bal.

Zgłoszenia, wzorem ubiegłych lat, będziemy przyjmować za pośrednictwem formularza elektronicznego. Ponieważ rozpoczęcie sprzedaży akredytacji planujemy na pierwszą połowę kwietnia, więcej szczegółów na ten temat opublikujemy w kwietniowym numerze „Odkrywcy". Podamy wówczas także, jaki obiekt wybraliśmy na bazę naszej Konferencji, i w jaki sposób będziecie Państwo mogli zarezerwować tam nocleg. Oczywiście zawsze możecie wybrać inny, np. swój ulubiony wrocławski hotel.

Wcześniej wszelkie informacje będą zamieszczane na naszej stronie www.odkrywca.pl, oraz profilu na Facebooku: https://www.facebook.com/Odkrywca

W razie jakichkolwiek pytań: piszcie na adres mejlowy: konferencja@odkrywca.pl. Do Waszej dyspozycji są także telefony: 71 329 71 71, 71 328 83 71

Serdecznie zapraszamy stałych Bywalców, którzy doskonale wiedzą, czego można się spodziewać, a także wszystkich tych, którzy jeszcze nie brali udziału w Konferencjach „Odkrywcy". Z naszej strony gwarantujemy, jak przez ostatnie 10 lat, pełną satysfakcję wszystkim Uczestnikom.

Znajdź nas na:
http://www.facebook.com/Odkrywca

Czołgi na dnie Jeziora Stobno

ŁUKASZ ORLICKI

Pod koniec stycznia 1945 roku Armia Czerwona dotarła do tzw. pozycji przesłaniania Międzyrzeckiego Rejonu Umocnionego. Na odcinku Trzciel–Pszczew składały się na nią fortyfikacje polowe: okopy, stanowiska karabinów maszynowych i moździerzy, poprowadzone wzdłuż sieci jezior rozdzielonych wąskimi przesmykami. Rozpoczęły się zażarte walki, podczas których wojska radzieckie próbowały przełamać zaciętą niemiecką obronę. Atakujący nacierali przez zamarznięte jeziora; na jedno z nich miały wjechać czołgi. Miejscowa legenda głosi, iż lód nie wytrzymał ciężaru pancernych pojazdów i trzy z nich zatonęły wraz z załogami.

Do współpracy w poszukiwaniu czołgów na dnie Jeziora Stobno (woj. lubuskie), zaprosili nas w kwietniu 2014 roku nurkowie związani z zaprzyjaźnioną szkołą nurkowania ANDAtek z Tarnowskich Gór – z Darkiem de Lorm na czele. Od jesieni 2013 roku przeprowadzili oni kilka wypraw, których celem było spenetrowanie dna jeziora. I choć podczas tych ekspedycji nie udało się odnaleźć rosyjskich pojazdów, to nowe ślady, na które natrafili, wydawały się potwierdzać miejscową legendę. Dla nas dużym zaskoczeniem był fakt, iż o całej sprawie słyszeli, a nawet uczestniczyli w nurkowaniach, przyjaciele i współpracownicy „Odkrywcy", utożsamiani zgoła z innymi pasjami i zainteresowaniami.

Inspiratorem tych poszukiwań był bowiem Jerzy Sadowski, redaktor prowadzący w „Odkrywcy" dział Fortyfikacje. Specjalista z dziedziny fortyfikacji i techniki wojskowej, uznany badacz i ekspert w tej tematyce. O zatopionych czołgach w Jeziorze Stobno usłyszał on po raz pierwszy jeszcze na początku lat 80. na jednym z obozów nurkowych w okolicach Pszczewa.

Podczas walk w 1945 roku na odcinku pomiędzy Pszczewem a Trzcielem grupa radzieckich czołgów miała wjechać na pokryte lodem jezioro. Zamarznięta tafla nie utrzymała ciężaru stalowych kolosów i wszystkie, wraz z desantem, który znajdował się na pancerzach, błyskawicznie zatonęły. W środowisku nurkowym do dzisiaj krążą opowieści związane z tematem zatopionych czołgów – niestety, są w większości mało precyzyjne i nie do końca wiarygodne. Jeden z nurków miał nawet swego czasu natknąć się na zakopane w mule czołgi! Odnalazł je podobno w środkowej partii jeziora, w niedużej odległości od „dzikiej plaży".

Zrządzeniem losu tymi okolicami od wielu lat interesował się inny przyjaciel „Odkrywcy" – również specjalista w dziedzinie fortyfikacji – Krzysztof Mrówka. W młodości wielokrotnie przemierzał przyległe lasy, szukając w terenie śladów po umocnieniach i walkach, jakie stoczono na przedpolu MRU, czyli wg niemieckiej terminologii: „Festungsfront im Oder-Warthe Bogen" – Umocniony Łuk Odry i Warty. Historię o zatopionych rosyjskich pojazdach opowiedział mu ówczesny leśniczy, który wydawał się być przekonany o prawdziwości swojej relacji; na dodatek jego przekaz nie różnił się zbytnio od opowieści, którą poznał w latach 80. Jerzy Sadowski.

Historia odnosząca się do tego wydarzenia opisana została w literaturze. W książce autorstwa Tomasza Czabańskiego i Macieja Kandulskiego pt. „Trzcielska pozycja przesłaniania. Odcinek Trzciel–Pszczew" znalazł się następujący fragment: *„Przykra niespodzianka spotkała atakujące czołgi 44. Brygady. Kiedy próbowały one przejechać przez zaśnieżone i zamarznięte Jezioro Stobno, załamał się pod nimi lód. Część rosyjskich czołgów poszła na dno. Podobny los spotkał usadowioną na nich piechotę. Wypadek ten nie spowolnił rosyjskiego natarcie w tym kierunku".*[1]

Gdy po raz pierwszy nad Jezioro Stobno dotarła grupa nurków z ANDAtek, spotkała parę osób, które do tej barwnej opowieści dołączyły kolejne szczegóły. Najciekawszych informacji udzielił starszy mieszkaniec okolic – zastrzegający sobie anonimowość – pamiętający jako dziecko rok 1945. Opowiadał on, że po walkach toczonych w tej okolicy, zwiadowcza rosyjska szpi-

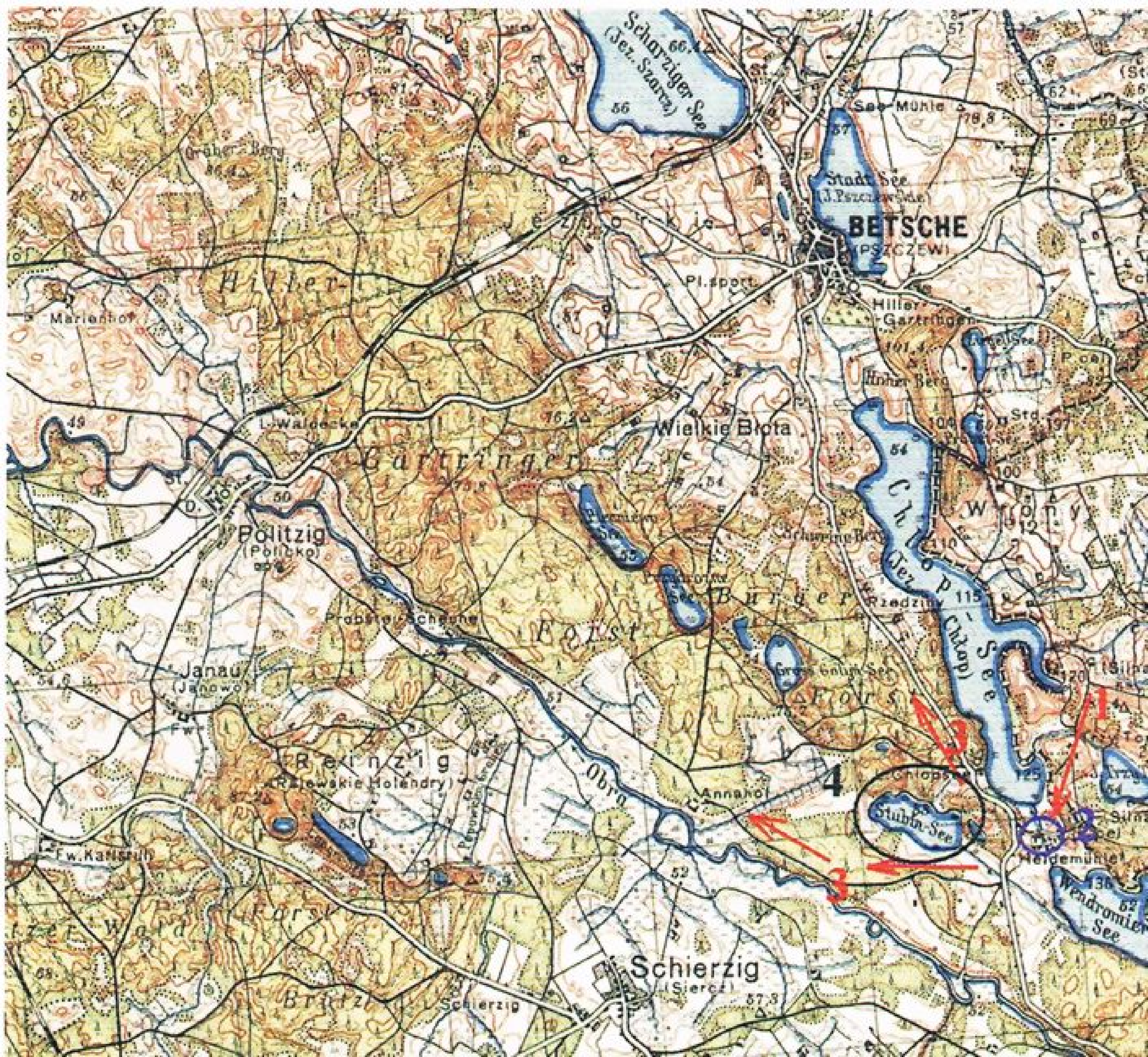

1. Pozycje wyjściowe 44. Brygady Pancernej Gwardii do ataku na Borowy Młyn (Heidemühle).
2. Rejon bitwy o umocniony folwark w Borowym Młynie.
3. Kierunki dalszego przemieszczania się rosyjskich sił w stronę Pszczewa (Betsche) i Policka (Politzig).
4. Jezioro Stobno

Początek poszukiwań na Jeziorze Stobno. W głębi Dariusz de Lorm, po lewej, przodem, Szymon Michno.

Przygotowania do nurkowania.

Pierwsze użycie magnetometru i echosondy...

... oraz podwodnego detektora metalu.

ca przecięła jezioro od strony południowej w kierunku północno-zachodnim. Gdy na taflę wjechały czołgi, w ich kierunku ogień otworzyło „zamaskowane działo". Tajemniczy rozmówca twierdził, że w wyniku ostrzału gruby i wytrzymały do tej pory lód pękł, i pojazdy pogrążyły się w wodzie. Po przejściu frontu Rosjanie mieli próbować je wyciągać – jednak bezskutecznie. Oczywiście tego typu relacje nie mają zbyt wielkiej wartości, jednak w tym przypadku pewne szczegóły tej historii znalazły potwierdzenie w topografii terenu.

Do jeziora od południa można było dotrzeć omijając linię lasu, a łagodne brzegi umożliwiały wjazd na skutą lodem taflę wody. Co najciekawsze, po drugiej, północnej stronie jeziora udało się odnaleźć ślady po dziwnym, niezidentyfikowanym stanowisku, pasującym do relacji o „zamaskowanym dziale".

Niestety dużo gorzej wiodło się prowadzącym podwodne poszukiwania. Nurkowie zastosowali prostą i jednocześnie skuteczną metodę „trałowania", czyli przeczesywania za pomocą lin dna akwenu. Próbowali również badać jezioro płynąc tzw. „tyralierą". Szybko okazało się, że widoczność panująca pod wodą była bardzo słaba, a samo dno wyjątkowo zamulone, co utrudniało podwodną penetrację. Ostatecznie, mimo kilku nurkowań i wyjazdów, nie udało się natknąć na żadnego rodzaju podwodny obiekt mogący być fragmentem pojazdu. Jedynym śladem, że na jeziorze podjęto rzekomo próby dotarcia do mitycznych czołgów, była widoczna w toni parciana lina, której część wnikała w dno, co mogłoby sugerować przymocowanie jej do czegoś, głęboko tkwiącego w mule. Zdaniem nurków, lina z pewnością nie mogła służyć do wyciągnięcia pojazdu – była na to zbyt słaba – ale mogła być wykorzystana np. do podczepienia lub zlokalizowania obiektu. Niestety, w chwili jej odnalezienia nie została sfotografowana pod wodą, zanotowane zostały natomiast jej przybliżone współrzędne.

W kwietniu 2014 roku Grupa Eksploracyjna Miesięcznika Odkrywca wspólnie z GRALmarine dołączyła do „polujących" na radzieckie czołgi nurków. Od samego początku „zaprzęgliśmy" do podwodnych badań elektronikę. W pierwszym etapie wykorzystaliśmy magnetometr protonowy, pracujący w konfiguracji z prostą echosondą pokazującą zarys dna. Aparatura została umieszczona na łodzi, z pokładu której sprawdziliśmy rejon, gdzie miała znajdować się tajemnicza „parciana lina" oraz najbardziej prawdopodobne lokalizacje zatopionych pojazdów – znajdujące się w środkowej partii jeziora.

Wyniki nie były zbyt zachęcające. Wszystkie anomalie magnetyczne były stosunkowo niewielkie i wydawało się, że nie miały związku z żadnymi pojazdami pancernymi. Sam obraz dna, uzyskany za pomocą echosondy, również nie wykazywał żadnych podejrzanych obiektów. Ponownie dużo lepsze efekty przyniosły poszukiwania prowadzone na lądzie i dokładna analiza terenu.

Przełamanie linii przesłaniania

Podczas poprzednich wypraw uwagę nurków i strażaków z OSP, uczestniczących w poszukiwaniach, przyciągnęła linia okopów znajdująca się 150 m na południe od Jeziora Stobno. Ślady po walkach były tam widoczne gołym okiem. Przeanalizowaliśmy ten rejon za pomocą zdjęć satelitarnych i metody lotniczego skaningu laserowego LIDAR, odwzorowującego ukształtowanie terenu. Okazało się, że Jezioro Stobno znajdowało się pośrodku całego systemu transzei i okopów. Wchodziły one w skład tzw. pozycji przesłaniania, która miała na celu zabezpieczenie przedpola głównych fortyfikacji niemieckich na wschodzie – MRU. Linia przebiegała w tym rejonie pomiędzy Pszczewem a Trzcielem i składała się z umocnień polowych: okopów, transzei i stanowisk dla piechoty, karabinów maszynowych i artylerii. Główną jej bronią miał być jednak teren – pełen jezior oddzielonych wąskimi przesmykami. Co ciekawe, ta linia obronna sięgała swoimi korzeniami jeszcze okresu przedwojennego. W 1939 roku w tym rejonie biegła granica pol-

sko-niemiecka. Miasto Trzciel było podzielone. W przeważającej części znalazło się po stronie Niemiec, po stronie polskiej pozostawiono natomiast stację kolejową. Granica biegła od owej trzcielskiej stacji na północny-wschód przez ok. 2 km, a następnie skręcała na zachód, pozostawiając Jezioro Konińskie po stronie polskiej, i dobiegała do Jeziora Wielkiego. Potem linia graniczna wciskała się między Jeziora Rybojadły i Głębokie, aby dotrzeć do wschodniego brzegu Jeziora Wędromierz. Następnie, pomiędzy tym akwenem a Jeziorem Chłop, granica zbliżała się w niewielkim przesmyku do terenu dzisiejszej leśniczówki Borowy Młyn – ówczesnej osady Heidemühle leżącej 700-800 m na wschód od Jeziora Stobno. Dalej linia graniczna biegła w kierunku Pszczewa, który pozostawał po stronie niemieckiej. W 1939 roku Niemcy wybudowali między Trzcielem i Pszczewem betonową drogę. Po obu jej stronach poprowadzono okopy i transzeje, a niedaleko Borowego Młyna, w przesmyku Jezior Chłop i Wędromierz wybudowano kilka schronów polowych dla karabinów maszynowych. Wszystkie te umocnienia nie odegrały żadnej roli w 1939 roku i pozostały zapomniane przez następne kilka lat.

Przypomniano sobie o nich dopiero w połowie 1944 roku, kiedy III Rzesza rozpaczliwie próbowała zatrzymać rozpędzony rosyjski walec. Okopy starej linii granicznej zaczęto odnawiać i modyfikować. Budowano nowe stanowiska dla artylerii, czołgów, zakładano zasieki i pola minowe. Gdy w styczniu 1945 roku Armia Czerwona ruszyła z linii Wisły wbijając się w obronę niemiecką i powodując chaos, pracowicie przygotowywane umocnienia polowe nie było kim obsadzić. Podobnie jak znajdujące się 25 km na zachód od pozycji przesłaniania gigantyczne umocnienia MRU. Niemcy ratowali się, kim tylko się dało.

Analiza map i możliwego ruchu pojazdów rosyjskich po zamarzniętym jeziorze.

21 stycznia 1945 roku w rejonie Międzyrzecza stacjonowały bataliony zapasowe 433. Dywizji – to właśnie ci żołnierze zostali skierowani do obsadzenia linii okopów na północ od Trzciela. Do obrońców dołączano zbieraninę wycofujących się ze wschodu oddziałów, słuchaczy szkół wojskowych, policjantów, baterie artylerii plot oraz Volkssturm. Dowództwo nad całością wojsk niemieckich na linii przesłaniania powierzono 26 stycznia 1945 roku Obergruppenführerowi W. Krugerowi, dowódcy Korpusu Górskiego SS, który dopiero co przybył z Bałkanów. Dzień wcześniej rosyjskie czołgi 11. Gwardyjskiego Korpusu Pancernego z 1. Armii Pancernej pojawiły się pod Trzcielem. Rosjanie napotkali tam twardy opór Niemców i przeszkody, których się nie spodziewali. Niekorzystne warunki terenowe, wysadzone mosty na Obrze oraz nasycenie bronią ppanc. sprawiło, że siły niemieckie broniły się w tym rejonie aż do 29 stycznia. Tymczasem 28 stycznia wobec nieskutecznych ataków na Trzciel, z sił rosyjskich wydzielono 44. Brygadę Pancerną Gwardii. Miała ona przełamać obronę niemiecką pomiędzy Pszczewem a Trzcielem w rejonie Borowego Młyna. To wydarzenie stało się kluczowe dla naszych poszukiwań.

Kto zatonął w Jeziorze Stobno?

28 stycznia z kierunku Nowa Silna rozpoczęło się natarcie sowieckie prowadzone na Heidemühle (Borowy Młyn). Znajdujący się tam, w przesmyku Jezior Chłop i Wędromierz, umocniony folwark, był broniony prawdopodobnie przez żołnierzy jednej z jednostek Waffen SS. Być może było to powodem niezwykle zaciętej obrony i silnych kontrataków niemieckich, które zatrzymały 44. Brygadę na cały dzień. Dopiero 29 stycznia żołnierze radzieccy atakując przez zamarznięte jeziora, przełamali obronę niemiecką i wyszli na drogę Trzciel–Pszczew. To, co rozegrało się dalej, możemy jedynie próbować odtwarzać w oparciu o znajdujące się w terenie drugowojenne pamiątki.

Po zdobyciu betonowej drogi Rosjanie zaczęli przemieszczać się, korzystając z linii pustych okopów na północ oraz na zachód. Prawdopodobnie jeden z oddziałów skierował się boczną drogą, leżącą na południe od Stob-

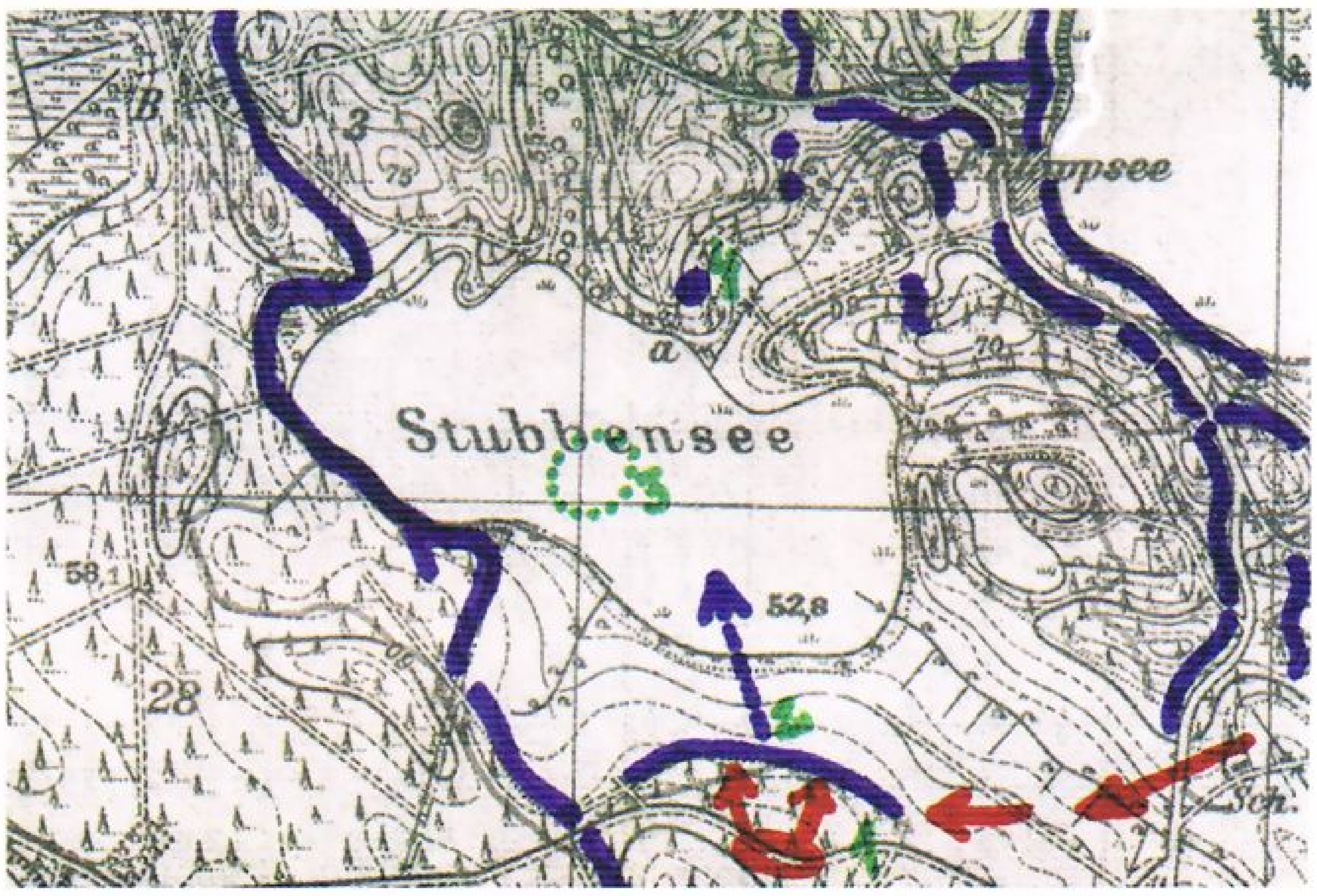

Kolor niebieski – niemieckie okopy, transzeje i stanowiska widoczne do dziś w terenie.
Kolor czerwony – kierunek przemieszczania się oddziałów 44. Brygady Pancernej Gw. po przejściu drogi Pszczew– Trzciel.
1. Prawdopodobny kierunek marszu oddziałów Armii Czerwonej na Policko.
2. Okop i stanowiska niemieckie na południe od jeziora, zaatakowane przez rosyjskie siły. Prawdopodobny kierunek wycofywania się ocalałych obrońców.
3. Miejsce, gdzie miały zatonąć rosyjskie czołgi.
4. Tajemnicze i niezidentyfikowane stanowisko artyleryjskie, z którego jakoby otworzono ogień do przejeżdżających po lodzie rosyjskich pojazdów.

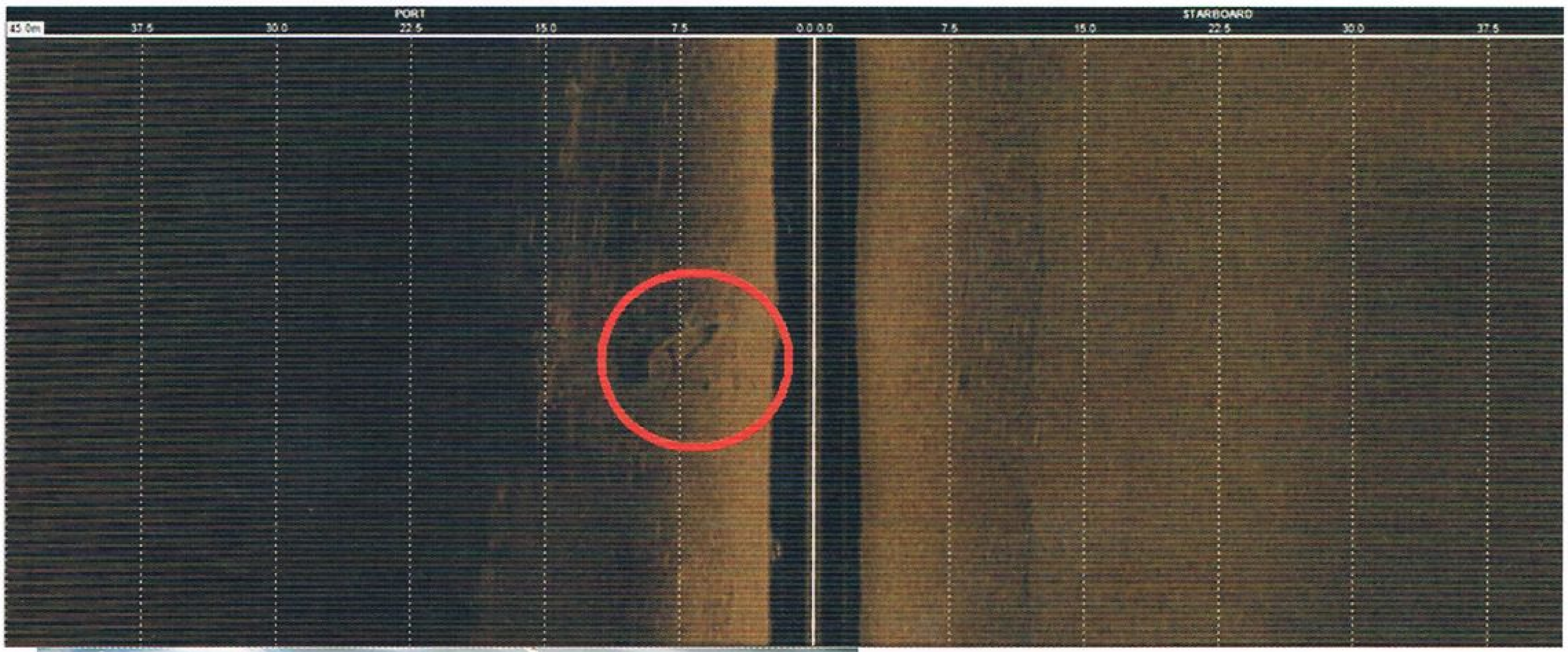

„Czołg", który okazał się… zatopioną łódką.

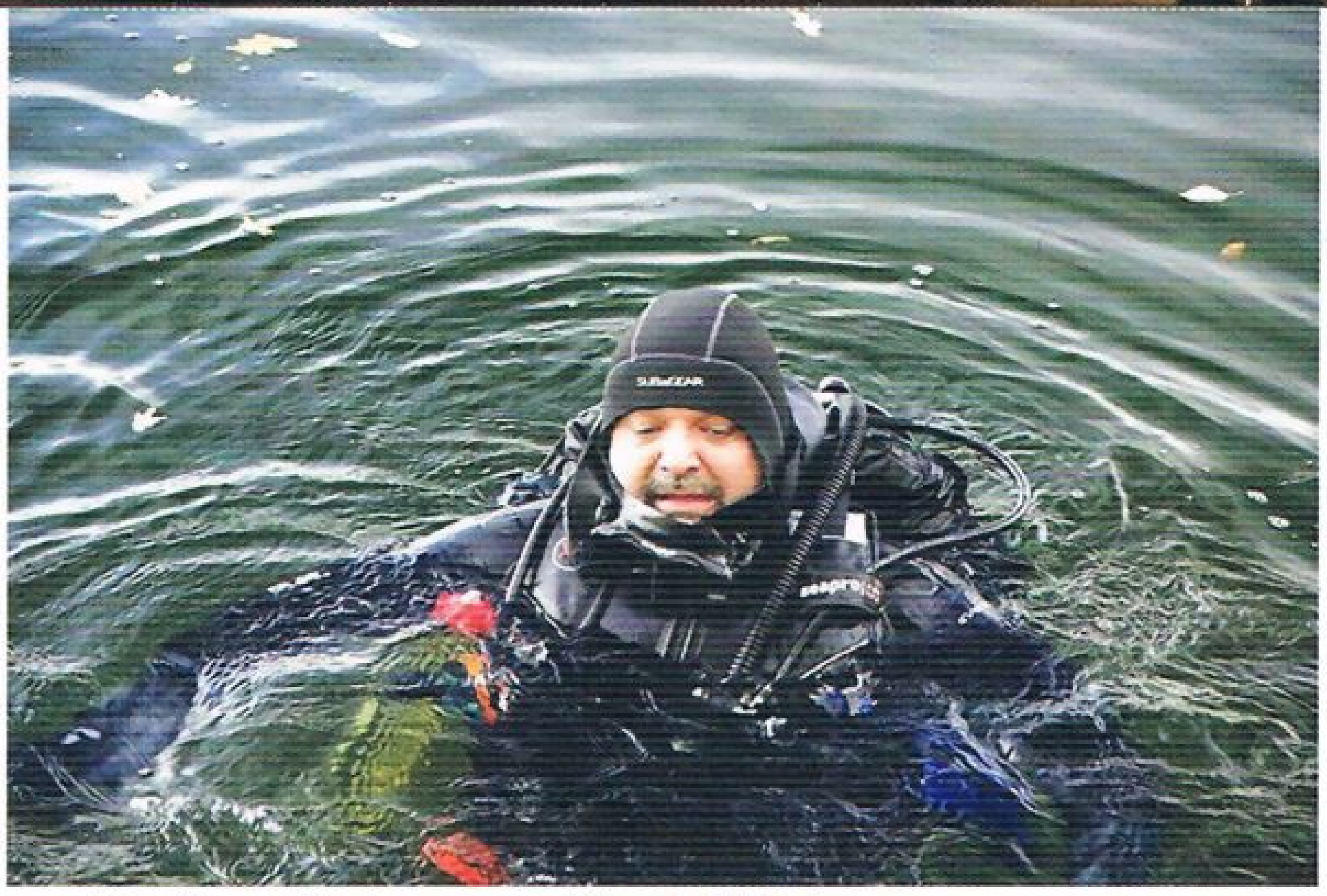

Dariusz Kuternowski z OSP Torzym.

na w kierunku na Policko. W tym rejonie z pewnością nie wszystkie okopy zostały opuszczone. Nieznane, niemieckie siły obsadziły, bądź schroniły się, w stanowiskach znajdujących się najbliżej jeziora. Czy w jakiś sposób próbowali ostrzeliwać radziecką kolumnę? Z pewnością Rosjanie o nich wiedzieli i zaatakowali, pozostawiając od strony południowej masę wystrzelonych łusek z broni maszynowej i ręcznej. Na pozycje niemieckie spadły również granaty moździerzowe. Ślady w terenie wskazują, że po krótkiej i zapewne gwałtownej walce, obrońcy zostali wybici w okopach. Być może część z nich próbowała uciekać przez zamarznięte jezioro.

Czy w ferworze walki mogły za nimi podążyć jakieś rosyjskie czołgi z 44. Pancernej Brygady Gwardii? Niewykluczone. Możliwe też jest, że dostały się pod ogień tajemniczej armaty, bądź niemieckich moździerzy ulokowanych w okopie po północnej stronie jeziora. Natomiast wersja mówiąca o rozmyślnym wjechaniu na jezioro czołgów prowadzących „rozpoznanie", usłyszana z ust anonimowego, starszego mieszkańca okolic, jest dużo mniej prawdopodobna. Nacierający nie mieli takiej potrzeby, łatwiej było po przełamaniu oporu kontynuować marsz na Policko, drogą prowadzącą na południe od jeziora. Oczywiście nie możemy wykluczyć żadnej ewentualności, zwłaszcza że nie znamy wszystkich okoliczności, które mogły się przełożyć na takie, a nie inne działanie czerwonoarmistów.

Niestety, historia o zatopionych czołgach funkcjonuje jedynie w lokalnych przekazach, nie udało się odnaleźć żadnego innego jej potwierdzenia ani w rosyjskich, ani w niemieckich źródłach.

Na początku lat 50. po zaciętych walkach nie pozostało w tym rejonie zbyt dużo zniszczonego sprzętu. Być może usunięto go w latach 1945-1949. Bowiem datowane na 1949 rok pismo Dyrekcji Lasów Państwowych w Gorzowie Wielkopolskim dotyczące zalegania „sprzętu pancernego" znajdującego się na terenie nadleśnictwa Pszczew, wymienia jedynie dwie pozostałości: zniszczoną niemiecką armatę ppanc. w rejonie Borowego Młyna i spalony ciągnik od *„niemieckiego moździerza"* znajdujący się przy drodze, którą wycofywały się niemieckie oddziały z Borowego Młyna do Policka.[2] O zatopionych czołgach pisma nadleśnictwa milczą, choć w innych przypadkach pozostawione w zbiornikach wodnych i bagnach pancerne pojazdy są w dokumentacji wymieniane.

Czy zatem czołgi z Jeziora Stobno pozostają jedynie wymysłem i barwną historią? A może rzeczywiście zatonęły w jeziorze, a tuż po zakończeniu walk zostały wydobyte?

Sonar w akcji

Ponieważ dotychczasowe poszukiwania były zawężane do najbardziej prawdopodobnych miejsc położenia zatopionych czołgów, postanowiliśmy je rozszerzyć, obejmując praktycznie całe jezioro. Było to możliwe dzięki pomocy GRALmarine i użyciu sonaru Tritech, który we wrześniu 2014 roku został wykorzystany do odnalezienia ORP „Kujawiaka" u wybrzeży Malty (patrz „Odkrywca" nr 11/2014). Zarówno podczas tej spektakularnej akcji, jak i podczas badań na Jeziorze Stobno, obsługiwał go nasz przyjaciel Bartłomiej Grynda.

Gdy pod koniec listopada 2014 roku jezioro zostało w całości przebadane, pierwsza, pobieżna interpretacja wyników spowodowała przyspieszone bicie serca. Na dnie można było zobaczyć parcianą linę i kilka podejrzanych punktów, z których

zdarzyło się…

28 III 1935 r.

80 lat temu miała miejsce światowa premiera jednego z najwybitniejszych filmów propagandowych w dziejach – „Triumf woli" Leni Riefenstahl. Nakręciła go we wrześniu 1934 r. w Norymberdze podczas zjazdu NSDAP. Film nie ma narracji; pokazuje wyłącznie maszerujące oddziały hitlerowców, tłumy fetujące Hitlera, przemówienia jego oraz innych czołowych nazistów. Obrazowi towarzyszy muzyka, m.in. Ryszarda Wagnera, ulubionego kompozytora przywódcy III Rzeszy. Film miał pokazać siłę narodowego socjalizmu i jedność Niemców skupionych wokół Führera. Riefenstahl filmowała Hitlera z „żabiej perspektywy", czyli od dołu, co powodowało, że wydawał się większym, potężniejszym, a ukazywanie zebranych ludzi w swej masie z góry, stwarzało wrażenie nikłości wobec Hitlera.

Trudny do rozpoznania „ekspert od fortyfikacji" – Jerzy Sadowski – przed nurkowaniem. Po prawej Dariusz Płotka.

jeden wprost wyglądał na zakopany w mule czołg! Dopiero po drobiazgowej analizie uzyskanych podczas badań obrazów sonaru, można było po kolei eliminować fałszywe alarmy. Ten najbardziej obiecujący ślad okazał się być zatopioną łodzią, nie mającą nic wspólnego z II wojną światową. Z pozostałych obiektów weryfikowanych na bieżąco przez nurków, powoli opadała mgła tajemnicy… okazały się bowiem różnymi, współczesnymi wytworami ludzkiej pomysłowości – jak choćby sporych rozmiarów pułapka na węgorze…

Ostatecznie, dzięki sonarowi, możemy potwierdzić, że na dnie Jeziora Stobno nie ma żadnego widocznego pojazdu.

Jednak ta konkluzja nie jest ostateczna. Bowiem dzięki wcześniejszym wyprawom nurków wiedzieliśmy, że część jeziora jest bardzo zamulona. Zdaniem Darka de Lorm w części dna głębokość mułu może przekraczać 5 metrów! Ciężki czołg, który spocząłby na takim dnie, z pewnością zagłębiłby się bez żadnego widocznego śladu. Niestety, tak grubej warstwy mułu nie jest w stanie prześwietlić żaden sonar. Jedynym rozwiązaniem pozostaje próba dokładnego zlokalizowania anomalii magnetycznej, wskazującej na istnienie dużej ilości metalu. Jednak używany przez nas magnetometr zdecydowanie lepiej radzi sobie podczas stabilnych badań na lądzie, niż na łodzi, która może powodować zakłócenia w pracy delikatnego urządzenia. Ponadto w tak charakterystycznym, dodajmy: hipotetycznym miejscu, musiałby prześwietlić nie tylko 7-8 metrów głębokości, ale również i nieznanej grubości warstwę mułu. O błąd w takich warunkach bardzo łatwo.

Zatem ostatnim, możliwym krokiem, który odpowie ostatecznie na pytanie: co kryje Jezioro Stobno, jest oczekiwanie na pojawienie się kolejnego, bardziej zaawansowanego urządzenia bądź… nadejście silnego mrozu. Bowiem ciągle najbardziej miarodajną metodą pozostaje przejście po zamarzniętym jeziorze i precyzyjne przebadanie – metr po metrze – obszaru, gdzie mogły znaleźć się rosyjskie pojazdy. CDN?

W trakcie badań na Jeziorze Stobno organizatorom nieocenionej pomocy udzieliła Ochotnicza Straż Pożarna OSP Torzym, OSP Świętoszowice, OSP Zbrosławice oraz EXTREME – DIVE – Jacek Michno. Wszystkim serdecznie dziękujemy.

Działania GEMO wspomagane są przez stale współpracujące z Grupą firmy specjalistyczne:

ZDJĘCIA: SZKOŁA NURKOWANIA ANDATEK, GRZEGORZ GÓRA.

Przypisy:
[1] T. Czabański, M. Kandulski, „Trzcielska pozycja przesłaniania. Odcinek Trzciel–Pszczew", Pomost 2001, str. 26-27
[2] Wykaz sprzętu pancernego znajdującego się na terenie Dyrekcji Lasów Państwowych w Gorzowie Wielkopolskim, zbiory: Archiwum Akt Nowych, w posiadaniu: Lecha Zwirełło.

REKLAMA

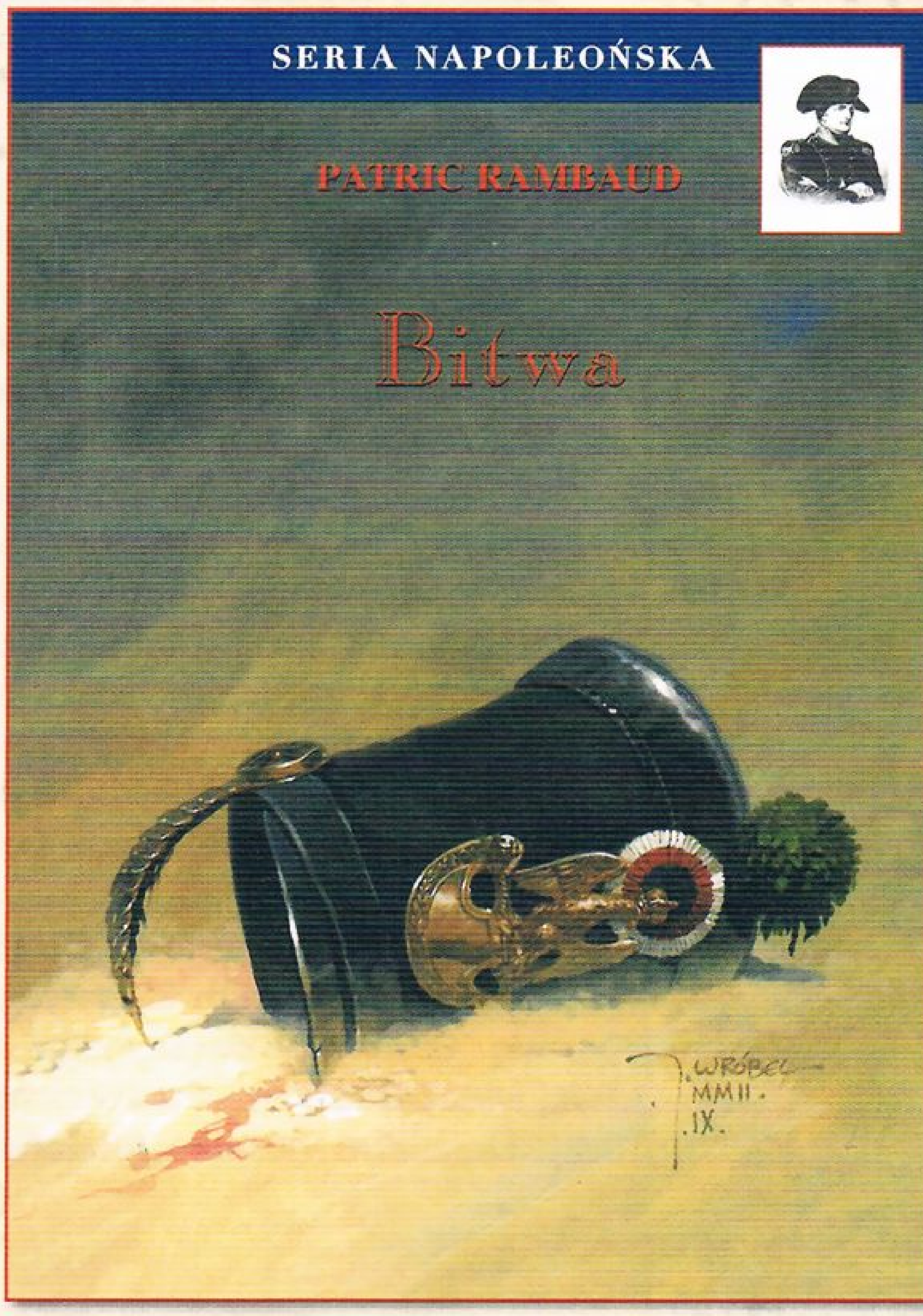

PATRIC RAMBAUD, *BITWA*

„Bitwa", napisana w stylu „Szuańskiej ballady" Waldemara Łysiaka, to opowieść o jednym z epizodów wojen napoleońskich – o bitwie pod Essling, która kończyła się w przeddzień Wagram, wielkiej victorii Napoleona. Kapitalny obraz psychologiczny postaci z kręgu Cesarza oraz wartka, wielowątkowa akcja powieści sprawia, że czyta się ją jednym tchem.

Autor znakomicie oddaje realia epoki, ukazując całe okrucieństwo wojny, widzianej oczyma zarówno marszałków, jak i prostych żołnierzy...

To perła literatury francuskiej, bo przecież nie przez przypadek, to właśnie za „Bitwę" autor otrzymał francuskiego „oskara" w kategorii powieści – nagrodę Goncourtów w 1997 roku.

PATRIC RAMBAUD – Jeden z najpoczytniejszych współczesnych pisarzy francuskich. Laureat wielu nagród literackich – m.in. nagrody im. Aleksandra Dumasa (1976), nagrody Lamartin'a (1978) oraz nagrody Goncourtów (1997).

sprzedaż w sieci empik

OFICYNA WYDAWNICZA FINNA

empik TO ciekawe!

książka z plusem

HISTORIA.ORG.PL

TVP HISTORIA

Łup marszałka von Kleista

LESZEK ADAMCZEWSKI

Rabowali nie tylko Niemcy i Rosjanie. Rabowali też Polacy po II wojnie światowej, okradając samych siebie. Wywóz dzieł sztuki z ziem zwanych odzyskanymi do centralnej Polski, był bowiem również rabunkiem. I tą drogą do Warszawy trafiła przepiękna ambona – cel pielgrzymek Polaków z Pomorza Zachodniego w czasach, gdy Polski nie było na mapach. Dzięki legendzie przypominała im wielkość Polski. Ale ambony tej już nie ma…

Oto ulica jednego z zajętych przez Armię Czerwoną miast. Na zdjęciu nie widać zniszczeń. Zachowały się nawet szyby w wielu oknach, a w tych pozbawionych szyb, powiewają firanki. Parter jednego z utrwalonych na fotografii budynków zdobi szyld kawiarni – Konditorei Cafe. Na pierwszym planie prezentuje się kawaleria radziecka. Niektórzy czerwonoarmiści dyskretnie spoglądają na wojskowego fotoreportera. Za żołnierzami widać gąsienice jakiegoś pojazdu pancernego i charakterystyczny dla niemieckich miast głośnik ulicznego radiowęzła, a całość uzupełnia zimowa sceneria: śnieg i tak zwane błoto pośniegowe.

To zdjęcie opublikowano w „Encyklopedii II wojny światowej", która nakładem Wydawnictwa Ministerstwa Obrony Narodowej ukazała się w 1975 roku. Podpisano je: *„Kawaleria radziecka w wyzwolonym Olsztynie"*.

W latach Polski Ludowej fotografia ta, z identycznym lub podobnym podpisem, zdobiła również inne opracowania historyczne i publikacje prasowe. Zdjęcie to czasami uzupełniano o informację, że widać nań kawalerzystów generała Nikołaja Oslikowskiego, niepotrzebnie spolszczając pisownię imienia i nazwiska na Mikołaja Oślikowskiego. Rzeczywiście, na zdjęciu widać żołnierzy z dowodzonego przez Oslikowskiego 3. Korpusu Kawalerii Gwardii, który walczył w składzie wojsk 2. Frontu Białoruskiego marszałka Konstantego Rokossowskiego i brał udział w zdobyciu Allenstein, czyli Olsztyna. Podwładni Oslikowskiego popełnili też jedną z najpotworniejszych zbrodni wojennych w Prusach Wschodnich. W podolsztyńskim wówczas Kortau (Kortowie) w nocy z 21 na 22 stycznia 1945 roku z zimną krwią wymordowali pozostałych na miejscu pacjentów Zakładu dla Obłąkanych, rannych żołnierzy z lazaretu wojskowego i personel medyczny, a także cywilów, którzy w tą mroźną noc styczniową schronili się w kortowskich budynkach szpitalnych, licząc na ochronę pod znakiem Czerwonego Krzyża.

Wróćmy jednak do opisanego zdjęcia. Widoczne nań miasto nie jest Olsztynem.

Stalin dyscyplinuje marszałków

Przez mniej więcej dwa tygodnie w drugiej i na początku trzeciej dekady lutego 1945 roku Neustettin (Szczecinek) był nadzieją nie tylko nieudolnego dowódcy grupy Armii „Weichsel" (Wisła), Reichsführera SS i szefa policji niemieckiej, jednocześnie ministra spraw wewnętrznych Rzeszy, Heinricha Himmlera, ale także Naczelnego Dowództwa Wehrmachtu. Po przełamaniu przez żołnierzy Armii Czerwonej i Wojska Polskiego umocnień Pommernstellung (Wału Pomorskiego) i stoczeniu przez tych ostatnich bitwy o Märkisch Friedland (Mirosławiec), pozostający w niemieckich rękach Neustettin gwarantował, że pod kontrolą Wehrmachtu pozostanie też szczecinecki korytarz operacyjny. Dawało to Niemcom swobodę manewru rezerwami i atakowanie skrzydeł nacierających wojsk radzieckich.

Kwatera Główna Armii Czerwonej szybko zdała sobie sprawę z tego niebezpieczeństwa. Wszak Neustettin znalazł się na styku wojsk dwóch frontów białoruskich: 1. i 2., co mogło wprowadzać bałagan kompetencyjny. Do zdobycia miasta jednocześnie ważnego węzła drogowego, głównie kolejowego, we wschodniej części prowincji pomorskiej Rzeszy, nie poczuwali się dowodzący frontami marszałkowie: Grigorij Żukow i Konstanty Rokossowski, którzy nie licząc się ze stratami w ludziach i sprzęcie, parli na zachód. Obu ambitnych marszałków zdyscyplinował dopiero Józef Stalin, rozkazując, by wojska Żukowa skierowały się na północny-zachód w kierunku Bałtyku i zdobyły portowy Kolberg (Kołobrzeg), a wojska Rokossowskiego w ogóle zawróciły i uderzyły na Danzig (Gdańsk), i pobliską Gdynię. Wcześniej należało jednak zlikwidować szczecinecki korytarz operacyjny i zająć Neustettin. Do wykonania tego zadania z wojsk obu frontów

Kawaleria radziecka nie w Olsztynie, ale w samym centrum zajętego przez Armię Czerwoną Szczecinka. Z lewej widać fragment ratusza, z prawej szyld kawiarni – Konditorei Cafe.

Tak wyglądała zabytkowa ambona, do 1946 roku zdobiąca kościółek w Radaczu. Reprodukcja z czasopisma „Unser Pommerland".

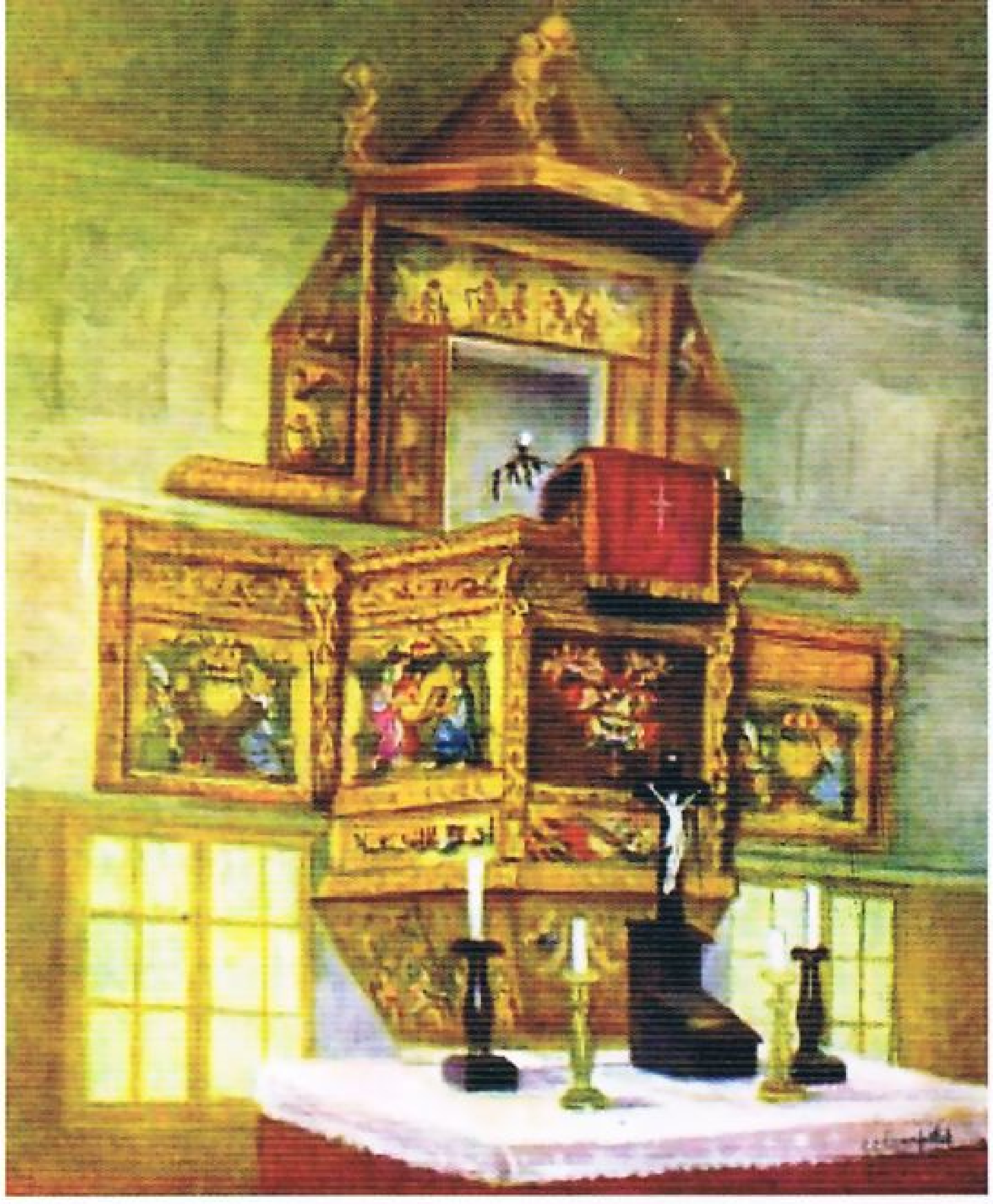

wydzielono po jednym korpusie kawalerii gwardii. Był wśród nich korpus generała Oslikowskiego.

Uderzenie na dwudziestotysięczne wówczas miasto i jedno z ogniw umocnień Wału Pomorskiego, poprzedziła ewakuacja ludności cywilnej. Ostatni, przepełniony do granic możliwości pociąg, odjechał ze szczecineckiego dworca 27 lutego 1945 roku już pod ogniem artylerii radzieckiej. W atmosferze paniki zapomniano o mieszkańcach niektórych pobliskich wiosek. Zdyscyplinowani Niemcy siedzieli przy radioodbiornikach z nadzieją, że w końcu nadany zostanie sygnał do ewakuacji. Nie został.

W 1965 roku mieszkający w Rostowie nad Donem generał rezerwy Iwan Kaljużny, były dowódca walczącej w korpusie Oslikowskiego 32. Smoleńskiej Dywizji Kawalerii Gwardii, w stylu charakterystycznym dla literatury wspomnieniowej tamtych czasów, opisał walki o Neustettin. Zwracając się do mieszkańców polskiego Szczecinka pisał:

„20 lat temu zakończyły się walki o wypędzenie faszystów z Waszego miasta przez radzieckich kawalerzystów, gdzie główny ciężar walk w bezpośrednich bojach o miasto i w mieście spoczęły na plecach żołnierzy, podoficerów i oficerów 32. Smoleńskiej Dywizji Kawalerii odznaczonej orderami Czerwonego Sztandaru i Suworowa. Wieczna pamięć poległym radzieckim kawalerzystom w walkach o miasto Szczecinek, żołnierzom – wyzwolicielom".

Neustettin nie był Stalingradem

Generał Kaljużny, przedstawiając bronione przez Niemców miasto, zauważył pola minowe i okopy, a nie zauważył umocnień Pommernstellung z potężnymi schronami. *„W mieście, na ulicach i skrzyżowaniach pobudowane były barykady. Baszty i kościoły oraz kamienice znajdujące się w głównych rejonach miasta, przystosowane były do obrony okrężnej. Ważniejsze obiekty miasta przystosowano do zniszczenia"* – napisał. Czytając kolejne akapity opracowania Kaljużnego, przedstawiające poszczególne fazy walk o Neustettin, odnosi się wrażenie, że generał opisał zażarte boje o… Stalingrad. Tymczasem historycy rosyjscy, którzy analizowali przebieg walk o Szczecinek, twierdzą, że dowództwo radzieckie spodziewało się tu silniejszej obrony i miasto zdobyto bez większego wysiłku.

Natarcie rozpoczęło się 26 lutego w południe, od przełamania pozycji niemieckich na przedpolach miasta. Następnego dnia kawalerzyści rozpoczęli jego zdobywanie. Kaljużny pisał z dużą dozą przesady: *„W walkach ulicznych przechodziło się od domu do domu, które należało brać szturmem lub niszczyć ogniem czołgów i broni pancernej. (…) W końcu dnia obrona przeciwnika została złamana śmiałym uderzeniem klinowym pułków kawaleryjskich i działaniem specjalnych grup szturmowych przystosowanych do walk ulicznych".*

W nocy z 27 na 28 lutego Niemcy porzucili Neustettin – ostatni z najsilniejszych węzłów Wału Pomorskiego, o czym o godzinie 1:20 poinformowano Naczelne Dowództwo Wojsk Lądowych (OKH). Tym samym nieaktualną stała się dyrektywa OKH, którą 27 lutego otrzymał sztab Grupy Armii „Weichsel". Przewidywała ona, by przez szczecinecki korytarz operacyjny przeprowadzić natarcie do Wisły w celu odblokowania załogi Festung Graudenz, resztkami sił broniącej się w ruinach Grudziądza. Gdy prysła nadzieja na odsiecz, w nocy z 5 na 6 marca hitlerowski garnizon tego miasta-twierdzy poddał się.

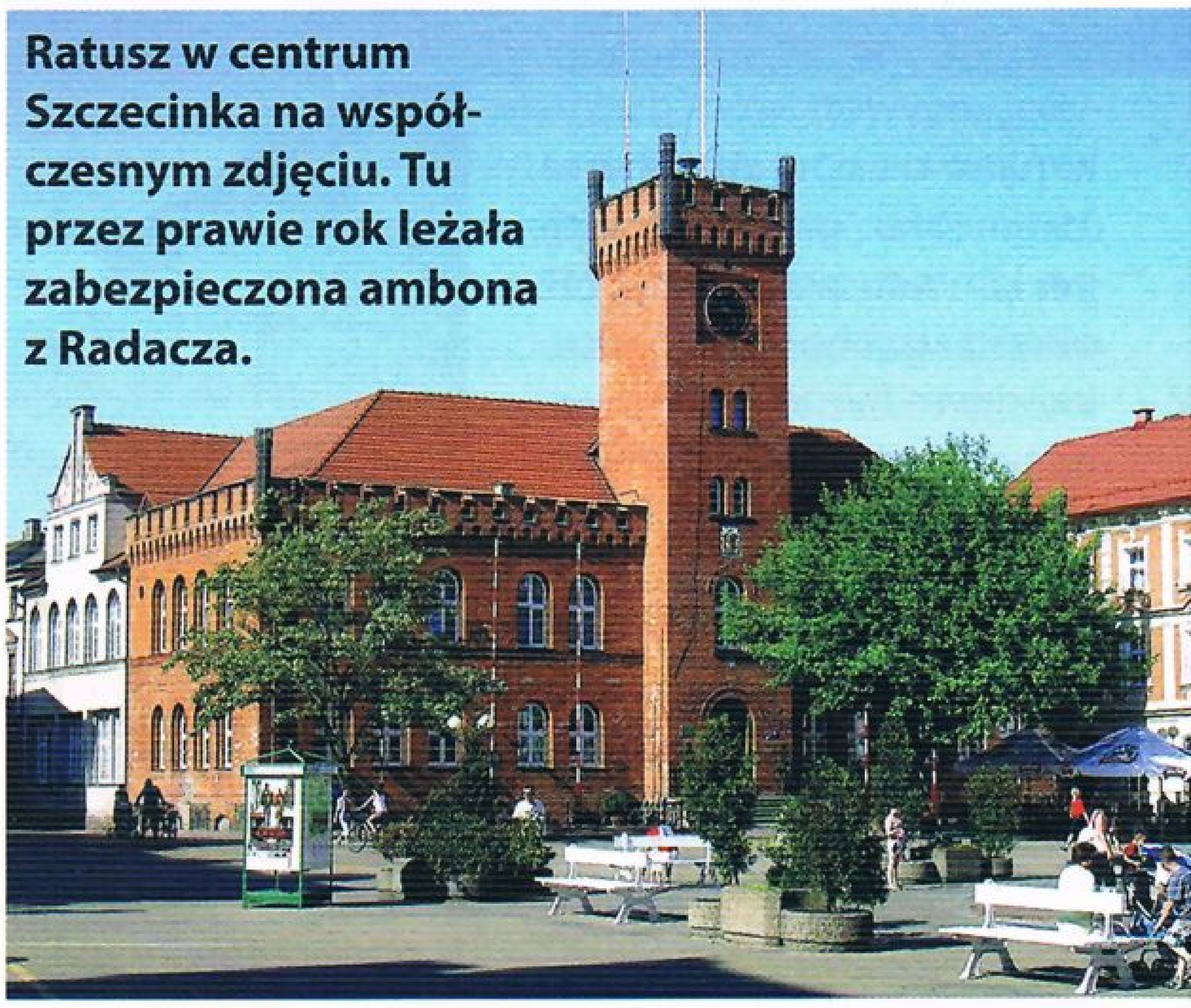

Ratusz w centrum Szczecinka na współczesnym zdjęciu. Tu przez prawie rok leżała zabezpieczona ambona z Radacza.

„W walkach o miasto Szczecinek zniszczono dużą ilość żywej i technicznej siły przeciwnika, a także zdobyto dużo trofeów" – napisał Kaljużny, dodając: *„Nagrodą za przelaną krew w walkach o wyzwolenie miasta, było oswobodzenie wieluset obywateli radzieckich, których Niemcy nie zdążyli ewakuować. Razem z nimi oswobodzono wielu Polaków, Francuzów, Włochów, a nawet Amerykanina i Amerykankę, którzy nie wiadomo jak znaleźli się w mieście".* O tym, co stało się z „oswobodzonymi" obywatelami radzieckimi, Kaljużny już nie napisał…

Resztki śniegu zalegającego ulice i place zajętego przez czerwonoarmistów miasta, wskazują, że opisane na wstępie zdjęcie, mające rzekomo pokazywać kawalerzystów radzieckich wkraczających do Olsztyna, wy-

NA TERENIE POBLISKIEGO MAJĄTKU RADDATZ znajdował się skarb nad skarbami, który już w XIX wieku Polacy, mieszkający w tych okolicach, otaczali kultem niemalże religijnym. Do malutkiego kościółka w Raddatz ciągnęły pielgrzymki, by ją zobaczyć…

Czerwonoarmiści na ulicach zajętego miasta Neustettin.

konano na początku marca 1945 roku przed szczecineckim ratuszem. Z tego też okresu pochodzą kilkusekundowe migawki filmowe, w tym jedna, co najmniej tajemnicza, a w każdym razie rzadko pojawiająca się w radzieckich kronikach filmowych. Widać nań cywilów z wózkami i tobołami na ulicy jakiegoś miasta. To Szczecinek sfilmowany nie podczas ewakuacji mieszkańców przez władze hitlerowskie, lecz już pod rządami Rosjan. Trudno zgadywać czy cywile ci wracają do zdobytego przez nich miasta po niemieckiej ewakuacji, czy może czerwonoarmiści z jakichś nieznanych nam powodów wyrzucili ich z niego. Resztki śniegu na jakimś skwerze wskazują, że ta migawka pochodzi z tego samego okresu co zdjęcie kawalerzystów przed ratuszem.

Na tym zdjęciu widać resztki barykady, które w Neustettin zbudowano na początku 1945 roku.

Piękna legenda

Minęły dwa i pół miesiąca od zajęcia miasta Neustettin przez Armię Czerwoną. 15 maja 1945 roku znalazł się tu – wraz z rodziną – Bronisław Kowacz. Po latach wspominał: *„Szczecinek nie został zniszczony przez działania wojenne. Grasowały w nim natomiast, nieliczne jeszcze, grupy szabrowników. Czego nie dało się zabrać na plecy czy do worka, należało zniszczyć, połamać, spalić – bo poniemieckie. Prym wiedli sowieccy żołdacy, każde drzwi otwierali kopnięciem lub serią z pepeszy. Pierwsze słowa »Dawaj czasy!« kierowane były jednakowo do wszystkich – czy to do pozostałych gdzieniegdzie Niemców, czy do osiedlających się Polaków, porządkujących swe nowe obejścia. (...) Przemierzając szczecineckie ulice podziwialiśmy, mimo wszystko, ład, czystość i porządek. Uroku miastu dodawała wiosna. Wszędzie kwitły kwiaty, na trawnikach rosły ozdobne krzewy"* (cytat za „Kartą", nr 21 z 1997 roku).

Gdy życie w Szczecinku zaczęło się stopniowo normalizować, pomyślano o zabezpieczeniu tego, co można jeszcze było uratować z dóbr kultury znajdujących się w mieście i powiecie. A na terenie zajętego przez czerwonoarmistów pobliskiego majątku Raddatz znajdował się skarb nad skarbami, który już w XIX wieku Polacy mieszkający w tych okolicach, otaczali kultem niemalże religijnym. Do malutkiego kościółka w Raddatz ciągnęły pielgrzymki, by zobaczyć...ambonę pamiętającą czasy świetności i potęgi Rzeczypospolitej Obojga Narodów.

Podczas wojny prusko-austriackiej marszałek Henning von Kleist w 1742 roku z majątku Sobieskich na Śląsku zrabował złoconą karetę – jak głosiła legenda – dar mieszkańców Wiednia dla króla Jana III Sobieskiego – w dowód wdzięczności za wyzwolenie z oblężenia przez Turków. Łup ten trafił do majątku Kleistów na Pomorzu, gdzie sam marszałek polecił przerobić karetę na ambonę i umieścić ją w miejscowym kościółku.

To ładna historia, która podtrzymywała na duchu pomorskich Polaków mieszkających w państwie pruskim, ale nieprawdziwa. Sobieski nie otrzymał od mieszkańców Wiednia żadnej złoconej karety, ani jakiegoś rydwanu zwycięzcy, że w ogóle w 1683 roku nie było uroczystego wjazdu króla polskiego do tego miasta. Interesująca nas ambona została wykonana aż z trzech karet, które wojska pruskie pod dowództwem von Kleista w styczniu 1741 roku zdobyły w śląskiej Oławie. Karety te rzeczywiście pochodziły z powozowni Sobieskich. Reszta jest – jak się rzekło – legendą wymyśloną albo przez samego von Kleista, albo – co bardziej prawdopodobne – przez jego potomków.

Owa kareta-ambona zdobiła wspomniany kościółek przez ponad 200 lat – od 1744 do 1946 roku. Rok wcześniej wioskę Raddatz, leżącą na linii umocnień Pommernstellung, czyli Wału Pomorskiego, zajęli Rosjanie. Rozpoczęła się, trwająca wiele miesięcy, rabunkowa polityka nowych gospodarzy. Były majątek von Kleistów pracował teraz na potrzeby Armii Czerwonej. Od wczesnej jesieni 1945 roku pracował nielegalnie. Oto bowiem, 8 października tegoż roku, między Tymczasowym Rządem Jedności Narodowej RP a dowództwem stacjonujących w Polsce oddziałów Armii Czerwonej zawarto porozumienie, według którego Rosjanie mogli użytkować, bez ograniczeń czasowych, 201 majątków. Przeprowadzona w listopadzie kontrola wykazała, że użytkowali... 950 majątków, w tym podszczecinecki Raddatz, którego nazwę w tym mniej więcej czasie spolszczono na Radacz.

Wielki szabrownik

Z okolic Szczecinka przenieśmy się do Szczecina. W organizujących się władzach nowego województwa, nazywanego jeszcze okręgiem, ważną rolę

spełniał Stanisław Czapelski. Magister filozofii, absolwent Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie, został naczelnikiem Wydziału Kultury przy Pełnomocniku Rządu RP na okręg Pomorza Zachodniego. Już latem 1945 roku polecił on podległym mu referatom kultury, działającym przy władzach powiatowych, szukać i ratować dzieła sztuki, zarówno pochodzenia miejscowego, jak i przywiezione na te tereny przez Niemców podczas wojny.

Czapelski nie miał łatwego życia. W sytuacji, gdy na Pomorzu Zachodnim grasowały bandy szabrowników, a żołnierze radzieccy rabowali co chcieli, gdy kulał transport i brakowało wszystkiego, on apelował o ratowanie skarbów kultury. Na tę jego działalność niezbyt przychylnie patrzyli przełożeni naczelnika, zwłaszcza ci z Warszawy. W licznych pismach żądali od niego tworzenia w pierwszej kolejności teatrów polskich, zbierania instrumentów dla zespołów muzycznych, czy prowadzenia akcji… recytatorskich.

A jednak Czapelski nie rezygnował. W jednym z zachowanych pism z lata 1946 roku informował przełożonych: *„Nie mając do dyspozycji samochodu, Wydział* [Kultury – przyp. L. A.] *nie może docierać swobodnie gdzie potrzeba, czuwać nad zabezpieczeniem zabytków i w razie potrzeby zwozić je do miejsc bezpiecznych. W wyniku tego stanu możliwe są takie wypadki, jak rozbicie wozu Sobieskiego, służącego za kazalnicę w kościele w Radaczu (Obwód Szczecinek), o czym donosi referent ze Szczecinka. Majętność Radacz jest pod zarządem radzieckim, pracują w niej żołnierze radzieccy z Kaukazu i Azji Środkowej i niemieccy robotnicy. Rozbite szczątki wozu zwieziono do Urzędu Pełnomocnika Obwodowego w Szczecinku".*

Wspomnianym referentem ze Szczecinka był doktor Różański, kierownik Referatu Kultury we władzach powiatowych, jedyny historyk sztuki w pierwszej powojennej ekipie działającej na Pomorzu Zachodnim. Różańskiemu udało się dotrzeć do Radacza i zabrać zdewastowaną przez czerwonoarmistów ambonę. Udało się, ponieważ dowódcy radzieccy często nie wpuszczali do podobnych majątków urzędników polskich. Uratowana

zdarzyło się…

19 III 1945 r.

70 lat temu Hitler wydał rozkaz Nerona: zniszczyć wszystkie urządzenia militarne, komunikacyjne, przemysłowe i zaopatrzeniowe oraz inne obiekty na terytorium Rzeszy, które wróg może wykorzystać do kontynuowania walki! Rozkaz Hitlera przeszedł do historii jako Nerobefehl, rozkaz Nerona (od imienia rzymskiego cesarza, który miał nakazać spalenie Rzymu). Politykę pozostawiania wrogom spalonej ziemi sabotował Albert Speer, minister ds. uzbrojenia i amunicji, który, pomimo ustawicznych bombardowań zdołał utrzymać gospodarkę w ruchu niemal do końca istnienia III Rzeszy. 42 dni po wydaniu rozkazu Nerona Hitler popełnił samobójstwo w berlińskim bunkrze, a rozkaz nie został wykonany w sposób, w jaki to sobie wyobrażał.

REKLAMA

WYKRYWACZA JUŻ NIE SZUKAJ… WŁAŚNIE GO ZNALAZŁEŚ!

RUTUS *Argo*

Argo i Optima z sondami 29 cm w specjalnej cenie

- Automatyczne strojenie do gruntu
- Regulacja częstotliwości od 6329 Hz do 6944 Hz
- Możliwość regulacji reakcji na kamienie magnetyczne
- Identyfikacja cyfrowa w zakresie -90 + 90
- Dyskryminacja klasyczna i wybiórcza (20 pozycji)
- Czułość regulowana (48 poziomów)
- Pinpoint z podawaniem głębokości dla monet - pomiar niezależny od czułości
- Możliwość ułożenia własnego programu dźwięków
- Regulacja szybkości reakcji
- Praca dynamiczna, statyczna i jednoczesna

RUTUS DETEKTORY METALI

Gdynia
tel.: 058 - 679 33 14, 0601 284 371
e-mail: rutus@rutus.com.pl, www.rutus.com.pl

Ryglowy kościółek w Radaczu...

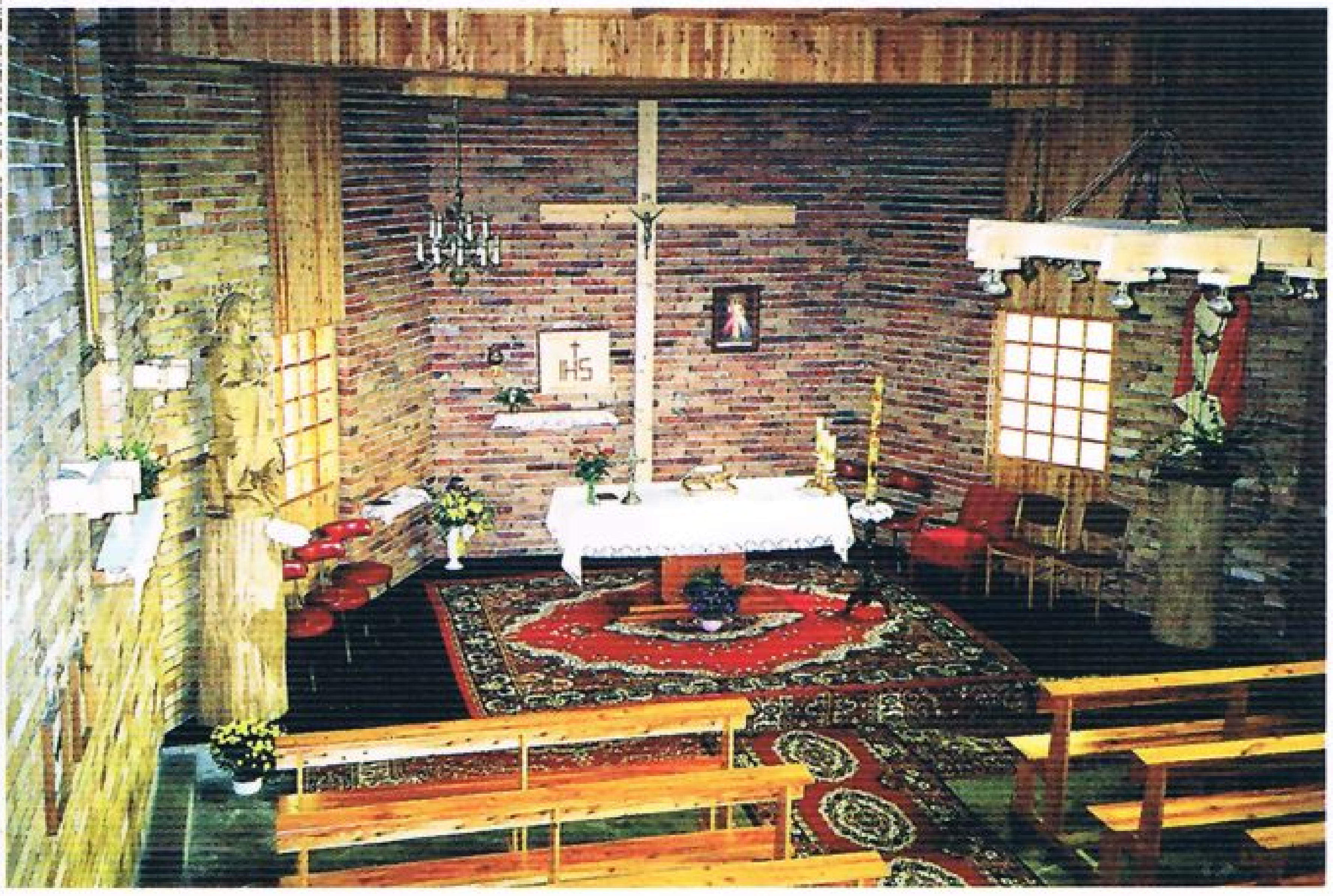

... do którego już nigdy nie wróci historyczna ambona.

i zabezpieczona przed dalszą dewastacją ambona, leżała w szczecineckim ratuszu, czekając na lepsze czasy. Ale dla pomorskich zabytków nadchodziły złe czasy.

Oto bowiem jesienią 1946 roku z zajmowanego dotychczas stanowiska ustąpił Stanisław Czapelski. Zastąpił go zwolniony akurat z wojska Witold Wirpsza, który później zasłynął jako poeta, prozaik i eseista i człowiek kontestujący PRL-owską rzeczywistość. Wcześniej jednak zasłynął jako wielki... szabrownik. Na jego polecenie z Pomorza Zachodniego wywożono dzieła sztuki i cenne księgozbiory, wzbogacając tymi „darami" placówki kulturalne Warszawy, Lublina, Łodzi i Poznania.

Rychło też Wirpsza zainteresował się amboną z Radacza...

Zachowała się jego korespondencja w tej sprawie, w której zabytek ten nazywa „karocą" lub „rydwanem". W piśmie z 28 kwietnia 1947 roku do Ministerstwa Kultury i Sztuki Wirpsza nie tylko prosił o dyspozycje, ale i sugerował rozwiązanie: *„Ze względu na wyjątkowe znaczenie tego zabytku, nie mającego zresztą związku z historią Pomorza Zachodniego, prosi się o dalsze dyspozycje jego przeznaczenia. Zdaniem miejscowych czynników kultury – byłoby wskazane przewiezienie i umieszczenie obiektu w Muzeum Wilanowskim".*

Wirpsza się spieszył. Już w maju ustalił, że *„przewóz karocy i innych zabytków do Warszawy ma zorganizować Muzeum Narodowe w Warszawie"*. I sugerował, że przewóz ambony-rydwanu *„najlepiej załatwić samochodem ciężarowym, który mógłby zabrać jeszcze nieco zabytków, niekoniecznych dla zaopatrzenia muzeów lokalnych".*

Zabytek odzyskany z zabytku

Minęło 20 lat. Odrestaurowana ambona wróciła na Pomorze. W 1967 roku uroczyście przekazano ją w depozyt Muzeum Pomorza Środkowego w Słupsku, którego przez ponad 15 lat była ozdobą. Niestety, obok ambony umieszczono kartkę z błędną informacją o rydwanie zwycięzcy spod Wiednia. W 1983 roku ów unikatowy eksponat został zabrany do warszawskiego Wilanowa. Pracownicy tamtejszego Muzeum Pałacu ambonę rozebrali na części i mozolnie rekonstruowali z nich trzy karety paradne Sobieskiego. Na jednej z części znaleźli zachowany napis: *„Anno Domini 23 January 1692"*, co od razu wyklucza jego związek z wcześniejszą o 9 lat wiktorią wiedeńską. Na odwrocie płycin utrwalone zostały również nazwiska polskich rzemieślników, którzy wykonywali te karety dla króla Jana III. Nie cieszył się nimi długo. Zmarł 17 czerwca 1696 roku w Wilanowie. Karety odziedziczył najstarszy syn Sobieskiego, Jakub, który był ożeniony z Hedwig Neuburg i mieszkał w swojej rezydencji w Oławie koło Wrocławia. I tam też trafiły karety, gdzie podczas wojny prusko-austriackiej wpadły w ręce wspomnianego Henninga von Kleista. Co było dalej, już wiemy. Pocięte utworzyły niezwykłą ambonę.

○ ○ ○

W Radaczu byłem wczesną jesienią 2002 roku. Miejscowy kościółek stał w pobliżu opuszczonego i wyraźnie chylącego się ku ruinie XIX-wiecznego pałacu von Kleistów. Na początku stulecia świątynię odnowiono. Jej wnętrze urządzono w nowoczesnym stylu, zaś zewnętrzne mury zostawiono w dotychczasowym kształcie. Wszak to również zabytek. Ksiądz Czesław Nowak z pobliskiej wsi Parsęcko, w skład której to parafii wchodził również Radacz, pokazał mi wtedy niezbyt wyraźną kserokopię zdjęcia historycznej ambony. I wiedział już, że do Radacza zabytek ten nigdy nie wróci. Bo ambony już nie ma.

W końcu musi paść i to pytanie. Czy warto było niszczyć jeden zabytek, przez ponad 200 lat związany z Pomorzem, by odzyskać z niego inny? Ponoć tak, bo tylko w ten sposób współcześni mogą zobaczyć, jak wyglądały karety paradne z końca XVII wieku, których każdy element jest dziełem sztuki snycerskiej i malarskiej.

ZDJĘCIA: LESZEK ADAMCZEWSKI, ARCHIWUM AUTORA, INTERNET

Leszek Adamczewski

Poznański dziennikarz i pisarz. Wieloletni współpracownik „Odkrywcy". Autor prawie 20 cieszących się sporym zainteresowaniem czytelników książek o tajemniczych zdarzeniach z czasów II wojny światowej. Najnowszą książką tego Autora jest, wydana nakładem Repliki, pozycja pt. „Ucieczka pod bombami".

„Skarby" w oparach celulozy

PIOTR MASZKOWSKI

Będzie to historia o poszukiwaniach ukrytych skrzyń i zaginionej dokumentacji niemieckiej, schowanych pod koniec wojny w okolicach Jeleniej Góry na Dolnym Śląsku. Nie będzie to jednak żadna z setek podobnych do siebie opowieści z tego wyeksploatowanego poszukiwawczo i dziennikarsko rejonu. Tym razem bowiem podążymy tropem nieco innych skarbów. Jakich? Przekonajmy się sami…

Od kilkudziesięciu lat tereny Kotliny Jeleniogórskiej to prawdziwe eldorado skarbowych opowieści. W jej górzystych rejonach kumulują się bowiem liczne historie, których źródła sięgają przeważnie końca II wojny światowej. Wówczas to po drogach poruszać się miały liczne konwoje niemieckich ciężarówek, przewożące tajemnicze ładunki, które ukrywane, niemal każdorazowo przez esesmanów, znikały w czeluściach wymyślnych skrytek. Owi esesmani, oczywiście, bezwzględnie likwidowali wszelkich świadków – niezależnie czy byli to ich towarzysze broni, czy miejscowi cywile, nie wspominając już o więźniach obozów koncentracyjnych, czy też robotnikach przymusowych uczestniczących w tego typu akcjach.

Jakimś cudem jednak zawsze zdarzał się ktoś, kto niezauważony widział te działania, lub najczęściej o nich słyszał, choć obowiązkowo milczał na ten temat z obawy przed zemstą nazistowskich strażników.

Prezentowana poniżej sprawa opiera się na podobnym schemacie, lecz tylko do pewnego momentu. Pochodzi bowiem z czasów, gdy jeszcze ów schemat nie utrwalił się w przestrzeni publicznej i medialnej. Również źródła stanowiące podstawę tej ciekawej sprawy, odbiegają od sensacyjnych doniesień prasowych podrasowanych nutą dziennikarskiej konfabulacji.

W tym przypadku, co zresztą do tej pory wielokrotnie czyniliśmy, zagłębimy się w kolejną intrygującą historię, opartą wyłącznie na swego czasu „ściśle tajnych" materiałach przechowywanych obecnie w Instytucie Pamięci Narodowej. Zawierają przebieg pewnego śledztwa, jakie prowadzone było przez funkcjonariuszy Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Jelenie Górze. Oznacza to, że ponownie przeniesiemy się w ponure lata 50. XX wieku – czasy totalnej inwigilacji i wszechwładzy komunistycznego aparatu represji. Tym razem jednak został on zaprzęgnięty do, chciałoby się rzec, całkiem pożytecznego zadania. Zanim jednak dowiemy się jakiego, konieczne będzie przedstawienie dość złożonego tła niniejszej historii…

Dochodowy truciciel

Nie wszyscy zapewne pamiętają na poły księżycowy krajobraz sprzed 20 lat jednego z najbardziej malowniczych terenów naszego kraju, którego walory turystyczne jeszcze przed II wojną światową skutecznie rywalizowały z najbardziej atrakcyjnymi, pod tym kątem, zakątkami Europy. Co prawda obecnie Karkonosze na powrót urzekają swoją urodą, niemniej jednak 20 lat temu, te górskie okolice mogły przerazić niejednego miłośnika obcowania z przyrodą i pieszych wędrówek stopniem degradacji i zanieczyszczeń środowiska naturalnego.

Głównym sprawcą tego stanu, i jednocześnie bezwzględnym trucicielem, były jeleniogórskie Zakłady Włókien Chemicznych „Chemitex Celwiskoza". Kombinat ten, zatrudniający w szczytowym okresie swego rozwoju ok. 5 tys. osób, był jednocześnie jednym z najbardziej dochodowych przedsiębiorstw w regionie, które w ciągu 37 lat funkcjonowania (1952-1989) wyprodukowało na eksport i rynek wewnętrzny ponad milion ton włókien wiskozowych, poliestrowych i celulozy (jej wytwórnię zamknięto nieco wcześniej, bo w 1980 roku).

W tym samym czasie do przepływającej nieopodal rzeki Bóbr, trafiło niemal 200 milionów m sześc. toksycznych ście-

Pochodzące z lat 60. zdjęcie symbolicznie oddające „truci-cielski" charakter jeleniogórskiej Celwiskozy.

Współczesna panorama Jeleniej Góry. W centrum widoczne kominy fabryczne Celwiskozy.

ków, zaś do atmosfery ok. 2 tys. ton zabójczych tioli (dawn. merkaptanów). Kury znoszącej złote jajka trudno się jednak było pozbyć. Aż w końcu stało się to faktem. W 1989 roku zakłady, w wyniku wieloletnich protestów ekologów i nacisków lokalnej społeczności, decyzją Ministra Ochrony Środowiska i Zasobów Naturalnych, zlikwidowano. W ich miejsce zostały powołane Zakłady Włókien Chemicznych „Jelchem", które jednak były już tylko cieniem dawnej potęgi jeleniogórskiego przemysłu celulozowego i tworzyw sztucznych rozwijanego tu od końca lat 30. XX wieku.

Z gruzu powstałe

Wówczas, w niemieckim jeszcze Hirschbergu, na bazie istniejącej tu od 1884 roku papierni i celulozowni siarczanowej, podberliński koncern PHRIX wybudował w latach 1938-1941 potężny i niezwykle nowoczesny, jak na ówczesne czasy, kombinat chemiczny – Schlesische Zellwolle A.G., wytwarzający do końca II wojny światowej, oprócz celulozy, pełną niemal gamę włókien i tworzyw sztucznych. Oczywiście korzystając po jej wybuchu przez cały czas z systemu niewolniczej pracy więźniów obozów koncentracyjnych, robotników przymusowych i jeńców wojennych.[1]

W maju 1945 roku zakłady, podobnie jak całe miasto, zostały zajęte przez Armię Czerwoną. Mimo że nie toczyły się tu zbyt intensywne walki, w ciągu kilku zaledwie miesięcy nastąpiła dewastacja fabryki, związana z demontażem części wyposażenia i jego łupieżczym wywozem do Związku Radzieckiego. Powstałe wówczas zniszczenia, w połączeniu z wcześniejszym procesem ewakuacji kluczowych urządzeń przez Niemców, sprawiły, iż stan kombinatu w momencie przejęcia go przez stronę polską, był katastrofalny. Tak przynajmniej konsekwentnie przedstawiano w każdym opracowaniu dotyczącym historii zakładów.

Brakowało dosłownie wszystkiego; żadna z linii produkcyjnych nie była kompletna, a stan infrastruktury był opłakany. Taki też obraz zastała, przybyła tu we wrześniu 1945 roku, delegacja Zjednoczenia Przemysłu Włókienniczego pod kierownictwem Eugeniusza Idzikowskiego, mająca przejąć obiekt od sowieckiej komendantury. Mimo to specjaliści uznali, że w ruinach kombinatu wciąż tkwi spory potencjał, gdyż rychło, bo już w listopadzie 1945 roku, władze państwowe podjęły decyzję o jego odbudowie – utworzeniu „Dolnośląskich Zakładów Włókien Sztucznych w Jeleniej Górze" i uruchomieniu w nich produkcji włókien poliamidowych. Na potrzeby tych ambitnych w powojennych realiach projektów, już w następnym roku utworzony został instytut naukowo-badawczy, w kolejnym zaś roku ruszyła produkcja stilonu. Do roku 1953 większość prac została ukończona. Formalnie „Jeleniogórskie Zakłady Celulozy i Włókien Sztucznych"[2] wraz z kompletnym zapleczem energetycznym i wodno-ściekowym rozpoczęły swoją działalność.

Nasza historia rozpoczyna się dokładnie dwa lata wcześniej…

INFORMACJA NA „JANA":
Według otrzymanego doniesienia obywatelskiego (…) należy wnioskować, iż tajny informator „Jan" wie dokładnie, gdzie są zakopane łożyska i kasy z tajną dokumentacją b. fabryki Celwolle Phrix. A udaje, że nie wie…

Tajemniczy transport

Pod koniec października 1951 roku do PUBP w Jeleniej Górze wpłynęło pewne „doniesienie obywatelskie". Zawarty w nim przekaz dotyczył wydarzeń mających miejsce co najmniej 6 lat wcześniej. Znany z imienia i nazwiska mieszkaniec miasta, opierając się na rozmowie z kolegą, twierdził, iż pod koniec wojny Niemcy przywieźli ciężarówkami: *„coś przykryte ubraniami ochronnymi do budynku, który łączy się z fabryką celulozy. Samochody te rozładowywali przeważnie Niemcy i nie dopuszczali cudzoziemców, którzy w tym czasie pracowali. Jak mi mówił kolega, na jednym samochodzie zauważył arkusze blach z metalu szlachetnego"*. I właściwie tyle.

Przyznać trzeba, że informacja o najwyższym stopniu ogólności, lecz najwyraźniej wystarczająca dla UB, by

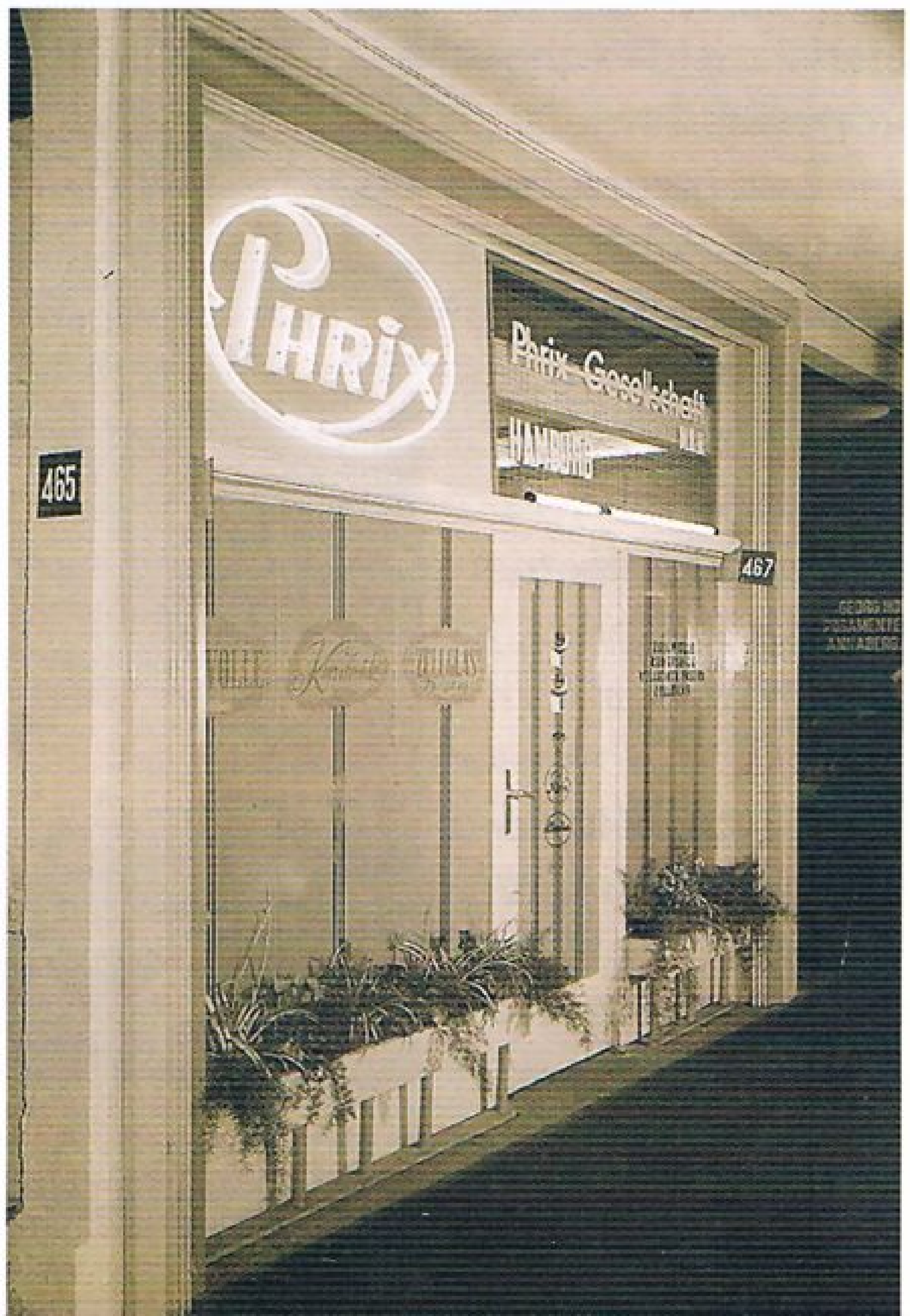

Jeleniogórskie zakłady Schlesische Zellwolle A.G. należały do koncernu chemicznego PHRIX.

Dziś niewiele już zostało z dawnej potęgi zakładów zatrudniających w szczytowym okresie swojego rozwoju ok. 5 tysięcy pracowników.

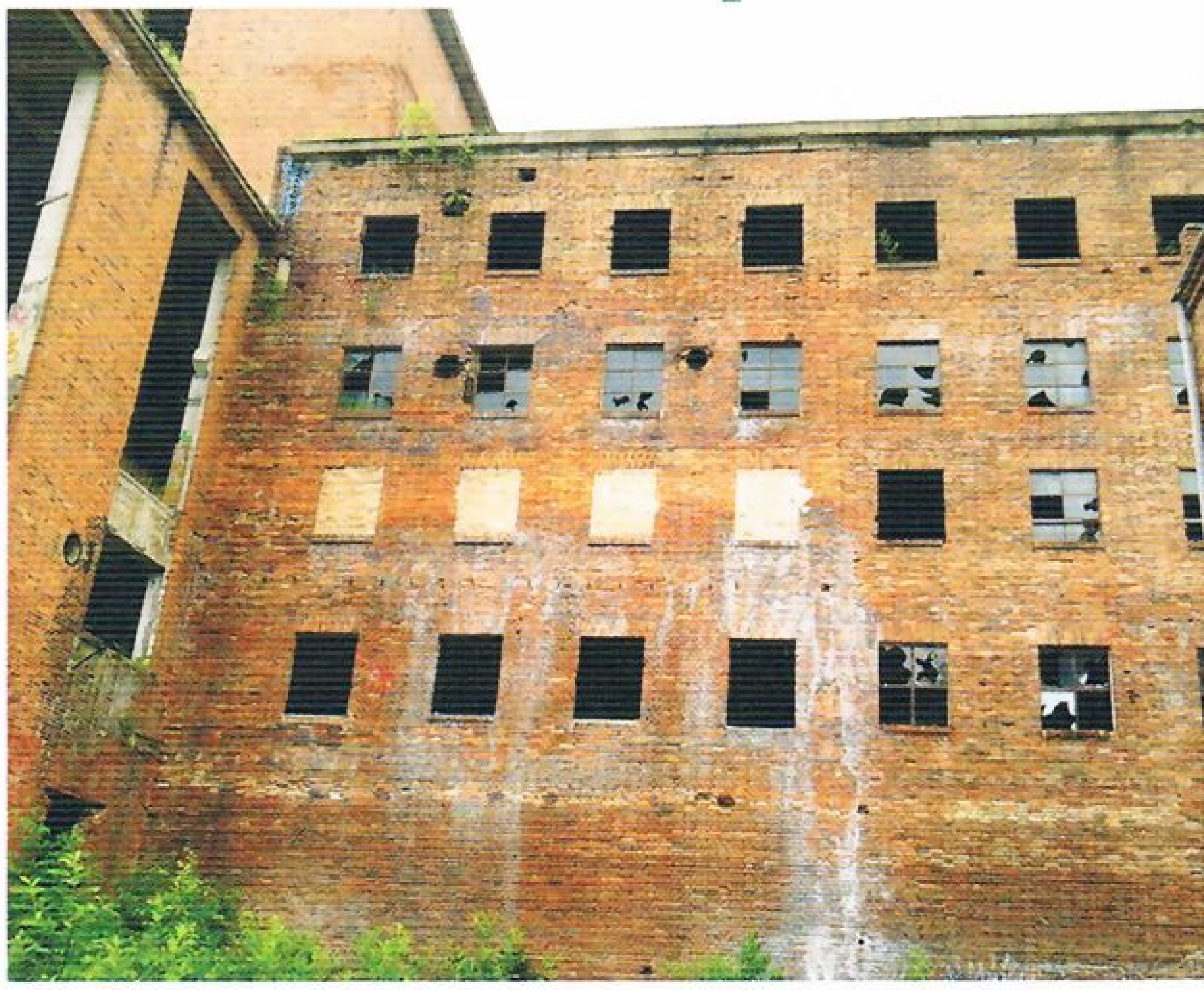

Obecny widok budynków fabrycznych po Zakładach Włókien Chemicznych „Chemitex Celwiskoza" przypomina zapewne podobny stan jak w 1945 roku…

podjąć dalsze czynności. Zapewne z powodu owych *„blach z metalu szlachetnego"*. Jednak w związku z trwającą odbudową kombinatu, mogła mieć kluczowe znaczenie i zaowocować odnalezieniem ukrytych przez Niemców urządzeń fabrycznych. Wytyczne kierownika urzędu były więc proste (pisownia oryginalna): *„Należy z obecnie z pośród jeszcze tu przebywających autochtonów i Niemców, którzy mogą o powyższym wiedzieć kogoś zawerbować dla potwierdzenia powyższego".* Jak zarządził tak się stało.

Kilka miesięcy później udało się nie tylko podjąć ów wątpliwy trop, ale również go znacząco pogłębić. Wszystko za sprawą pozyskanej operacyjnie relacji byłego robotnika zakładów Schlesische Zellwolle A.G./Hirschberg, który pracował w nich od roku 1940. Pan Franciszek trafił tam skierowany ze Śląska przez Arbeitsamt w Pszczynie i zatrudniony został na wydziale elektrycznym. *„Pracowałem bez przerwy do końca, tj. aż do chwili zatrzymania, które nastąpiło w lutym 1945 r. na skutek braku chemikaliów i węgla, który został odcięty z kopalni Górnego Śląska, a węgiel z Wałbrzycha nie nadawał się"* – pisał w swym oświadczeniu dla UB cenny świadek.

Bezpiekę jednak najbardziej interesowała kwestia wywozu z terenu fabryki tajemniczych ładunków. Pan Franciszek wspominał, że już w czerwcu 1944 roku zarząd spółki zaczął dyskretną ewakuację maszyn i części z magazynów na terenie zakładów, do składów zaimprowizowanych w zabudowaniach okolicznych miejscowości, m.in. w Starej Kamienicy, Szklarskiej Porębie, Podgórzynie Górnym, jeleniogórskiej dzielnicy Goduszyn, a nawet w samym mieście. Jednak najciekawsze zdarzenie, z punktu widzenia prowadzonej sprawy, miało miejsce kilka miesięcy później:

„Pamiętam, że w 1944 roku na warsztacie mechanicznym widziałem w miesiącu listopadzie-grudniu, jak pakowano w skrzynie z blachy kwasoodpornej (o wymiarach 75-100×50) łożyska kulkowe, rolkowe o różnych wymiarach, a potem te skrzynie lutowano i pakowano je do drewnianych skrzyń. Co robiono z tym później, tego nie wiem. Przy pakowaniu tych skrzyń zatrudnieni byli: Niemiec Fryderyk, któremu podlegały te łożyska, oraz pewna kobieta z Górnego Śląska (…)".

Na koniec podał nazwiska osób, w tym kilku autochtonów, którzy mogliby poszerzyć w większym stopniu posiadane przez niego informacje. Wkrótce sieć agenturalna została przez bezpiekę zarzucona jeszcze głębiej. Od tej pory bowiem autorem większości, tym razem już doniesień agencyjnych, był tajny współpracownik PUBP w Jeleniej Górze, o niepozornym kryptonimie – „Jan".

„Jan" zaczyna więc węszyć…

Poszedł tropem wskazanym przez Pana Franciszka i nawiązał kontakt z niejakim Skowrońskim, mimo swojsko brzmiącego nazwiska, przedwojennym mieszkańcem ówczas jeszcze Hirschbergu – również zatrudnionym w czasie wojny w zakładach Schlesische Zellwolle A.G. Co prawda nie potwierdził on wersji o wywozie i ukryciu skrzyń z łożyskami kulkowymi i tulejowymi, ale tylko dlatego, iż – jak sam podkreślił – pracował w zupełnie innej części fabryki. Poinformował natomiast, że po zajęciu kombinatu w maju 1945 roku przez Armię Czerwoną, Rosjanie odnaleźli *„przy pomocy zatrudnionych w tym czasie Niemców, obok komina, dużo scho-*

REKLAMA

wanych skrzyń, w których były precyzyjne narzędzia elektryczne, pilniki i inne". Co się z nimi stało? *„To wszystko załadowano do wagonu i wywieziono"*. Taki sam los spotkał zapewne i pozostałą część urządzeń, chociaż podobno te najcenniejsze, jakimi były dysze przędzalnicze[3] zostały oddane przez radzieckiego komendanta, w momencie przekazywania zakładów stronie polskiej.

Dokumentacja techniczna

Analizując doniesienia „Jana", trudno oprzeć się wrażeniu, iż osobiście posiadał sporą wiedzę na temat tego, co działo się na terenie fabryki zarówno w czasie wojny, pod jej koniec, jak i po zajęciu jej przez Rosjan. Dysponował też sporą wiedzą techniczną na temat wyposażenia zakładów oraz wykorzystywanych tam procesów technologicznych. Z łatwością nawiązywał również kontakty i zjednywał zaufanie wśród autochtonów. Prowadzący go funkcjonariusz bezpieki dość szybko dostrzegł w nim cenny potencjał, systematycznie zlecając pogłębianie wiedzy nie tylko na temat możliwości odnalezienia ukrytych urządzeń, lecz również zaginionej dokumentacji fabryki, której ewidentnie brakowało polskiemu kierownictwu kombinatu.

Informacje jakie ustalił na ten temat, wydają się, o ile były oczywiście prawdziwe, niezwykle precyzyjne. Według jego wiedzy Niemcy wywieźli dokumentację z Jeleniej Góry pod koniec 1944 roku do Hamburga. Następnie, w obliczu alianckich bombardowań tego miasta, przenieśli ją do miejscowości Mellen. Tam też w styczniu 1945 roku dosłano z Hirschbergu pozostałą partię materiałów.

Ponad wszelką wątpliwość nie była to jednak całość dokumentacji.

„Jan" bowiem najwyraźniej był świadkiem, gdy już po zajęciu fabryki przez Rosjan *„kilku inż. niemieckich układało pozostałą część dokumentacji technicznej w paczki podług właściwego ich przeznaczenia* – pisał w swym raporcie dla prowadzącego go oficera bezpieki. *„Co było potem z posegregowanymi i kompletnymi rysunkami, tego nie wiem. Gdy fabrykę zajęli Polacy kompletnych rysunków i dokumentacji technicznej już na fabryce nie było, pozostała tylko ta część, która obecnie jest w archiwum Fabryki Wiskozy "*.

Wkrótce pojawił się kolejny, nie do końca zweryfikowany świadek, który twierdził, że Niemcy zatopili w stawie, obok szpitala miejskiego w Jeleniej Górze, trzy kasy pancerne z dokumentacją i recepturą produkcji włókna wiskozowego. „Jan" próbował ustalić szczegóły tej sprawy, lecz bez powodzenia. Co prawda jeden z jego informatorów słyszał o prowadzonych kilka lat wcześniej poszukiwaniach, w pewnym jeleniogórskim zbiorniku wodnym, jednak jak się okazało, miały one miejsce w zupełnie innej części miasta i również nie przyniosły spodziewanych efektów, poza odnalezionym żelaznym złomem.

Na tym etapie prowadzone dochodzenie zaczęło się komplikować, a poszczególne tropy znacząco rozmywać. Pojawiły się również istotne rozbieżności w poszczególnych relacjach osób, mogących wnieść nowe elementy do śledztwa. Co gorsze, nadzorujący je ubecy zaczęli również tracić zaufanie do „Jana" – swego głównego informatora. Z treści raportów i zawartych w nich komentarzach wynika, że jego ustalenia każdorazowo starali się weryfikować alternatywnym źródłem osobowym. W konsekwencji, skutkiem swego kompletnego „wrodzonego" braku zaufania do kogokolwiek, niezwykle ulotnych i niepewnych poszlak w tej sprawie, najwyraźniej zaczęli się gubić. Wkrótce okazało się też, że kluczem do rozwiązania tajemnicy zakładów są wyłącznie autochtoni. Ci zaś, jako ówcześnie „element politycznie i ideologicznie niepewny", nie byli skorzy do współpracy. Zastraszeni i podejrzliwi woleli milczeć. Nawet jeżeli któryś z nich faktycznie dysponował pożądaną przez bezpiekę wiedzą, nie chciał się nią dzielić.

Z biegiem czasu prowadzone przez kolejne dwa lata śledztwo przestawało mieć nie tylko sens, ale i jakikolwiek wymiar praktyczny. „Jeleniogórskie Zakłady Celulozy i Włókien Sztucznych" były już wówczas na ukończeniu i działać miały w oparciu o własne technologie, tudzież rozwiązania uzyskane od państw zaprzyjaźnionych. Tym samym wszelkie pozostałości starego wyposażenia, czy nawet poniemiecka dokumentacja, straciły na znaczeniu. Sprawę ostatecznie zamknięto w 1955 roku przekazaniem wytworzonych w jej trakcie materiałów do archiwum.

zdarzyło się...

30 III 1858 r.

157 lat temu zostal opatentowany ołówek z gumką. Rejestracji tego prostego wynalazku dokonał urodzony na Jamajce mieszkaniec Filadelfii – Hymen Lipman. 4 lata później na swoim pomyśle zarobił 100 tys. dolarów, za taką bowiem kwotę sprzedał prawa do niego Josephowi Reckendorferowi, który dostrzegł w nim olbrzymi potencjał. Inwestycja ta jednak dla nabywcy nie okazała się zbyt szczęśliwa. W 1875 r. amerykański Sąd Najwyższy uznał innowacyjność wynalazku Lipmana za niewystarczającą, by nadal chronić go prawem patentowym. W uzasadnieniu tego postanowienia stwierdzono, iż zaledwie łączy on istniejące już od jakiegoś czasu rozwiązania (jakimi były dawno już i oddzielnie opatentowane ołówek i gumka) – a nie tworzy nowego. Wyrok ten wkrótce wykorzystała firma Faber, która bez żadnych opłat podjęła masową produkcję ołówków z gumką. Do lat 20. XX w. stały się one najpopularniejszym w Ameryce typem ołówka dostępnego na tamtejszym rynku, a nieco później zdobyły powodzenie na całym świecie...

ZDJĘCIA: WIKIMEDIA COMMONS

Przypisy:

[1] W pierwszej połowie 1943 roku na terenie Schlesische Zellwolle A.G. powstały dwa podobozy KL Gross-Rosen, których więźniowie wykorzystywani byli m.in. przy wciąż trwającej rozbudowie infrastruktury zakładów oraz załadunku i wyładunku gotowych produktów. W marcu kolejnego roku, na potrzeby najbardziej szkodliwych dla zdrowia robót przy chemicznej obróbce wełny, zorganizowana została kolejna filia, w miejsce funkcjonującego od dwóch lat obozu pracy przymusowej (ZAL).

[2] Początkowo do roku 1957 zakładom patronował Klement Gottwald – zmarły w tym samym czasie komunistyczny prezydent Czechosłowacji w latach 1948-1953.

[3] Tzw. filery stosowane do formowania włókien sztucznych i syntetycznych, do których budowy wykorzystywane są metale szlachetne, m.in. platyna.

Na podstawie: Akt IPN/Wrocław „dot. ukrycia dokumentów przez Niemców w Fabryce Celulozy. Jelenia Góra 1951-1955".

Clément Couillaud – jeniec nr 116

WOJCIECH GUDACZEWSKI

Stalag I B Hohenstein był największym obozem jenieckim w Prusach Wschodnich. Według szacunków historyków w latach 1939-1945 przez obóz przeszło blisko 600 tysięcy jeńców różnych narodowości. Obóz stał się miejscem wiecznej pamięci dla tysięcy żołnierzy z różnych części świata. Jeszcze dzisiaj, po 70 latach od zakończenia II wojny światowej, rodziny jeńców Stalagu IB Hohenstein poszukują informacji o swoich bliskich.

W lutowym numerze „Odkrywcy" opowiedziałem Czytelnikom historię Georges'a Dutrone'a, żołnierza francuskiego, jeńca ze Stalagu I B („W poszukiwaniu Rossgartenstrasse...") i podjętej próby odszukania jego śladów. Przypomnę ją pokrótce.

Wiele lat temu na jednym z ostródzkich forów internetowych p. Cecile Dutrone z Francji umieściła apel, w którym zwróciła się do mieszkańców Ostródy o pomoc w ustaleniu faktów dotyczących losów jej dziadka – Georges'a Dutrone'a. Był on jeńcem wojennym i w czasie II wojny światowej pracował w firmie Braci Kühn w Ostródzie (niem. Osterode). Poszukiwania prowadzono równolegle: w Polsce oraz we Francji. Odnaleziono m.in. listy wojenne, które z obozu wysyłał Georges Dutrone, jak również zdjęcia z tego okresu. Dzięki nim udało się odszukać miejsca, w których przebywali francuscy jeńcy i prześledzić ich losy. Efektem szczęśliwego zakończenia poszukiwań była wizyta p. Cecile Dutrone w Ostródzie. Dzięki uprzejmości obecnych właścicieli obiektów po dawnej fabryce Braci Kühn, mogła zobaczyć miejsca, w których przebywał jej dziadek oraz inni jeńcy francuscy.

Kończąc swoją opowieść napisałem, że ta niezwykła przygoda śledcza stała się materiałem do reportażu filmowego. Powstała również strona internetowa, dzięki której zgłosiły się osoby z różnych stron świata z prośbami o pomoc w poszukiwaniu informacji o ich bliskich – jeńcach wojennych ze Stalagu I B Hohenstein. Jedna z nich mieszka na Tasmanii. Jej również udało się pomóc. Ale to już opowieść na kolejną historię...

I oto ta historia.

Clément Couillaud trafił do Stalagu I B Hohenstein 29 maja 1940 roku.

Jeńcy skierowani do pracy w Reichwalde (Lesiska), od prawej: Clément Couillaud, Yvan Quéméré, François Cosquer, Emile Bourhis, Yvon le Meur oraz François Manchec.

Pracujący w Lesiskach Francuzi mogli się wzajemnie odwiedzać.

List z Australii

Pani Marie-Paule Leroux od wielu lat szukała wszelkich informacji na temat swojego dziadka Clémenta Couillauda, który podczas II wojny światowej był jeńcem Stalagu I B Hohenstein, a później pracował w Reichwalde (dziś Lesiska k/Miłakowa), w majątku Fritza Grapentina. Zanim jednak zdecydowała się napisać do mnie list, prowadziła poszukiwania na własną rękę. Wysłała 350 listów do Niemiec, do wszystkich osób o nazwisku Grapentin. Niestety, bez większych rezultatów. Prowadziła także bogatą korespondencję z Archiwum Państwowym w Olsztynie. Także tam nie posiadano żadnych dokumentów dotyczących Clémenta Couillauda. Poszukiwania utknęły w miejscu.

Jeden z pierwszych

Gdy wybuchła II wojna światowa Clément Couillaud miał 31 lat. Po ogłoszeniu mobilizacji we Francji został wcielony do 611. Regimentu Piechoty. 16 maja 1940 r. w Plomion koło Aisne dostał się do niemieckiej niewoli. Zanim wraz z kolegami ze swojego oddziału trafił do Stalagu I B, krótko przebywał w Stalagu XII A w Limburg w Niemczech (jego nazwisko figuruje na liście jeńców tego obozu). W Limburgu zapadła decyzja o prze-

Lesiska (dawniej Reichwalde), miejscowość w której przebywali jeńcy francuscy.

Miejsce w Lesiskach, gdzie stał barak przeznaczony dla jeńców francuskich…

wiezieniu jeńców francuskich do Prus Wschodnich – do Stalagu I B Hohenstein.

Transportowano ich specjalnymi pociągami. Wśród nich był Clément Couillaud. Podróż trwała ponad tydzień, zdarzały się też transporty, które spędzały w drodze nawet 2 tygodnie. W tym okresie nie otwierano wagonów, nie podawano jeńcom nawet wody. Wielu z nich nie przeżywało podróży.

Clément Couillaud przyjechał do Stalagu I B Hohenstein 29 maja 1940 roku. Otrzymał numer FZ 116. Był jednym z pierwszych jeńców francuskich w tym obozie. Od początku pobytu w Stalagu pracował przy przygotowaniu miejsc kolejnym towarzyszom niedoli. W pierwszych miesiącach przywożono tutaj głównie Francuzów. Przybywali ze wszystkich frontów: z Dunkierki, Alzacji, z Narwiku, później z Mans. Wśród jeńców pojawił się nawet kontyngent Senegalczyków, których później wywieziono w nieznanym kierunku. W Stalagu jeńcy mieszkali w barakach po 500-700 osób. Spali na pryczach wypełnionych słomą, mchem, trocinami lub trawą. Baraki były nieogrzewane i nieszczelne, nie chroniły przed mrozem. Zmarznięci ludzie przykrywali się tym, co mieli, a najczęściej ogrzewali się wzajemnie własnymi ciałami, leżąc obok siebie i odwracając się na komendę. W późniejszym okresie przydzielono po jednym kocu na osobę. Zbudowano również nowe baraki, w których stały prowizoryczne piece.

Wyżywienie składało się z jednego litra zupy na dzień i kilku kartofli, a jeden bochenek chleba przypadał na osiem osób. Często przy wydawaniu posiłków zdarzały się dramatyczne sytuacje: w czasie wydawania zupy żołnierz francuski z kontyngentu senegalskiego, rzucił się na wachmana i udusił go. Natychmiast go zastrzelono, a władze obozowe ogłosiły na apelu, że w odwecie za śmierć żołnierza niemieckiego rozstrzelanych zostanie 50 jeńców francuskich. W najgorszej sytuacji byli jednak jeńcy pochodzenia żydowskiego. Dostawali oni o połowę mniejsze racje żywnościowe. W lutym 1940 r. podczas silnych mrozów, jeden z nich, skrajnie wygłodniały, znalazł główkę kapustę, która spadła z wozu z zaopatrzeniem. Zauważył to niemiecki żołnierz. Złapał go, i tak długo polewał wodą, aż jeniec zamarzł…

Cały teren obozu ogrodzony był drutem kolczastym – zbliżenie się do ogrodzenia karane było śmiercią, taki los spotkał trzech rodaków Clémenta Couillauda.

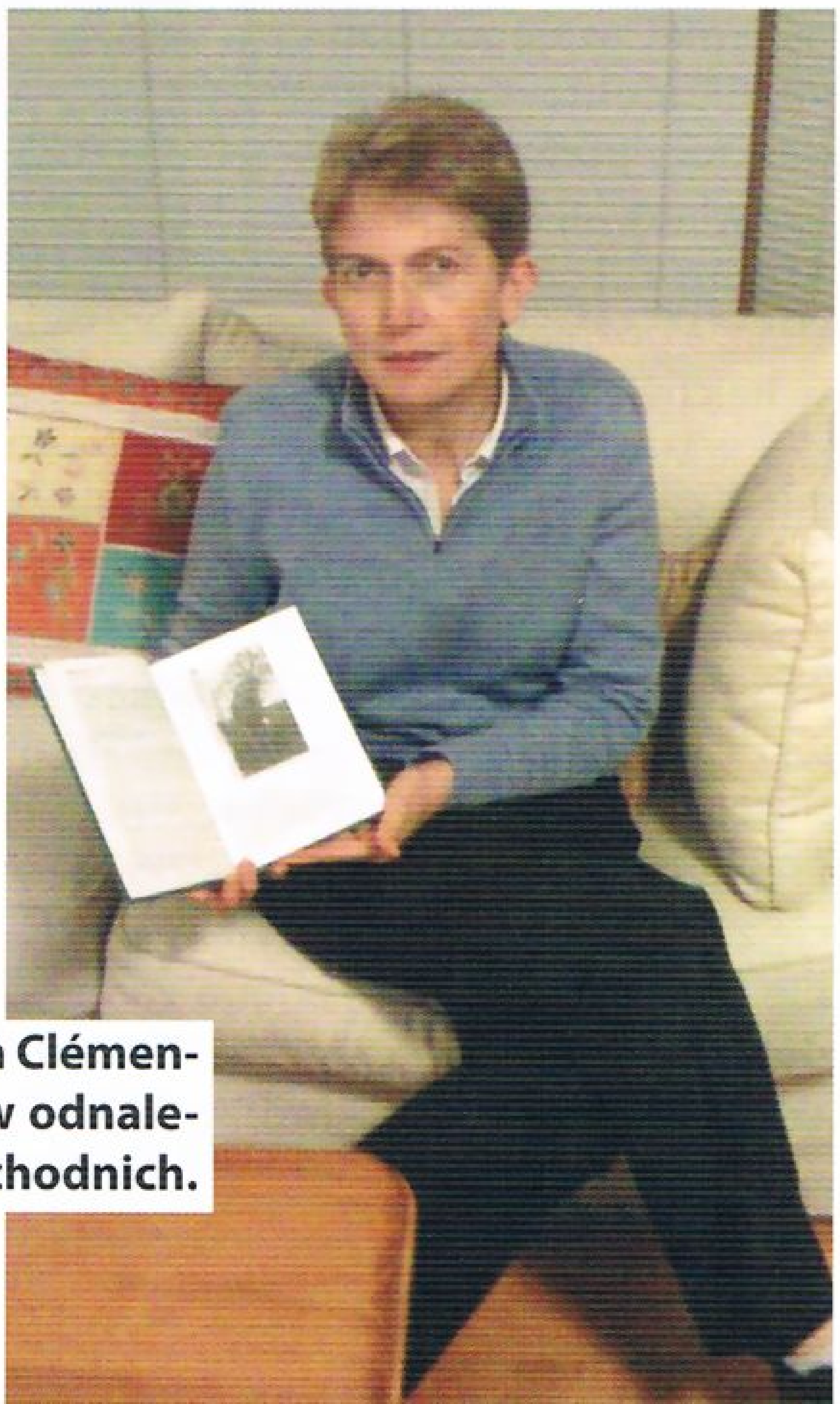

Marie-Paule Leroux z Tasmanii, wnuczka Clémenta Couillaud, która poprosiła o pomoc w odnalezieniu śladów jej dziadka w Prusach Wschodnich.

Pod koniec 1941 roku do Stalagu I B Hohenstein hitlerowcy kierowali jeńców rosyjskich. Setkami, tysiącami wypełnili oni cały obóz. Śmiertelność wśród nich była ogromna; tylko zimą 1941-1942 zmarło w obozie 25 tys. osób. Chowano ich w zbiorowych mogiłach na cmentarzu znajdującym się ok. 2 km od obozu, przy drodze na Ostródę. Historycy szacują, iż w tym miejscu pochowanych jest blisko 55 tysięcy jeńców.

Prace, które wykonywali jeńcy na terenie Stalagu, polegały na budowie baraków, namiotów, często były to też roboty porządkowe. Część pracowała poza obozem, w przemyśle i budownictwie (m.in. w fabryce Braci Kühn w Ostródzie czy w gazowni w Olsztynku) lub u okolicznych rolników – pojedynczo albo w grupach. Praca w podobozach była jedyną szansą, aby przetrwać trudy życia w Stalagu I B Hohenstein. Wyżywienie jeńców pracujących na wsi było dużo lepsze i bardziej urozmaicone niż w obozie. Można tam było kupić mleko, jajka, a nawet masło, mimo że taki handel był oficjalnie zakazany. Gdy tylko nadarzała się szansa skierowania do pracy na wsi, wielu jeńców zgłaszało się – choć często nie mieli oni ku temu żadnych kwalifikacji. Z takiej szansy skorzystał także Clément Couillaud oraz kilku jego towarzyszy.

Reichwalde

Do pracy w Reichwalde – ok. 50 km na północ od Ostródy i 6 km od Miłakowa – wytypowano grupę jeńców pochodzących w większości z tej samej okolicy we Francji. Wśród nich byli: Clément Couillaud, Yvan Quéméré, François Cosquer, Emile Bourhis, Yvon le Meur oraz François Manchec (ostatnie nazwisko

jest szczególnie ważne w tych poszukiwaniach). W Reichwalde mieszkało ponad 600 mieszkańców. Część wsi stanowiły dobra ziemskie, których w większości właścicielem był Fritz Grapentin. Liczyły one aż 312 ha, w tym 230 ha ziemi ornej, 29 ha łąk i 22 ha lasu. Zabudowania dworskie wraz z pałacem tworzyły duży czworobok z obszernym dziedzińcem i znajdowały się po prawej stronie wylotu drogi na Podangen (Podągi). To właśnie tu, w majątku Fritza Grapentina, pracowała większość ze skierowanych do pracy jeńców. Inni jeńcy skierowani zostali do pracy u Hermanna Feddricha, wśród nich był François Manchec.

Clément Couillaud był rolnikiem, więc dużo łatwiej było mu wykonywać codzienne obowiązki. Dla przybyłych jeńców zbudowano specjalny barak, który stał koło krzyża na rozstaju dróg. W czasie wojny w Reichwalde pracowali także przymusowi robotnicy m.in. z Polski i Ukrainy. Zatrudniano ich u bogatych rolników.

W Reichwalde Francuzi pracowali około 10 godzin dziennie. Otrzymywali niewielkie wynagrodzenie, za które mogli kupować od gospodarzy produkty żywnościowe. Nad pracą i pobytem jeńców u gospodarzy czuwał miejscowy żandarm.

Od połowy marca 1940 r. Niemcy – wbrew prawu międzynarodowemu – pozbawiali jeńców wojennych statusu jenieckiego, przekwalifikowując ich w robotników przymusowych. Praktyki takie stanowiły pogwałcenie art. 20 Konwencji Genewskiej z 1929 roku. Była to jednak, jak twierdzono, formalna zmiana stanu zatrudnienia. Najczęściej bowiem jeńców pozostawiano w dotychczasowym miejscu pracy, zmuszając ich do podpisania deklaracji, w której „dobrowolnie wyrażali zgodę" na pozostanie w III Rzeszy do końca wojny w charakterze robotników cywilnych. Nasilenie tej akcji w Prusach Wschodnich przypadło na lata 1940-1941. Również fotografie z tego okresu świadczą o zmianie statusu z jeńców wojennych na robotników przymusowych. Widać na nich, że garderobę jeńców stanowi pomieszanie munduru i ubrania cywilnego.

Niemcy z Reichwaldu traktowali francuskich jeńców dość łagodnie; mogli oni poruszać się swobodnie w promieniu 5 km od wsi, jednak przekroczenie tej granicy traktowane było jako ucieczka. Clément Couillaud wspominał, że Fritz Grapentin, właściciel majątku, bardzo dobrze odnosił się do nich. Żaden z pracujących u niego robotników nie chodził głodny; w miarę możliwości dbał także o ich zdrowie. Nawet jeżeli kierowały nim względy pragmatyczne, korzystali na tym jeńcy. Clément Couillaud znał dobrze pracę na wsi, był więc cenionym pracownikiem. Jeńcy codziennie wracali po pracy do baraku, ale też zdarzało się, że zostawali na noc w gospodarstwach u Niemców. Francuzi byli zobowiązani przerywać pracę w dni powszednie, na głos kościelnych dzwonów, które każdorazowo obwieszczały śmierć poległego na froncie mieszkańca wsi. W niedziele, a także w czasie wolnym, pracujący w okolicy Francuzi mogli się wzajemnie odwiedzać. Świadczy o tym jedno ze zdjęć zrobione w majątku Hermana Feddricha przez jego siostrę Alice Feddrich. Ona też musiała znaleźć fotografa, który zgodził się wywołać to zdjęcie, mimo iż za takie czyny (zabronione przez niemieckie władze) groziły surowe kary.

W okresie pracy w Reichwalde zdarzały się też tragiczne chwile. Pewnego dnia do gospodarstwa Grapentina przyjechali żandarmi i zabrali ze sobą francuskiego jeńca – René Leroux, który już nigdy nie wrócił do swoich kolegów. Prawdopodobnie został zastrzelony. Według ustnych przekazów kilku rozstrzelanych jeńców pochowano w Reichwalde, w zbiorowej mogile pod lasem.

Wczesnym latem 1944 r. przez Lesiska zaczęły przejeżdżać pierwsze kolumny uchodźców ze wschodnich rubieży Prus. Do Reichwalde dużymi krokami zbliżał się front. Wkrótce wszystkich mężczyzn, w wieku od 16 do 65 lat, powołano do formowanych w Miłakowie oddziałów Volkssturmu. W poniedziałek 21 stycznia 1945 r., w obliczu zbliżających się wojsk sowieckich, nadeszło polecenie ewakuacji. Następnego dnia część mieszkańców wyruszyła pojazdami konnymi lub pieszo w stronę Godkowa, Osieka i Ornety. Także rodzina Grapentin. Na rozkaz niemieckich władz wioskę opuścili też jeńcy francuscy i przymusowi robotnicy. Dwa dni później 23 stycznia do wsi wkroczyły oddziały sowieckie. Ich sztab umieszczono w pałacu w Podągach. W tym czasie wszystkie okoliczne drogi były już zablokowane przez uciekinierów. Dobytek uciekających rabowano, a zaprzęgi spychano do rowów. Chaos, brak możliwości dalszej drogi, strach przed okrucieństwem czerwonoarmistów, a także nadejście siarczystych mrozów spowodowały, że część mieszkańców powracała do Reichwalde, wśród nich rodzina Fritza Grapentina.

Wojska sowieckie pozostawały w Lesiskach do 28 stycznia 1945 r., kiedy to we wczesnych godzinach rannych zostały zaatakowane i wyparte przez oddziały Wehrmachtu, nadchodzące z kierunku Pawełek. Przez następne dni trwały zacięte walki o wioskę. Radziecka piechota i czołgi ponawiały natarcia na wieś. Doszło do krwawych walk. Liczne zabudowania stanęły w ogniu. W piwnicach domów kryli się ci, którzy na czas nie opuścili wsi. Rankiem 31 stycznia 1945 r. czołgi sowieckie, po kilku godzinach uporczywych walk, wyparły Wehrmacht z płonących i zniszczonych Lesisk. Zajętą wieś żołnierze sowieccy plądrowali, grabili i palili. Zastrzelili dziewięciu jej mieszkańców.

Pierwsi polscy osadnicy przybyli do Reichwalde latem 1945 roku. Byli to m.in. Marian i Feliksa Bombelewscy, któ-

zdarzyło się...

6 III 1899 r.

116 lat temu niemiecka firma Bayer opatentowała, zarejestrowała i rozpoczęła produkcję aspiryny. Pod tą nazwą kryje się kwas acetylosalicylowy, pochodna kwasu salicylowego znajdującego się w korze wierzby, znanego ludziom od stuleci jako środek leczniczy. W 1897 r. pracujący dla Bayera chemik Felix Hoffmann dokonał syntezy aspiryny, uzyskując produkt nadający się do stosowania farmaceutycznego. Aspiryna jest wciąż jednym z najczęściej stosowanych leków przeciwbólowych i przeciwgorączkowych. Jej syntezę uważa się często za początek przemysłu farmaceutycznego i początek wielkiej ekspansji Bayera, firmy, która w połowie lat 20. stała się częścią niechlubnej pamięci koncernu IG Farben wytwarzającego podczas II wojny światowej cyklon B.

Obelisk na terenie dawnego obozu jenieckiego Stalag IB Hohenstein.

rzy zamieszkali w gospodarstwie zmarłego w niewoli sowieckiej Hermanna Hanke. Państwo Bombelewscy pamiętali pusty drewniany barak, w którym w czasie wojny mieszkali francuscy jeńcy. Po jej zakończeniu w Reichwalde zostało jeszcze kilka rodzin niemieckich, m.in. żona właściciela gospody Margarethe Bürger (zmarła w 1946 r.), gospodarze: Gustav Jordan i Emil Pötzel, kilkunastoletni Walter Hanke oraz, zmarły w lutym 1947r. krawiec Ernst Schirrmacher. Ostatni Niemcy zostali wywiezieni na jesieni 1947 roku. Majątek Fritza Grapentina został podpalony przez szabrowników. Dzisiaj z dużego gospodarstwa nie zachował się żaden budynek.

Jeńcy francuscy z Reichwalde odzyskali wolność w styczniu 1945 roku. Także jeńcy ze Stalagu I B Hohenstein opuścili przez nikogo już niepilnowany obóz i udali się w kierunku Ostródy. 21 stycznia 1945 roku pod Morągiem kolumna jeńców spotkała się z Rosjanami. Dowództwo Armii Czerwonej postanowiło przetransportować linią kolejową wszystkich jeńców francuskich do Odessy (!), skąd mieli wypłynąć statkami do Marsylii. Jednakże nie wszyscy jeńcy wrócili drogą morską do Francji. Część z nich nie dotarła w ogóle nad Morze Czarne. Wśród nich był także Clément Couillaud. Do dzisiaj nie wiadomo, w jaki sposób dostał się on do Francji. Władze francuskie powiadomiły rodzinę, że Couillaud Clément zaginął. Wiadomo tylko, że w czerwcu 1945 r. dotarł na Ukrainę (zachowała się z tego okresu ukraińska gazeta). Dopiero we wrześniu 1945 r. Clément Couillaud powrócił do Francji, do swojej wsi Le Loroux-Bottereau, blisko Nantes. Zmarł w 1962 roku.

Poszukiwania

Wiadomości o francuskich jeńcach wojennych w Reichwalde były bardzo skąpe. Pochodziły po części ze szczątkowych wspomnień Clémenta Couillauda. Z uwagi na fakt, iż zmarł on ponad 50 lat temu, dotarcie do nowych informacji i ich weryfikacja były niezwykle trudne. Poszukiwania prowadziła w archiwach w Polsce oraz we Francji m.in. p. Marie-Paule Leroux z Australii – wnuczka Clémenta Couillauda. Równolegle dokonywano kwerendy w archiwach niemieckich – w archiwum Kreisgemeinschaft Osterode Ostpreussen, w Osterode am Harz. W poszukiwania we Francji zaangażowała się także p. Cecile Dutrone. W ich trakcie na francusko-polskim internetowym forum dyskusyjnym udało się odnaleźć jeszcze jedną osobę, która szukała informacji o Reichwalde. Była to p. Murielle Balp z Francji, której dziadek, François Manchec, pracował również jako jeniec wojenny w Lesiskach. Nawiązaliśmy z nią kontakt i przesłaliśmy mejlem zdjęcia otrzymane z Tasmanii.

Na fotografiach otrzymanych od p. Leroux z Australii, uwieczniony jest jej dziadek Clément Couillaud w towarzystwie innych jeńców francuskich. Zdjęcia zrobione były w czasie wojny, ale ich właścicielka nie miała wcześniej pewności, czy zrobiono je w Reichwalde. Z uwagi na roślinność widoczną na zdjęciu początkowo sądziła, że zrobiono je… w Tunezji. Jakież było nasze zdziwienie, a zarazem wielka radość, gdy p. François Manchec, dziadek Murielle Balp, rozpoznał siebie na zdjęciach!

François Manchec był kolegą Clémenta Couillauda z czasów pobytu w Stalagu I B Hohenstein, a później podczas pracy w Reichwalde! Pan Manchec opowiedział ze szczegółami, co działo się wówczas w obozie i podczas pracy w majątku Grapertina. Udało się też ustalić losy rodziny Grapertin, która wyjechała do Niemiec. Ich córka Lotte Grapentin zamieszkała po wojnie wraz z mężem w Horst (Schleswig-Holstein), niedaleko granicy z Danią.

Zakończenie

Mimo 70 lat od zakończenia II wojny światowej, wielu ludzi ciągle jeszcze poszukuje śladów swoich bliskich. Do Królikowa pod Olsztynkiem na cmentarz w pobliskiej Sudwie przyjeżdżają z daleka osoby, aby zapalić świeczkę na grobie najbliższych. Szukają miejsc, w których przebywał ich ojciec lub dziadek.

Poszukiwania opisane wyżej trwają od 2004 roku. Historie te nie mają końca. Dzięki nim powstały międzynarodowe zespoły i nawiązały się przyjaźnie między ludźmi zaangażowanymi w poszukiwania. Pan Sławomir Świerczyński z Osterode am Harz odnalazł w Niemczech rodzinę Artura, Friedricha i Reinholda Kühna – p. Lidię Lötze (córkę Reinholda Kühna), która mieszka w Walsrode. W 2005 roku p. Cecile Dutrone spotkała się z p. Lötze, dzięki czemu zdobyła wiele cennych informacji na temat swojego dziadka i jego pobytu w Ostródzie w latach 1940-1945. Do międzynarodowego spotkania doszło też w Idzbarku na Mazurach. Wzięli w nim udział uczestnicy poszukiwań z Polski, Niemiec i Francji. W Ostródzie w Miejskiej Bibliotece Publicznej odbył się odczyt pt. „Francuscy jeńcy wojenni w Ostródzie w latach 1940-1945" autora niniejszego tekstu. Wszystkie te spotkania i kontakty połączyła historia bardzo odległa, bo sprzed 70 lat.

ZDJĘCIA ARCHIWALNE: ARCH. MARIE-PAULE LEROUX, WSPÓŁCZESNE: WOJCIECH GUDACZEWSKI.

Wojciech Gudaczewski

Regionalista, były żołnierz zawodowy. Pasjonuje się tematyką Prus Wschodnich i II wojny światowej. Od ponad 20 lat działa w organizacjach pozarządowych zajmujących się kulturą i ochroną dziedzictwa kulturalnego. Autor projektów edukacyjnych, wystaw, odczytów i publikacji. Jednym z jego ostatnich projektów jest utworzenie Skansenu Fortyfikacji w Starych Jabłonkach. Za swoją działalność otrzymał tytuł „Zasłużony dla Kultury Polskiej". W latach 2005-2008 zajmował się poszukiwaniami dotyczącymi francuskich jeńców wojennych ze Stalagu I B Hohenstein.

Ja, numer 154 z fabryki „Arado"

JANUSZ SKOWROŃSKI

Wieś Spytków między Zgorzelcem a Bogatynią. Jesienią 2014 okrzyknięta najładniejszą wsią Dolnego Śląska. Przyjechał tu po latach, bo chciał zobaczyć, co się zmieniło. Wsi nie mógł poznać, zupełnie inaczej wyglądała wówczas, gdy w 1945 roku pojawił się w niej po raz pierwszy i zaczął pracować w miejscowym młynie, przydzielonym wraz z gospodarstwem ojcu, osadnikowi wojskowemu. Ojciec dotarł tu z 2. Armią Wojska Polskiego, a on sam, z robót przymusowych w Niemczech. Gdy zaczął o nich opowiadać, gdzie był i przy czym pracował, padały nazwy różnych samolotów, które poznał od podstaw. W końcu padła nazwa „Arado". I tak powstała ta relacja.

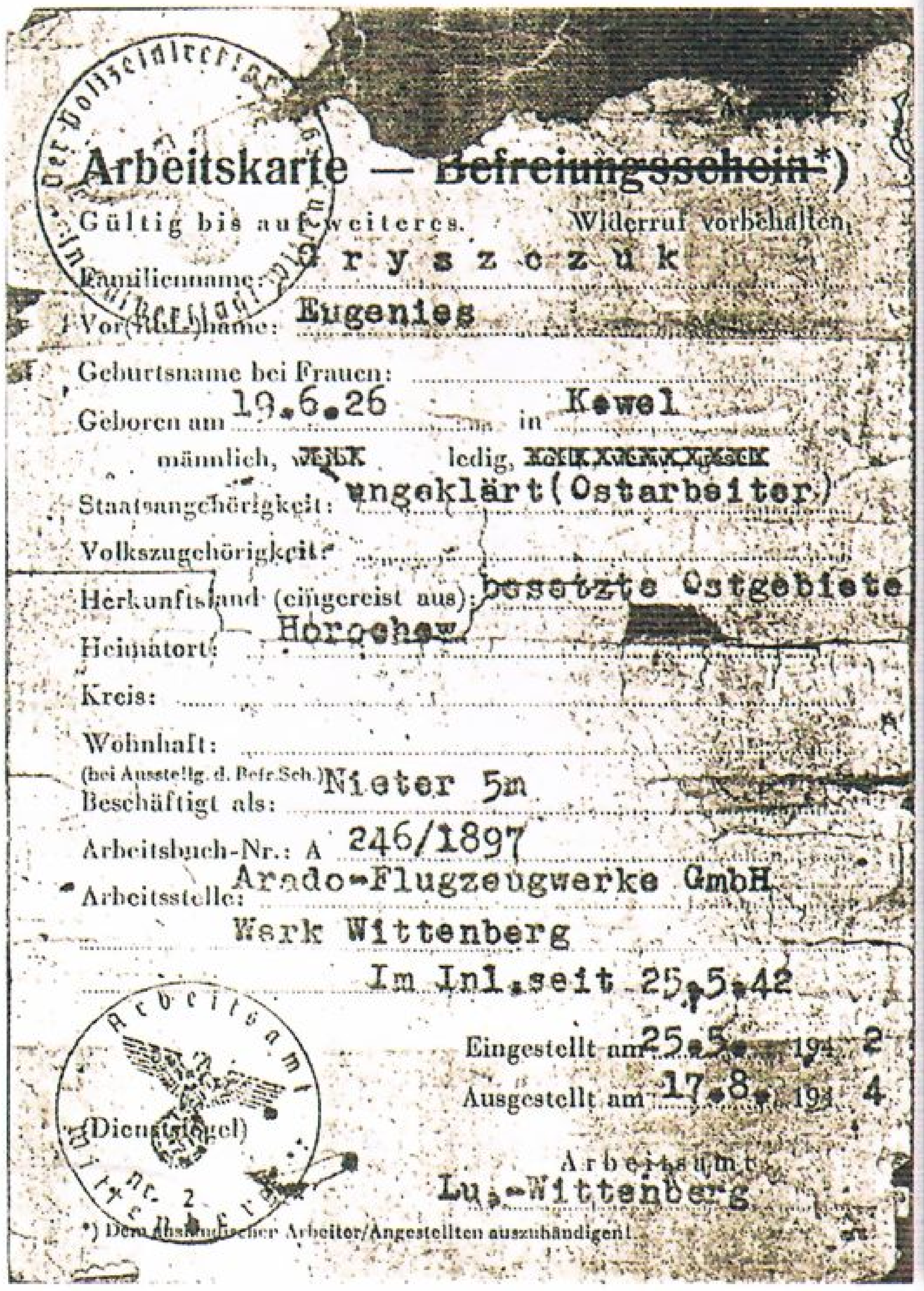
Arbeitskarte — Befreiungsschein*)
Gültig bis auf weiteres. Widerruf vorbehalten.
Familienname: Gryszczuk
Vorname: Eugenies
Geburtsname bei Frauen:
Geboren am 19.6.26 in Kewel
männlich, ledig,
Staatsangehörigkeit: ungeklärt (Ostarbeiter)
Volkszugehörigkeit:
Herkunftsland (eingereist aus): besetzte Ostgebiete
Heimatort: Horochow
Kreis:
Wohnhaft:
(bei Ausstellg. d. Befr.Sch.) Beschäftigt als: Nieter 5m
Arbeitsbuch-Nr.: A 246/1897
Arbeitsstelle: Arado-Flugzeugwerke GmbH. Werk Wittenberg
Im Inl. seit 25.5.42
Eingestellt am 25.5. 1942
Ausgestellt am 17.8. 1944
(Dienstsiegel) Arbeitsamt Lu.-Wittenberg
*) Dem ausländischen Arbeiter/Angestellten auszuhändigen!

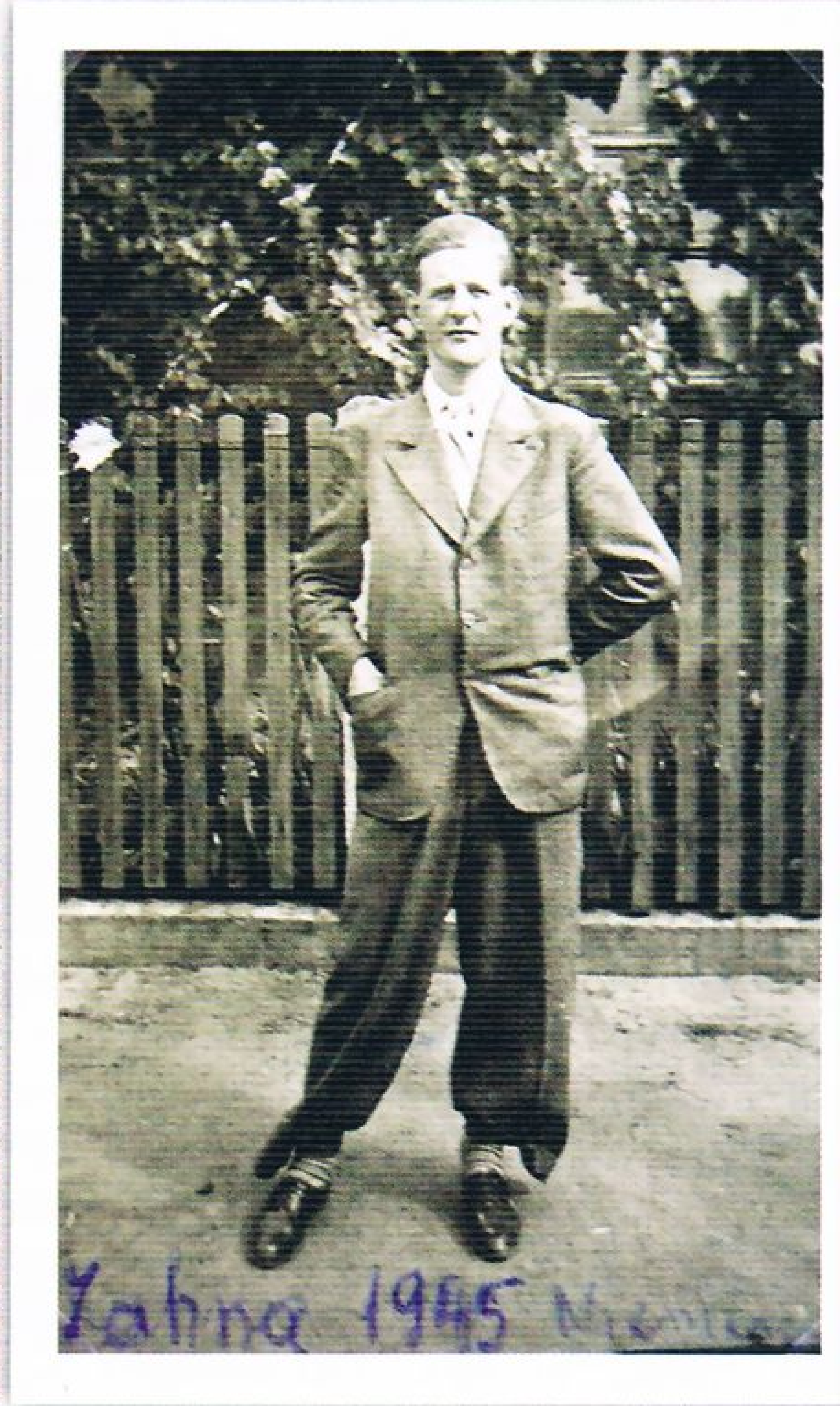

15 maja 1942 roku 16-letni Eugeniusz Gryszczuk, pochodzący z Horochowa na Wołyniu, dostał z Arbeitsamtu nakaz stawienia się w urzędzie. W konsekwencji – wywóz na roboty do Niemiec. Wraz z innymi, zebranymi w obozie Łobaczówka, musiał wsiąść do pociągu na stacji w Horochowie. Pamięta mijane stacje: Lublin, Łódź, Glogau, Sagan, Forst za Nysą Łużycką. Wieczorem dotarli do Magdeburga. Rankiem grupa około 70 osób została skierowana do miejscowości Wittenberg nad Łabą, miasta Marcina Lutra. Ostatecznym przeznaczeniem miała być fabryka samolotów w firmie „Arado". Jak pamięta, centrala firmy mieściła się w dwóch miejscach: Rostocku–Warnemünde i Brandenburgu nad Hawelą. Tu, gdzie dotarł, produkcja wojenna szła pełną parą – Junkersy 88, Heinkle 177, Focke-Wulfy 190 i Arado 234. Zamieszkał w obozie o nazwie „Lager Mittelfeld", jak ulica, przy której się znajdował. Był to obóz dla obywateli Związku Radzieckiego. Mieli obowiązek noszenia tekstylnych naszywek-plakietek z napisem „OST". Zanim zjawili się w nim Polacy i Ukraińcy z Wołynia, pierwsza grupa miała już przyznane numery – od 1 do 130.

Wspomina pan Eugeniusz:

„Kiedy przyjechała nasza 50-osobowa grupa, numerowano dalej. Ja zostałem numerem 154. Był 23 albo 24 maja 1942. Dzień później wydano nam karty pracy. Kwaterowano w obozowych barakach, każdy »Zimmer« mieścił 20 łóżek piętrowych – z siennikiem i poduszką wypchanymi słomą. Co jakiś czas następowała »zmiana pościeli«, czyli wypychanie sienników nową słomą. Z czasem w pokojach pojawiło się dużo pluskiew i musiały odbywać się częste dezynfekcje. Komendantem naszego obozu został Paul Cedera, Niemiec ze Śląska. Wyżywienie było w pierwszym okresie fatalne. Brukiew i kapusta, okraszone jakimiś olejami. Do czasu aż przyzwyczaili-

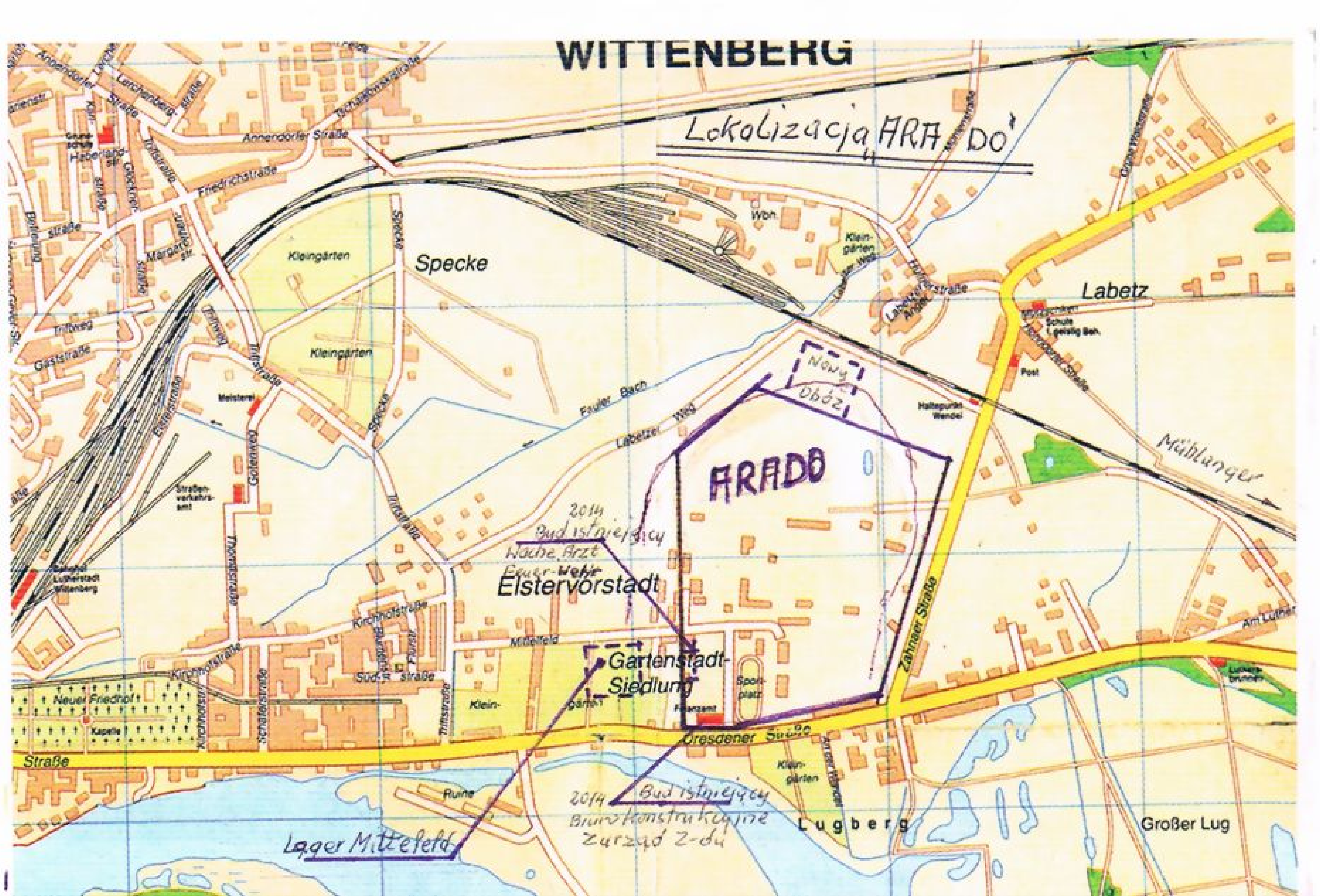

Współczesny plan miasta Luterstadt–Wittenberg, na którym Eugeniusz Gryszczuk zaznaczył lokalizację zakładów „Arado", wg stanu na koniec 2014 roku.

zdarzyło się…

8 III 1940 r.

75 lat temu w III Rzeszy zostały wydane tzw. dekrety polskie (niem. Polenerlasse) określające „Obowiązki robotników i robotnic cywilnych narodowości polskiej podczas ich pobytu w Niemczech". Głównym celem rozporządzenia było wprowadzenie licznych restrykcji dyskryminujących Polaków jako obywateli i pracowników niższej kategorii. Do najbardziej znanych wytycznych mających obowiązywać pracowników przymusowych z naszego kraju, należał z pewnością nakaz naszywania charakterystycznego oznaczania odzieży wierzchniej wyraźnie widoczną literą „P". Do dzisiaj pozostaje on jednym z symboli prześladowań i antypolskiej polityki nazistów w czasie II wojny światowej.

śmy się. Potem doszły jakieś kasze, makarony, a nawet drobiny mięsa. Końskiego bywało więcej. Pewnego lipcowego dnia podano nam zupę z obierek młodych ziemniaków. Zupełnie nie do jedzenia. Działo się to na naszej II zmianie. Cała zmiana zbuntowała się oznajmiając, że nie podejmie pracy. Vorarbeiterzy, którzy wcześniej ganiali nas po hali i bili pałkami, wezwali straż przemysłową. Jednak po pewnym czasie przywieziono nam jakieś resztki jedzenia ze stołówki niemieckiej i praca wróciła do normy. Z biegiem czasu przyzwyczailiśmy się do tego »polepszenia« naszej sytuacji. Normę żywieniową stanowiła pajdka razowego chleba, ok. 200 g, kostka margaryny 2×2×3 cm albo marmolady, czasem był sztuczny miód, a nawet kawałek kiełbasy. Był to tzw. przydział południowy. Obiad był około 12-13-tej; kolacja około 17-18-tej. Tzw. »zupy« było ok. 1 litra. My, pochodzący z Wołynia, byliśmy w o tyle lepszej sytuacji, że z czasem pozwolono nam na otrzymywanie paczek z domu. Nie mogły przekraczać wagi 30 dkg. Cenne były paczki zawierające tytoń, który można było wymienić u Niemców na różne produkty żywnościowe. Rano przed pracą była tzw. »kawa« gorąca, zbożowa. Do tej niby »kawy« trzeba było coś mieć zostawionego z przydziału południowego.

W latach 1942-43 pracowaliśmy po 8 godzin dziennie, w soboty po 6, niedziele były wolne. Później zwiększono nam czas pracy do 10 godzin, a w latach 1944-45 nawet do 12 godzin. Za pracę dostawaliśmy symboliczną wypłatę, potrąconą o zakwaterowanie i wyżywienie. Jeśli coś nam zostało, wystarczało na pastę do zębów, jakieś drobiazgi i na piwo. W dni wolne można było wyjść do miasta na piwo. Obowiązkowo należało zameldować się przed wyjściem u komendanta, posiadać schludny wygląd i o oznaczonej godzinie zameldować się z powrotem. My, Wołyniacy, odróżnialiśmy się od Rosjan nieco lepszym, własnym ubiorem. Później wszyscy dostaliśmy ubrania robocze i drewniaki na nogi. Na lato i na zimę. Przez te drewniaki, które były za krótkie, zrobiły mi się odciski, musieli mi je operacyjnie usuwać w szpitalu. Wiedzieliśmy, że strażnicy obozowi lubią tytoń, przeważnie byli to starsi emeryci, i przymykają oko na tych, którzy chcieli opuścić obóz choć na chwilę. Jeśli po południu wyszło się z obozu, to głównie do kina. Urzędowo kino, teatr czy imprezy kulturalne były przeznaczone tylko dla Niemców. Więc tekturowy emblemat z napisem »Ost« odpinało się szpilkami z ubrania. Byłem blondynem o niebieskich oczach, nie rozróżniałem się w tłumie, emblemat z tektury miałem schowany w ubraniu, więc choć w kinie cieszyłem się namiastką wolności. Kino nazywało się »Filmburg«. Zapamiętałem też tytuły filmów: »Stern von Rio« czy »Astoria«. Zdarzyło się kilka razy, że do obozu przyjeżdżały zespoły folklorystyczne z występami. Byli to »biali« Rosjanie, dawni emigranci po Rewolucji Październikowej, teraz już obywatele niemieccy. Między naszym obozem a obozem międzynarodowym zaczęto budować nawet duży, wysoki obiekt, który miał służyć jako wielka stołówka i sala na tego typu występy. W tym obozie międzynarodowym była jakaś grupka Polaków – dwie dziewczyny i dwóch chłopaków. Jeden z nich nazywał się Opałka. Wszyscy pochodzili spod Częstochowy.

Do obozu przychodzili Niemcy, cywile, którzy jesienią i wiosną, w wolne niedziele, prosili o pomoc w kopaniu ogródków działkowych. Korzystaliśmy z tego, bo przynosiło się coś z żywności, czasem nawet kawałek kury czy królika. Po pewnym czasie Niemcy zorganizowali szkolenie zawodowe dla »Ost« – przy zakładowej szkole zawodowej. Uczęszczałem tam z kilkoma kolegami, nie tylko dlatego, że mnie to interesowało, ale głównie z powodu termosu zupy ze szkolnej stołówki, który dostawaliśmy podczas szkolenia. W końcu jeden z kolegów odważył się, a my poszliśmy za jego przykładem i złożyliśmy wnioski

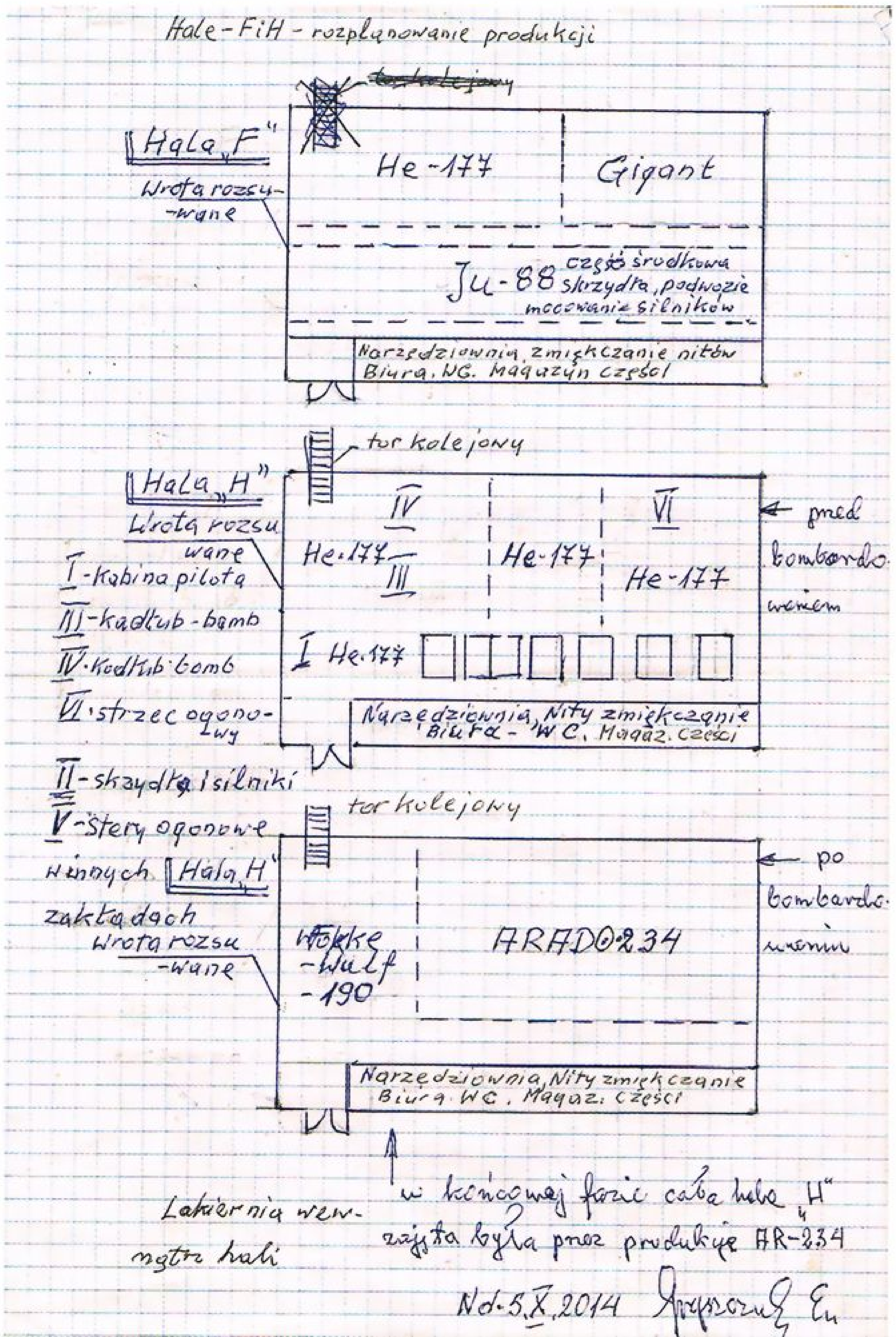

Odręczny rys. Eugeniusza Gryszczuka: układ hal fabrycznych „F" i „H" przed- i po bombardowaniu.

Eugeniusz Gryszczuk (pierwszy z prawej) zachował jedynie dwa zdjęcia z pracy w latach 1942-45 w zakładach „Arado" w Wittenberg. Od lewej koledzy: pan Kozakiewcz, Tadeusz Babij, Stanisław Rusek – wszyscy pochodzili z Horochowa.

o zmianę przynależności narodowej – już nie nosiliśmy tekturowych trójkątów »OST« tylko »P«. W 1942 roku Polacy mieli dużo lepsze warunki od tych noszących emblematy »OST«…

Idąc z obozu do pracy, do zakładu, zbieraliśmy się przed bramą, formowaliśmy kolumnę i tak docieraliśmy na miejsce. Przed wejściem i wyjściem z zakładu byliśmy liczeni przez straż przemysłową. Po przekroczeniu bramy »Arado Flugzeugwerke GmbH« rozchodziliśmy się po terenie do swoich miejsc pracy. Z początku w hali »F« pracowałem przy produkcji kabiny pilotowej do samolotu Heinkel 177. Zanim dotarła tam nasza, 50-osobowa grupa, pracowali tam już jeńcy z ZSRR. Było ich ok. 130 osób, w większości pochodzili z terenów Ukrainy, z Kijowa, Żytomierza, Białej Cerkwi. Przy składaniu kabiny pilotów Heinkla zatrudniony i przyuczony był już Sierhij Nariżnyj spod Żytomierza. On był tu numerem ósmym, ja miałem 154. Sierhij uczył mnie posługiwania się młotkiem pneumatycznym, składania i nitowania części. Po jakimś czasie Sierhij zmarł, widocznie na skutek złego odżywiania, a prawdopodobnie był już chory na gruźlicę. W hali »F«, gdzie pracowałem, produkowano środkową część Ju 88, tj. podwozie i środkową część skrzydeł do podwieszania silników. W jednym z rogów hali montowano potężny transportowiec »Gigant« i kabinę pilotów Heinkel 177. Po jakimś czasie produkcję Heinkla 177 przeniesiono do hali »H«. Tamże produkowano go do czasu zbombardowania (sierpień 1943?) hali. Po zbombardowaniu zaprzestano produkcji Heinkla 177, a uruchomiono produkcję Focke-Wulfa 190".

W międzyczasie zaszły spore zmiany. Po drugiej stronie ulicy zaczęto budować nowe baraki, a obóz, w którym mieszkał, odgradzano drugim płotem z drutem kolczastym na ceramicznych izolatorach. Gryszczuk nie domyślał się po co. Aż do 1944 roku. Wówczas to przeniesiono go wraz z innymi na drugą stronę ulicy, a do opuszczonego obozu „Lager Mittelfeld" sprowadzono kobiety z obozu spod Berlina.

Mówi p. Eugeniusz:

„Okazało się, że były to kobiety z łódzkiego getta. Więcej dowiedziałem się dużo później, z książki »Byłam sekretarką Rumkowskiego«.[1] Kobiety te zatrudniono przy produkcji Focke-Wulfa 190. W początkowej fazie w części hali »H«, wydzielonej do produkcji Focke-Wulfa, pracowaliśmy po 12 godzin. Do pracy chodziliśmy już z nowego obozu, położonego we wschodniej części zakładu. Pracowaliśmy na zmianach nocnych, kobiety na dziennych. Na obu samolotach pracowałem przy opancerzeniu kabiny pilota. Pamiętam, że płyty pancerne przychodziły ze Stalowej Woli. Z obozu Mittelfeld zostaliśmy przeniesieni do nowych baraków po drugiej stronie zakładu. Już wtedy przestaliśmy pracować przy Fw 190, a pracę przy nich przejęły kobiety. Nas zatrudniono w Mühlanger – wsi – przy produkcji części do samolotów. W jakiejś hali. Część »obozowiczów« pracowała przed przeniesieniem w fabryce czekolady »Kant«, a część w fabryce »Wetzig«, która produkowała urządzenia dla młynów (ok. 1 km od obozu). Teraz oba te zakłady stały się »Arado–Flugzeug–Werken«, produkujące części do samolotów".

Do końca 1944 roku obóz, w którym znalazł się Gryszczuk, zatrudniał już 800 „numerów", bo tak liczono robotników przymusowych i jeńców. Sporo ich przybyło z głębi ZSRR – spod Moskwy, Stalingradu, Sum. Obok obozu znajdował się

Wendów (późniejszy Spytków) leży na przewężeniu tzw. Worka Turoszowskiego. Młody Eugeniusz (na zdjęciu) spotykał się patrolami granicznymi Wojsk Ochrony Pogranicza (fot. z 1947 r.).

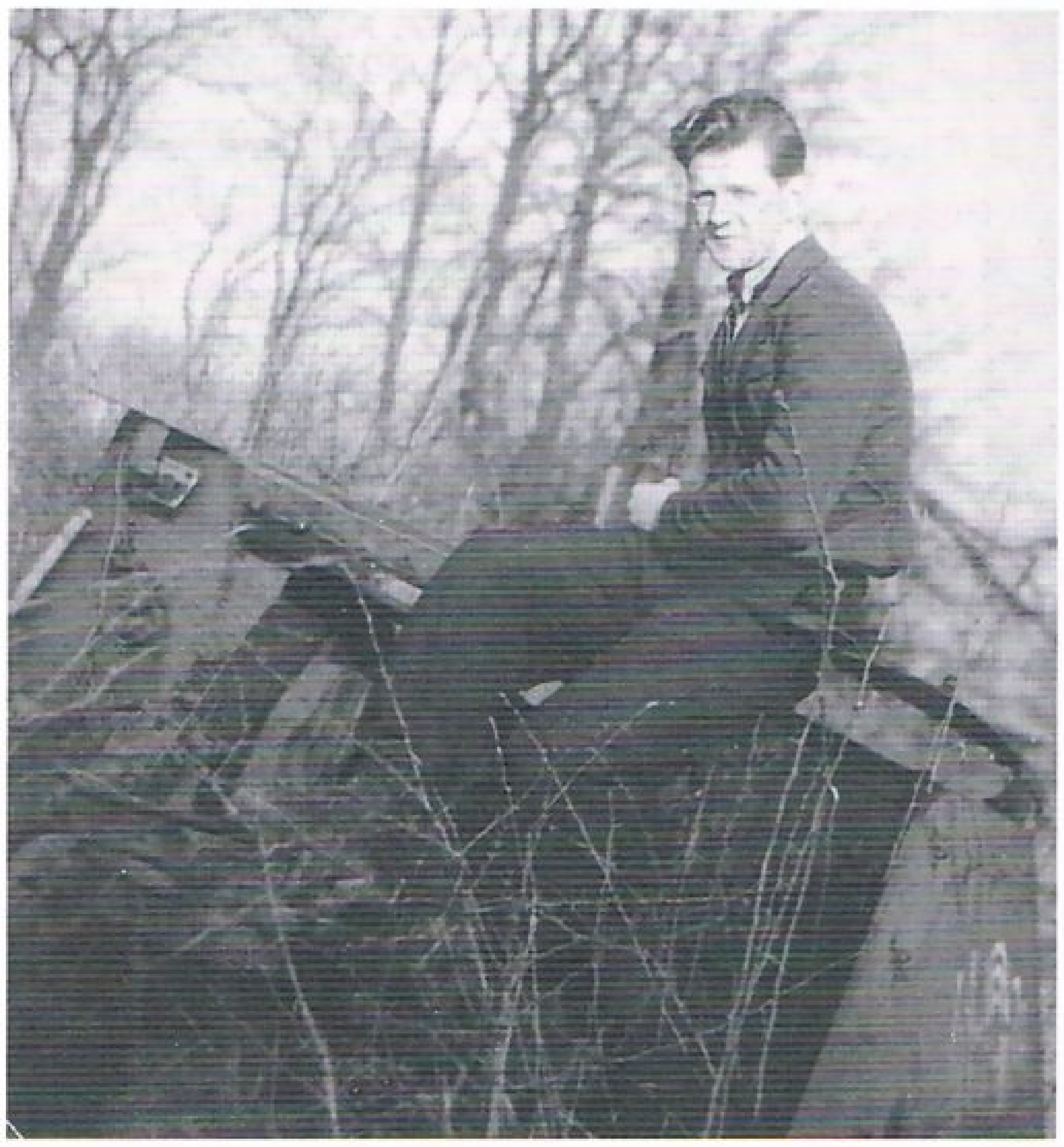

W poszukiwaniu ojca E. Gryszczuk trafił po wojnie na krótko do Lubania, tu (1946) na szczątkach czołgu, pozostałości po walkach z wiosny 1945 roku.

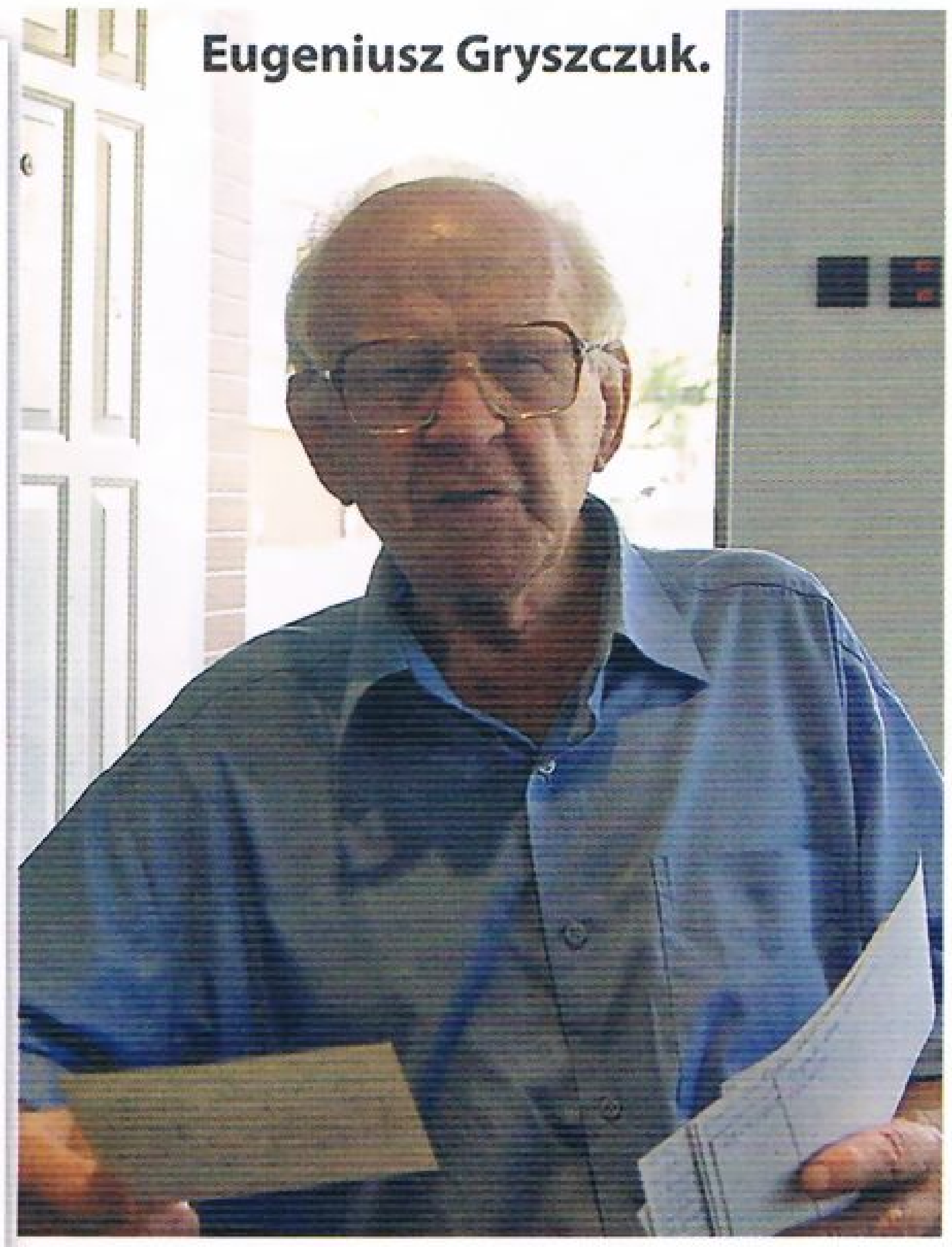

Eugeniusz Gryszczuk.

przystanek kolejowy, skąd do Mühlanger jeździli pociągiem. W obozie na wschodzie zakładu wybuchła epidemia tyfusu.

„Niemcy bardzo się jej bali – wspomina Eugeniusz Gryszczuk. – Zarządzono 3-tygodniową kwarantannę. Po ustaniu epidemii, ja, wraz z kilkoma innymi kolegami, zostaliśmy zatrudnieni w części hali »H«. Była objęta głęboką tajemnicą. Pracowali w niej jedynie Niemcy ze specjalnymi przepustkami. W czasie, gdy wygradzano tę część hali ścianą i płotem, nie mieliśmy pojęcia, co tam jest produkowane. Wejścia pilnowali wartownicy, tzw. posty. Razem ze mną pracowali tam Antoni Koziaszewski, późniejszy sołtys wsi Kunów koło Oławy, oraz Kazimierz Szubert (później Wschowa, cukrownia). Tam, gdzie pracowaliśmy, robiono samolot Arado 234. Ja pracowałem przy montażu klap ochronnych podwozia i uchwytu pod kadłubem do zawieszania bomby. Przy tym samolocie pracowaliśmy do czasu zbliżenia się frontu, do końca marca 1945 roku. W marcu (lub w kwietniu?) na teren zakładu przybyli saperzy Wehrmachtu, którzy rozpoczęte i ukończone kadłuby Arado wysadzali w powietrze. Nie chcieli, aby dostały się w ręce Rosjan. A samoloty te prezentowały się tak sylwetką, jak i wykonaniem. Nie mając już pracy przy produkcji lotniczej, brano nas do różnych doraźnych prac porządkowych czy naprawy zbombardowanych linii kolejowych. Jeździliśmy nawet pod Drezno".

Kiedy pytam o słynne „latające skrzydło", czyli Arado 555, Gryszczuk potwierdza, że nigdy nie wyszło poza deski konstrukcyjne. On w każdym razie żadnego egzemplarza nie widział. Choć pamięta, że kilka razy od nich wysyłali do fabryki w Landeshut (dziś Kamienna Góra) jakieś części. Po co? – nie dociekał.

W międzyczasie Gryszczuk poznał pewnego Polaka z Francji. Nazywał się Gut i przed wojną wyemigrował do Francji „za chlebem". Gut wraz z synem zaplanowali ucieczkę z obozu, za Łabę, przed zbliżającymi się Rosjanami. Wtajemniczyli Eugeniusza w swój plan. Do ucieczki doszło na przełomie marca i kwietnia. Opuszczając Wittenberg, zatrzymali się dopiero w miasteczku Bergwitz. Na skraju miasteczka znaleźli opuszczony domek na uboczu. Musieli sobie radzić z jedzeniem, bo Niemcom przysługiwały kartki zaopatrzeniowe, a oni ich nie mieli. Pomógł przypadek.

„W tym rozgardiaszu znalazł się Niemiec, który z okupowanej Warszawy wywiózł sporo beczek z różnymi olejami – opowiada p. Eugeniusz. – Zmagazynował je w miejscowym tartaku. Wśród beczek znajdowała się także oliwa jadalna. Niemiec, w obawie przed Rosjanami, postanowił beczki ukryć, a do pomocy w ich ukrywaniu najął nas. Wywoziliśmy je do lasu i zakopywaliśmy w dołach i zapadliskach, przykrywając gałęziami, liśćmi i igliwiem. Za pracę płacił nam oliwą jadalną. Wiedząc, w których beczkach znajduje się oliwa, w nocy, w tartaku, podkradaliśmy ją, po troszeczkę z każdej beczki. Ta oliwa była naszym towarem wymiennym, mieliśmy jej sporo i wymienialiśmy na inne produkty – u piekarza, ogrodnika czy w mleczarni. Ale pomógł nam kolejny przypadek. Nad stojące na stacji kolejowej wagony nadleciały amerykańskie myśliwce i je ostrzelały. Wagony zaczęły płonąć. Rozeszła się wiadomość, że w nich płonie… kiełbasa krakowska. Na stacji byli już jacyś ludzie, którzy próbowali ratować tę kiełbasę. Dołączyliśmy do nich. Znaleźliśmy na sta-

Zakłady „Arado" znajdowały się w kilku miejscach, m.in. w Warnemünde, Brandenburg nad Havelą, Poczdam-Babelsberg, Eger, Rathenow, Wittenberg, Tutow, Anklam i Neubrandenburg. Na terenach dzisiejszej Polski znajdowały się dwa zakłady: Landeshut (Kamienna Góra) i Sagan (Żagań). Firma „Arado" istniała do 1961 roku. W opisywanym w tekście zakładzie Wittenberg mieściły się po wojnie koszary wojsk radzieckich; dziś w budynku administracyjnym mieści się urząd skarbowy, a liczne budynki warsztatowe adaptowano na mieszkalne.

Arado – zakłady lotnicze od 1917 r. na bazie Flugzeugwerke Friedrichshafen GmbH w Warnemünde. Znacznie rozwinięte po dojściu Hitlera do władzy. Początkowo wytwarzano w nich pojedyncze ilości samolotów, masowo od modeli Ar 96 (szkolny) i Ar 196 (wodnosamolot). Najbardziej znanym jest rozpoznawczo-bombowy Ar 234 „Blitz" – przy którym pracował Eugeniusz Gryszczuk. Produkowano także licencyjne Focke-Wulfy (Fw 190), Heinkle (He 51, 59, 60, 111, 177), Junkersy (Ju 88) oraz Messerschmitty (Bf 109).

cji jakiś bosak, i od niepalącej się strony, wybiliśmy nim dziurę w ścianie wagonu, wyciągając palące się kiełbasy. Tych kiełbas zabrałem całą wiązkę, założyłem na pasek, na pierwszą dziurkę. Ledwie mogłem je podnieść. Zaniosłem je do »naszego« domku. I znów mieliśmy towar do wymiany.

Kiedy Rosjanie przeszli na drugą stronę Łaby, zdecydowaliśmy się na powrót do kraju. Był kwiecień, wojna jeszcze trwała. Pierwsi żołnierze, których zobaczyłem, to byli Amerykanie, wśród nich Polak w amerykańskim mundurze. Wracając, dotarliśmy pod Wittenbergę, do wysadzonego mostu. Przeszliśmy po prowizorycznych kładkach na drugą stronę a tam… czekało już na nas NKWD. Wszystkich przechodzących ustawili w kolejce do kontroli. Miałem już inny dokument, że jestem Polakiem a nie Ost-Arbeiterem. Gdybym miał starą, niemiecką kennkartę, że jestem »Ost«, zostałby zatrzymany jako obywatel ZSRR. Bo NKWD zatrzymywało swoich.

Około południa dotarliśmy do »swojego« obozu w Lager Mittelfeld i tam przenocowaliśmy. Na drugi dzień odjechaliśmy do miejscowości Zahna, jakieś 15 kilometrów dalej. Wszędzie panoszyły się tzw. »trofiejne bataliony«, które zajmowały się demontażem fabryk samolotów. Komendantem miasta został oficer NKWD, choć na północ od miasta w kierunku na Berlin nadal trwała wojna. Dwaj oficerowie radzieccy – kapitanowie Ruban i Jełsukow – zaproponowali mi pracę przy »trofiejnym batalionie«, w charakterze tłumacza, wiedząc, że jestem byłym pracownikiem zakładów lotniczych. Jeździłem wraz z nimi po całej okolicy i szukaliśmy magazynów, w których Niemcy składowali elementy do samolotów z zakładów »Arado«. Części te, i różne, inne materiały, zwożone były do dużej fabryki płytek ceramicznych w Zahna, pakowane do skrzyń i ładowane do stojących na bocznicy wagonów. Fabryka płytek stała się teraz jednym, olbrzymim magazynem. Około lipca 1945 r. pewne poznane tam Niemki, jeżdżąc do Berlina, do Unry, załatwiały dokumenty na wyjazd do USA. I mnie złożyły taką propozycję. Ja jednak nie mogłem się zdecydować… Z Berlina wróciłem do Zahny i czekałem do skompletowania transportu ze »zdobyczą« na Wschód. Byłem namawiany przez Rosjan, by przyjąć ich obywatelstwo, wówczas byłbym zatrudniony gdzieś w radzieckich zakładach produkujących samoloty. Nie skorzystałem z tego.

W listopadzie 1945 r. nasz transport wyruszył z Zahna. Droga powrotna znów wiodła przez Forst, polskie już: Żagań, Szprotawę i Głogów. W Głogowie wysiadłem z niego i rozpocząłem poszukiwanie rodziny. Pojęcia nie miałem, że znajdę ją po dwóch miesiącach, zaledwie 20 km dalej, bo we Wschowie. A ja »od słowa do słowa« ruszyłem za nimi w Polskę – Włocławek, Kalwaria Zebrzydowska, gdzie po Powstaniu Warszawskim miała znaleźć się moja mama, w końcu Wschowa. Tam osiedliła się już liczna grupa mieszkańców mojego rodzinnego Horochowa na Wołyniu".

A wracając z fabryki „Arado" był tak niedaleko, bo Głogowie. Skąd mógł wiedzieć?

W grudniu, wraz z matką i kolegą Romkiem Szumanem, Eugeniusz wybrał się do Lubania, gdzie spotkał ojca służącego w 37. Pułku Piechoty 7. Dywizji, zwanej „Łużycką", 2. Armii Wojska Polskiego. Ojciec, osadnik wojskowy, otrzymał gospodarstwo i młyn we wsi, której niemiecka nazwa brzmiała Wansche, a pierwsza polska – Wendów. Wieś leżała przy trasie między Zgorzelcem a Bogatynią. Młynem zajął się młody Eugeniusz, który kierował nim do 1947 roku wspólnie z… Hansem Klimmerem, młynarzem niemieckim, nim wysiedlono go za Nysę Łużycką. Kilka lat później młyn upaństwowiono. Jego koniec przypadł na lata decyzji o budowie Turoszowa. Dla potrzeb elektrowni niebędny był duży zbiornik wodny. Młyn leżący najniżej we wsi, która już posiadała kolejną nazwę – Spytków i leżała nad rzeką Witką, został zatopiony przez tworzące się jezioro o tej samej co rzeka nazwie.[2] W sierpniu 2010 roku zapora w wyniku gwałtownej powodzi została przerwana, o czym relacjonowały wszystkie media. Ale to już zupełnie inna historia…

Przypisy:

[1] Chodzi o książkę E. Cherezińskiej „Byłam sekretarką Rumkowskiego. Dzienniki Etki Daum". Etka (Estera) Daum przez 1653 dni pisała pamiętnik w łódzkim getcie, pracując u Chaima Rumkowskiego, przełożonego Starszeństwa Żydów w Getcie. Pamiętnik zaginął, a Etka Daum ponownie spisała wspomnienia, które odtworzyła w 2005 r. Elżbieta Cherezińska.

[2] Oficjalna nazwa brzmi: zbiornik Niedów.

Janusz Skowroński

Wieloletni współpracownik „Odkrywcy", autor książek o tajemnicach II wojny światowej na Dolnym Śląsku i polsko-niemieckich relacjach w następstwie wojny. Kontakt: loginfo@go2.pl

REKLAMA

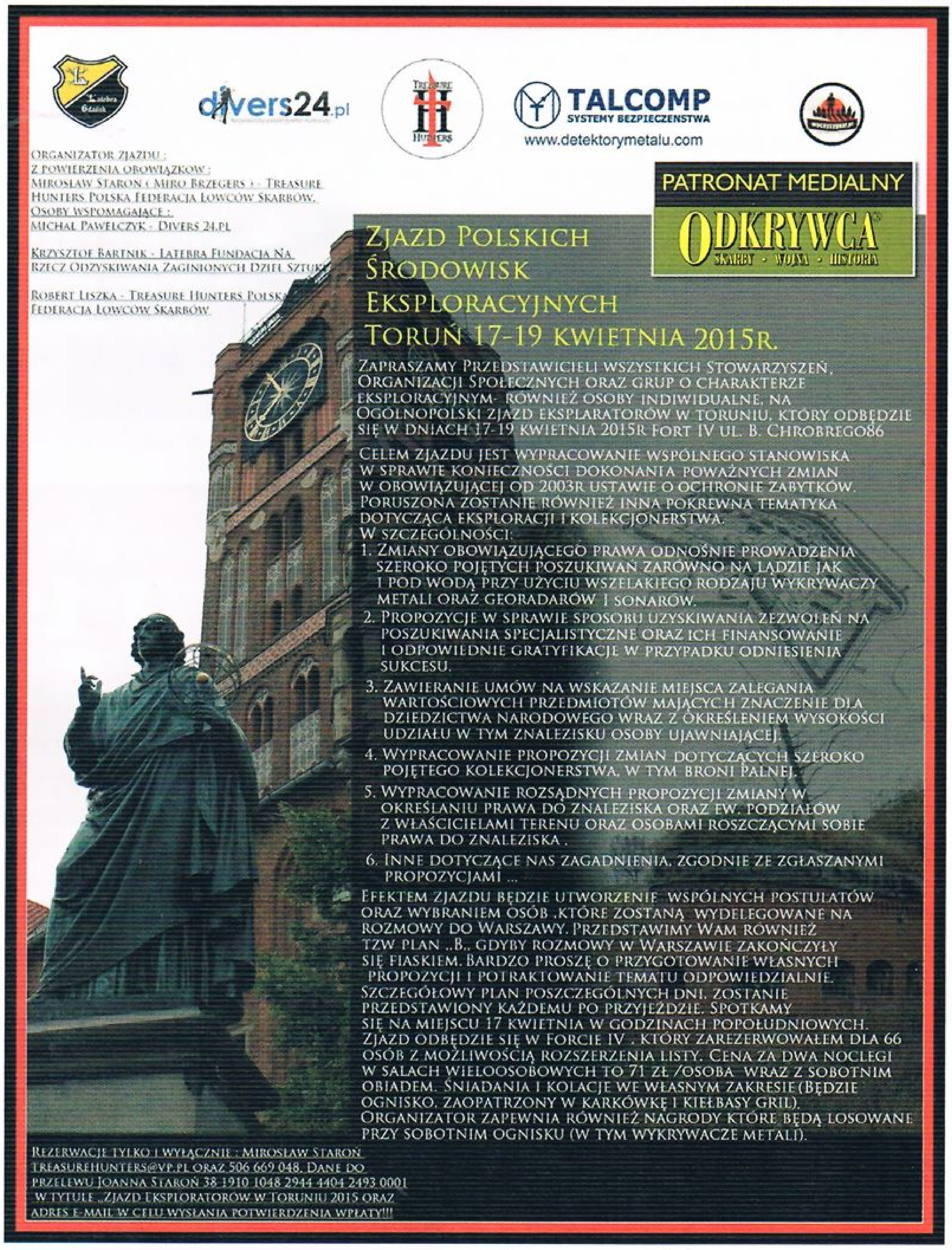

SZYMON WRZESIŃSKI

Podobozy KL Gross-Rosen, a przemysł zbrojeniowy III Rzeszy (cz. 1)

Więźniowie

W drugiej połowie XIX stulecia właściciel wsi postanowił uczynić krok ku nowoczesności i sprostaniu rosnącej konkurencji; zadbał o sprowadzenie inwestorów, którzy zbudowali tu fabryki włókiennicze. Pół wieku potem w tych samych miejscach zatrudniono cudzoziemców oraz więźniarki z pobliskiego obozu; tym razem jednak nie chodziło o wytwarzanie tkanin. Ich głównym celem była praca na rzecz przemysłu zbrojeniowego III Rzeszy...

Przez blisko 600 lat (od ok. 1346 do 1945) miejscowość stanowiła własność rodu von Üchtritz, którego kolejni przedstawiciele mieszkali w tutejszym barokowym pałacu – obecnie już zrujnowanym. Giebułtów (niem. Gebhardsdorf, Gebhardtsdorf, 1570 – Göppersdorf, 1753 – Geppersdorf) przechodził różne koleje losu, które nie zawsze były pomyślne dla wioski i jej mieszkańców, niektóre wręcz kończyły się tragicznie: najazdy husytów (1431) i spalenie większości domostw, zaraza, która zdziesiątkowała mieszkańców (1613), w trakcie wojny trzydziestoletniej przemarsz oddziałów wojsk, a wraz z nimi grabież, gwałty i śmierć.

Dopiero przełom XVII i XVIII wieku przyniósł wiosce pomyślność.

„W miarę napływu imigrantów czeskich powstały nowe kwartały wsi: Nowy Giebułtów (1663) i Górny Giebułtów (1674). Następne fale imigrantów zjawiały się w 1712 i 1730 r. – stąd kolonia czeska była dość silna i żywotna. Giebułtów znajdował się wówczas pod panowaniem czeskim, następnie austriackim, a później pruskim. Wraz z napływem uchodźców z Czech i Śląska rozpoczyna się rozwój gospodarczy wsi i okolic. Na mocy nadanego przez Jana Jerzego IV przywileju w Giebułtowie odbywają się targi, które ściągają tak wielu kupców, że miejscowość zaczyna być nazywana »małym Lipskiem«" – można przeczytać na stronie poświęconej historii Giebułtowa (www.giebultow.com.pl).

Giebułtów stał się więc sporym ośrodkiem tkactwa chałupniczego na Pogórzu Izerskim, a kolejne dekady przyczyniały się do dalszego rozwoju manufaktur. *„We wsi funkcjonowało kilka młynów wodnych, wiatrak, dziesiątki warsztatów bawełnianych tkających głównie katun i kilka płócienniczych. Kwitło rzemiosło – zajęcie mieli szewcy, krawcy, rzeźnicy, piekarze, stolarze, garncarze, pszczelarze, czeladnicy murarscy i ciesielscy, bednarze, ślusarze i kołodziej"*. W 1825 roku funkcjonowało we wsi 50 warsztatów tkających płótno, 3 bawełnę i 14 wytwarzających inne tkaniny. 15 lat później było już 190 warsztatów bawełnianych oraz 30 płócienniczych. Ogromne doświadczenie pracujących tam ludzi odegrało ważną rolę w podjęciu decyzji o wzniesieniu zakładów przemysłowych. W 1898 roku Merfeldowie z Lubania założyli w Giebułtowie tkalnię mechaniczną z trzystoma krosnami, wytwarzającą m.in. bieliznę pościelową, chusteczki i ręczniki. Od 1907 roku sprzedawano te produkty w lubańskim sklepie firmowym na ul. Bismarcka (ob. Kopernika). W latach 20. zakład „Merfeld & Söhne" zaczął wytwarzać tkaniny surowe, np. płótno żaglowe. W tym samym czasie w Giebułtowie istniały jeszcze: zakłady wyrobów drewnianych, m.in. zabawek (Holzwarenfabrik Schwerdtner & Busse), kaflarnia (Lilge's Ofenfabrik), szlifiernia kryształu i szkła (Emil Noack, założona w 1920) oraz zakład produkujący podstawki do piwa. Ponadto od końca XIX wieku w Neu Gebhardsdorf, przysiółku położonym na południowy-zachód od wsi, funkcjonowała jeszcze jedna duża fabryka: „Mechanische Weberei Gustav Winkler" (czasem jako: „Textilwerke Winkler"). Była to duża tkalnia mechaniczna, która w przyszłości stała się spoiwem łączącym obie części wsi.

Czasy świetności Giebułtowa utrwalił w swej pamięci Helmut Müller: *„Jestem byłym mieszkańcem Gebhardsdorf (...) [w którym] spędziłem całe moje dzieciństwo i młodość. Mój ojciec był majstrem tkackim w zakładzie doktora Gustava Winklera, moja matka również pracowała w tej firmie, ale jako tkaczka. Moja starsza siostra otrzymała w tej firmie zatrudnienie na stanowisku urzędniczki, a ja – ślusarza. Zakłady Gustava Winklera posiadały kilka fabryk, między innymi w Greiffenberg [ob. Gryfów Śląski] i Lauban [ob. Lubań]. (...) W 1925 roku dr Gustav Winkler przejął w Gebhardsdorf fabrykę od znajdującej się w tarapatach firmy Jordan. Po powiększeniu i zmodernizowaniu znów stała się ona efektywnie działającym przedsiębiorstwem. Stworzonych zostało 280-300 miejsc pracy, liczni mieszkańcy Gebhardsdorf i okolic posiadali pewne i stałe miejsce zatrudnienia. W bezpośrednim jej pobliżu znajdował się drugi zakład tkacki »Merfeld & Söhne«, zatrudniający również ok. 250-280 pracowników. Te dwa zakłady przemysłowe były dla ówczesnego zarządu gminy wielkim szczęściem, ponieważ dostarczały znaczących dochodów z podatków, a mieszkańcy znacznie mogli podnieść swój standard życia. (...) Wraz z przejęciem fabryki Jordana firma doktora Winklera zakupiła większą działkę i w latach 1927-1928 wybudowała pięć domów mieszkalnych, przeznaczonych tylko dla swoich pracowników. (... Dr Winkler sfinansował w tym czasie budowę kąpie-*

zdarzyło się...

20 III 1968 r.

47 lat temu w Karkonoszach doszło do najtragiczniejszego w skutkach zejścia lawiny w historii Polski. Miała ponad 700 m długości, ok. 80 m szerokości, zaś jej czoło osiągnęło wysokość ponad 20 m. W jej zasięgu znalazło się 23 turystów przebywających wówczas w Białym Jarze, z których 19 poniosło śmierć. Wśród ofiar było 13 obywateli Związku Radzieckiego, 4 z NRD oraz 2 Polaków. Zdarzenie to wywołane bez wątpienia siłami natury, stało się ze względu na międzynarodowy charakter inspiracją dla licznych teorii spiskowych, mówiących o zaangażowaniu w wypadek służb specjalnych. Wśród nich pojawił się również wątek poszukiwań Bursztynowej Komnaty – niestety zbyt absurdalny, by go w tym miejscu przytaczać...

z Gebhardsdorf

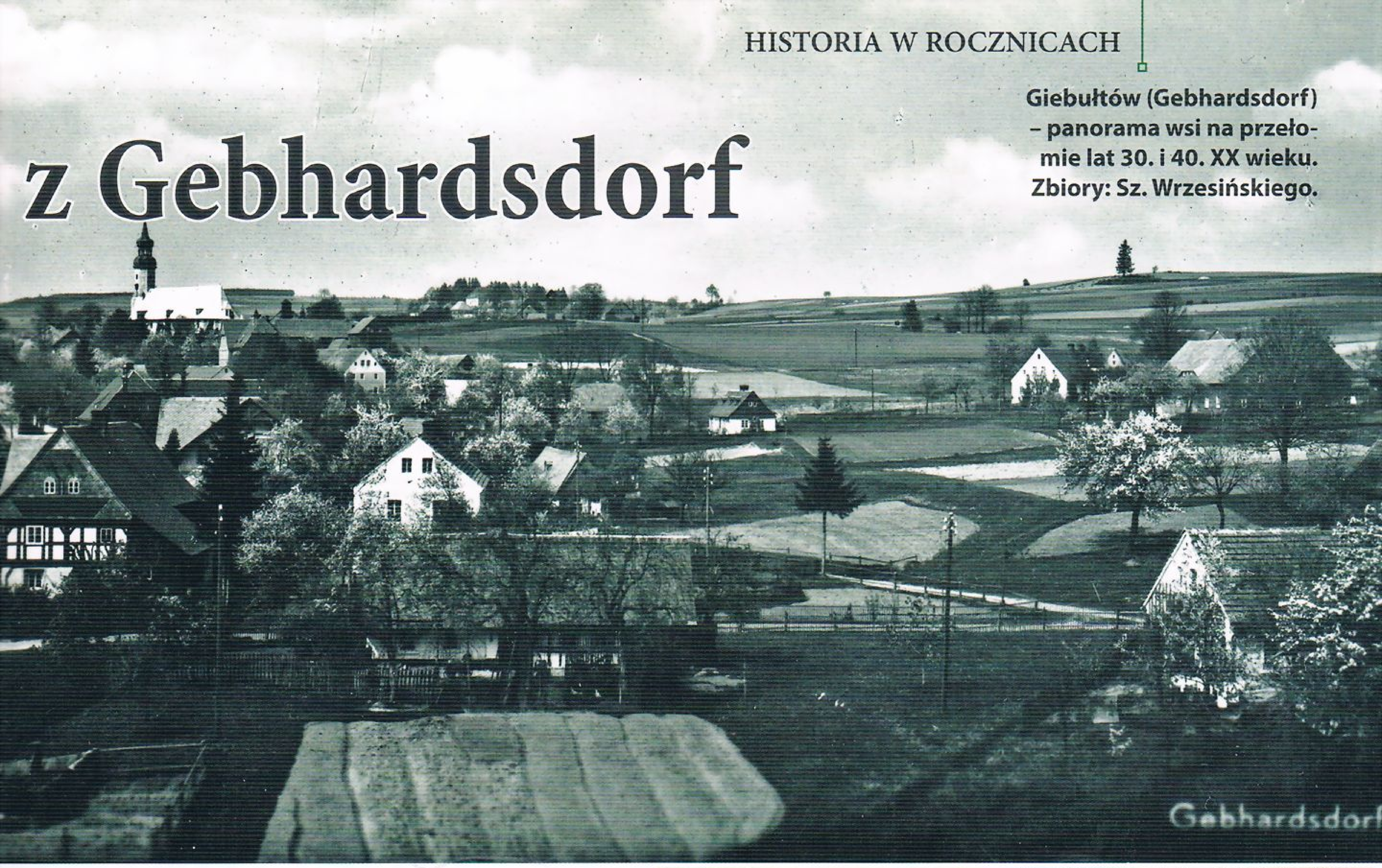

Giebułtów (Gebhardsdorf) – panorama wsi na przełomie lat 30. i 40. XX wieku. Zbiory: Sz. Wrzesińskiego.

liska i boiska. (…) Był on w tych czasach jednym z największych producentów tkanin, trzymającym wszystko w swoim ręku. Posiadał tkalnie produkujące chusteczki i odzież, farbiarnie i szwalnie, eksportując te produkty do Ameryki. (…) Dr Winkler troszczył się o dobro pracowników i mieszkańców. Uczestniczył też w budowie szkoły w 1938 roku".

Przez pierwszych kilka lat po wybuchu II wojny światowej w tutejszych zakładach pracowali wyłącznie okoliczni mieszkańcy: *„O ojcu nie mam zbyt wiele wspomnień, był majstrem (Spulmeister) w tkalni »Merfeld & Söhne«, projektował też między innymi wzory chusteczek, pracę tę wykonywał często w domu, w fabryce nie miał na to czasu"* – wspomina Heinz Günther, również dawny mieszkaniec Gebhardsdorf. *„Ojciec [na początku 1941 roku] musiał iść na wojnę, chociaż firma Merfeld kilka razy wnioskowała o cofnięcie powołania, ponieważ był na tkalni trudny do zastąpienia. Najpierw poszedł na front zachodni do Colmaru w Alzacji, stacjonował tam około roku, później trafił na front wschodni, na tzw. łuk Donu. Wkrótce potem [tj. wiosną 1942 roku] przyszła wiadomość o jego »zaginięciu« (…). Otrzymaliśmy [ją] telegramem, nie zobaczyliśmy go już nigdy. Poległ, jak się wtedy mówiło, »za naród i ojczyznę«. Miał 33 lata…".*

Największe zmiany miały jednak dopiero nadejść.

Po przeniesieniu do Giebułtowa zakładów zbrojeniowych z głębi III Rzeszy, przygotowano obóz dla jeńców wojennych, a w tutejszych gospodarstwach, oraz murowanych barakach, zaczęto osadzać rodziny robotników sprowadzonych z Zachodniej Europy. Mieli oni zastąpić dawnych pracowników, których powołano do Wehrmachtu.

„Był wrzesień 1942 roku (…). W szkole zaczynała panować coraz bardziej militarna atmosfera! (…) Trzeba było używać pozdrowienia »Heil Hitler!« – jeśli nie, wymierzano policzek albo składano skargę w szkole – wspomina Heinz Günther. *Gdy jesienią 1942 roku poszedłem do szkoły, nieszczęście wisiało w powietrzu. (…) Skutki zaczęliśmy wkrótce odczuwać. Oznaczało to na przykład przeniesienie, ze względów bezpieczeństwa, do nas, na wieś, firmy »Aerobau« zajmującej się budową części do samolotów. Pośpiesznie wzniesiono budynki i baraki dla robotników, w większości jeńców wojennych i robotników przymusowych. Nasza babcia musiała im oddać pokój – na prawo od drzwi wej-*

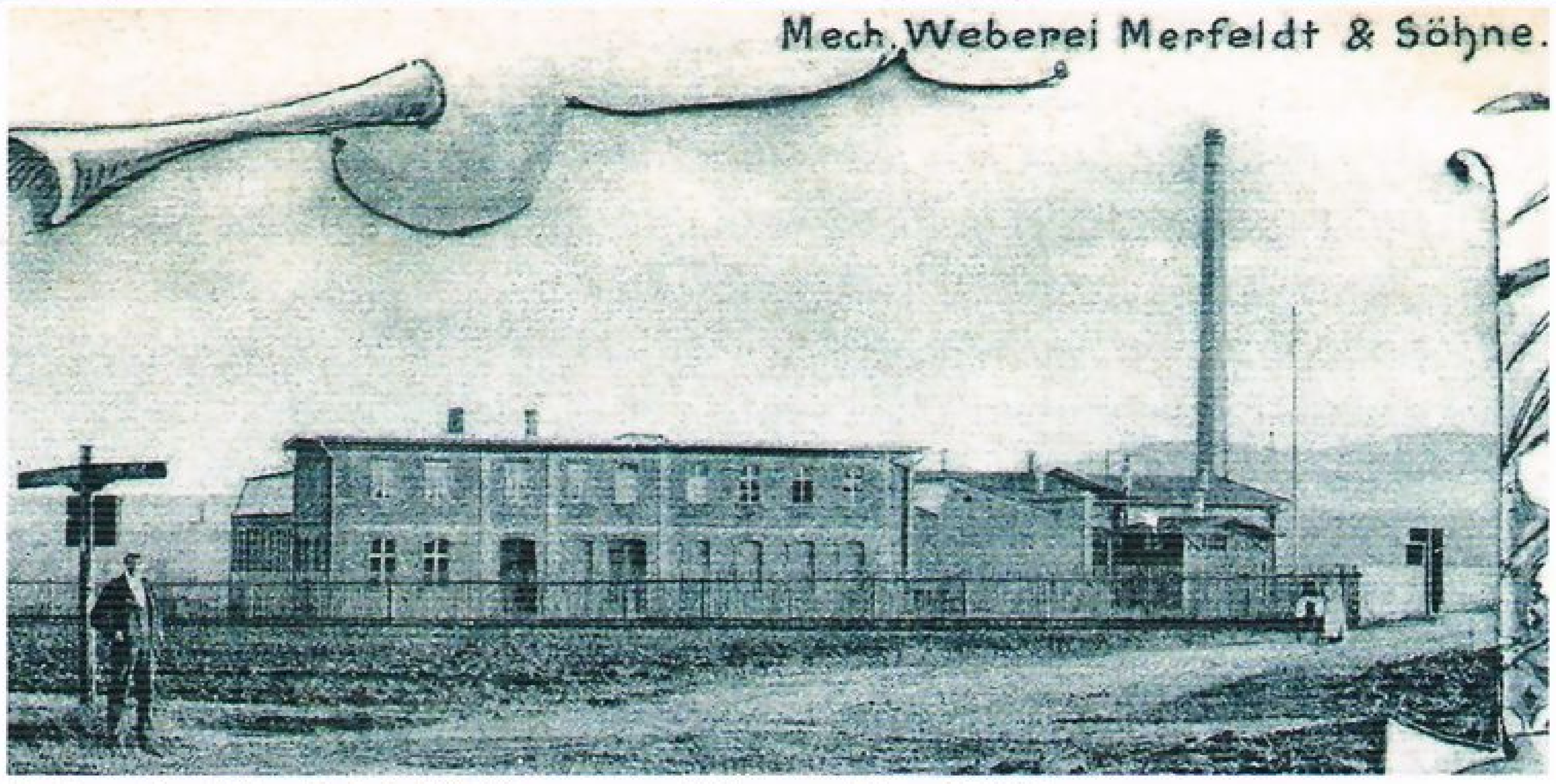

Fabryka Merfeld & Söhne na litografii z 1901…

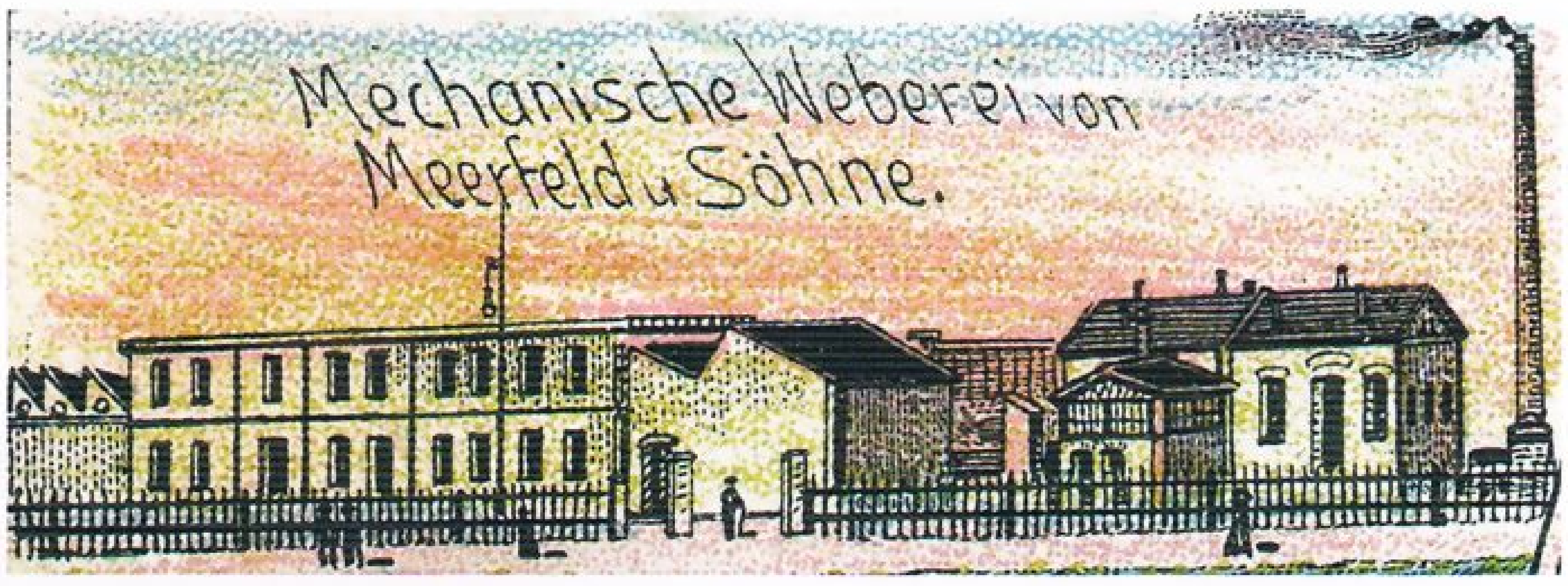

… i z 1904 roku. Zbiory: Piotra Czembrowskiego.

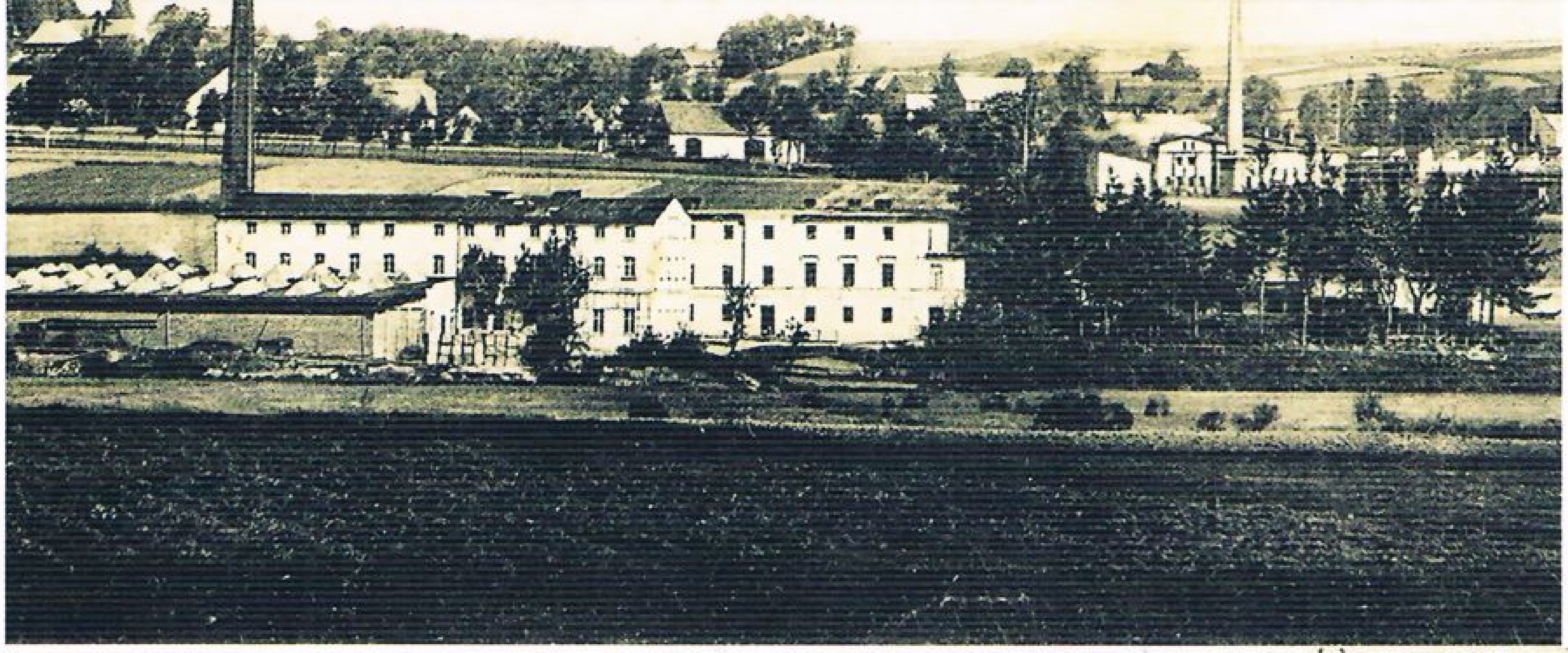

Uprzemysłowiony Giebułtów na archiwalnej fotografii, rok 1910. Zbiory: Piotra Czembrowskiego...

ściowych. Zamieszkało w nim małżeństwo Fahl z Westfalii. (...) Niebawem zamieszkało kolejne małżeństwo z Francji, niewiele mówili po niemiecku. Nasi lokatorzy przynosili kolorowe bloczki z »Aerobau«, kartki żywnościowe, którymi się bawiliśmy. Lubiłem je układać w stos i niszczyć »bombami« zrzucanymi z drewnianego samolociku, co oburzało moją babcię i wymyślała nam inną zabawę tymi karteczkami".

Niewykluczone, że dawny mieszkaniec Giebułtowa, przypominając sobie budowę baraków w latach 40. ubiegłego stulecia, miał na myśli utworzony we wsi Gemeinschaftslager Aerobau Gebhardsdorf. Niestety, niewiele można się dowiedzieć o historii tego miejsca, wskutek fragmentaryczności danych. Niewykluczone, że przebywali w nim pracownicy przymusowi przywiezieni z Holandii.

Drugim obozem był Frauenarbeitslager Gebhardsdorf. *„W literaturze brak jest jednoznacznego stwierdzenia od kiedy funkcjonowała ta filia. W wykazie sporządzonym przez Międzynarodowe Biuro Poszukiwań w Bad Arolsen jako data powstania podobozu podawany jest wrzesień 1944 roku. FAL Gebhardsdorf zlokalizowany był na wzgórzu koło miejscowości Gebhardsdorf (Giebułtów). Przebywało w nim ok. 500 Żydówek, głównie z Węgier i Polski, przywiezionych z KL Auschwitz. Wszystkie osadzone w obozie kobiety pracowały w zakładach przemysłu lotniczego »Aerobau – Heinrich Lehmann KG in Gebhardsdorf/Isergebirge«. Zakłady te umieściły swoją linię produkcyjną w obiektach fabryki Merfelda. W zakładach zatrudnieni również byli pracownicy przymusowi"*.[1]

Według relacji byłej więźniarki Grety Majzel obóz stworzono na bazie funkcjonującego wcześniej obozu „organizacji Schmelt", gdzie uprzednio przewieziono kobiety z Zwangsarbeitslager Egelsdorf: *„W lipcu 1944 roku sturmbannführer – komendant obozu – i Niemcy z Gross-Rosen zamienili obóz na filię koncentracyjnego. W trakcie tej akcji tłumaczono kobietom, że teraz będzie »lepiej i sprawiedliwiej«. Więźniarki otrzymały numerki obozowe, a do pilnowania obozu zostawiono 15 kobiet w zielonych mundurach".*

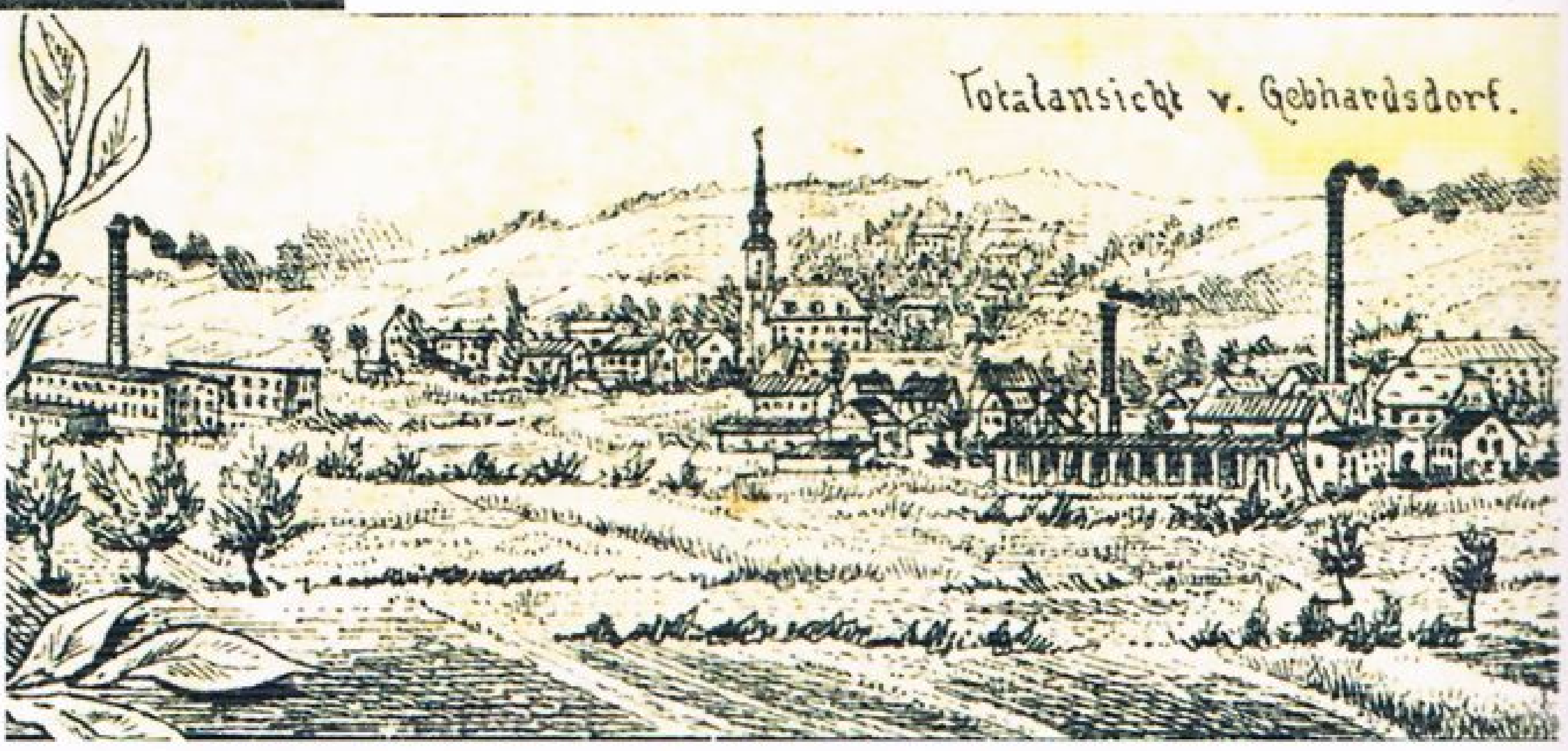

... i na litografii. Zbiory: Sz. Wrzesińskiego.

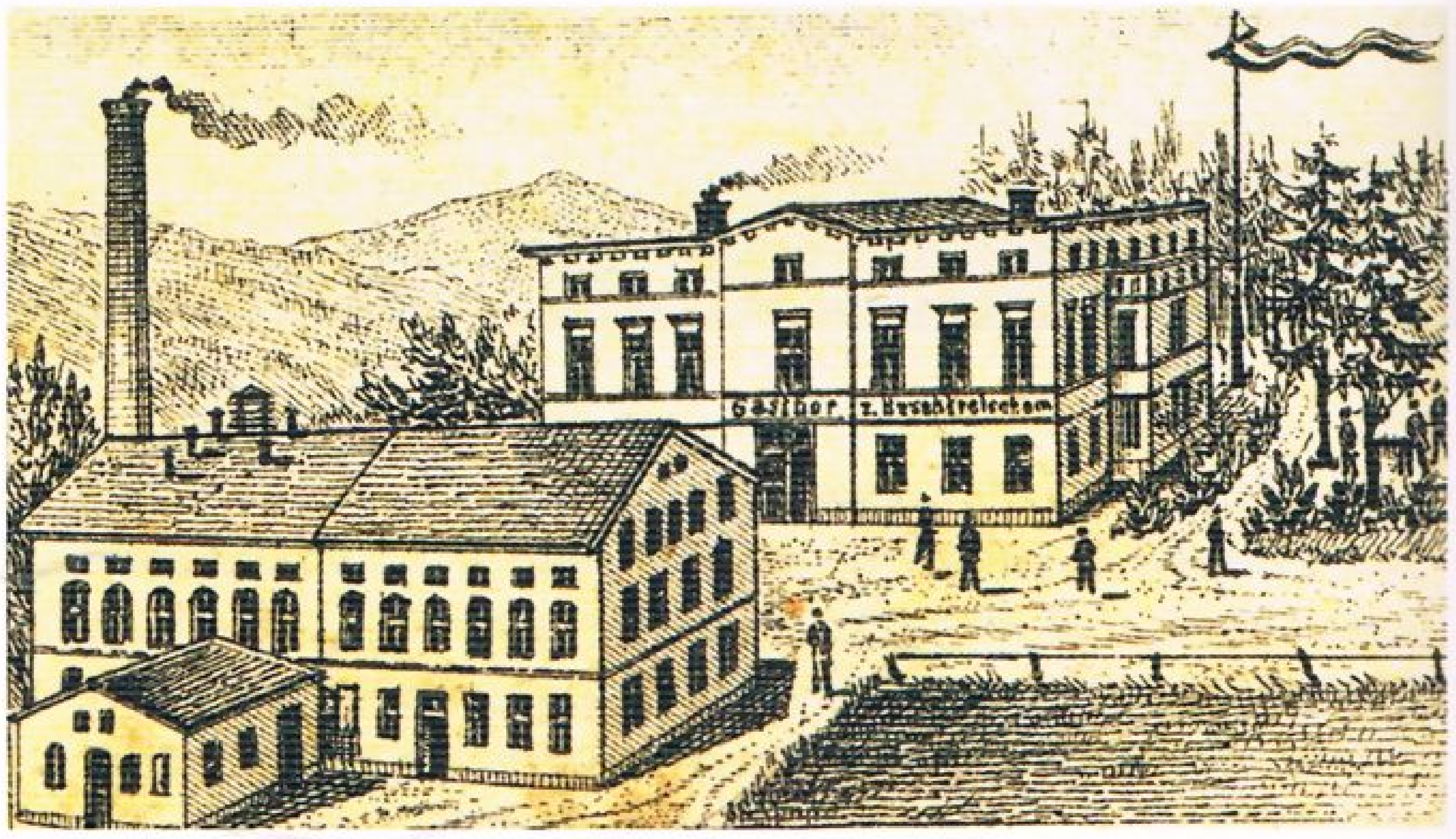

Pierwsza fabryka Gustava Winklera w XIX-wiecznym Giebułtowie. Zbiory: Sz. Wrzesińskiego.

W grudniu przybył do Giebułtowa 200-osobowy transport więźniarek z KL Auschwitz, które dołączono do przebywających w obozie 300 węgierskich Żydówek. Jedną z osadzonych była Hadesa Helberstadt: *„Żydówka z Polski pełniła funkcję starszej obozu (...). Kobiety mieszkały w pokojach; były*

Osiedle dla pracowników i zakład tekstylny Gustava Winklera, lata 30. XX w. Źródło: internet.

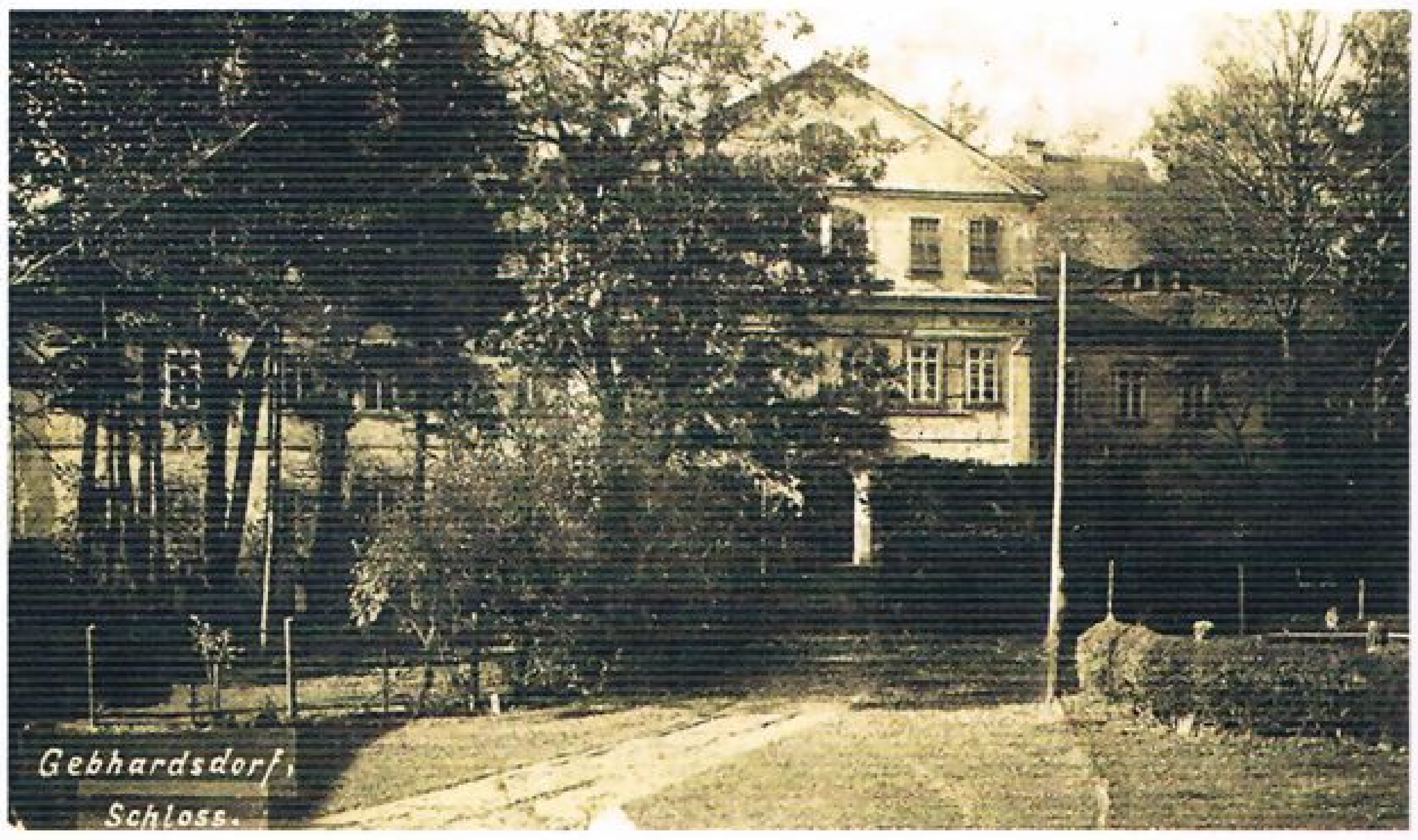

Pałac właścicieli Giebułtowa – rodu von Üchtritz. 1937 rok. Zbiory: Sz. Wrzesińskiego.

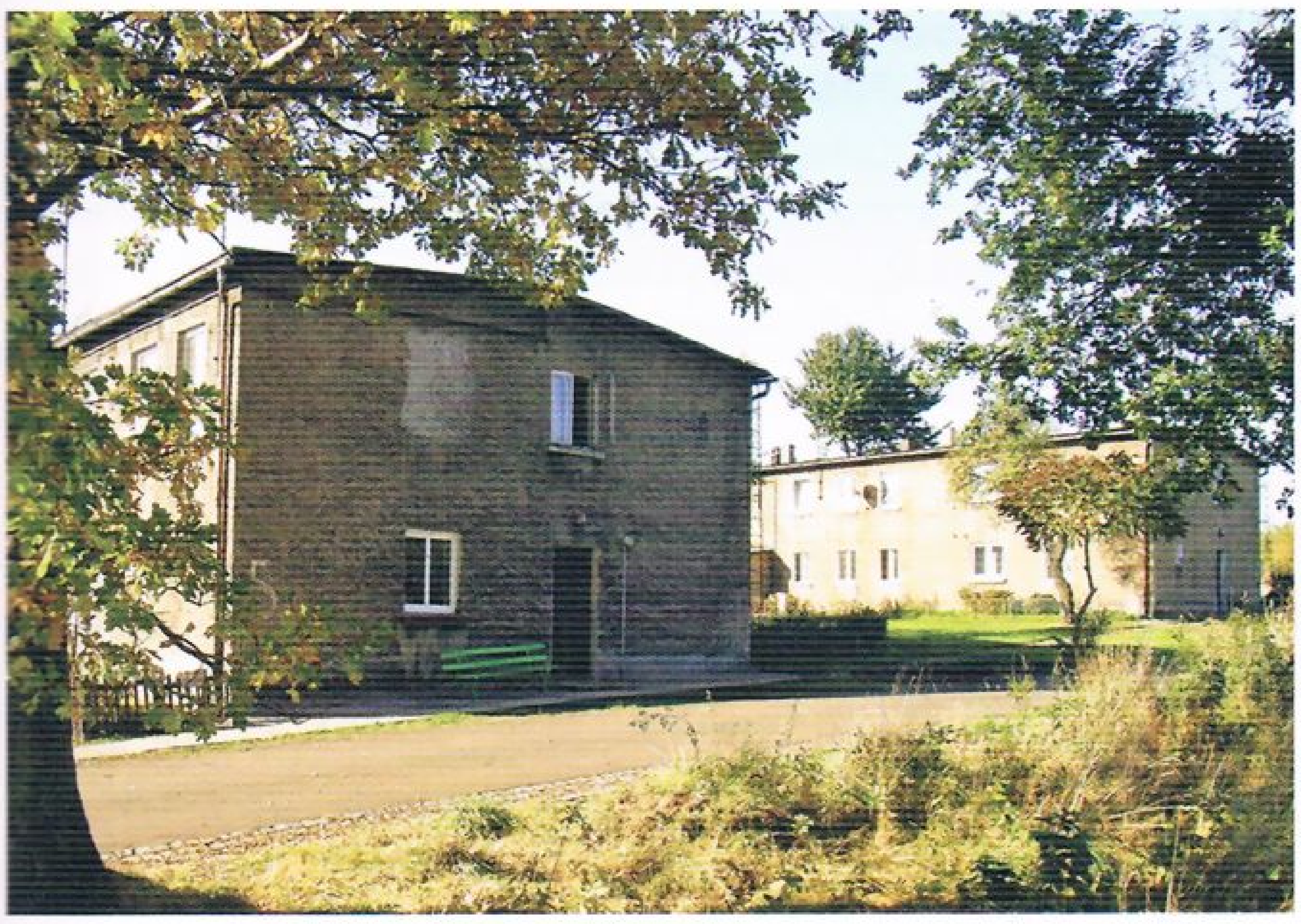

Współczesny Giebułtów. Dawne budynki obozowe od lat są wykorzystywane jako mieszkania. Fot: Sz. Wrzesiński.

tam szafki, czyste naczynia, umywalnie. Pomieszczenia mieszkalne były bardzo czyste. Więźniarki spały na podłodze, przykryte kocem. W obozie woda była tylko zimna, bielizny nie zmieniano, mydła było mało (1 kawałek na miesiąc), tak że pierwszy zachwyt zmienił się powoli w rozczarowanie. Pranie było surowo wzbronione, a czystość trzeba było zachować. (...) W lagrze były dwa bloki, w jednym mieszkały Węgierki, w drugim Polki. W każdym pokoju mieszkało 40 kobiet. Na terenie obozu znajdował się również dwupiętrowy budynek. Na pierwszym piętrze znajdowały się dwie izby, jadalnia, dwie łaźnie; pokój w budynku był średniej wielkości, więźniarki spały tu również na podłodze. Drugie piętro obejmowało trzy izby, izbę chorych, dwie łaźnie".

Obóz otoczony zasiekami z drutu kolczastego, tworzyły dwa baraki oraz trójkondygnacyjny budynek, pierwotnie wzniesione jako budynki mieszkalne dla pracowników zakładu, zapewne cudzoziemców. Po utworzeniu FAL Gebhardsdorf w jednym zakwaterowano Żydówki z Polski (głównie z Radomia i Ostrowca), a w drugim z Węgier. W sumie przebywało ok. 500 kobiet. Niedbale wykonane baraki były nieszczelne, co powodowało nie tylko obniżenie temperatury, lecz także przeciekanie wody. Przy braku ogrzewania, warunki życia były skrajnie trudne. Więźniarek pilnowało 12 strażniczek ze służby pomocniczej SS[2], których przełożoną była Lydia Dienel. Komendantka obozu często biła i znęcała się nad Żydówkami. W relacjach byłych więźniarek pojawia się informacja o zamęczeniu przez komendantkę na śmierć kobiety umysłowo chorej przez bicie i polewanie wodą na mrozie. Kolejna strażniczka, zwana „okularnicą", także zapamiętana została z jak najgorszej strony; pastwiła się nad więźniarkami nie pozwalając im korzystać z ubikacji... Jeszcze inna, o imieniu Greta, potrafiła w nocy wejść do izby, by obudzić kobiety, a następnie bić je po twarzy, deptać po głowach! Bywało, że za niewielkie przewinienia strażniczki stosowały kary zbiorowe, np. kilkugodzinny apel bądź pozbawienie jedzenia.

Dodatkowo do pilnowania przysłano około 9 niezdolnych do służby na froncie żołnierzy Wehrmachtu. Zdaniem Aleksandry Kobielec (pracownik Działu Naukowo-Badawczego Muzeum Gross-Rosen, autorka opracowań dotyczących historii filii tego obozu) FAL Gebhardsdorf nadzorował komendant położonego 15 km dalej (w linii prostej 7 km) męskiego podobozu Hartmannsdorf, SS-Hauptsturmführer Emil Springer. Informacja dość niezwykła, zwłaszcza w kontekście zleceń wykonywanych przez tamtejszych więźniów na rzecz Luftwaffe. Ma także ogromne znaczenie w odniesieniu do badań dr Doroty Suli (pracownik naukowy Muzeum Gross-Rosen. Autorka licznych artykułów opublikowanych zarówno w Polsce, jak i za granicą oraz książek m.in. *„Arbeitslager Riese. Filia*

Dawne miejsce podobozu w Giebułtowie. Fot: Sz. Wrzesiński.

Budynek będący niegdyś siedzibą dyrekcji jednej z fabryk...

... i zrujnowane pofabryczne obiekty. Fot: Sz. Wrzesiński.

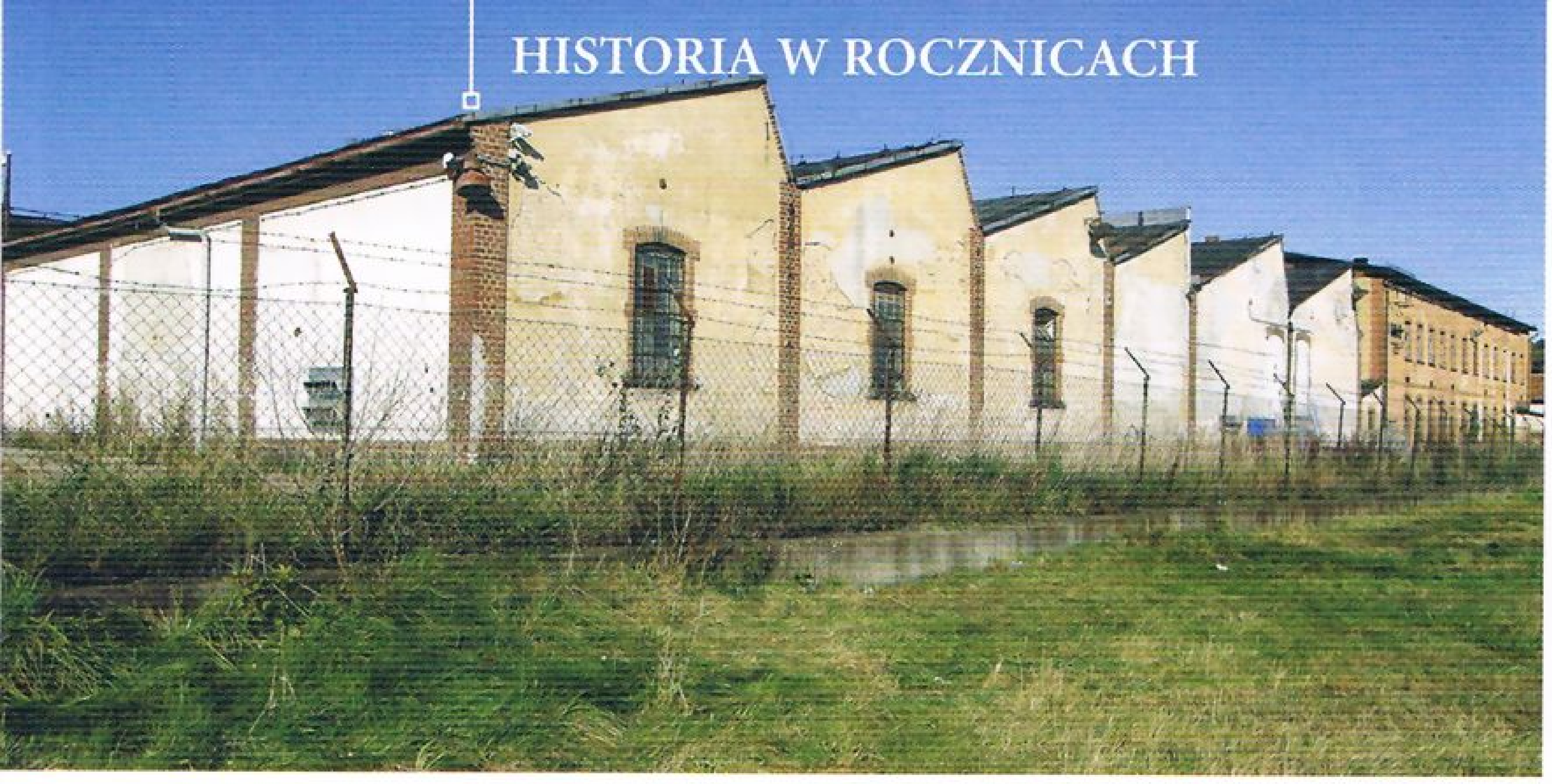

Pozostałości po dawnych halach produkcyjnych. Fot: Sz. Wrzesiński.

Ruina budynku administracyjnego fabryki Gustava Winklera. Fot: Sz. Wrzesiński.

KL Gross-Rosen") oraz grupy niemieckich naukowców. Ci ostatni uważają bowiem, iż komendantem w AL Hartmannsdorf był w 1944 roku SS-Unterscharführer Alfred Juchelek.[3]

Część kobiet skierowano do dawnej fabryczki, gdzie wykonywały rączki do granatów i skrzynki na miny. Pozostałe zatrudniono w dawnych zakładach Merfelda, przejętych przez „Flugzeugwerk Aerobau". Z racji miejsca położenia zakładu przemysłu lotniczego przemianowano je na „Aerobau – Heinrich Lehmann KG in Gebhardsdorf/Isergebirge".

„Praca była bardzo uciążliwa i niebezpieczna dla zdrowia. Płyny z maszyn i smary powodowały tworzenie się wrzodów i innych chorób skóry. Pracowano na 2 zmiany, w dzień i w nocy. W niedzielę po nocnej zmianie nie pozwalano spać, gdyż ten dzień, jako dzień odpoczynku, był przeznaczony na generalne sprzątanie" – zeznała po wojnie Hadesa Helberstadt.

W zakładzie nad poprawnym wykonywaniem pracy czuwali niemieccy majstrowie. Co godne uwagi, zachowywali się poprawnie, czasami nawet pomagali więźniarkom. Kobiety miały także kontakt z cudzoziemskimi robotnikami przymusowymi, których

Schron strażniczy z okresu II wojny światowej przy jednej z fabryk. Fot: Sz. Wrzesiński.

obóz znajdował się w Giebułtowie. Oni również pomagali więźniarkom dostarczając im żywność i różne drobiazgi. W czasie jednej zmiany przewidziana była przerwa na posiłek spożywany w fabrycznej kantynie. Składał się z dwóch dań: zupy i kartofli w łupinach z gulaszem, czasem kasza lub budyń. Kolacją zaś były kartofle w łupinach. Natomiast w obozie, na śniadanie, podawano zupę i jeden chleb na 4 osoby. Wkrótce jednak zmniejszono racje i bochenek przypadał na 7 osób. Całkowicie osłabione lub chore mogły trafić do rewiru wyłącznie z bardzo wysoką gorączką. Izbę chorych prowadziła holenderska Żydówka.

Najprawdopodobniej w 1944 roku część hal jednego z kilku zakładów w Giebułtowie przeznaczono do nowych celów: *„Wkrótce w naszej wsi pojawił się warsztat naprawy czołgów, przyszło wojsko, a w naszym domu zakwaterował się wysoki oficer"* – wspomina Heinz Günther. *„Obok studni zamontowano szyld z napisem »Spieß« [czyli szef kompanii]. My, chłopcy, bardzo interesowaliśmy się czołgami, ale i mieliśmy przed nimi respekt. Najczęściej nas od nich przeganiano, ale nieraz pozwalano nam nosić granaty, co napawało nas dumą. (…) Wieczorami często przebywali u nas żołnierze, rozmawiający o wojnie, chętnie przysłuchiwałem się ich rozmowom. Dowiedziałem się, że wielu z nich myślało, że wojna jest przegrana, nie można było jednak o tym [głośno] mówić. Gdy przychodził oficer, rozmowy milkły. Radio nadawało wciąż hasła o »ostatecznym zwycięstwie«, w które nikt już nie wierzył. Strach ogarniał wszystkich. [Do tego we wsi pojawiała się] coraz większa liczba uchodźców, dla których nie wystarczało miejsca, [część] po prostu umierała, głównie osoby starsze i dzieci – zwłaszcza, że zima 1944/1945 była bardzo surowa. Front zbliżał się. Ludzi starszych zaangażowano do Volkssturmu, których zadaniem była budowa ruchomych barykad na szynach".*

Nowa, trudna sytuacja wymusiła podjęcie decyzji co do dalszych losów więźniarek z FAL Gebhardsdorf. 18 stycznia 1945 roku rozpoczęto ewakuację podobozu. Pierwszego dnia kobiety pokonały niemal 30 km. Bez jedzenia, z niewielkimi przerwami w marszu. Mało tego; zmuszono je do ciągnięcia wozu z dobytkiem strażniczek. Po kilku godzinach snu ruszono w dalszą 30-kilometrową drogę, która biegła przez Góry Izerskie, aż do podobozu w Chrastavie (FAL Kratzau) w Czechach. Po spędzeniu tam nocy, ruszono dalej. Wreszcie na początku marca kolumna ewakuacyjna osiągnęła połowiczny cel: podobóz Sankt Georgenthal, podległy KL Flossenbürg w Bawarii. W nim pozostawiono węgier-

Współczesny wygląd dawnej fabryki zbrojeniowej w Giebułtowie. Fot: Sz. Wrzesiński.

skie Żydówki. Polskie więźniarki miały ruszyć dalej. Ich los nie jest jednak znany. Niewykluczone, że w specjalnie stworzonym dla nich obozie doczekały końca wojny.

Co ciekawe; zdaniem Grety Majzel kobiety opuściły podobóz w Giebułtowie w lutym 1945 roku.[4] Być może problem z ustaleniem chronologii wynikał stąd, iż do opuszczonego podobozu pod koniec stycznia sprowadzono ok. 150 więźniarek z pobliskiego FAL Gräflich-Röhrsdorf (Skarbków pod Mirskiem). Podobnie i one zostały skierowane do FAL Kratzau, gdzie wraz z 50 najstarszymi i schorowanymi z FAL Gebhardsdorf, doczekały się wyzwolenia.[5]

Tymczasem z wyższego wzniesienia w Giebułtowie *„można było zobaczyć kłęby dymu płonącego Lubania i słyszeć odgłosy walk”* – zapisał w pamięci jeden z dawnych mieszkańców Gebhardsdorf. *„Nadszedł 7 maja 1945 roku. (…) [Obok] sklepu na skrzyżowaniu żołnierze krzyknęli: »A ty dokąd? Szybko do domu, Rosjanie są blisko!«. Wysadzili gdzieś mosty, aby spowolnić nadejście Rosjan. (…) Czekaliśmy [z rodziną] ze strachem na następny poranek. 8 maja – (…) nad ranem przybyły kolumny wojsk radzieckich, niektórzy żołnierze rozpierzchli się po wsi, żeby coś zdobyć (…). Ludzie byli kompletnie zdezorientowani, obawiano się wywózki na Syberię. (…) Tymczasem oni budowali baraki koło szkoły. Z braku zdolnych do pracy mężczyzn do pracy powoływano kobiety. (…) Po kilku miesiącach Rosjanie opuścili Giebułtów”.* Długotrwały pobyt wynikał zapewne z demontażu urządzeń z wielu hal oraz kompletowania dokumentacji technicznej, możliwe że przesłuchiwano świadków chcąc zdobyć wiedzę o zakresie tutejszej produkcji zbrojeniowej.

❍ ❍ ❍

We wspomnianym Gräflich-Röhrsdorf od końca XIX wieku funkcjonowała tkalnia. W 1938 roku północna część wsi została włączona w obręb miasteczka. Od września 1944 r. więźniarki z położonego w pobliżu obozu pracy zatrudniono w zakładach spółki „Allgemeine Elektricitäts-Gesellschaft” (AEG) z Berlina, która część swojej produkcji umieściła w budynkach dawnej tkalni firmy „Hermann Teichgräber”. Nieznany jest zakres ich prac, jednak identyczne nazwy zakładów pracy spotykamy na terenie Świebodzic (Freiburg), gdzie kobiety wytwarzały jarzeniówki oraz inne drobne elementy do samolotów.

Artykuł stanowi fragment przygotowywanej na wiosnę br. książki o zakładach zbrojeniowych Trzeciej Rzeszy przeniesionych na Dolny Śląsk (ukaże się nakładem Agencji Wydawniczej CB z Warszawy).

Przypisy:

[1] „Verzeichnis der Haftstätten unter dem Reichsführer SS (1933-1945), Arolsen 1979, s. 131; A. Konieczny, „Kobiety w obozie koncentracyjnym Gross-Rosen w latach 1944-1945”, [w:] „Studia Śląskie” , t. XL, Opole 1982, s. 67 za A. Małek, „Praca w systemie KL Gross-Rosen”, Muzeum Gross-Rosen, Wałbrzych 2003

[2] Nadzorczynie SS nie były członkiniami SS. Należały do żeńskiej załogi SS (SS-Gefolge). Były to żeńskie siły pomocnicze, podlegające sądownictwu SS. Nie mogły nosić munduru SS, ani posiadać stopni wojskowych, czy służbowych SS, lecz tylko hierarchię funkcyjną. Por. „Im Gefolge der SS. Aufseherinnen des Frauen-KZ Ravensbrück. Begleitband zur Ausstellung”, Berlin 2007, s. 20-21

[3] Por. W. Benz, B. Distel, A. Königseder, „Der Ort des Terrors: Geschichte der nationalsozialistischen Konzentrationslager”, Tom 6, 2007, s. 448.

[4] Jan Kosiński przesuwa ewakuację na marzec 1945 r., co wydaje się mało prawdopodobne. Por. J. Kosiński, W. Sobczyk, „Niemieckie obozy koncentracyjne i ich filie” Drukarnia Polska „Kontrast” 1999, s. 301

[5] Wg Aleksandry Kobielec więźniarki z FAL Gräflich-Röhrsdorf ewakuowano 18 I 1945 r. razem z kobietami z FAL Gebhardsdorf.

Publikacje i źródła cytatów:

1. Archiwum Żydowskiego Instytutu Historycznego w Warszawie
2. „Gazeta Giebułtowska”, rocznik 2013-2014
3. „Studia Śląskie”, Tom 13 (Opole 1968) i Tom 40 (Opole 1982)
4. „Obozy hitlerowskie na ziemiach polskich 1939-1945”, praca zbiorowa, PWN 1979
5. „Filie obozu koncentracyjnego Gross-Rosen. Informator”, Muzeum Gross-Rosen, Wałbrzych 2008

Szymon Wrzesiński

Historyk. Napisał m.in.: „Podziemne tajemnice III Rzeszy na Dolnym Śląsku”; „Pogórze Izerskie w cieniu swastyki”; „Skarby III Rzeszy ukryte na Dolnym Śląsku. Relacje, dokumenty, wspomnienia”; „Na tropach skarbów i depozytów Trzeciej Rzeszy. Kulisy rewindykacji i poszukiwań terenowych na Dolnym Śląsku”; „Zamek Książ. Legenda III Rzeszy”; „Młodzi wyznawcy Hitlera. HJ i RAD na Dolnym Śląsku” (w przygotowaniu druku). Kontakt z autorem: Sz_Wrzesinski@wp.pl

REKLAMA

www.pawlo.sklep.pl

OFERUJEMY WYKRYWACZE:
- **GARRETT,**
- **XP,**
- **TEKNETICS,**
- **MINELAB,**
- **RUTUS**

ORAZ INNYCH PRODUCENTÓW.

W NASZEJ STAŁEJ OFERCIE POSIADAMY RÓWNIEŻ MYJKI ULTRADŹWIĘKOWE.

FHU „PAWLO” Paweł Piec
65-124 Zielona Góra, ul. Wołodyjowskiego 8
tel.: +48 603 469 561, fax: +48 68 41 43 222, e-mail: pawel@pawlo.sklep.pl

W 70. rocznicę marszu śmierci więźniów Gross-Rosen z Hartmannsdorf do Buchenwaldu

Zapalono znicze pamięci...

JANUSZ SKOWROŃSKI

W niedzielę 15. lutego, w 70. rocznicę rozpoczęcia przez więźniów obozu koncentracyjnego Gross-Rosen – filia Hartmannsdorf (dziś Miłoszów koło Leśnej) – marszu śmierci, zapalono znicze pamięci. Zapłonęły one przy tablicy pamiątkowej pod jedną z pięciu sztolni, kutych rękami więźniów przy trasie z Leśnej do Świecia. Do sztolni zamierzano przenieść część produkcji zbrojeniowej III Rzeszy. Krótką modlitwę za zmarłych poprowadził ks. Marek Kościański z Leśnej.

Obóz Hartmannsdorf miał w systemie obozów Gross-Rosen złą sławę. Wysłanie do tej filii uważane było za wyrok śmierci. Praca ponad siły, straszliwy głód, tortury i szykany ze strony esesmanów, wielogodzinne apele, częste selekcje chorych więźniów, brak prymitywnych nawet warunków higieniczno-sanitarnych, terror i morderczy reżim – wszystko to czyniło z obozu Hartmannsdorf piekło na ziemi. Tylko nielicznym udało się przeżyć.

– W połowie miesiąca, 15. lub 16. lutego nastąpiła główna ewakuacja obozu Hartmannsdorf. Wyruszyło nas ok. 1050 więźniów. Pieszo do Buchenwaldu – relacjonował więzień Józef Nocuń. Dokładnej liczby więźniów, którzy w mroźny lutowy dzień wyruszyli na zachód nie udało się ustalić. W więźniarskich relacjach podawana jest liczba 1000-1200 osób. Dla większości z nich był to marsz po śmierć.

– Nad ranem spędzono wszystkie komanda, do przyczep załadowano rodziny, dzieci, walizy z dobytkiem ss-manów, 12 więźniów na zmianę musiało to ciągnąć. Tak rozpoczął się ten marsz śmierci w kierunku zachodnim, drogami rozmytymi przez kolumny czołgów, wojska i uciekinierów niemieckich. Trzeciego dnia tego marszu, słabsi więźniowie zaczęli z wyczerpania padać, kto upadł, to był dobity przez ss-manów zamykających ten pochód śmierci, i rzucony w śnieg do rowów przydrożnych. Dużo przy ciągnięciu tych przyczep padło, bo jeszcze bili pejczami, poganiali byle prędzej. Bez jedzenia, noce spędzaliśmy w jakichś salach kinowych lub wielkich stodołach – wspominał polski więzień Eugeniusz Ruszkowski.

Zaś inny, Stefan Sporek, który ciągnął ss-mański dobytek, uzupełniał:

– Wycieńczeni więźniowie nie mogli niejednokrotnie podołać ciężarowi wozów. Więźniowie, którzy nie mogli już ciągnąć wozu, a nie byli zmieniani, upadali i pozostawali w tyle kolumny. W tyle pozostawali również inni wycieńczeni więźniowie. Z tyłu kolumny słyszałem niejednokrotnie dochodzące strzały z broni palnej. Z opowiadania współwięźniów słyszałem, że w tyle kolumny szła grupa ss-manów, którzy strzałami z broni palnej zabijali więźniów wyczerpanych i osłabionych. Zwłoki tych więźniów grzebali zaraz na miejscu wyznaczeni w tym celu więźniowie.

Dzięki Stowarzyszeniu „Zamek Czocha", które uporządkowało miejsce przy sztolni i od lat dokumentuje historię obozu Hartmannsdorf, odczytano odnalezioną w Buchenwaldzie relację jednego z więźniów, Niemca Otto Laucknera, który zapamiętał drogę marszu i mijane miejscowości. Średnio pokonywali ok. 26 km dziennie. Pierwszego dnia więźniowie dotarli do Seidenbergu (dziś Zawidowa). Kolejnego – przez Weigsdorf, Seitendorf i Hirschfelde do Zittau. Później mijano – w drodze do Löbau – Spitzcunnersdorf i Seifhennersdorf. Z Löbau przez Bautzen i Kamenz do Königsbrück. Stamtąd, kolejnego dnia – przez Glauschwitz, Sacka, Thiendorf, Schönfeld, Quersa do Adelsdorf, gdzie miał miejsce ostatni wspólny apel. 28 lutego więźniowie wyszli z Adelsdorf – przez Strehla i Oppitzsch – doszli do majątku Forberge koło miasta Riesa. 1 marca przez dzielnice Riesy: Gröba i Merzdorf w kierunku na Canitz–Bornitz–Lonnewitz–Oschatz–Lampertsdorf–Hubertusburg–Wermsdorf i kilka innych wsi. Następnego dnia – relacjonował Lauckner – zapamiętał, że mijano Mutzschen, Pegau, Weissenfels. Po drodze w kolejnych dniach były Naumburg, Bad Kösen, Bad Sulza, Apolda i Weimar. Gdy 12 marca 1945 roku o godzinie 15 więźniowie dotarli wreszcie do obozu Buchenwald, skrupulatnie zostali przeliczeni i zaewidencjonowani w nowym miejscu. Doliczono się zaledwie 399 więźniów różnych narodowości, m.in. 267 Polaków, 94 obywateli radzieckich, 16 Niemców, 7 Czechów, 7 Francuzów, 1 Belga i jednego obywatela Jugosławii. Listę tę publikowaliśmy w „Odkrywcy" (nr 1/2009). Otto Lauckner był ostatnim, zapisanym na podstawowej liście tych, którzy przeżyli marsz śmierci.

○ ○ ○

Znicze będą płonąć aż do 12 marca i przypominać o tych, którzy przeszli wiele setek kilometrów z tego miejsca do obozu w Buchenwaldzie, i tych którym nie dane było doczekać wolności. Pamiętajmy o nich!

ZDJĘCIA: JANUSZ SKOWROŃSKI I KRZYSZTOF ZACHAR

Nazistowskie spotkanie na szczycie, czyli niechlubna historia willi na Giszowcu

DARIUSZ PIETRUCHA

Każdego dnia, jadąc trasą szybkiego ruchu w stronę Pszczyny czy też powracając z tego kierunku do Katowic, mija ją bardzo wielu kierowców. Rzuca się w oczy. Odnowiona, jasna elewacja willi ładnie kontrastuje z otaczającą ją zielenią. Wyniosła i dostojna, miała podkreślać pozycję społeczną mieszkających tam dawniej ludzi. Dzisiaj jej właścicielem jest bank. Jestem pewny, że tysiące przejeżdżających obok niej kierowców obrzuci ją jedynie krótkim, nieco zaciekawionym spojrzeniem; i na tym koniec. Tylko dlatego, że nie znają jej historii i przeszłości. Mowa o willi na Giszowcu, nazywanej dyrektorską.

Gdy opisywałem Wam Giszowiec („Odkrywca" nr 1, 2/2015), opowiedziałem najważniejsze wydarzenia z historii spółki „Giesche's Erben" – inicjatora powstania osiedli na Giszowcu i Nikiszowcu. Wspomniałem również o „epizodzie amerykańskim", gdy niemiecka spółka odsprzedała większość swoich akcji amerykańskiemu koncernowi. Napomknąłem w swej opowieści o ważnej dla dziejów Giszowca osobie, o pochodzącym z Monschau Antonie Uthemannie – dyrektorze generalnym koncernu „Georg von Giesche's Erben" (w latach 1905-1913).

Uthemann, tajny radca górniczy – pozytywista

Zanim objął to stanowisko, był pracownikiem Głównego Urzędu Górniczego we Wrocławiu, gdzie zdobył odpowiednie zawodowe doświadczenie. Pomimo fizycznej ułomności (jedną nogę miał krótszą) był niezwykle aktywnym człowiekiem i wielkim fachowcem w swojej dziedzinie. Szlify zdobywał pracując w kopalniach węgla kamiennego w carskiej Rosji i w wielu niemieckich kopalniach (m.in. w kopalni „Heinitz" w Bytomiu – późniejsza kopalnia „Rozbark"). Opracował system zraszania węgla, co w znacznym stopniu zapobiegało eksplozjom pyłu węglowego. Uchodził za bardzo pracowitego i oszczędnego człowieka oraz wybitnego menedżera. Górny Śląsk docenił jego wkład w rozwój śląskiego przemysłu, upamiętniając jego nazwisko w nazwie huty cynku w Szopienicach (niegdyś huta „Uthemann", później, nieistniejąca już, Huta Metali Nieżelaznych w Szopienicach). Bez wątpienia znajdował wielką satysfakcję w tworzeniu nowych obiektów architektonicznych, a tym bardziej całych założeń. To on był jednym z twórców obecnych dzielnic Katowic – Giszowca i Nikiszowca. Zresztą Giszowiec był jego oczkiem w głowie. Spółka doceniła wkład Uthemanna w swój sukces. W uznaniu jego pracowitości, kompetencji i wiedzy, wybudowano okazały budynek. Stanął nieco za Giszowcem, a konkretnie, zaraz za „osiedlem amerykańskim" i zachwycającą swoją architekturą wieżą ciśnień. Reprezentacyjny dom w pięknym miejscu. W tamtych czasach znajdował się przy drodze do Murcek (obecnie dzielnica Katowic – wtedy Emanuelssegen). Projektantami willi byli kuzyni Georg i Emil Zillmannowie. Wydaje się jednak, iż ów budynek został zbudowany dla dyrektora kopalni „Giesche", a nie Uthemanna. Chyba że mieszkający w dworze na Załężu dyrektor koncernu „Georg von Giesche's Erben", Anton Uthemann, po prostu tego daru nie przyjął, więc przekazano go dyrektorowi kopalni. Budynek nosi w sobie elementy neobaroku, klasycyzmu i secesji. Jego forma przypomina podmiejskie wille wznoszone w Berlinie-Charlottenburgu, łączące w sobie elementy propagowanego przez Hermanna Muthesiusa[1] angielskiego stylu cottage z motywami stylu „około 1800 roku" – w jego wersji znanej jako Heimatstil.

Anton Uthemann (1862-1935) pochodził z rodziny o tradycjach przemysłowych. Wychował się w domu, gdzie nowoczesność stała się celem życia. Praca w kopalni nie była dla niego niczym nowym. Jak już wspomniałem, zatrudnił się w niemiec-

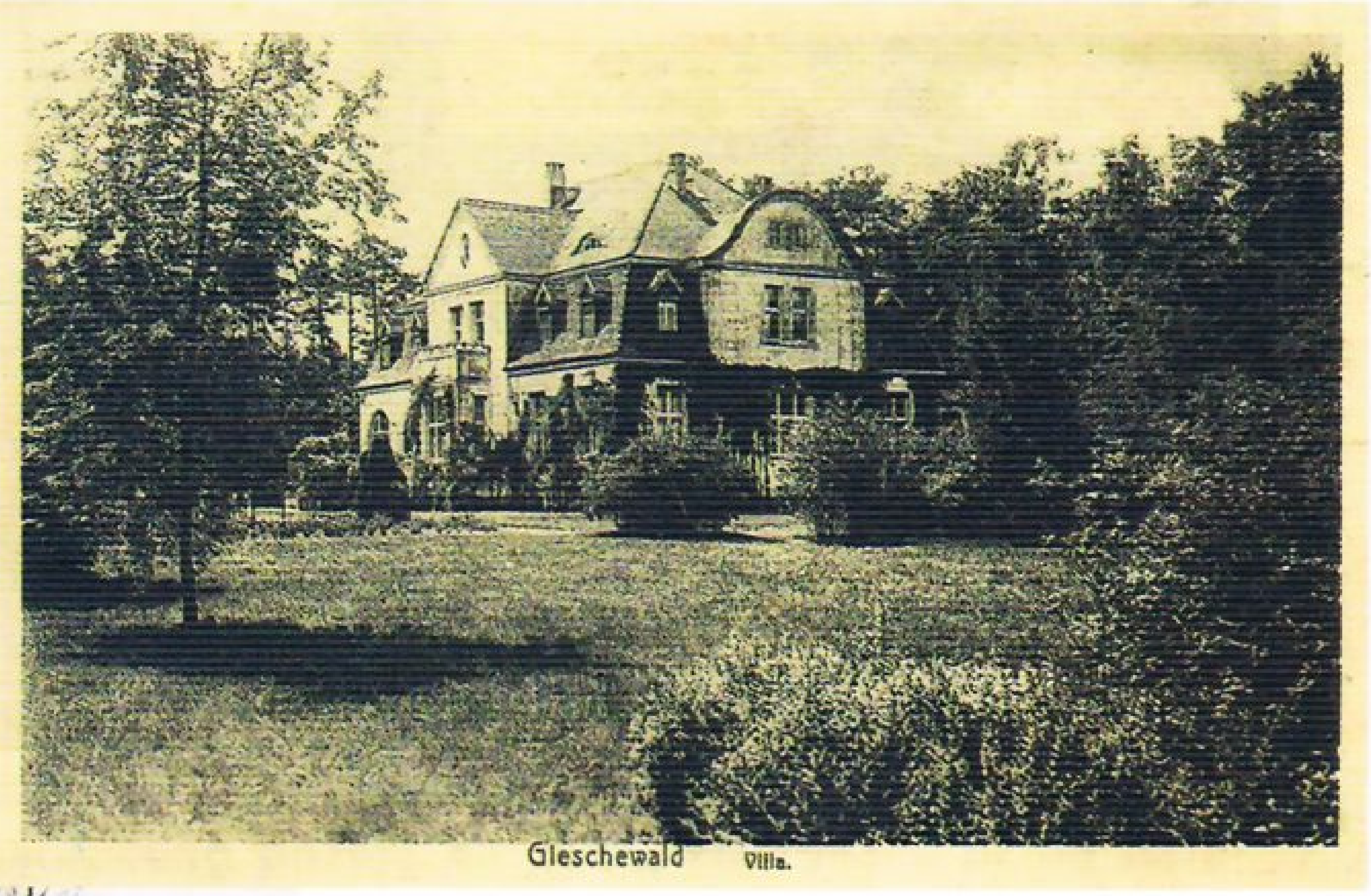

Willa dyrektora kopalni „Giesches Erben" na archiwalnym zdjęciu – autor: Max Steckel oraz na okolicznościowej pocztówce, źródło: www.giszowiec.info

Współczesne zdjęcia willi na Giszowcu, niemego świadka lipcowego spotkania. Fot. D. Pietrucha.

Schron wartowniczy przy wjeździe do willi.

Ogrodzony teren na tyłach willi.

kich kopalniach oraz w zakładach wydobywczych carskiej Rosji. Przypatrywał się różnicom, analizował i szukał nowych rozwiązań. Uczył się górnictwa. Przez jakiś czas pracował również w nieczynnej już bytomskiej kopalni „Rozbark", o czym mieszkańcy Bytomia już zapomnieli. Musiał pokochać Górny Śląsk, bo na niektórych zdjęciach rodzinnych on i jego rodzina ubrani są w stroje rozbarskie. A to świadczy o ogromnym poszanowaniu dla śląskich tradycji. W 1910 r. zaczęto budować willę – późniejsze miejsce zamieszkania dyrektora „Giesche's Erben". Podobno Uthemann sam nadzorował przebieg budowy, co przy jego zamiłowaniu do architektury jest bardzo prawdopodobne. Jednakże nie mieszkał w niej, gdyż w 1913 r. zrezygnował z piastowanej funkcji.[2] Taki był. Doprowadzał przedsiębiorstwa do rozkwitu i odchodził, szukając nowych wyzwań.

Besser, asesor górniczy i pierwszy lokator

Stanowisko dyrektora „Giesche's Erben" objął pochodzący z Essen, asesor górniczy, Carl Besser (1867-1934). Zamieszkał w willi na Giszowcu. To właśnie on był przedstawicielem strony niemieckiej podczas rokowań pokojowych prowadzonych pomiędzy Polską i Niemcami po zakończeniu III powstania śląskiego. Ich celem było wyznaczenie ostatecznej linii granicznej. W 1926 r. z powodu silnych nacisków politycznych (Besser mieszkał w Katowicach, czyli po polskiej stronie) został zmuszony do wyjazdu z Górnego Śląska. Zmarł w Berlinie, a rok później, w Bad Lauterberg w górach Harzu, zmarł Uthemann.[3]

Pracowity, brunatny „kogut" – drugi lokator

Gdy w 1939 r. wschodnia część Górnego Śląska znalazła się pod panowaniem niemieckim, Katowice stały się siedzibą władz okupacyjnych. Od razu powstały tu odpowiednie instytucje, których zadaniem było szybkie zasymilowanie tych ziem z resztą III Rzeszy. Tereny zabrane Polakom włączono do istniejącej jeszcze przed wojną niemieckiej Prowincji Śląskiej (od 1941 r. Prowincji Górny Śląsk – niem. Provinz Oberschlesien). Gauleiterem tej prowincji był Josef Wagner, którego w 1941 r. Hitler pozbawił wszystkich funkcji partyjnych (za rzekomy katolicyzm), a w 1942 usunięto go z NSDAP. W 1944 r. został aresztowany (podobno za powiązania ze spiskowcami z kręgu Stauffenberga), uwięziony i prawdopodobnie zamordowany. To właśnie on wychwalał swojego zastępcę Fritza Brachta, który po zarządzonym przez Hitlera w styczniu 1941 r. podziale Prowincji Śląskiej na Dolnośląską i Górnośląską, został gauleiterem i nadprezydentem Prowincji Górny Śląsk. Tym samym Bracht stał się nowym lokatorem willi na Giszowcu. Zamieszkał w niej w 1941 r. wraz z żoną Paulą.

Fritz Bracht był ogrodnikiem. Walczył podczas I wojny światowej, zgłaszając się w 1917 r. na ochotnika. W sierpniu1918 r. dostał się do brytyjskiej niewoli, w której przebywał do 1919 roku. Po powrocie do domu nauczył się ślusarstwa i w tym zawodzie próbował pracować. Często jednak zmieniał miejsca pracy. Lepiej mu poszło, gdy w 1927 r. wstąpił w szeregi NSDAP (nr leg. 77890), a także SA. Dość szybko robił karierę partyjną, sięgając po kolejne stanowiska. Po dojściu nazistów do władzy został posłem do Reichstagu. W 1935 r. był już zastępcą Wagnera, a od 1941 samodzielnie kierował Prowincją Górnośląską. Pod jego jurysdykcją znalazł się KL Auschwitz-Birkenau. Był hitlerowskim zbrodniarzem, osobiście odpowiedzialnym za zbrodnie na narodzie polskim, zwłaszcza za jego przymusową germanizację i masowe deportacje. Wraz z Reichsführerem SS Heinrichem Himmlerem był świadkiem eksterminacji Polaków i Żydów w komorach gazowych w Birkenau latem 1942 roku. Do końca cieszył się pełnym zaufaniem i poparciem nazistowskiej elity. W 1944 r. Joseph Goebbels powiedział, że Karl Hanke i Fritz Bracht to najlepiej pracujący gauleiterzy... Został zapamiętany jako tęgawy, o miękkich rysach twarzy i nieco

perkatym nosie, w okrągłych okularach, jakie nosił jego „idol" – Himmler. Miejscowi nazywali go „kokot" czyli „kogut".

9 maja 1945 r. wraz ze swoją żoną Paulą popełnił samobójstwo w miejscowości Kudowa-Zdrój (niem. Bad Kudowa), unikając osobistej odpowiedzialności za swoje zbrodnie.

Morele, gorąca czekolada i Królewna Śnieżka

August Kozubek, podczas wojny mąż zaufania załogi kopalni „Giesche", na zlecenie władz kopalni dokonał spisu pomieszczeń willi Uthemanna, która od wybuchu wojny zapewne stała pusta. Zarząd kopalni miał zamiar podarować ją Brachtowi, by w ten sposób zaskarbić sobie jego wdzięczność. Istniała również obawa, że majątek spółki „Giesche" mógł zostać włączony do któregoś z dużych, nazistowskich koncernów przemysłowych. Według wyliczeń Kozubka powierzchnia willi wynosiła 438 m kw. Na parterze były: salon (pow. 40 m kw.), pokój męski (41 m kw.), drugi pokój (40 m kw.), kuchnia (33 m kw.), jadalnia (73 m kw.), hall (45 m kw.) i taras (34 m kw.). Układ pomieszczeń na piętrze nie jest znany. Do willi należały również: garaż i stajnia z dwoma mieszkaniami o łącznej pow. 220 m kw., cieplarnia (110 m kw.), szopy gospodarcze (102 m kw.) oraz ogród o pow. 5 ha. W parku znajdował się kort tenisowy, ogród kwiatowy, sad i ogród warzywny. Podobno Bracht nie był zdecydowany, czy przyjąć ten „prezent" od spółki „Giesche". Gdy w końcu zdecydował się zamieszkać na Giszowcu, od tego momentu teren wokół willi był pilnie strzeżony przez SS. Paula Bracht nosiła przy sobie gwizdek, by natychmiast dać znać ochronie o jakimkolwiek niebezpieczeństwie. Na terenie ogrodu Brachta znajdował się mały, kamienny obelisk z polskim napisem (czterowierszem). Pomnik pochodził spod „zameczku" Mieroszewskich i w 1912 r. przeniesiono go z Janowa do Giszowca (prawdopodobnie na życzenie Uthemanna). Bracht rozkazał zniszczyć pamiątkowy kamień. Ogrodnik Borzucki zniszczył jedynie podstawę, a obelisk zakopał w innej części ogrodu.

Paula Bracht zaczęła uczyć w giszowieckiej szkole jako wolontariuszka. Wszyscy odczuwali przed nią strach, mimo jej niepozornego wyglądu. Ale przecież nie o wygląd chodziło. Nie wykorzystywała jednak swojej pozycji, a nawet starała się pomóc dzieciom. Mieszkańcy Giszowca wspominali podarunki, którymi je obdarowywała, chociażby w postaci moreli ze szklarni Brachta. Gdy zbliżał się dzień urodzin gauleitera, w szkole organizowano zbiórkę pieniędzy na prezent dla niego. Następnie delegacja dzieci udawała się z nim do willi,

Reichsführer SS Heinrich Himmler (pierwszy z lewej w pierwszym rzędzie) podczas inspekcji w 1942 r. zakładów Buna-Werke, należących do koncernu IG Farbenindustrie. Zbiory: Państwowe Muzeum Auschwitz-Birkenau w Oświęcimiu.

gdzie częstowano ich gorącą czekoladą, rarytasem, o którym nawet nie marzyli. Pozwalano także na krótką zabawę w przepięknym ogrodzie. Podobno Bracht, w przypływie wdzięczności za prezent urodzinowy, zamówił trzy autobusy, które przyjechały na Giszowiec i zabrały dzieci na przedstawienie pt. „Królewna Śnieżka" do Katowic. Jednocześnie wydał zarządzenie, aby wszystkie dzieci zbierały po polach zioła dla niemieckich żołnierzy… Nigdy do końca nie zrozumiem tych czasów. A raczej tych ludzi.

Budowniczowie piekła

Kolejnym bohaterem tej opowieści jest Rudolf Höss (1900-1947), komendant KL Auschwitz-Birkenau, największego z niemieckich nazistowskich obozów koncentracyjnych i ośrodków zagłady. 4 maja 1940 r. otrzymał nominację na komendanta KL Auschwitz i był nim do grudnia 1943 roku. Później przeniesiono go do pracy w Głównym Urzędzie Gospodarki i Administracji SS (niem. WVHA, SS-Wirtschaftsund Verwaltungshauptamt), gdzie stał na czele urzędu D I (Inspektorat Obozów Koncentracyjnych). Jednocześnie był zastępcą szefa WVHA Richarda Glücksa. Z rozkazu Himmlera w maju 1944 r. pojawił się raz jeszcze w KL Auschwitz-Birkenau, by pokierować akcją eksterminacji węgierskich Żydów. Był zbrodniarzem wojennym osobiście odpowiedzialnym za zbrodnię ludobójstwa i metody jej przeprowadzenia. Po wojnie został wydany polskiemu wymiarowi sprawiedliwości. Sądzony przez Najwyższy Trybunał Narodowy w Warszawie, 2 IV 1947 r. został skazany na karę śmierci przez powieszenie – na terenie obozu w Oświęcimiu, obok budynku byłej komendantury i krematorium. Szubieni-

Planiści z „fabryki śmierci". Niemieccy członkowie SS Zentralbauleitung pozują na początku 1943 r. przed barakiem pracy w Auschwitz. Barak projektował Walter Dejaco. Szefem kierownictwa budowy był inż. Karl Bischoff (1 rząd, czwarty od prawej). Jego głównymi architektami byli: Dejaco (3. od prawej) i Fritz Ertl (2. rząd, czwarty od lewej). Do mierzenia i wyrysowania planów zmuszono 100 polskich więźniów. Zbiory: Courtesy Yad Vashem. Źródło: „Tiefpunkt der Architekturgeschichte" Roland Stimpel.

ca, na której go powieszono, została zachowana na terenie Muzeum do dzisiaj.

Zanim zginął, opisał swoje życie. To właśnie na jego wspomnieniach będziemy się opierać, wyjaśniając mroczną historię willi na Giszowcu.

Nieco wcześniej, zanim powstała Prowincja Górnośląska, a Bracht zamieszkał na Giszowcu, Höss w listopadzie 1940 r. został wezwany do Berlina. Złożył tam Himmlerowi swoje pierwsze ustne sprawozdanie z działalności podległego mu obozu, wówczas będącego jeszcze obozem pracy.

1 marca 1941 r. Himmler po raz pierwszy odwiedził KL Auschwitz. Towarzyszyli mu m.in.: Fritz Bracht, szef Grupy Urzędów D (Obozy Koncentracyjne) SS-Oberführer Richard Glücks, prezydenci rejencji, wyższy dowódca SS i policji we Wrocławiu SS-Obergruppenführer Ernst Schmauser, a także przedstawiciele koncernu IG Farbenindustrie AG. Bracht jeszcze nie mieszkał w willi na Giszowcu. Decyzje podjęte w trakcie tej wizyty miały fundamentalne znaczenie dla rozwoju KL Auschwitz. W wyniku oględzin Himmler zarządził rozbudowę istniejącego obozu do 30 tys. więźniów oraz wydał rozkaz budowy nowego obozu dla 100 tys. jeńców wojennych – w Birkenau.

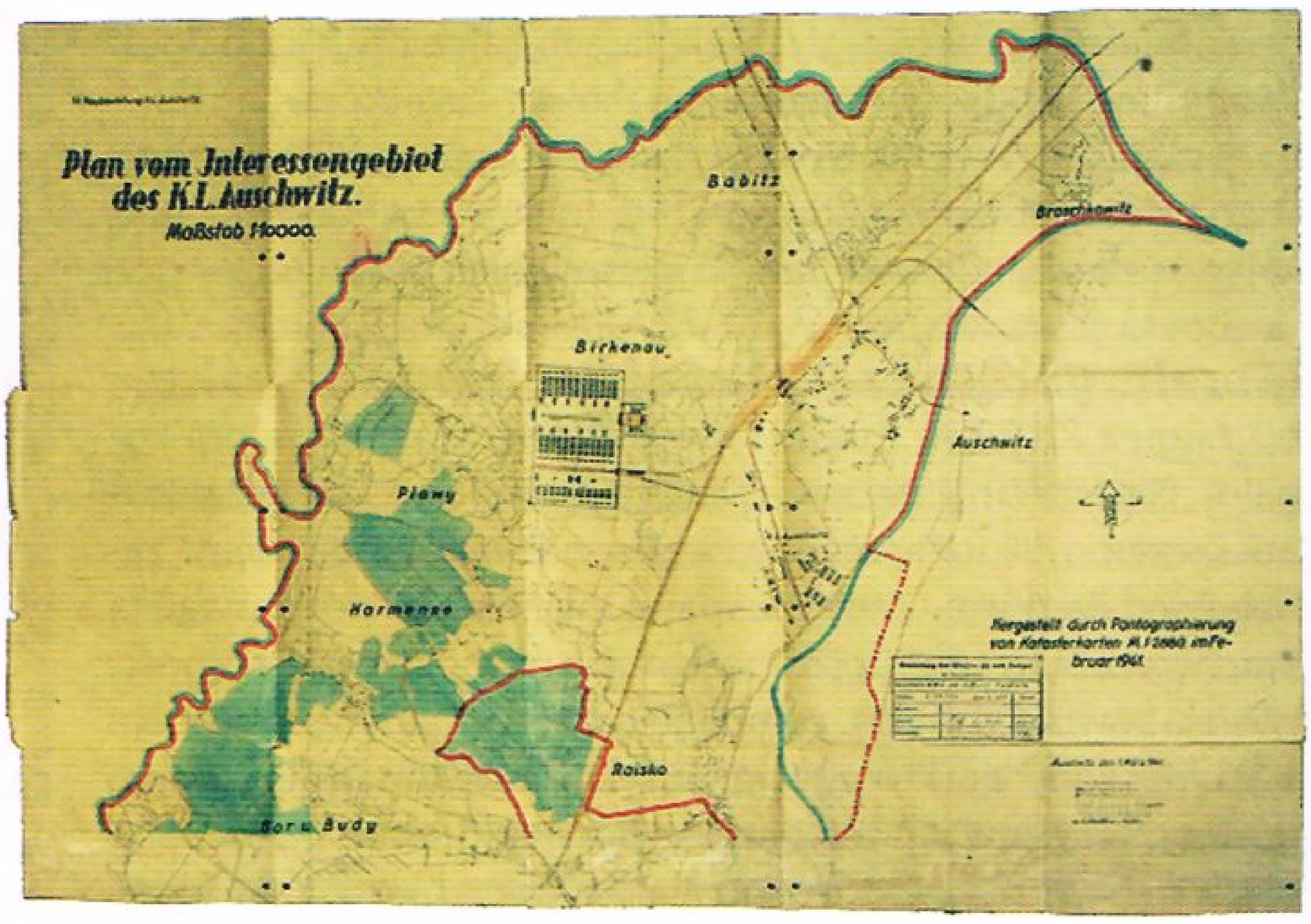

Zarys projektowanego obozu: 33 km kw. otaczające „obszar działania obozu". Na wschód od kolei (linia pomarańczowa) obóz Auschwitz I. Po lewej stronie wielki obóz zagłady Birkenau. Tuż obok obozu (poza czerwoną linią) przebiegała granica miasta Oświęcim. Zbiory: Courtesy Yad Vashem. Źródło: „Tiefpunkt der Architekturgeschichte" Roland Stimpel.

Latem 1941 r. Himmler ponownie wezwał Hössa do Berlina, aby przekazać mu informację o planowanym „ostatecznym rozwiązaniu kwestii żydowskiej" – tym terminem naziści określali zbrodniczy program masowej zagłady Żydów europejskich.

Budowę obozu Birkenau rozpoczęto w październiku 1941 roku. KL Birkenau miała się stać miejscem masowej zagłady Żydów. Zadecydował o tym Höss, po tym, jak latem tego roku Himmler wskazał Auschwitz jako miejsce „ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej".

Do drugiej wizyty na terenie obozu doszło w lecie 1942 roku. To właśnie jej elementem stała się willa na Giszowcu, w której od ponad roku mieszkał już Fritz Bracht. Tym razem towarzyszami Himmlera byli: Bracht, Schmauser i SS-Brigadeführer dr Hans Kammler, późniejszy nadzorca z ramienia SS wszystkich niemieckich tajnych broni i jednocześnie jeden z najbardziej poszukiwanych po wojnie nazistów. Rolę gospodarza pełnił Höss. Obecny był również inż. Karl Bischoff, niemiecki architekt na usługach SS, kierownik rozbudowy KL Auschwitz-Birkenau.

Himmler zjawił się u Hössa 17 lipca 1942 roku. Wizytę rozpoczęto w obozowej kantynie SS, gdzie Höss zapoznał gości ze stanem obozu oraz dokonaną pod jego komendą rozbudową. Uwielbiający studiowanie planów i dokumentów Himmler, z uwagą i wyraźnym zadowoleniem wysłuchał wyjaśnień komendanta Auschwitz. Następnie wszyscy razem udali się do siedziby kierownictwa budowy, gdzie swoje sprawozdanie zdawał Kammler. Potem Höss z gośćmi objechał gospodarstwa rolne, w których pracowali więźniowie, po czym, wraz z inspekcją, udał się do Birkenau, by zaprezentować Himmlerowi obozy sowieckich jeńców, Romów, a także jeden z rewirów obozu żydowskiego. Höss wiedząc, że Himmler obsesyjnie zwraca uwagę na kwestie higieny, starał się zwrócić jego uwagę na fakt, iż baraki więźniów są przepełnione, brakuje kanalizacji i wody do celów sanitarnych. Dlatego personel medyczny obozu ciągle zmaga się z epidemiami chorób zakaźnych wśród więźniów. Jedynym wyjściem, by opanować sytuację, są zwiększone dostawy deficytowych materiałów budowlanych i wyposażenia. Himmler z nieruchomą twarzą wysłuchał wszelkich wyjaśnień, przeanalizował liczby świadczące o niewyobrażalnie wysokiej śmiertelności, czy przeludnieniu obozu i izb chorych, dokładnie zapoznał się z tragicznymi warunkami higienicznymi. W końcu ostentacyjnie zignorował dyskretne uwagi Hössa, odpowiadając mu lakonicznie, że musi dać sobie jakoś radę sam.

Podobno Himmler był świadkiem mordowania w bunkrze nr 2, 449 holenderskich Żydów (jeszcze bez użycia cyklonu B, tylko za pomocą spalin). Obserwował ich tragedię przez okienko w drzwiach…

Kolejnym punktem programu była wizyta w zakładach chemii syntetycznej Buna-Werke należących do koncernu

zdarzyło się…

7 III 1953 r.

62 lata temu zapada decyzja o zmianie nazwy Katowice na Stalinogród. Na wieść o zgonie zmarłego 5 marca Stalina, na polecenie Bolesława Bieruta powstaje ogólnopolski komitet uczczenia jego pamięci – ma on zorganizować gigantyczne uroczystości żałobne. 7 marca zadecydowano, że Katowice staną się Stalinogrodem, a woj. katowickie woj. stalinogrodzkim. Podobno pod uwagę brana była Częstochowa, ale kandydatura upadła ze względu na to, że byłoby niezręcznie informować o dorocznych pielgrzymkach do Stalinogrodu. Zapewne Katowice wybrano jako opiewane przez komunistyczną propagandę serce największego okręgu przemysłowego i skupisko polskiej klasy robotniczej. Stalinogród przetrwał do 22 marca 1957 r., gdy Sejm PRL przywrócił poprzednią nazwę miasta.

I.G.Farben, gdzie Himmler przypatrywał się rozbudowie zakładów i pracującym tam więźniom.

A wieczorem odbyło się wspólne przyjęcie dla oficerów garnizonu obozowego, a także dla zaproszonych gości… przyjęcie w obozie w Auschwitz. Jak wspomina Höss, Himmler był w bardzo dobrym humorze. Po uroczystym spotkaniu Bracht zaprosił wszystkich do swojej willi na Giszowcu. Oprócz Himmlera zostali zaproszeni: Schmauser, Kammler, Joachim Caesar (kierownik gospodarstw rolnych przy KL Auschwitz) i Höss. Himmler postanowił, że pozostanie na noc w willi Brachta, ponieważ nazajutrz chciał omówić z gauleiterem kwestię listy narodowościowej (Volksliste) oraz przesiedleń. Przebieg tego wieczoru Höss dość dokładnie opisał w swoich wspomnieniach. Himmler uległ nagle całkowitej przemianie. Tryskał energią, był wesoły i dowcipny, ale jednocześnie bardzo uprzejmy. Höss wspominał, że uprzejmość była szczególnie widoczna wobec obecnych na przyjęciu pań. Temat obozu, ani wstrząsających obrazów, których był świadkiem, nie istniał tego wieczoru. To zresztą zrozumiałe. Himmler wydał swoim ludziom zakaz rozmawiania o tym z kimkolwiek, nawet z członkami swoich rodzin. Snuł rozmowy na wiele innych tematów. O wychowywaniu dzieci, o sztuce. Bardzo długo rozwodził się na temat walk dywizji Waffen-SS, mówił o wyprawach na front, jakie odbywał z Hitlerem. Höss wspominał, że uczestnicy spotkania byli zauroczeni postawą Himmlera. Twierdził, że już nigdy nie widział Himmlera w tak doskonałym humorze. Pomimo tego, że Bracht próbował skierować rozmowę na tematy dotyczące obozu, Himmler nie dał się w nie wciągnąć. Spotkanie skończyło się późną porą. Wszyscy wrócili do swoich mieszkań.

Następnego dnia rano w giszowieckiej willi Brachta zjawił się Höss wraz ze Schmauserem. Rozpoczął się kolejny dzień wizytacji KL Auschwitz. Tym razem Himmler obejrzał kuchnię obozową, warsztaty, stajnię, magazyny zwane „Kanadą", piekarnię, plac składowy materiałów budowlanych, magazyn gospodarczy oddziału wartowniczego oraz obóz kobiecy. Po inspekcji udał się do służbowego gabinetu Hössa, gdzie przyszedł czas na podsumowanie inspekcji. Był zadowolony, co wyraził na zakończenie wizyty. Stwierdził, że zapoznał się ze wszystkim bardzo dokładnie. Pochwalił Hössa za dobre sprawowanie dowództwa nad obozem, awansując go w nagrodę na stopień SS-Obersturmbannführera oraz odznaczając Wojennym Krzyżem Zasługi II Klasy. Złożył jeszcze krótką wizytę w prywatnym domu Hössa, porozmawiał z jego żoną Hedwig, pobawił się z dziećmi i nie tracąc dobrego humoru, w jaki wprawiło go poczucie dobrze spełnionego obowiązku, którego w żaden sposób nie zmąciły obrazy z KL Auschwitz-Birkenau, odleciał do Berlina. Przed wyjazdem polecił jeszcze Hössowi rozbudowanie domu – jako komendant wielkiego obozu musiał mieć bardziej reprezentacyjną rezydencję…

Owocna noc…

Noc spędzona w willi Brachta na Giszowcu przyniosła Himmlerowi wiele przemyśleń. Wizyta w KL Auschwitz-Birkenau zaowocowała kolejnymi zbrodniczymi decyzjami – o całkowitej likwidacji Romów, jak również niezdolnych do pracy Żydów. Postanowił również o dalszej rozbudowie obozu, zlecając owo zadanie Hössowi i Kammlerowi. Nie chciał słyszeć o jakichkolwiek trudnościach, oczekiwał, że w najbliższym czasie obóz przekształci się w jeszcze większą machinę do zabijania na niespotykaną dotąd skalę. Z takimi myślami obudził się rankiem w willi na Giszowcu.

Lipcowa wizyta Himmlera była ostatnią inspekcją, jaką Reichsführer SS dokonał w KL Auschwitz-Birkenau. Już nigdy się tam nie pojawił.

Niemiecki łącznik…

Lipcowa wizyta Himmlera na Giszowcu miała jeszcze jeden niezmiernie ważny skutek. W poprzednim artykule, gdy opowiedziałem Wam o amerykańskiej kolonii na Giszowcu, wspomniałem postać Eduarda Schulte (1891-1966), od 1925 r. dyrektora naczelnego „Giesche's Erben", który podczas wojny usiłował dokonać przejęcia firmy z rąk amerykańskich. To człowiek, o którym historiografia II wojny światowej nieco zapomniała. Był zawodowo bardzo mocno związany z Giszowcem. Był również przeciwnikiem nazistów i fali zbrodniczego antysemityzmu.

Schulte urodził się Düsseldorfie. Pochodził ze starej, zamożnej rodziny wydawców, księgarzy i an-

Brama na teren położony za willą.

Schron przeciwlotniczy na tyłach willi.

Fritz Bracht, hitlerowski zbrodniarz wojenny, najważniejszy dygnitarz nazistowski działający na Górnym Śląsku. Gauleiter i Nadprezydent Prowincji Górny Śląsk.

Heinrich Himmler, jeden z największych zbrodniarzy w historii, kat Europy, odpowiedzialny za eksterminację Żydów w Europie. Figurował na drugiej pozycji najbardziej poszukiwanych przez aliantów zbrodniarzy wojennych, tuż za Hitlerem. Jeden z głównych przywódców Niemiec hitlerowskich. Szef kolejno: SS (od 1929), Gestapo (od 1934), niemieckiej policji (od 1936), ministerstwa spraw wewnętrznych (od 1943). Popełnił samobójstwo poprzez połknięcie cyjanku potasu, w czasie próby przesłuchania 23 maja 1945. Źródło: www.icollector.com

Rudolf Höss, zbrodniarz, ludobójca. Od IV 1940 do XI 1943 r. komendant KL Auschwitz-Birkenau. W kwietniu 1947 r. Najwyższy Trybunał Narodowy w Warszawie skazał go na karę śmierci. Wyrok przez powieszenie został wykonany 16 IV 1947 r. w Oświęcimiu, tak jak wnioskowali byli więźniowie Auschwitz. Fot. z albumu Karla Hoeckera, esesmana z Auschwitz, adiutanta Richarda Baera. Zbiory: Państwowe Muzeum Auschwitz-Birkenau w Oświęcimiu.

Uczestnicy spotkania w willi na Giszowcu

Hans Kammler, konstruktor i oficer SS. Nadzorował najważniejsze projekty budowlane SS, od wiosny 1945 szef tajnych badań nad tzw. Wunderwaffe. Jeden z największych hitlerowskich zbrodniarzy, odpowiedzialny m.in. za rozbiórkę warszawskiego getta w 1943, usprawnienie komór gazowych i krematoriów w obozach zagłady oraz wymordowanie w latach 1943-1945 więźniów obozu koncentracyjnego Mittelbau-Dora. Nigdy nie osądzony. Źródło: www.governmentcover.com

Richard Glücks, zbrodniarz hitlerowski, szef tzw. Grupy Urzędów D – Obozy Koncentracyjne w strukturach WVHA, której podlegały niemieckie obozy koncentracyjne. Stanowisko to piastował do końca wojny. Glücks popełnił samobójstwo 10 V 1945 r. (zażywając cyjanek) w szpitalu niemieckiej marynarki we Flensburgu. Jest odpowiedzialny za ogromny wzrost liczby obozów i przetrzymywanych w nich więźniów i wszystkie popełnione w nich zbrodnie. Odpowiada za eksploatację przymusowej pracy więźniów, ich masowe zabijanie, głodzenie, katowanie i torturowanie. Za wybudowanie i utrzymywanie w należytym stanie komór gazowych w obozach zagłady Birkenau i Majdanek. Brał udział w przeprowadzaniu eksperymentów pseudomedycznych na więźniach obozów koncentracyjnych. Źródło: www.en.wikipedia.org

Ernst Heinrich Schmauser, wyższy dowódca SS i policji we Wrocławiu. To na jego rozkaz wydany w połowie stycznia 1945 r. rozpoczęto ostateczną ewakuację więźniów KL Auschwitz. Rozpoczęły się Marsze Śmierci do obozów w głębi Rzeszy. Łącznie z KL Auschwitz i podobozów wyprowadzono 58 tys. osób. Źródło: www.en.wikipedia.org

tykwariuszy. Posiadał tytuł doktora prawa. Pomimo swojego kalectwa (w wieku 18 lat w wypadku stracił stopę) był bardzo energicznym człowiekiem i uwielbiał myślistwo. Jego żoną była Clara (z domu Ebert)[4], która pochodziła z Bytowa (niem. Bütow) na Pomorzu. Razem mieszkali we Wrocławiu. W lutym 1933 r. Schulte brał udział w tajnym posiedzeniu, na którym Hitler przedstawił niemieckim finansistom swoje cele. W spotkaniu wzięli udział m.in. Gustav Krupp, Albert Vogler, Fritz Springorum i Georg von Schnitzler. Eduard nigdy nie wstąpił do NSDAP i drażnił go fakt, że jego dwaj synowie byli członkami Hitlerjugend. Jego oczkiem w głowie była kopalnia „Heinitz" w Bytomiu. Schulte, już po spotkaniu Otto Fitznera z Eichmannem w Katowicach w październiku 1939 r., zaczął podejrzewać, że naziści planują dokonanie fizycznej eliminacji Żydów. Postanowił działać. Wykorzystał znajomość z mjr. Szczęsnym Chojnackim (byłym polskim wicekonsulem we Wrocławiu, a podczas wojny agentem polskiego wywiadu w Szwajcarii – oficjalnie asystentem polskiego attaché wojskowego w Bernie), któremu zaczął przekazywać informacje wywiadowcze. Kojarząc lipcową wizytę Himmlera na Giszowcu, połączoną z inspekcją KL Auschwitz-Birkenau, Schulte domyślił się, że naziści rozpoczęli przygotowania do masowej eksterminacji Żydów, co utrzymywano w tajemnicy przed całym światem, a także przed niemiecką opinią publiczną. Postanowił poinformować o tym cały świat.

W tym celu pod koniec lipca1942 r. pojechał do Zurychu i nawiązał kontakt z organizacjami żydowskimi w USA. Spotyka się z finansistą Isidorem Koppelmannem, od lat prowadzącym interesy z koncernem „Giesche" oraz Benjaminem Sagalowitzem, szefem biura informacyjnego Stowarzyszenia Gmin Żydowskich w Szwajcarii. Prosi o poinformowanie diaspory w USA i Waszyngton o przemysłowym charakterze eksterminacji Żydów. Informacje dotarły gdzie trzeba, ale nie wywołały żadnej reakcji...

Miał również swoje kontakty z Allenem Dullesem, przedstawicielem amerykańskiego wywiadu w Szwajcarii oraz z Hansem Berndem Giseviusem, niemieckim konsulem w Zürichu i funkcjonariuszem Abwehry (w latach 30. funkcjonariuszem Gestapo), dość kontrowersyjnym członkiem antyhitlerowskiego spisku Stauffenberga. Można odnieść wrażenie, że trud poniesiony przez Schulte poszedł na darmo.[5]

A giszowiecka willa?

Po wojnie w willi na Giszowcu urządzono przedszkole i przychodnię dla dzieci, która wydawała mleko dla niemowląt. Później mieściła się w niej kawiarenka i harcówka, dość chętnie odwiedzana przez mieszkańców Giszowca. Korty tenisowe porosły trawą, a ogród zdziczał. Dzisiaj właściwie nie ma już po nich śladu. Od 1989 r. budynek popadał w ruinę. Został kupiony przez spółkę bankową. Obok willi postawiono nowoczesny budynek wykonany ze szkła, aluminium i klinkieru, wewnątrz bardzo nowocześnie urządzony. Willa została całkowicie przebudowana. Tylko na zewnątrz wygląda tak samo jak na archiwalnych zdjęciach. Nowy budynek jest połączony z willą podziemnym korytarzem. W obydwu pracują menadżerowie i urzędnicy bankowi. Budynek jest ściśle strzeżony i niedostępny. Za willą rozciąga się spory teren, a także ogrodzony obszar, na którym widać podziemny schron przeciwlotniczy. Nie da się tam wejść, więc nie powiem Wam, czy pochodzi z czasów Brachta. Konstrukcja budynku i samego wejścia do schronu sugeruje, że tak. Przed wejściem do willi znajduje się mały bunkier wartowniczy z podziemną częścią, który najpewniej pochodzi z czasów, gdy uważnie strzeżono willi gauleitera. Tym bardziej, gdy przebywał w niej sam Himmler. Ogrodzenie terenu, jego betonowe słupki i brama wjazdowa, jak i drut kolczasty zwieńczający ogrodzenie, wyglądają jakby pochodziły z czasów Brachta. Przynajmniej spora ich część. Gdy teraz będziecie przejeżdżać obok willi na Giszowcu, spójrzcie na nią innym okiem. Już wiecie, jak bogata, a zarazem tragiczna, jest jej historia.

Śródtytuły pochodzą od redakcji.

Przypisy:

[1] Niemiecki architekt wczesnego modernizmu i teoretyk architektury (1861-1927), założyciel Werkbundu, postępowego związku architektów odrzucających tradycyjne formy architektoniczne.

[2] Mieszkał w dworze na Załężu, przy obecnej ulicy Gliwickiej.

[3] W 2006 r. na Giszowcu postawiono mu pomnik, z okazji 100-lecia Giszowca.

[4] Poznali się w Anglii, gdzie Clara szukała śladów zmarłej pisarki, Charlotte Brontë. Clara była zafascynowana Marią Curie-Skłodowską, którą znała osobiście. Próbowała swoich sił jako pisarka. Napisała powieść o Charlotte Brontë „Charlotte Brontë. Geniusz w cieniu", która przeszła bez echa. Karierę zrobiła jej druga powieść „Das Hausam Ring", w której opisała historię firmy „Giesche". Naziści potraktowali jej książkę jako materiał propagandowy, dokumentujący niemieckie tradycje przemysłowe na Górnym Śląsku. Większość nakładu znalazła się w gmachu obecnego katowickiego Urzędu Wojewódzkiego, skąd przekazywano ją do bibliotek i różnych placówek. W I 1945 r. w Katowicach odnaleziono sterty jej książek. Po wojnie Clara rozwiodła się z Eduardem. Zmarła w Niemczech Zachodnich. Ich syn Wolfgang w 1939 r. w szeregach Wehrmachtu walczył w Polsce. W 1943 r. zaginął pod Stalingradem. Ich drugi syn Ruprecht walczył na froncie zachodnim. Pod koniec wojny poprosił o azyl w Szwajcarii. Udało mu się przeżyć wojnę.

[5] Schulte w XII 1943 r., ostrzeżony przez przyjaciół, uciekł z Gliwic do Szwajcarii. Okazało się, że zaufana maszynistka przepisująca jego raporty dla Dullesa, niedokładnie zniszczyła kalkę, która wpadła w ręce SS. Schulte do końca wojny pozostał w Szwajcarii, gdzie ściągnął swoją żonę. Amerykanie zlecili mu opracowanie studium o powojennej reorganizacji niemieckiego przemysłu. Po wojnie obiecano mu stanowisko w zachodnioniemieckim rządzie, ale go nie otrzymał (pomimo rekomendacji Allena Dullesa, Freda Gäthke i marszałka Bernarda Montgomery'ego). Rozgoryczony wrócił do Szwajcarii. Zmarł na raka żołądka w Zurychu. Jego pogrzeb odbył się bez żadnych honorów. Prochy pochowano w Düsseldorfie. W 1993 r. jedną z ulic Düsseldorfu nazwano jego imieniem.

Literatura:

1. L. Jabłoński (red.), „Giszowiec, Nikiszowiec, Szopienice. Przewodnik po dzielnicach Katowic", praca zbiorowa, Katowice 2008
2. J. Bahlcke, D. Gawrecki, R. Kaczmarek (red.), „Historia Górnego Śląska. Polityka, gospodarka i kultura europejskiego regionu", praca zbiorowa, Gliwice 2011
3. E. Chojecka (red.), „Sztuka Górnego Śląska", praca zbiorowa, Katowice 2004
4. I. Kozina, „Chaos i uporządkowanie. Dylematy architektoniczne na przemysłowym Górnym Śląsku w latach 1763-1955", Katowice 2005
5. J. Popanda, M. Więcki, „W okupowanym mieście. Topografia Katowic w latach 1939-1945", Katowice 2013
6. M. Szejnert, „Czarny ogród", Kraków 2007
7. J. Tofilska, „Katowice Nikiszowiec. Miejsce, ludzie, historia", Katowice 2007

Dariusz Pietrucha

Prezes Stowarzyszenia na Rzecz Zabytków Fortyfikacji „Pro Fortalicium".

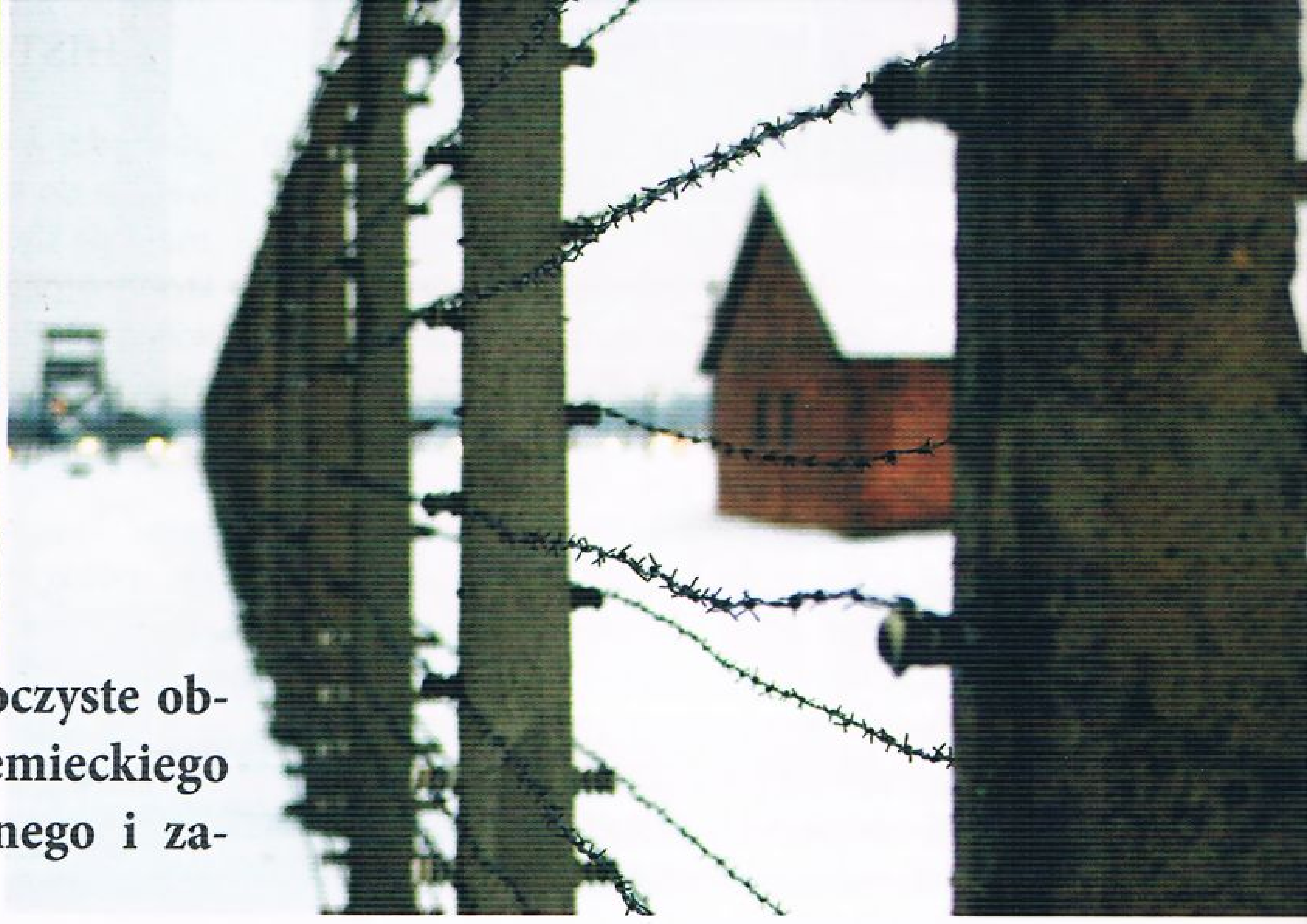

27 stycznia 2015 roku odbyły się uroczyste obchody 70. rocznicy wyzwolenia niemieckiego nazistowskiego obozu koncentracyjnego i zagłady Auschwitz-Birkenau...

Tego dnia cały świat był w Oświęcimiu...

IZABELA KWIECIŃSKA, PIOTR MASZKOWSKI

ZDJĘCIA: PAŃSTWOWE MUZEUM AUSCHWITZ-BIRKENAU/ MAREK KOCJAN, JAROSŁAW PRASZKIEWICZ

Początek. Pierwszym akcentem rozpoczynającym ten wyjątkowy dzień, było złożenie wieńców i zapalenie zniczy pod Ścianą Straceń przez ok. 100 Ocalonych, byłych więźniów niemieckich obozów, oraz prezydenta RP Bronisława Komorowskiego. Ściana Straceń zwana też Czarną Ścianą lub Ścianą Śmierci stała na dziedzińcu Bloku 11. Od jesieni 1941 r. esesmani przez dwa lata wykonywali przed nią egzekucje przez rozstrzelanie. Zgładzili w ten sposób wiele tysięcy osób, głównie Polaków.

Uroczyste odsłonięcie 7 tablic upamiętniających Darczyńców Fundacji Auschwitz-Birkenau. Ich wsparcie udzielone w ramach kampanii „18 Filarów Pamięci" oraz subwencje 35 państw pomogą w budowie Kapitału Wieczystego, którego zyski finansować będą prace konserwatorskie wszystkich autentycznych pozostałości w Miejscu Pamięci Auschwitz.

Filary Pamięci: • Melinda Goldrich, Andrea Goldrich Cayton oraz Goldrich Family Foundation, stworzona przez ich ojca, Jona Goldricha, ocalałego z Holokaustu; • Elly Kleinman – założyciel Kleinman Family Holocaust Education Center, które zajmuje się przekazywaniem doświadczeń ortodoksyjnych Żydów z okresu Holokaustu; • Ronald S. Lauder – przewodniczący Światowego Kongresu Żydów; • Frank Lowy – ocalony z Holokaustu, który stracił wielu członków swojej rodziny w Auschwitz; • Lily Safra oraz The Edmond J. Safra Foundation; • The Righteous Persons Foundation Stevena Spielberga; • Toronto Jewish Community.

Potężny namiot rozłożony nad dawną bramą wjazdową do byłego obozu Auschwitz II w Birkenau. Tu odbyły się główne uroczystości tego szczególnego dnia…

Najważniejszymi uczestnikami byli Oni – ostatni żyjący Ocalali. Ok. 300 Ocalałych, świadków historii Auschwitz, spotkało się przed Bramą Śmierci byłego obozu Birkenau, aby upamiętnić 70. rocznicę wyzwolenia Auschwitz. Dla wielu z nich ta okrągła rocznica, ten dzień, był ukoronowaniem ich osobistego zwycięstwa nad zwątpieniem i zapomnieniem…

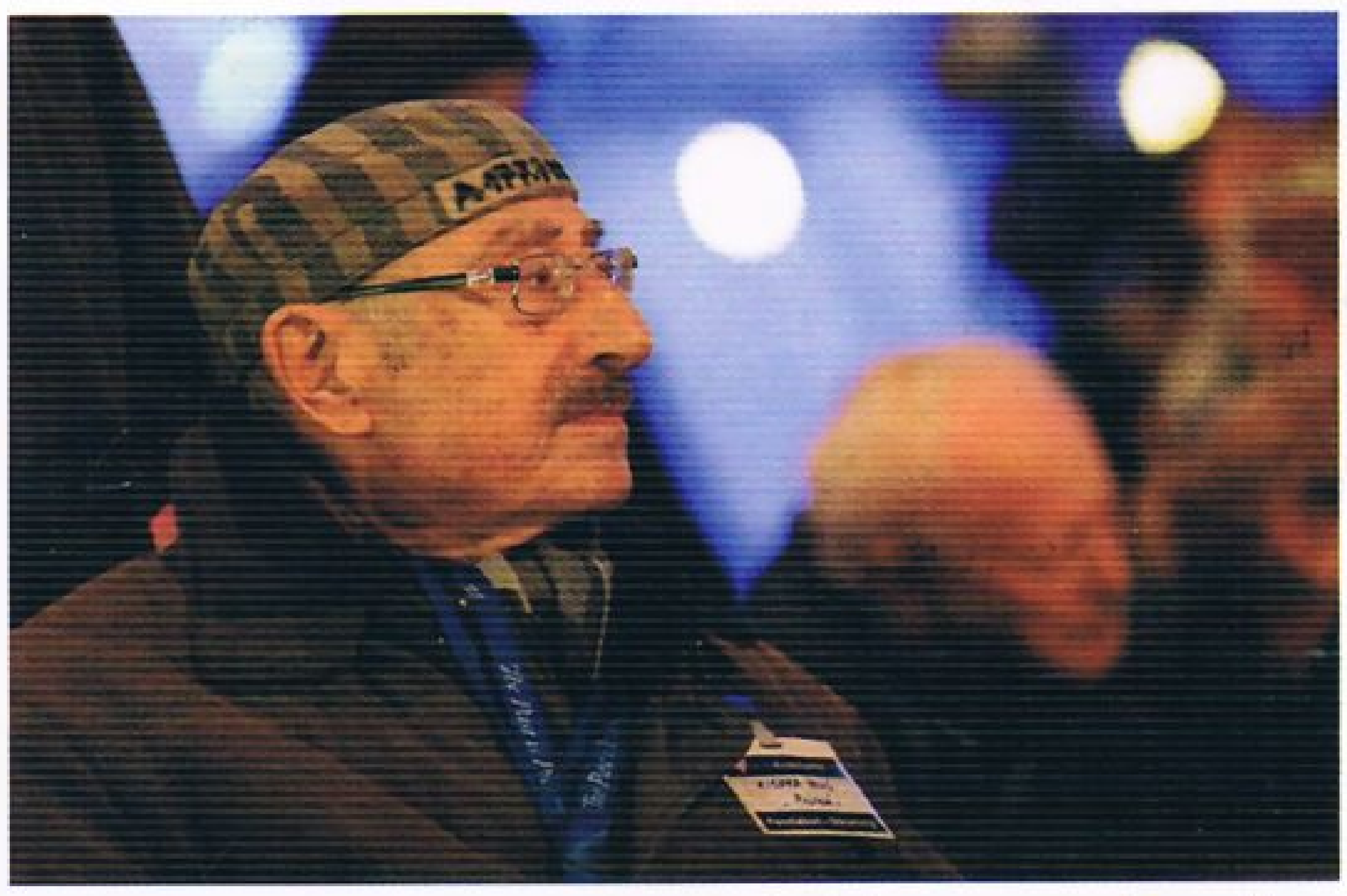

Byli więźniowie – najważniejsi uczestnicy obchodów 70. rocznicy wyzwolenia Auschwitz…

Towarzyszyli im i słuchali głosu Ocalałych liderzy ponad 40 państw – m.in. głowy koronowane, prezydenci, premierzy, ministrowie i dyplomaci, a także przedstawiciele wielu międzynarodowych instytucji, organizacji społecznych, duchowni, jak również – za pośrednictwem mediów – wszyscy pragnący uczcić pamięć ofiar niemieckich nazistów.

Gości powitał Prezydent RP Bronisław Komorowski, który objął obchody rocznicowe swoim honorowym patronatem. W imieniu „Filarów Pamięci" głos zabrał Ronald S. Lauder. Wszystkim zebranym za ich obecność w tym szczególnym dniu dziękował dyrektor Miejsca Pamięci Auschwitz, dr Piotr M.A. Cywiński

Najważniejsze jednak słowa w dniu rocznicy wygłosili byli więźniowie obozu: Halina Birenbaum, Kazimierz Albin oraz Roman Kent.

Namiot prasowy. W tym dniu cały świat był w Oświęcimiu… Również my.

Halina Birenbaum, była więźniarka Auschwitz, deportowana do Auschwitz w wieku 14 lat, poetka i pisarka:

– Niezliczoną ilość razy umierałam, zamierałam ze strachu, bólu, napięcia selekcji, w widoku mąk i konania innych więźniarek, moich sąsiadek z przetłoczonych nar, towarzyszek losu w tej grozie nie do opisania, bez końca, gdy każda chwila była wiekiem oraz błagalnym pytaniem, czy jeszcze będzie następna? – Byłam tam, tak strasznie byłam! Uwięziona przez dwa lata, obca już samej sobie w tym nagłym przeobrażeniu piekła, nielegalna w Auschwitz – żydowskie dziecko, które ma natychmiast iść do gazu!

– Zło Auschwitz nieuświadomione, niezgłębione, tli się spokojnie i odradza w narastającym terrorze, antysemityzmie, rasizmie, aż do publicznego, bezkarnego ścinania ludziom głów na oczach całego świata, z tego tylko powodu, że są inni.

Kazimierz Albin, były więzień Auschwitz, członek Rady Muzeu oraz Międzynarodowej Rady Oświęcimskiej, do obozu Auschwitz deportowany w pierwszej grupie polskich więźniów politycznych.

– Od pierwszego dnia toczy się nieustanna walka o biologiczne przetrwanie, o wydarcie śmierci jak najwięcej istnień, o zachowanie godności ludzkiej. Skuteczną formą samoobrony stały się ucieczki z obozu. Więźniowie uciekali, by wynieść dokumenty zbrodni SS, by przekazać światu prawdę o obozie. Niewielu doznało tego szczęścia. Na dźwięk syreny obozowej specjalne jednostki pościgowe SS, wspomagane przez uzbrojone patrole niemieckich bauerów w miejsce wysiedlonych Polaków, ruszały do akcji poszukiwawczych. Przejmujące zawodzenie syreny napawało więźniów lękiem ze względu na stosowane represje, ale dawało również nadzieję, że świat dowie się o zbrodniach hitlerowskich w KL Auschwitz-Birkenau. Ja sam usłyszałem tę syrenę po raz ostatni późnym wieczorem 27 II 1943 r., kiedy – po ucieczce z Auschwitz – wśród spływającej kry przeprawiałem się przez Sołę. Ten dźwięk tkwi w mojej podświadomości wciąż jeszcze…

Roman Kent, były więzień Auschwitz, Prezydent Międzynarodowego Komitetu Oświęcimskiego i członek Międzynarodowej Rady Oświęcimskiej deportowany z getta Litzmannstadt

– Jestem często pytany, jak długo byłem w Auschwitz… odpowiadam, że nie wiem. Wiem jednak, że minuta w Auschwitz była jak cały dzień, dzień był jak rok, a miesiąc jak cała wieczność. Jak wiele wieczności jeden człowiek może przeżyć w ciągu swojego życia? – na to pytanie także nie znam odpowiedzi.

– Musimy uczyć naszych dzieci tolerancji i zrozumienia. Tolerancja nie może być zakładana. Trzeba jej się nauczyć. Zostało jeszcze bardzo wiele do zrobienia. Wszyscy musimy być w to zaangażowani i wszyscy musimy pozostać zaangażowani. Nikt nie powinien być tylko obserwatorem. Jestem o tym tak bardzo przekonany, że gdybym miał taką władzę, dodałbym do uniwersalnie akceptowanych Dziesięciu Przykazań przykazanie jedenaste: „Nigdy, przenigdy nie powinieneś być biernym obserwatorem".

Zapalenie zniczy przed Międzynarodowym Pomnikiem Ofiar Obozu.

Wspólna modlitwa… Uroczystość zwieńczyły modlitwy w intencji ofiar. Zabrzmiał Kadisz, żałobna El Male Rachamim, Wieczne spoczywanie. W kilku językach modlili się rabini oraz duchowni katoliccy, luterański i prawosławny.

PODZIEMIE dosłowne i w przenośni

TOMASZ RZECZYCKI

Przymiotnik „podziemny" posiada w języku polskim dwojakie znaczenie. To bardziej oczywiste, odnosi się do podziemnych obiektów różnego typu jak m.in. kopalnie, jaskinie czy obiekty strategiczne, oraz do infrastruktury podziemnej jak metro, tunele kolejowe itd. Jest też drugie znaczenie tego słowa, które z biegiem czasu niewątpliwie będzie odchodzić w zapomnienie, a dotyczące nielegalnej, konspiracyjnej działalności, w tym działalności zbrojnej. Nie każdy jednak wie, że w części udostępnionych obecnie do zwiedzania obiektów podziemnych, podczas II wojny światowej prowadzona była działalność podziemna – w sensie przenośnym. Podziemia służyły jako kryjówki ludzi i broni, czy też miejsca przechowywania dobytku.

Słowa z biegiem lat zmieniają swoje znaczenie. Pamiętam wiosnę 1999 r., kiedy to w Głębokiem koło Międzyrzecza odbywało się Forum Podziemnych Tras Turystycznych Polski. Środowisko organizatorów podziemnej turystyki było wtedy pełne entuzjazmu i… jeszcze zintegrowane. „Polskie podziemie to jedna rodzina" – dało się słyszeć w kuluarach obrad. Przymiotnik podziemny miał wtedy niemal jednoznaczne konotacje. Nikt nie podejrzewał, że kilka lat później, m.in. dzięki powstaniu Muzeum Powstania Warszawskiego, podjęta zostanie próba reanimacji odchodzącego w przeszłość, wojennego znaczenia tego słowa. Dzisiaj obydwa przesłania wydają się być równoważne. Jednak turystyczne obiekty podziemne tętnią życiem, podczas gdy weterani i bohaterowie „państwa podziemnego" stopniowo odchodzą na zawsze. Rzeczywistość jest nieubłagana i zapewne w bliskiej przyszłości przymiotnik „podziemny" będzie wywoływać pierwsze skojarzenie wiążące się z obiektami znajdującymi się pod poziomem gruntu. Skojarzenia wojenne i kombatanckie odejdą na drugi plan. Czas pokaże, kiedy to nastąpi.

Strzelnica Armii Krajowej

Zanim jednak do tego dojdzie, spróbujmy zrobić przegląd tych miejsc podziemnych, w których prowadzono działalność „podziemną", lub też tylko we wspomnieniach i legendach zachowały się o nich informacje. Najsłynniejszy i chyba niebudzący żadnych wątpliwości przypadek tego rodzaju miał miejsce w Opatowie. Opatów, ongiś jedno z najpiękniejszych, zabytkowych miasteczek województwa tarnobrzeskiego, położony jest pomiędzy Ostrowcem Świętokrzyskim a Sandomierzem. Miejscowość leży na żyznych glebach lessowych. Mają one to do siebie, że łatwo w nich drążyć podziemne korytarze i komory. Centralnym punktem miasta jest Plac Obrońców Pokoju nazywany, wbrew oficjalnej nazwie, „rynkiem". Pod tymże placem oraz pod częścią przyległych do niego kamienic utworzona została u schyłku PRL podziemna trasa turystyczna. Ze względu na wystrój zasługuje ona na miano bodajże najpiękniejszej spośród tras podziemnych, wytyczonych w zespołach piwnic staromiejskich. Podziemia te zabezpieczyli górnicy z Przedsiębiorstwa Robót Górniczych w Bytomiu.

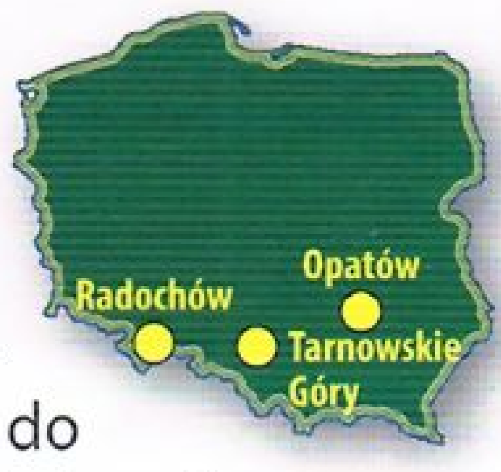

Jedna z piwnic ma szczególny charakter, i otrzymała z tego względu specjalny wystrój. To właśnie tam podczas II wojny światowej, w okresie utraty polskiej państwowości, gdy ziemia opatowska znajdowała się pod okupacją niemiecką, członkowie jednej z polskich organizacji partyzanckich upatrzyli sobie kryjówkę. Piwnica została zamieniona na nielegalną strzelnicę. Znajdujące się kilka metrów pod ziemią pomieszczenie idealnie nadawało się do takich celów. Grube mury i warstwa gleby izolowały piwnicę od świata i tłumiły odgłosy. Podziemna strzelnica była niezależna od warunków meteorologicznych, panujących na powierzchni, więc strzelania można tam było dokonywać o dowolnej porze roku. Pamiątką po tamtym sposobie wykorzystywania piwnicy stała się tablica, umieszczona na ścianie, o treści:

„W tym pomieszczeniu w latach 1939-1944 żołnierze Związku Walki Zbrojnej Armii Krajowej podobwodu Opatów dokonywali prób broni ręcznej i maszynowej".

Tablica pamiątkowa w podziemiach opatowskich informująca o partyzanckiej przeszłości jednego z pomieszczeń.

Kilkadziesiąt kilometrów na północ od Opatowa, za Ostrowcem Świętokrzyskim, znajdowała się dawna wioska Krzemionki. Piszę znajdowała, bowiem po wsi nie ma już śladu, gdyż jej mieszkańcy zostali wysiedleni w XX wieku. Masowe wysiedlenia, jakie miały tam miejsce, były następstwem odkrycia naukowego, dokonanego po I wojnie światowej. Sensacją na skalę kraju było natrafienie na płytką, podziemną kopalnię krzemienia pasiastego z okresu neolitu. Po latach starań w neolitycznych wyrobiskach wykonana została profesjonalna, podziemna trasa turystyczna. Zanim tak się stało, obrońcy prehistorycznej kopalni musieli stoczyć wiele przysłowiowych bojów. Między innymi trzeba było ukrócić dziką eksploatację wapienia, prowadzoną przez okolicznych rolników. Tak się bowiem składa, że złoże zawierające krzemienne buły znajduje się w utworach wapiennych. A wapień miał swoją wymierną wartość finansową. Efekt był taki, że osoby wydobywające wapień, zniszczyły część oryginalnych wyrobisk z neolitu. Tak to przynajmniej oceniali

Jedna z komór stacji pomp przy szybie „Staszic". Wedle doniesień powojennej prasy, gdzieś w tych podziemiach przechowywano broń podczas okupacji niemieckiej.

naukowcy. Z punkty widzenia miłośników podziemi zarówno jedne, jak i drugie wyrobiska posiadają wartość samą w sobie – niezależnie od tego czy liczą sobie kilkadziesiąt lat, czy też kilka tysięcy lat. Podczas II wojny światowej część podziemi w Krzemionkach zaczęła pełnić funkcje użytkowe. W podziemiach ukrywali się zarówno Polacy, jak i Żydzi. Także polscy partyzanci. Ludność cywilna chowała tam swój dobytek, wprowadzając nawet krowy i kozy. Naturalnie do tego celu wybierano młodsze wyrobiska wapiennikarskie, bo te neolityczne, ze względu na niewielką wysokość, były po prostu zbyt ciasne.

Broń w szybie „Staszic"

Drugowojenny epizod mają na swoim koncie także podziemia tarnogórskie. Ten rozgałęziony układ podziemnych korytarzy, szybów i komór rozpościera się głównie pod Tarnowskimi Górami, chociaż część wyrobisk leży pod północną częścią Bytomia i pod skrawkiem Radzionkowa, a jedna ze sztolni ma swój wylot na terenie gminy Zbrosławice. W latach 1922-1939 podziemia te, leżące wówczas w większości na terenie Polski, podzielone były granicą polsko-niemiecką, a wylot sztolni „Fryderyk" znajdował się już na terenie Niemiec. Stąd powszechne były powojenne opowieści, o dokonywanym pod ziemią przemycie. Podobne oskarżenia formułowano pod adresem niemieckiej rodziny Henckel von Donnersmarck, posiadającej po polskiej stronie granicy pałac w Reptach. Insynuowano, jakoby Donnersmarckowie, poprzez szyby wentylacyjne leżące na terenie ich reptowskiej posiadłości, pozwalali na przenikanie na teren Polski niemieckich agentów i dywersantów, którzy mieli wchodzić do podziemi po niemieckiej stronie granicy. Abstrahując od prawdziwości bądź też nieprawdziwości tych oskarżeń, trzeba pamiętać, że tego rodzaju propaganda w okresie PRL padała na podatny grunt.

A jak było podczas II wojny światowej?

Ciekawa jest relacja Krystyny Dąbrowskiej, zamieszczona w kwietniu 1947 r. w jednym z numerów „Gazety Robotniczej" – górnośląskiej gazety partyjnej wychodzącej do połowy grudnia 1948 roku. Autorka opisała swoją wizytę w podziemiach tarnogórskiego szybu „Staszic". Przy szybie tym, znajdującym się w południowej części Tarnowskich Gór, funkcjonowała stacja pomp, wydobywająca wodę na potrzeby wodociągów. Tam, kilkadziesiąt metrów pod ziemią, wykute zostały trzy duże komory pompowe. Tam też zaczyna się sztolnia „Fryderyk", której część udostępniona jest zwiedzającym pod nazwą „Sztolni Czarnego Pstrąga". Plastyczny i realistyczny opis autorstwa dziennikarki górnośląskiej gazety świadczy o tym, iż rzeczywiście odwiedziła ona opisywany szyb „Staszic" i odbyła podziemną przejażdżkę łodzią. Chociaż autorka używa formy „Staszyc", to nie ma najmniejszej wątpliwości, o jakie miejsce chodzi. W omawianym tekście znaleźć można ciekawe informacje: *„Chodniki szybu Staszyca niejednemu uratowały życie w czasie okupacji* – pisze Krystyna Dąbrowska. *A w tym wykuszu skalnym, zasuniętym kamieniem idący ze mną sztygar przechowywał broń…"* – dodaje potem dziennikarka.

Czy tak rzeczywiście było?

Faktem jest, że szyb „Staszic" służył przed II wojną światową nie tylko pracownikom wodociągów, lecz także jako szyb zjazdowy nielicznym wycieczkom, jakie zaczęły odwiedzać Tarnowskie Góry. Wśród mieszkańców miasta nie brakowało pasjonatów zapuszczających się w te podziemia i marzących o uruchomieniu kopalni pokazowej – jak ją wówczas nazywano. Wybuch wojny z Niemcami w 1939 r. i utrata niepodległości przez Polskę pokrzyżował plany turystycznego rozwoju odsuwając je na dalszą przyszłość. Trudno wykluczyć taką ewentualność, aby ci z pol-

Jaskinia Radochowska, domniemana kryjówka oddziału Werwolfu.

Krzemionki koło Ostrowca Świętokrzyskiego. Podziemne wyrobiska miały też swój drugowojenny epizod.

skich mieszkańców Tarnowskich Gór, którzy wchodzili do podziemi, mieli potem nie wykorzystać informacji o przebiegu podziemnych korytarzy do ukrywania różnych przedmiotów, w tym i broni palnej. Szkoda tylko, że Krystyna Dąbrowska nie sprecyzowała bardziej „podziemnej" roli wyrobisk szybu „Staszica"...

Jaskiniowcy z Werwolfu

Znacznie bardziej intrygująco od opisanych wyżej przykładów, wygląda przypadek z domniemanym partyzanckim epizodem Jaskini Radochowskiej. Jaskinia ta znajduje się w zachodniej części Gór Złotych, przy śródleśnej polanie położonej w niewielkiej odległości od ostatnich zabudowań wioski Radochów. Za czasów niemieckich była to znana atrakcja turystyczna, odwiedzana zwłaszcza przez kuracjuszy z pobliskiego uzdrowiska Lądek Zdrój. Przy jaskini stał domek dozorcy, a w nim skromna wystawa eksponatów. Do czasu, gdy jesienią 1966 r. odkryta została Jaskinia Niedźwiedzia w Kletnie, to właśnie Jaskinia Radochowska uchodziła (jak się okazało niesłusznie) za największą jaskinię w polskiej części Sudetów.

Przeglądając kolejne numery tygodnika „Nowiny Jeleniogórskie", natknąłem się w jednym z nich, z 1999 r., na sensacyjną zgoła wzmiankę opisującą Jaskinię Radochowską: *„Oglądając podziemne sale warto wiedzieć, że w listopadzie 1945 r. ujęto tutaj pięcioosobową grupę dywersyjną Wehrwolfu".* Dziennikarz „Nowin Jeleniogórskich" nie wyssał tej informacji z palca. Tym, który rozpowszechnił informację o ujęciu dywersantów z Werwolfu, był prof. Wojciech Ciężkowski z Politechniki Wrocławskiej – autor m.in. wydanego w 1998 r. przewodnika po Lądku Zdroju. Prof. Wojciech Ciężkowski znany jest też jako badacz i miłośnik Jaskini Niedźwiedziej. Swego czasu pytałem prof. Ciężkowskiego o źródło tej informacji, jednak nie udało się do niego dotrzeć. Trudno się dziwić, wszak po kilku czy kilkunastu latach od wydania przewodnika, może wypaść z pamięci skąd zaczerpnięte zostały konkretne wiadomości podane w treści publikacji. Przewodnik turystyczny należy przecież do literatury popularnej, a nie naukowej.

Nie udało mi się także znaleźć potwierdzenia tej informacji w meldunkach sytuacyjnych Wojsk Ochrony Pogranicza z 1945 roku. Jej brak był już pewną wskazówką. Wszak Jaskinia Radochowska leży w strefie nadgranicznej, a w pierwszych latach powojennych WOP, w swych meldunkach relacjonował właściwie wszystkie istotne wydarzenia, jakie miały miejsc na podległym mu terenie. Tym bardziej więc ujęcie grupy niemieckich dywersantów powinno być odnotowane. Nie udało się też natrafić na tego rodzaju wiadomość w powojennej, śląskiej prasie. A Jaskinia Radochowska w latach 1947-1949 wielokrotnie gościła na łamach różnych gazet, takich jak katowickie: „Gazeta Robotnicza" i „Dziennik Zachodni", czy też wrocławskie: „Kurier Ilustrowany" i „Słowo Polskie". Dziennikarze pisali o różnych aferach związanych z tą jaskinią. Już sam fakt, że tuż po wojnie jaskinia miała swojego niemieckiego opiekuna, mógł zwracać uwagę polskich dziennikarzy. Czy przemilczeliby informację o ujęciu „bandy niemieckiego Werwolfu"? Wydaje się, że nie. Przy ówczesnej silnej fobii antyniemieckiej nawet najmniejsze wzmianki o działalności „niedobitków hitlerowskich" były odpowiednio nagłaśniane. Z ustaleń Macieja Bartkowa, autora dwóch książek na temat działalności Werwolfu na Górnym Śląsku wynika, że w okresie powojennym władze komunistyczne raczej wyolbrzymiały zagrożenie Werwolfem, a nie tuszowały i nie ukrywały informacji o jego działalności.

zdarzyło się...

18 III 1939 r.

76 lat temu po czterech wiekach przerwy Polska uzyskała granicę z Węgrami. Fakt ten był konsekwencją podpisanego w 1938 r. układu w Monachium, który zapoczątkował rozkład państwa czechosłowackiego. Na jego mocy Niemcy zyskały Kraj Sudecki, rząd II Rzeczypospolitej wykorzystując osłabienie swego południowego sąsiada zajął Śląsk Zaolziański, Węgrzy zaś niedługo potem anektowali południową część Rusi Zakarpackiej. Gdy ta jednak ogłosiła w marcu 1939 roku niepodległość jako Karpato-Ukraina Budapeszt w wyniku interwencji zbrojnej zajął całe jej terytorium. W ten sposób powstał liczący ok 180 km pas graniczny z Polską biegnący od okolic Łupkowa po górę Stoh w Karpatach Marmaroskich. Jednak nie na długo. Kilka miesięcy później bowiem wybuchła II wojna światowa...

Poniekąd rozwiązanie zagadki hipotetycznego pobytu niemieckich partyzantów w Jaskini Radochowskiej nastąpiło w 2006 roku. Wtedy to, z okazji 40. rocznicy odkrycia Jaskini Niedźwiedziej w Kletnie, ukazała się książka – praca zbiorowa pod redakcją prof. Wojciecha Ciężkowskiego. Autorem jednego z zamieszczonych tam podrozdziałów był Emil Rakoczy, który wspominał początki swojego zainteresowania jaskiniami tuż po II wojnie światowej. Oto stosowny fragment: *„Ostatecznie na początku września 1945 r. zamieszkaliśmy w Radochowie. Tu zaczęła się moja pierwsza przygoda z jaskinią. Wieś szybko się zaludniała, a ludzie się integrowali. Zorganizowana grupa mieszkańców z oficerem Wojska Polskiego na czele udała się pewnego razu do pobliskiej jaskini, obecnie Jaskini Radochowskiej. Było podejrzenie, że mogą się tam ukrywać niedobitki niemieckiego oddziału dywersyjnego Werwolfu. Byłem wykorzystany do penetracji trudnych, niedostępnych zakątków jaskini. Oczywiście nie było tam śladu przebywania niemieckiego oddziału”.* Wygląda więc na to, że strach przed nieznanym wśród nowych, „polskich górali" z Radochowa przyczynił się do powstania plotki o Werwolfie.

Pod koniec XX wieku decyzją katowickiego sądu zarejestrowane zostało Stowarzyszenie Podziemne Trasy Turystyczne z siedzibą w Tarnowskich Górach. Już nieco wcześniej grupa inicjatywna sporządziła klasyfikację poszczególnych tras podziemnych, wydzielając jako jedną z kategorii obiekty pomilitarne. Zaliczono do nich np. Międzyrzecki Rejon Umocniony, Sztolnie Walimskie czy tunel w Strzyżowie. Nieco żartobliwie można by powiedzieć, że do powyższej kategorii na upartego można też zaliczyć opisane powyżej obiekty podziemne. Oprócz rzecz jasna Jaskini Radochowskiej, w której żadnego Werwolfu nie było...

ZDJĘCIA: TOMASZ RZECZYCKI

Literatura i publikacje:

1. P. Makuch „Ruch Oporu w Opatowie w okresie II wojny światowej", [w:] F. Kryk (red.), „Opatów. Materiały z sesji 700-lecia miasta", Sandomierz 1985, s. 209
2. E. Rakoczy, „Moja biografia na drodze do Jaskini", [w:] W. Ciężkowski (red.), „Jaskinia Niedźwiedzia w Kletnie. 40 lat eksploatacji, badań, ochrony i turystyki", Wrocław-Kletno 2006, s. 263.
3. „Gazeta Robotnicza" (edycja katowicka) nr 95, 8.4.1947, s. 2
4. „Ochrona Zabytków" nr 1 (204), 1999, s. 19
5. „Nowiny Jeleniogórskie" nr 20 (2135), 18.5.1999, s. 21

Tomasz Rzeczycki
Długoletni współpracownik „Odkrywcy". Wnikliwy badacz dziejów zagospodarowania polskich Sudetów oraz historii podziemnych tras turystycznych istniejących na terenie naszego kraju.

○ ○ ○

W artykule „Skarby z karkonoskich schronisk" („Odkrywca" nr 2/2015), na stronie 20, w treści artykułu, omyłkowo podana została data pożaru schroniska im. księcia Henryka Pobożnego – z 10 na 11 X 1946 r. Prawidłowa jest data z 9 na 10 X 1946 r. (widniejąca w podpisie pod zdjęciem). Za przekręcenie daty autor przeprasza Czytelników. Natomiast na stronie 18 tegoż artykułu zacytowana została z polskojęzycznej Wikipedii nieprecyzyjna informacja, jakoby schronisko Schlingelbaude dopiero w 1951 r. po przejęciu przez PTTK otrzymało nazwę schroniska im. Bronisława Czecha. Faktycznie nazwa ta funkcjonowała w oficjalnych dokumentach już od 1946 r., natomiast w 1951 r. podana została opinii publicznej.

REKLAMA

ARCHIWUM „ODKRYWCY" – TAK TANIO JESZCZE NIE BYŁO!

W odpowiedzi na liczne prośby naszych Czytelników przedłużamy specjalną ofertę zakupu egzemplarzy archiwalnych do **31 marca 2015 roku** (liczy się termin złożenia zamówienia). Proponujemy Wam zakup archiwalnych numerów „Odkrywcy" **PO REWELACYJNIE NISKIEJ CENIE 5 ZŁ ZA EGZEMPLARZ.** Oferta dotyczy wszystkich dostępnych numerów, a szczególnie numerów z lat 2006-2013 (od 1/84 do 12/179), których regularna cena wynosi od 7 do 10 zł, oraz numerów z pierwszego półrocza 2014 roku (od nr 1/180 do 6/185) których regularna cena to 12, 60zł.

Dodatkowe warunki promocji dotyczące numerów od 1/84 do 6/185 opłaconych przed odbiorem:

» przy zamówieniu 12 dowolnych numerów lub całego rocznika, Zamawiający nie ponosi żadnych dodatkowych kosztów,

» przy zamówieniu od 9 do 11 numerów – ze względu na wagę jest to już paczka – Zamawiający pokrywa koszty wysyłki w wysokości 13 zł,

» przy zamówieniu od 5 do 8 numerów, Zamawiający pokrywa koszty wysyłki w wysokości 6,30 zł*,

» przy zamówieniu od 2 do 4 numerów, Zamawiający pokrywa koszty wysyłki w wysokości 3,70 zł,

» przy zamówieniu 1 numeru Zamawiający pokrywa koszty wysyłki w wysokości 1,75 zł.

Wpłaty należy kierować na nasze konto: numer 98 2490 0005 0000 4520 6153 2533
dla IBHiK sp. z o.o., ul. Wojska Polskiego 15c, 62-500 Konin.
Uwaga: dokonując wpłaty odpowiedniej kwoty na nasze konto, akceptujecie Państwo podane warunki promocji wraz z dodatkowymi opłatami.

Prosimy pamiętać o podaniu swoich danych (**imię, nazwisko i adres**) niezbędnych do realizacji zamówienia. W tytule przelewu prosimy o wpisanie jakich numerów dotyczy zamówienie.

Przykłady:
1. Zamawiam rocznik (12 numerów) z 2012 roku – cena stara 108 zł – **cena nowa 60 zł**
2. Zamawiam 8 numerów z lat 2010-2012 – cena stara od 72 zł – **cena nowa 40 zł ***
3. Zamawiam 5 pierwszych numerów z roku 2014 – cena stara 63 zł – **cena nowa 25 zł**

Przy zamówieniach opłaconych przy odbiorze, czyli „za pobraniem", do wartości zamówienia, poza ewentualnym kosztem przesyłki, doliczamy dodatkowo 3 zł za usługę pobrania. **Uwaga:** takie zamówienie należy złożyć drogą mailową na adres: prenumerata@odkrywca.pl lub przesłać faksem pod numer 71 329 83 71. W zamówieniu należy podać dokładnie, jakie numery Państwo zamawiacie, podać wartość zamówienia wraz z opłatami dodatkowymi – przesyłka i pobranie. Zamówienia „za pobraniem" złożone telefoniczne nie będą realizowane. Informujemy, że mają Państwo prawo do odstąpienia od umowy zakupu w terminie do 14 dni od dnia otrzymania zamówienia.

Podstawa prawna: Ustawa o prawach konsumenta, Kodeks cywilny.

Dodatkowe informacje możecie Państwo uzyskać pod numerem telefonu 71 329 71 71, e-mailem prenumerata@odkrywca.pl a także na stronie www.odkrywca.pl i na facebooku.

Zapraszamy do uzupełnienia swojego archiwum po wyjątkowo preferencyjnych cenach!

Przypominamy, że numery z lat 2001-2005 są do nabycie zawsze w cenie 5zł/egz. natomiast numery z II półrocza 2014 roku (od 7/186) do aktualnego, są do nabycia w obniżonej cenie wydawniczej 12, 60 zł/egz. razem z wysyłką listem zwykłym krajowym.

Najprościej dokonując wpłaty

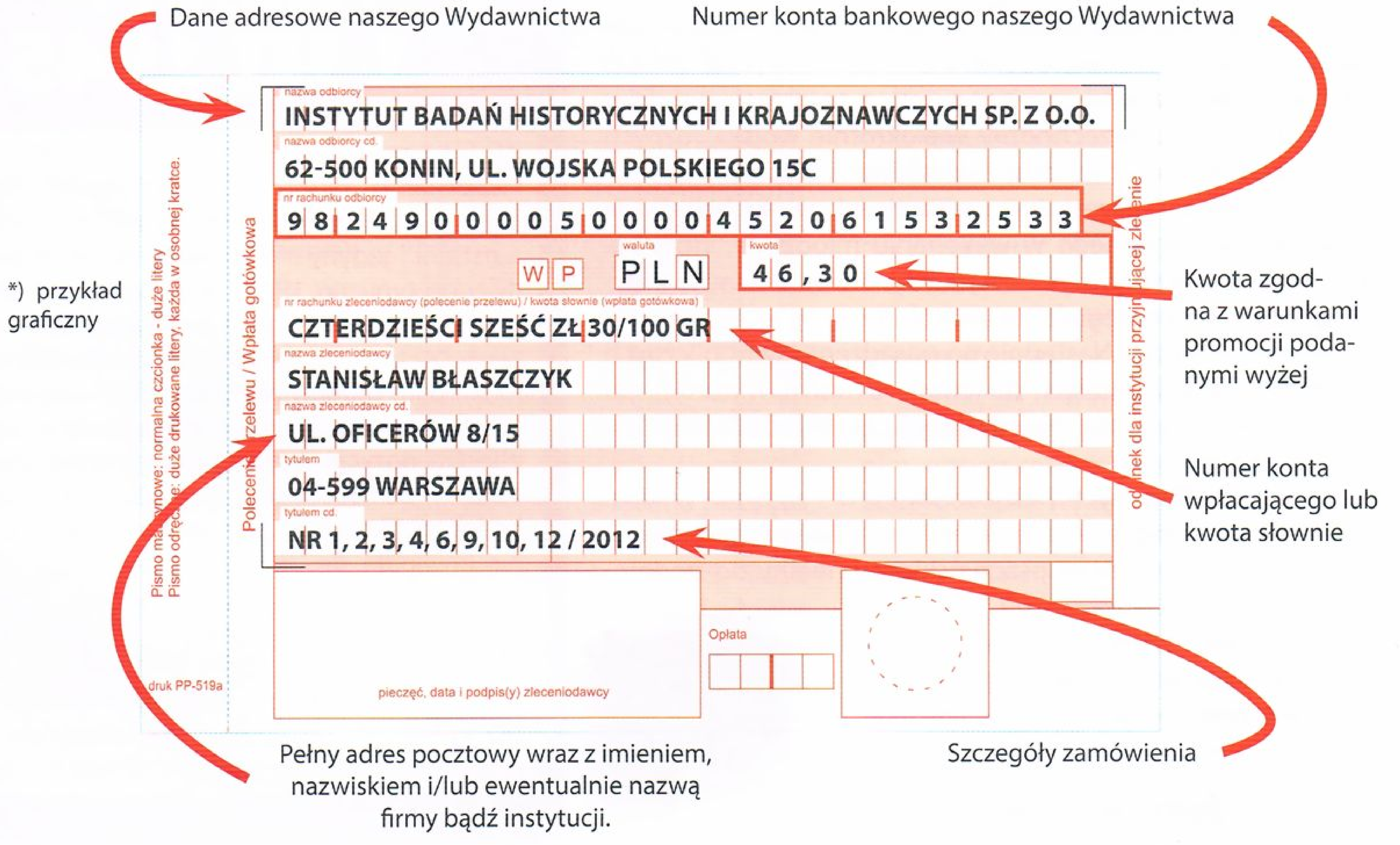

Muzeum Militarnych Dziejów Śląska w Pszczynie

JAROSŁAW PTASZKOWSKI

Na mapie historycznych muzeów Polski pojawiła się ostatnio kolejna placówka, której zadaniem będzie propagowanie dziejów naszego kraju, a zwłaszcza regionu śląskiego.

9 listopada 2014 r. w Pszczynie przy ul. Katowickiej 1, gdzie znajduje się tzw. „Domek Ogrodnika" lub, jak kto woli, „Chatka Baby Jagi", z udziałem miejscowych władz samorządowych, młodzieży i licznie zgromadzonych gości odbyła się uroczystość inaugurująca otwarcie i działalność Muzeum Militarnych Dziejów Śląska. Nowopowstałe muzeum jest przede wszystkim dziełem lokalnych pasjonatów skupionych w „Pro Memoria – Stowarzyszenie bitwy pod Pszczyną 1939", którego prezesem jest dr Marian Małecki. W swoim przemówieniu nakreślił on znaczenie dziejów Ziemi Pszczyńskiej dla historii zarówno Polski, jak i tej powszechnej, europejskiej czy wręcz światowej. Przypomniał m. in. następujące fakty: przez Pszczynę jechała do naszego kraju z Włoch późniejsza królowa Bona, tędy uciekał z Polski król Henryk Walezy, podczas I wojny światowej znajdował się tu sztab armii niemieckiej, który ogłosił wówczas decyzję o totalnej wojnie morskiej na Atlantyku, tutaj także zredagowano słynny Akt 5 Listopada, wreszcie, okoliczna ludność jako pierwsza wzięła znaczący udział w Powstaniach Śląskich, walcząc o polskość tych ziem. Pszczyna przez ok. 200 lat była także miastem garnizonowym, a na przestrzeni dziejów przez miasto przechodziły wielokrotnie wojska różnych państw, uczestnicząc w licznych konfliktach zbrojnych.

Zgromadzeni uczestnicy uroczystości wysłuchali także programu artystycznego w wykonaniu młodzieży, która zaprezentowała szereg pieśni wojskowych oraz omówiła przebieg bitwy, jaka rozegrała się wokół Pszczyny w pamiętnym Wrześniu 1939 roku. Następnie po posadzeniu symbolicznych 3 dębów: „drzew pamięci" dokonano otwarcia Muzeum, po którym pierwszą grupę zwiedzających oprowadzał osobiście dr Marian Małecki.

Muzeum Militarnych Dziejów Śląska w Pszczynie w kilku pomieszczeniach prezentuje następujące ekspozycje stałe:

» Dzieje militarne ziemi pszczyńskiej od neolitu do średniowiecza.
» Okres nowożytny.
» Burzliwy wiek dziewiętnasty.
» Wiek dwóch wojen światowych.

W sumie, w salach wystawowych zgromadzono ok. 700 militarnych eksponatów muzealnych, zaś w przyległym budynku odbywać się będą ciekawe prezentacje multimedialne dla wycieczek i zwiedzających. Obok „Domku Ogrodnika" obejrzeć można także wystawę plenerową „Śląsk i Ziemia Pszczyńska w czasie Pierwszej Wojny Światowej". Ponieważ pod Pszczyną znajduje się pozycja ufortyfikowana zbudowana latem 1939 roku, która sąsiaduje z fortyfikacjami Obszaru Warownego „Śląsk", może z upływem czasu także tematyka budowli militarnych zagości na ekspozycjach nowej pszczyńskiej placówki muzealnej.

Muzeum Militarnych Dziejów Śląska w Pszczynie jest otwarte od wtorku do piątku w godzinach: 11–15, a w soboty i niedziele od 12 do 16. Wstęp jest bezpłatny.

Jarosław Ptaszkowski
Miłośnik polskich fortyfikacji okresu II Rzeczypospolitej oraz historii Wojska Polskiego, z zawodu lekarz.

zdarzyło się...

1 III 1945 r.

75 lat temu pod Bierujskiem doszło do ostatniej, skutecznej szarży polskiej jazdy. Atak przeprowadziła 1. Warszawska Samodzielna Brygada Kawalerii – ostatni i jedyny sformowany na nowo związek taktyczny tego typu po 1939 roku. Formacja, działająca w ramach 1. Armii WP (LWP) powstała w 1944 r. i składała się w większości z b. żołnierzy 19. Pułku Ułanów Wołyńskich i 21. Pułku Ułanów Nadwiślańskich. Jej najbardziej spektakularnym wyczynem było skuteczne natarcie na niemieckie pozycje pod wsią Schönefeld (dawn. Borujsko, obecnie Żeńsko w woj. zachodniopomorskim). Gdy próba jej zdobycia przy pomocy rodzimej piechoty i czołgów nie powiodła się, do walki rzucono siły dwóch konnych szwadronów, które przełamały opór przeciwnika i przy niewielkich stratach własnych pokonały wroga. W skali końcowego etapu II wojny światowej, na polu bitwy zdominowanym przez artylerię, broń pancerną i lotnictwo, był to wyczyn zasługujący na szczególne uznanie, kończący jednak pewną epokę w dziejach polskiego oręża.

Austro-węgierskie kwadranty artyleryjskie

ŁUKASZ CHRZANOWSKI

Artyleria, której początki sięgają XII w., przetrwała w klasycznej formie praktycznie do końca lat 40. XIX wieku. Na fali podziwu dla osiągnięć Napoleona[1], kręgi wojskowe skutecznie wymuszały, aby ich armie posiadały jak najbardziej nowoczesną artylerię zdolną do skutecznego niszczenia wroga i jego umocnień. W konsekwencji działa miały spełniać dwa warunki. Po pierwsze miały strzelać dalej i celniej niż działa przeciwnika. Po drugie, ich pociski miały mieć większą moc niszczącą. Niestety, do lat 40. XIX w. nie opracowano konstrukcji dział o osiągach znacząco odbiegających od swoich poprzedników z początku XIX wieku. Wielu wojskowym zdawało się nawet, że zdobycze rewolucji przemysłowej skutecznie omijają zagadnienia związane z artylerią. Dopiero w połowie XIX w. Cavelli, Wahrendorff i Whitworth skonstruowali działa gwintowane ładowane odtylcowo, które mogły precyzyjnie miotać pociski na odległość 2-3 km. Od tego momentu rozwój artylerii nabiera bardzo szybkiego tempa. Nowe materiały konstrukcyjne oraz ich precyzyjna obróbka, a także możliwość zastosowania większych ładunków prochowych, przekładają się na wzrost donośności dział. Coraz trudniej było więc prowadzić skuteczny ostrzał, gdyż odległość często powodowała, że cel znajdował się poza zasięgiem wzroku.[2]

Z pomocą przyszła matematyka, a w szczególności jeden z jej działów zajmujący się rachunkiem prawdopodobieństwa. Dzięki strzelaniom poligonowym możliwe było wyznaczenie zależności pomiędzy: wielkością ładunku prochowego, rodzajem pocisku, kątem podniesienia lufy działa, a odległością, na jaką poleci pocisk. Matematyczna obróbka danych poligonowych umożliwiała opracowanie wiarygodnych tablic, które ułatwiały artylerzystom prowadzenie ostrzału (fot.1). Chcąc trafić w cel, artylerzyści muszą skierować oś lufy w jego kierunku, oraz nadać jej kąt podniesienia, który przy konkretnym typie pocisku oraz ładunku prochowego zapewni donośność równą odległości do celu. Można więc wyodrębnić dwie czynności: nadanie kierunku oraz nadanie podniesienia.

W przypadku gdy cel jest widoczny, celowanie jest bezpośrednie. Celowniczy bezpośrednio zgrywał szczerbinkę celownika z muszką działa na celu. Taki sposób wykorzystywano w praktyce do XX w., kiedy wprowadzono celowniki z niezależną linią celowania. Największy sukces odniósł wtedy celownik panoramiczny Goertza, który w praktyce, w niemal identycznej formie, wykorzystywały armie Niemiec, Austro-Węgier i Rosji (wg polskiej nomenklatury jest to panorama artyleryjska lub kątomierz działowy). Co więcej, przetrwał on również okres II wojny światowej, by dopiero pod koniec XX w. ustąpić najnowocześniejszym celownikom.

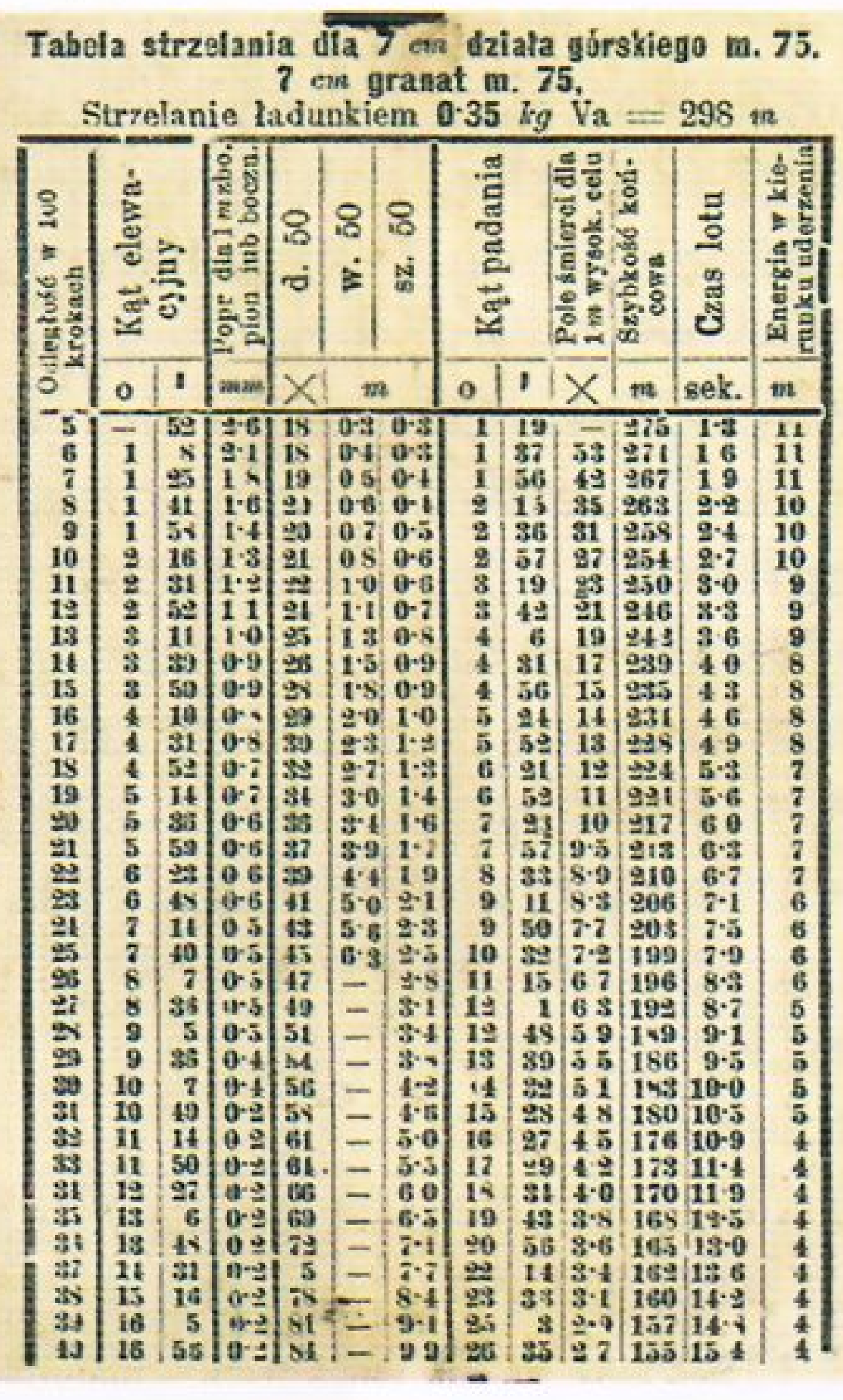

Tabela strzelania dla 7 cm działa górskiego m. 75.
7 cm granat m. 75.
Strzelanie ładunkiem 0·35 kg Va = 298 m

Odległość w 100 krokach	Kąt elewacyjny		Popr. dla 1 m zbo. płon. lub boczn.	d. 50	w. 50	sz. 50	Kąt padania		Pole śmierci dla 1 m wysok. celu	Szybkość końcowa	Czas lotu	Energia w kierunku uderzenia
	°	'	mm	X	m		°	'	X	m	sek.	m
5	—	52	2·6	18	0·3	0·3	1	19	—	275	1·3	11
6	1	8	2·1	18	0·4	0·3	1	37	53	271	1·6	11
7	1	25	1·8	19	0·5	0·4	1	56	42	267	1·9	11
8	1	41	1·6	20	0·6	0·4	2	15	35	263	2·2	10
9	1	58	1·4	20	0·7	0·5	2	36	31	258	2·4	10
10	2	16	1·3	21	0·8	0·6	2	57	27	254	2·7	10
11	2	31	1·2	22	1·0	0·6	3	19	23	250	3·0	9
12	2	52	1·1	24	1·1	0·7	3	42	21	246	3·3	9
13	3	11	1·0	25	1·3	0·8	4	6	19	243	3·6	9
14	3	30	0·9	26	1·5	0·9	4	31	17	239	4·0	8
15	3	50	0·9	28	1·8	0·9	4	56	15	235	4·3	8
16	4	10	0·8	29	2·0	1·0	5	24	14	231	4·6	8
17	4	31	0·8	30	2·3	1·2	5	52	13	228	4·9	8
18	4	52	0·7	32	2·7	1·3	6	21	12	224	5·3	7
19	5	14	0·7	34	3·0	1·4	6	52	11	221	5·6	7
20	5	36	0·6	35	3·4	1·6	7	24	10	217	6·0	7
21	5	59	0·6	37	3·9	1·7	7	57	9·5	213	6·3	7
22	6	23	0·6	39	4·4	1·9	8	33	8·9	210	6·7	7
23	6	48	0·6	41	5·0	2·1	9	11	8·3	206	7·1	6
24	7	14	0·5	43	5·6	2·3	9	50	7·7	203	7·5	6
25	7	40	0·5	45	6·3	2·5	10	32	7·2	199	7·9	6
26	8	7	0·5	47	—	2·8	11	15	6·7	196	8·3	6
27	8	36	0·5	49	—	3·1	12	1	6·3	192	8·7	5
28	9	5	0·5	51	—	3·4	12	48	5·9	189	9·1	5
29	9	35	0·4	54	—	3·8	13	39	5·5	186	9·5	5
30	10	7	0·4	56	—	4·2	14	32	5·1	183	10·0	5
31	10	49	0·2	58	—	4·6	15	28	4·8	180	10·5	5
32	11	14	0·2	61	—	5·0	16	27	4·5	176	10·9	4
33	11	50	0·2	64	—	5·5	17	29	4·2	173	11·4	4
34	12	27	0·2	66	—	6·0	18	34	4·0	170	11·9	4
35	13	6	0·2	69	—	6·5	19	43	3·8	168	12·5	4
36	13	48	0·2	72	—	7·1	20	56	3·6	165	13·0	4
37	14	31	0·2	[illegible]	—	7·7	22	14	3·4	162	13·6	4
38	15	16	0·2	78	—	8·4	23	34	3·1	160	14·2	4
39	16	5	0·2	81	—	9·1	25	3	2·9	157	14·8	4
40	16	56	0·2	84	—	9·9	26	35	2·7	155	15·4	4

Fot. 1. Przednia strona podręcznej tablicy strzeleckiej do 7 cm armaty górskiej M. 75. Tablice te były specjalnie drukowane dla artylerzystów Legionów Polskich, których obdarowano tymi przestarzałymi armatami.

W przypadku gdy cel jest niewidoczny, celowanie zwane było celowaniem pośrednim i zazwyczaj wymagało wykorzystania obserwatora, który widział zarówno cel, jak i działo. Następnie, dzięki prostej trygonometrii, możliwe było odpowiednie ukierunkowanie. Kolejnym krokiem było już tylko nadanie odpowiedniego podniesienia lufy. W tym celu należało posłużyć się kwadrantem.

Samo urządzenie, w wersji najprostszej, ma dwa prostopadłe do siebie boki oraz ruchome ramię z poziomicą. Podziałka umieszczona na boku pozwala ustawić ramię z poziomicą zgodnie z żądanym kątem. Po umieszczeniu kwadrantu w taki sposób, aby przylegał on dokładnie do płaskiej powierzchni lufy, należy nadać lufie podniesienie, aż do momentu całkowitego zgrania poziomicy, tj. do momentu, kiedy bańka powietrza zawarta w poziomicy znajdzie się centralnie na środku poziomicy. W tym położeniu oś lufy zawiera z poziomem kąt, który ustawiony został na kwadrancie. Zgodnie z tą zasadą działają wszystkie kwadranty (fot. 2).

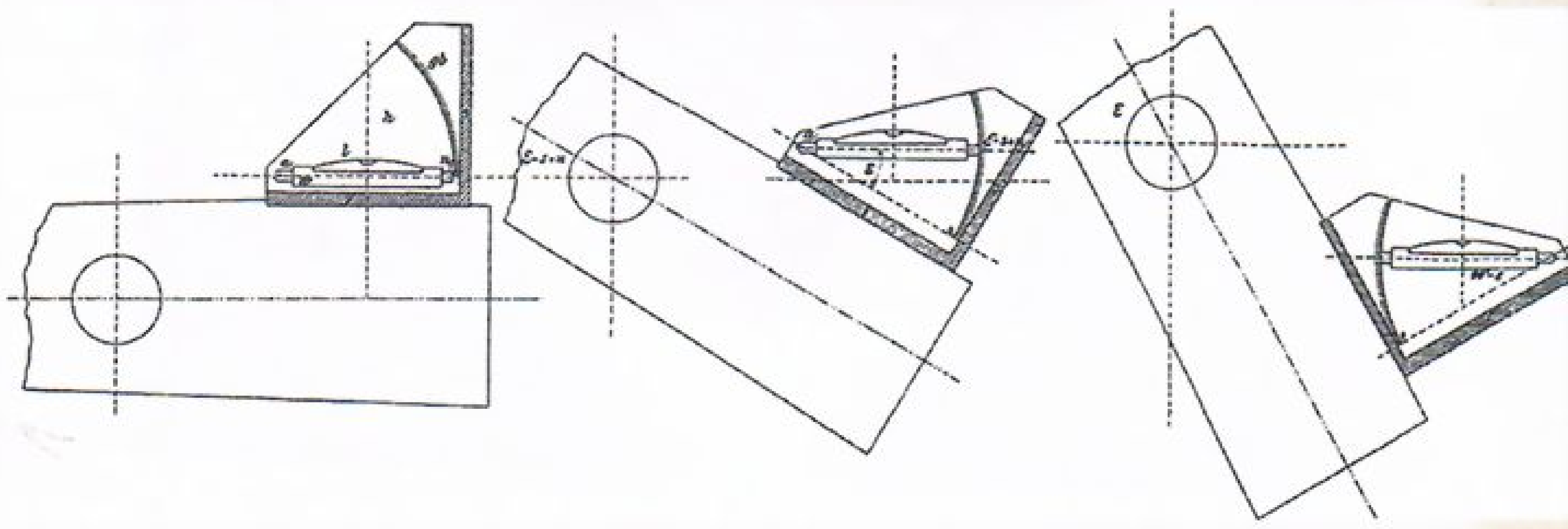

Fot. 2. Nadanie odpowiedniego podniesienia lufy za pomocą kwadrantu.

Niniejszy artykuł ogranicza się do kwadrantów stosowanych w artylerii austro-węgierskiej używanej na terenie Galicji. Przedstawiono przede wszystkim zastosowanie kwadrantów zgodne z opisanym w austro-węgierskich instrukcjach artyleryjskich. Warunki wojenne mają jednak niewiele wspólnego z tym, co zawarto w regulaminach. Stąd też często na archiwalnych fotografiach można zauważyć typy kwadrantów ustawione na działach, dla których nie były przewidziane. Warto jednak pamiętać, że w miłującej biurokrację armii austro-węgierskiej, każde działo miało swój własny kwadrant.

Ponieważ w atach 50. XIX w. osiągi rodzimych konstrukcji nie napawały zbytnim optymizmem, na początku lat 60. zdecydowano się skorzystać z najnowocześniejszego w ówczesnej Europie systemu artyleryjskiego, wprowadzonego przez Prusy. Wykorzystano przede wszystkim plany luf i zamków, które w niewielkim stopniu poddano modyfikacjom. Dzięki temu możliwe było

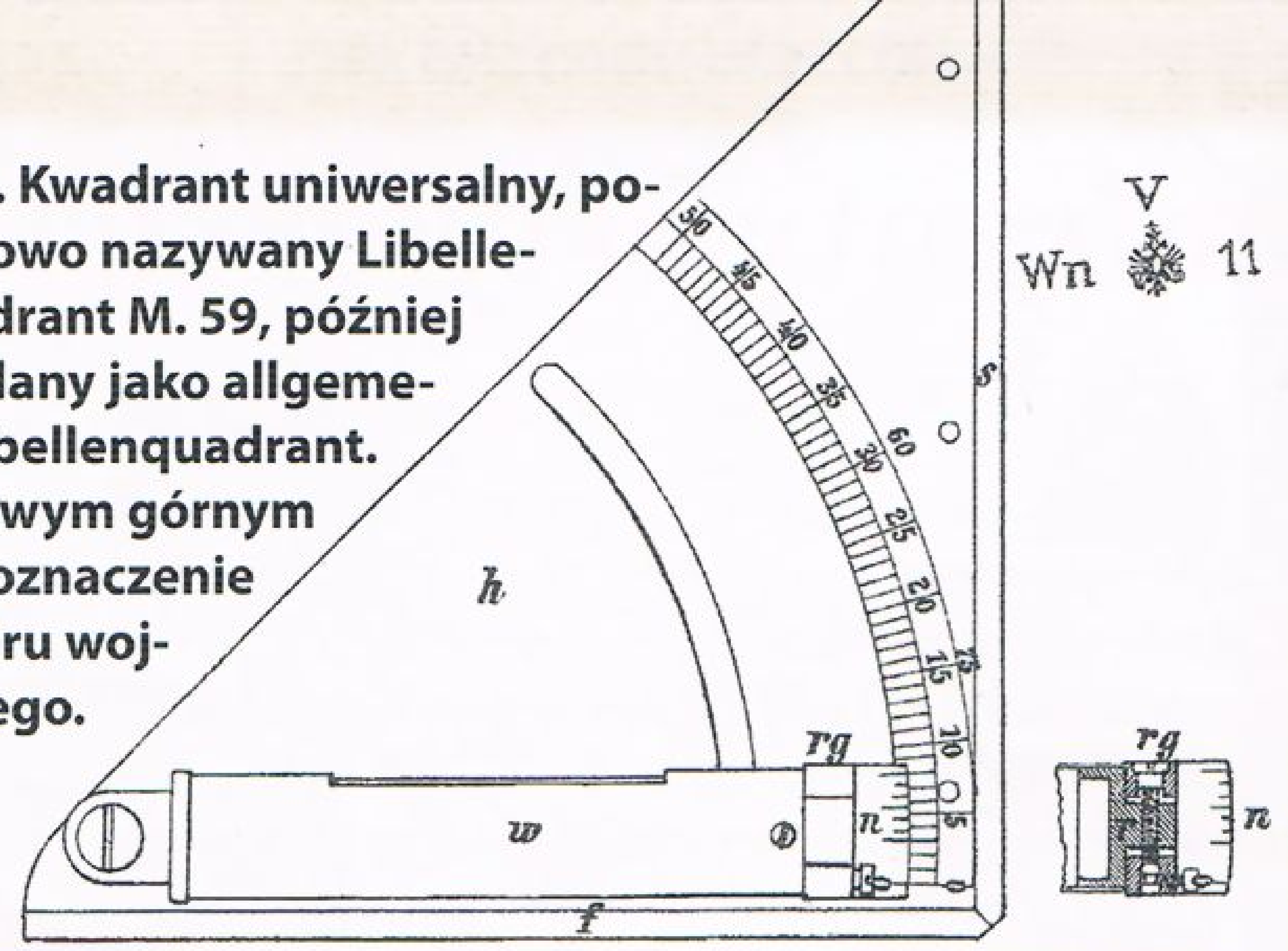

Fot. 3. Kwadrant uniwersalny, początkowo nazywany Libellenquadrant M. 59, później określany jako allgemeine Libellenquadrant. W prawym górnym rogu oznaczenie odbioru wojskowego.

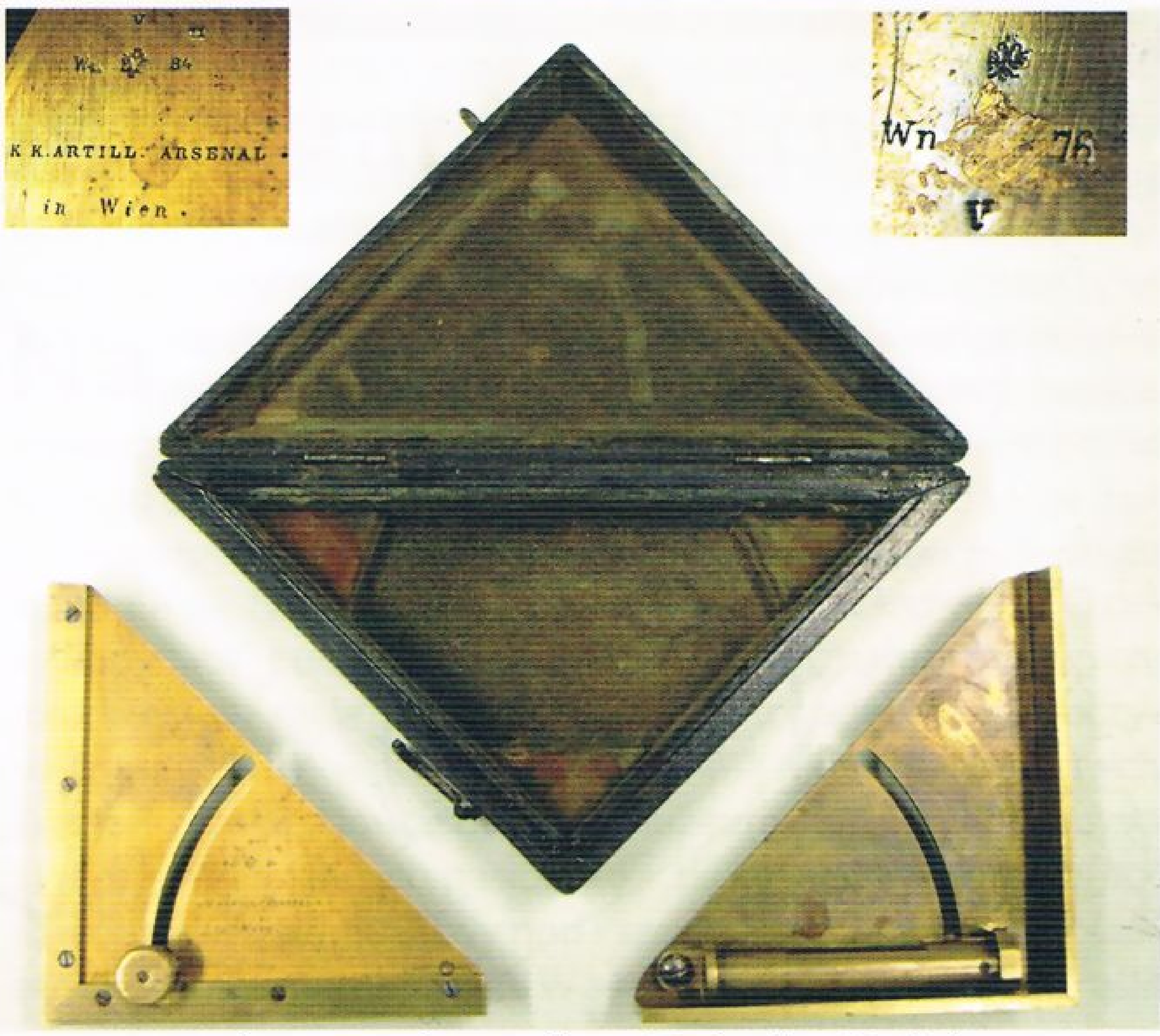

Fot. 4. Kwadranty uniwersalne z Twierdzy Kraków.

użycie lawet, które zaprojektowano wcześniej. W ten sposób w armii austriackiej pojawiły się 9, 12 i 15 cm armaty M.61. Przy okazji wykorzystano także konstrukcje pruskich przyrządów celowniczych, w tym kwadrantu, określanego w pruskiej terminologii jako Libellenquadrant M. 59. Austriacy produkowali w Arsenale wiedeńskim kwadrant o bardzo zbliżonej konstrukcji, który początkowo określali również jako Libellenquadrant M. 59. Dopiero w późniejszym czasie zaczęli go określać jako kwadrant uniwersalny – allgemeine Libellenquadrant (fot. 3). Wykonany był z mosiądzu, skalowany do 50°. Pasowano go ręcznie, a następnie kalibrowano, przez co każdy egzemplarz różni się drobnymi szczegółami. Ramię poziomicy jest blokowane od tyłu śrubą. Każdy egzemplarz zabezpieczano bezbarwnym lakierem. Typowe sygnowanie na tylnej ściance obejmuje odbiór wojskowy: litery „W-n" (Wien-Arsenał artyleryjski), dwugłowego orła, ostatnie dwie cyfry roku (np. 84 oznacza odbiór w 1884 r.) oraz literę „V" (niem. Verifikationszeichen – symbol weryfikacji, w najstarszych kwadrantach zamiast litery „V" może występować litera „C" – fr. Contrôle). Kwadrant umieszczano w drewnianym etui, którego specyficzny zapach jest bardzo charakterystyczny, nawet po 150 latach (fot. 4).

Ponieważ kwadrant był bardzo poręczny i prosty w obsłudze, z powodzeniem produkowano go praktycznie do końca XIX w., a wykorzystywano do końca I wojny światowej do szeregu różnych dział.

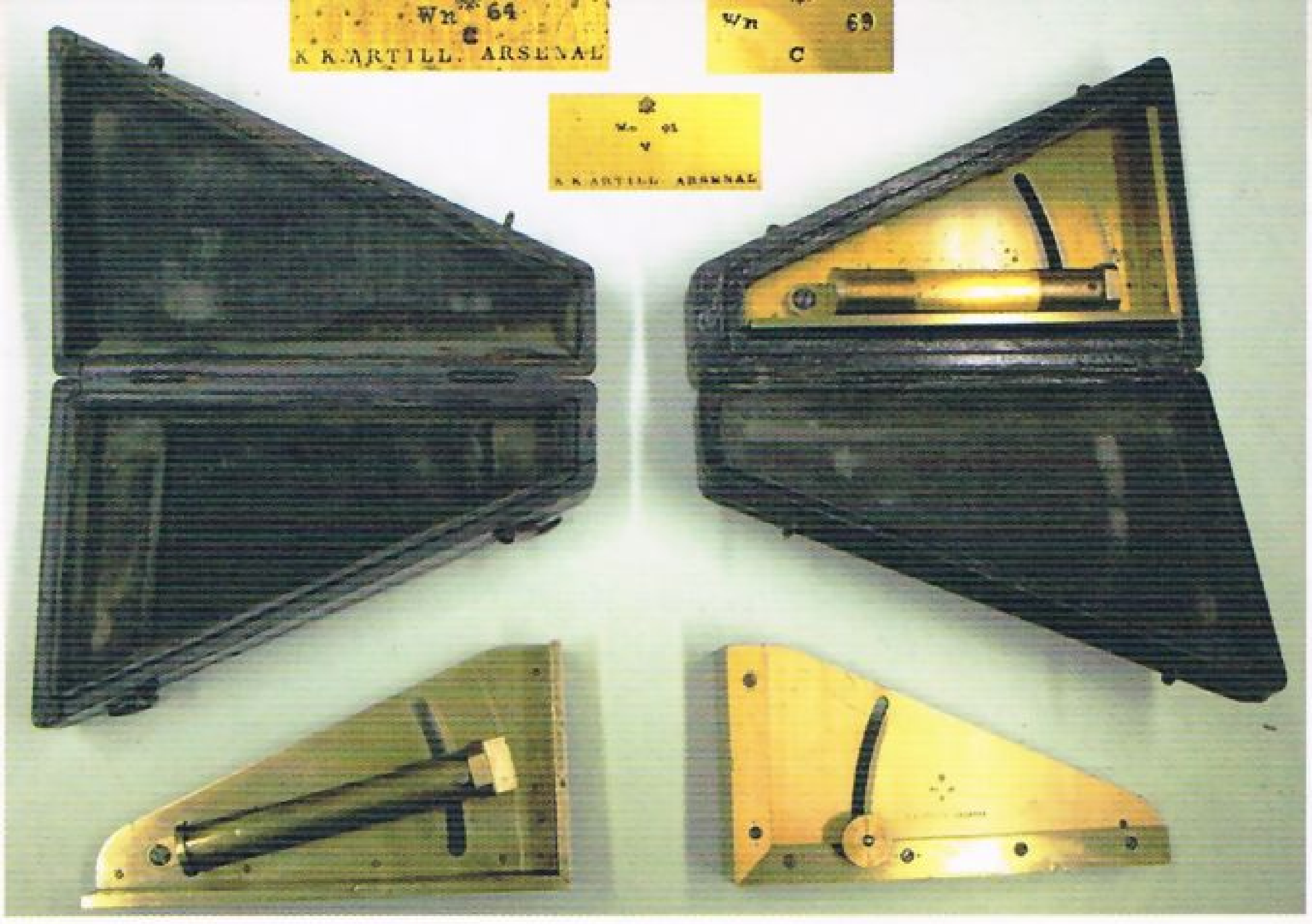

Fot. 5. Kwadranty M. 61 do dział M. 61 z Twierdzy Przemyśl.

Szczegółowe zestawienie armat i haubic, do których ustawiania wykorzystywano ten typ kwadrantu zebrano w tabelach 1 oraz 2, znajdujących się na końcu artykułu.

Z armatami 12 i 15 cm M. 61 związany jest także kolejny kwadrant – Libellenquadrant M. 61 (fot. 5). Ponieważ armaty strzelały w dolnym zakresie kątów, postanowiono ograniczyć skalę podniesienia poziomicy kwadrantu do 30-35°. Kwadrant miał przez to zmieniony kształt. Wizualnie sprawiał również wrażenie bardziej solidnego, w porównaniu do kwadrantu M. 59 (uniwersalnego). Sygnowano go w identyczny sposób, na tylnej ściance. Kwadranty te mają również kolejne numery produkcyjne, wybijane na tylnej ściance. Po zabezpieczeniu bezbarwnym lakierem przechowywany był w drewnianym etui. Według instrukcji ten typ kwadrantu był przypisany tylko do armat 12 i 15 cm M. 61.

Kiedy w latach 70. XIX w. Niemcy eksperymentowali z nowymi konstrukcjami armat, austriacki Wojskowy Komitet Techniczny (k.u.k. Technisches Militärkomitee) miał ciężki orzech do zgryzienia. Rodzime zakłady nie potrafiły wytworzyć stali o parametrach zbliżonych do stali zakładów Kruppa, natomiast tradycyjny brąz, którego było pod dostatkiem, nie wytrzymywał dużych ciśnień powstających w lufie. Rozwiązaniem był stal-brąz Uchatiusa, który w rzeczywistości był brązem poddanym specjalnej obróbce zapewniającej dużą wytrzymałość. Dzięki temu wprowadzono nowe armaty systemu M. 75 – 7 cm armatę górską oraz 8 i 9 cm armaty polowe (fot. 6). Do wszystkich tych armat stosowano pierwotnie kwadrant uniwersalny.

Kiedy w roku 1881 wprowadzono działa oblężnicze 12, 15 i 18 cm M. 80 oraz moździerze 15 i 21 cm (fot. 7, 8) równolegle z nimi pojawił się kwadrant M. 80 – Libellenquadrant M. 80 (fot. 9, 10). Przypominał on kwadrant M. 61, w którym

Fot. 6. 9 cm armata polowa M. 75/96

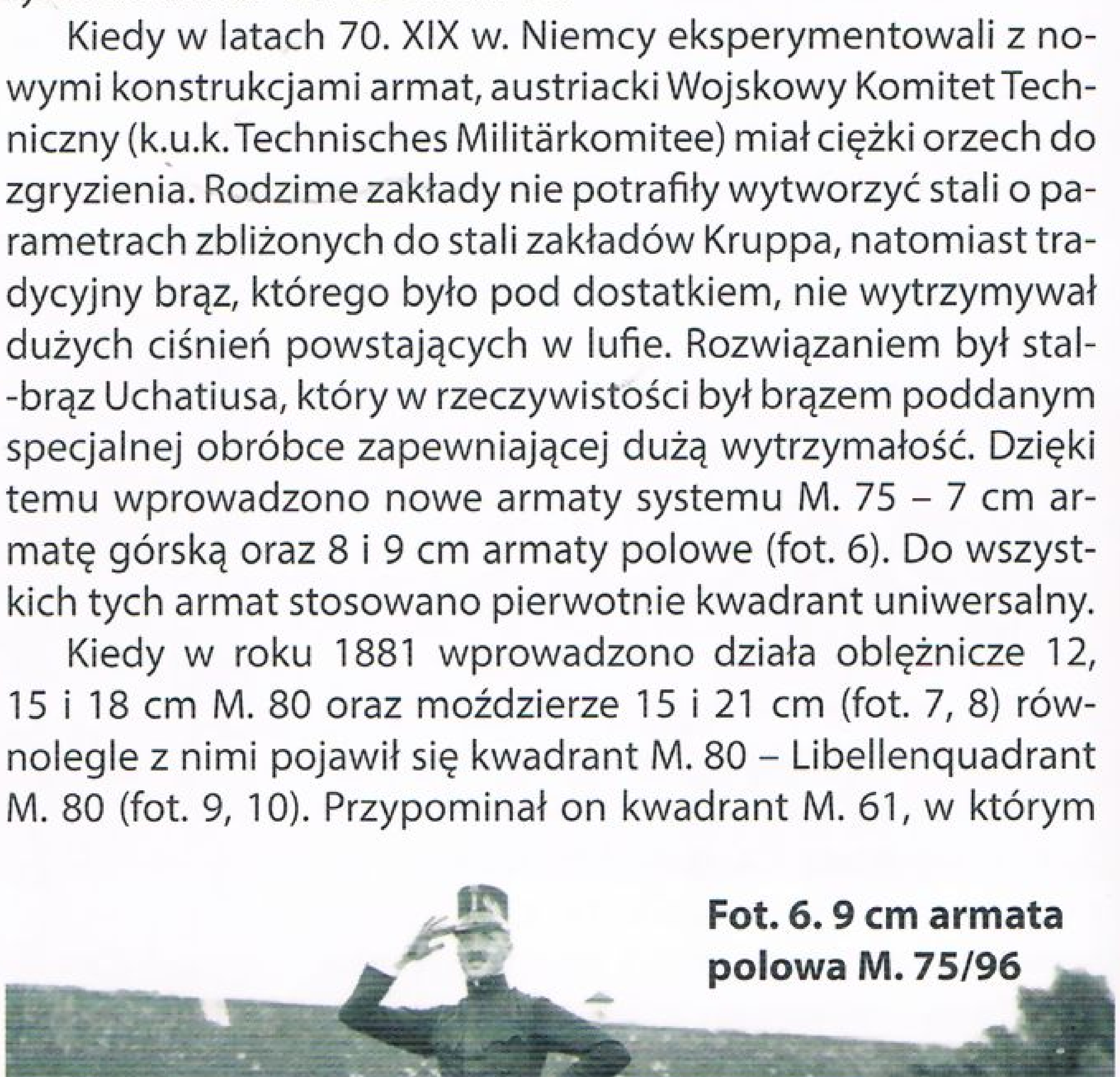

Fot. 7. 15 cm armata M. 80. Widoczny szrapnel 15 cm M. 12 oraz granat ekrazytowy M. 80 z zapalnikiem M. 6.

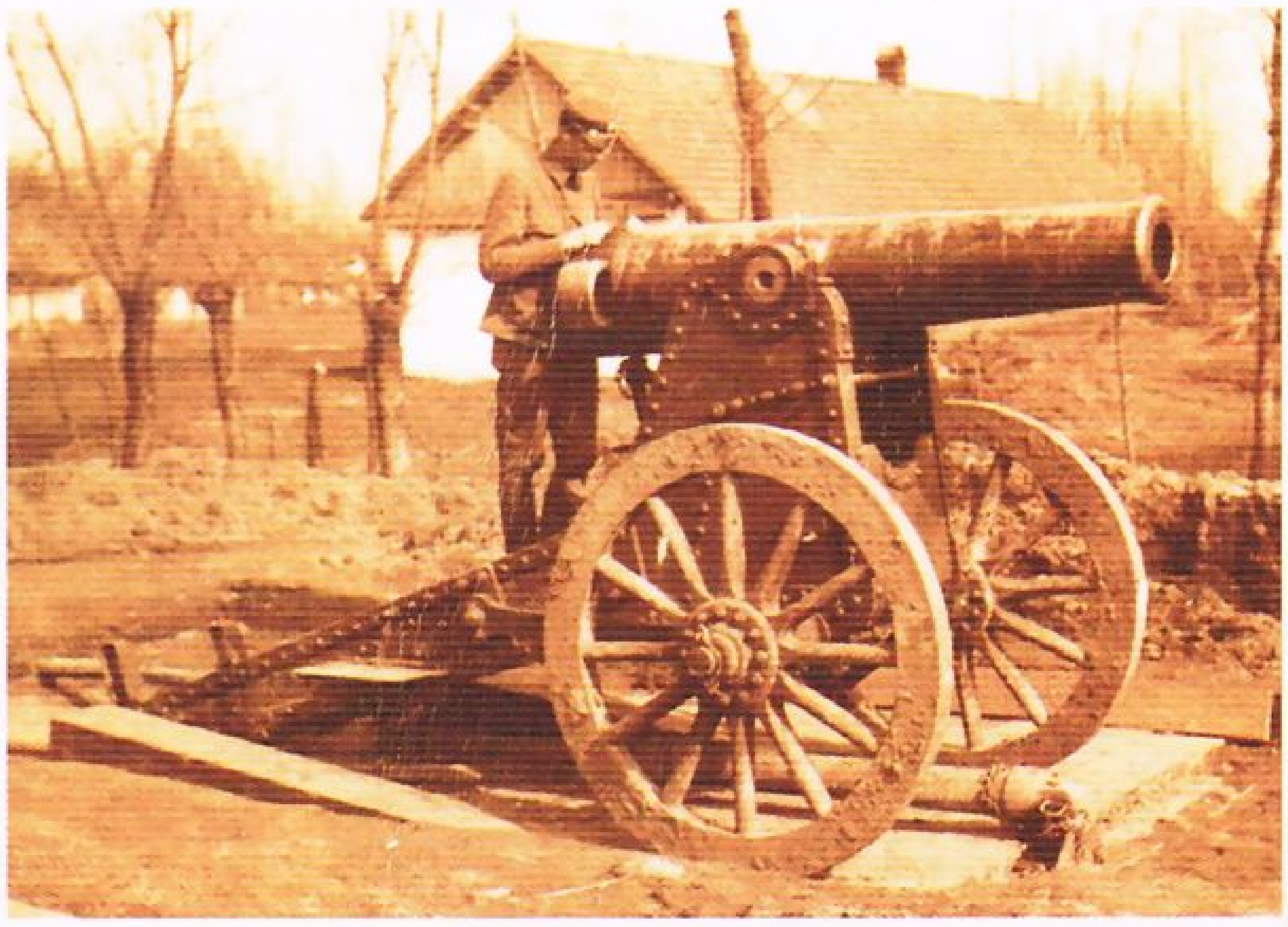

Fot. 8. 18 cm armata M. 80, która w rzeczywistości była bardziej haubicą. W rękach żołnierza słabo widoczny kwadrant M. 80. Ciekawostką jest opis z drugiej strony zdjęcia – 1919 Kraków.

skalę zwiększono do 41°. Ramię poziomicy poruszało się po zębatce, przykręconej do ścianki kwadrantu. Kwadrant wykonywano z mosiądzu, sygnowano na tylnej ściance w sposób opisany powyżej. Malowano go lakierem bezbarwnym i przechowywano w drewnianym etui. W praktyce kwadrant ten wykorzystywano również do nastawiania armat 12 i 15 cm M. 61, 15 cm haubic M. 94 i 99 (także 99/4), 8 cm armat do strzelnic minimalnych M. 94 i M. 98, 12 cm armat do strzelnic minimalnych M. 80 i M. 96 (fot. 11) oraz 8 cm armaty M. 94 i 15 cm haubicy M. 94 (fot. 12) montowanych w wieżach pancernych fortów. Należy podkreślić, że w przypadku dział zamontowanych trwale w konstrukcjach fortecznych, kwadrant pełnił rolę drugoplanową, gdyż odpowiednie skale mocowano do lawet oraz elementów budowlanych. Kwadrant pełnił rolę pomocniczą, jako przyrząd kontrolujący i referencyjny.

Ciekawym epizodem były moździerze 21 cm M. 73, które wykorzystywano w Galicji właściwie tylko podczas ćwiczeń artylerii fortecznej. Zarówno w przypadku moździerza 21 cm M. 73 (fot. 13), jak i późniejszej wersji 21 cm M. 80 (fot. 14), stosowano kwadrant uniwersalny (M. 59). Nawet wprowadzony pod koniec XIX w. 24 cm moździerz M. 98 i 98/7, wg instrukcji miał przypisany ten typ kwadrantu (fot. 15).

Wracając do armat M. 75, warto wspomnieć o próbie ułatwienia pracy artylerzystom poprzez wprowadzenie nowego przyrządu nastawczego. Nie był to bynajmniej pomysł austriacki, gdyż podobne urządzenia wprowadzili wcześniej Niemcy. W zasadzie był to kwadrant, ale zbudowany na bazie łuku, stąd jego niemiecka nazwa – Richtbogen. W artylerii austro-węgierskiej ten nowy typ kwadrantu wprowadzono w 1892 r. dla armat 9 cm M. 75. Oprócz tradycyjnej poziomicy, wyskalowanej w stopniach (do 21°), posiadał dodatkową skalę odległości (jednostką było 100 kroków, maksymalnie 6 tys. kroków w przypadku pierwszych wersji kwadrantu, później do 7 tys. kroków – zwiększenie dystansu wynikało z wprowadzenia nowych ładunków prochowych). Umożliwiało to szybkie nastawienie armaty na ostrzał celów. Kwadrant ten określono jako 9 cm Richtbogen 1892 ewentualnie 9 cm Richtbogen M. 92 (fot. 16, 17). Produkowano go w dwóch wersjach, które, oprócz skali, różniły się także masywnością budowy. Wersje wyprodukowane przed 1893 (niektóre źródła podają 1894 r.) posiadały wycięcie w podstawie łuku, natomiast wersje późniejsze, były wykonywane bez wycięcia. Stopa była wyko-

Fot. 9. Schematyczny rysunek kwadrantu M. 80.

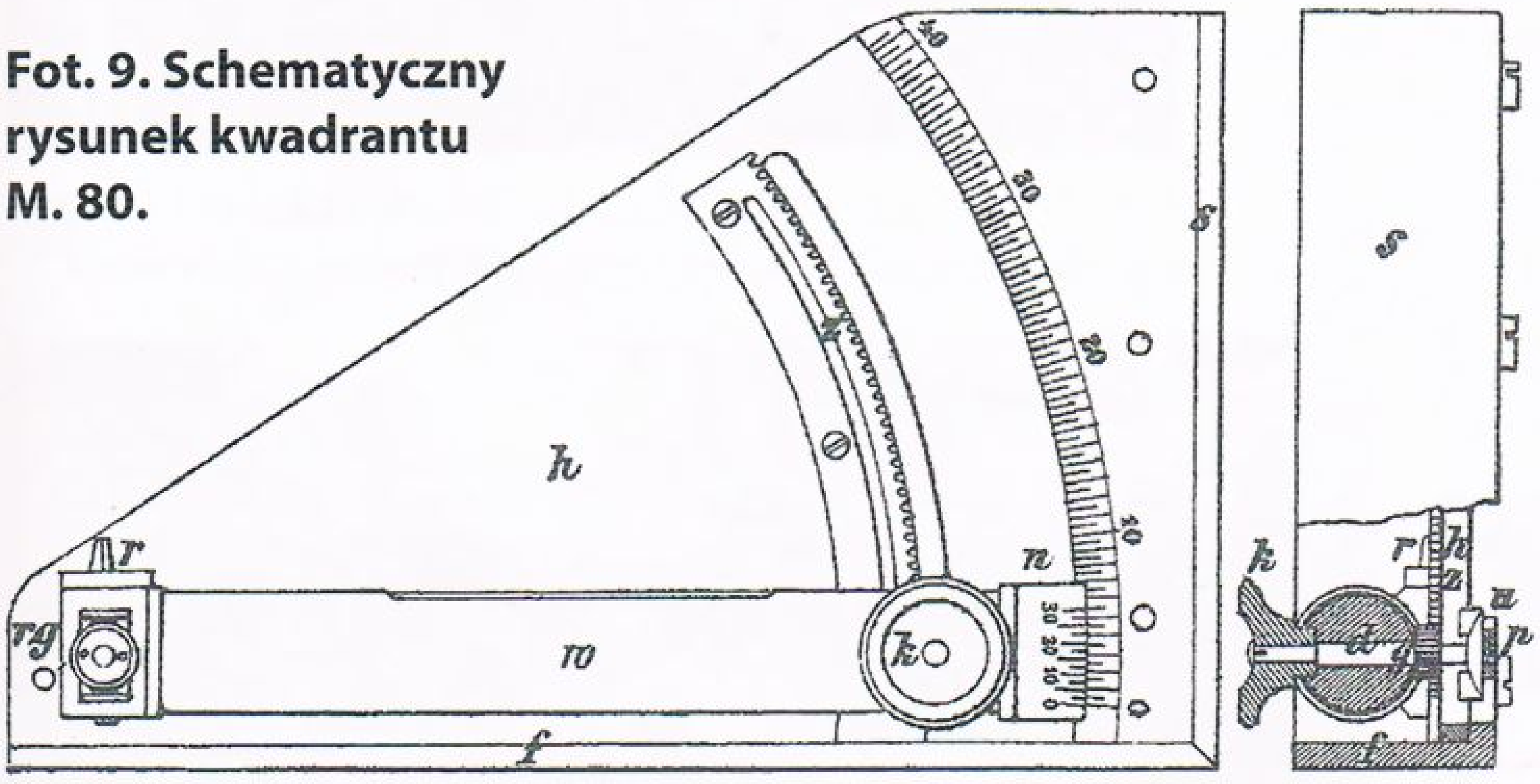

Fot. 10. Libellenquadrant M. 80.

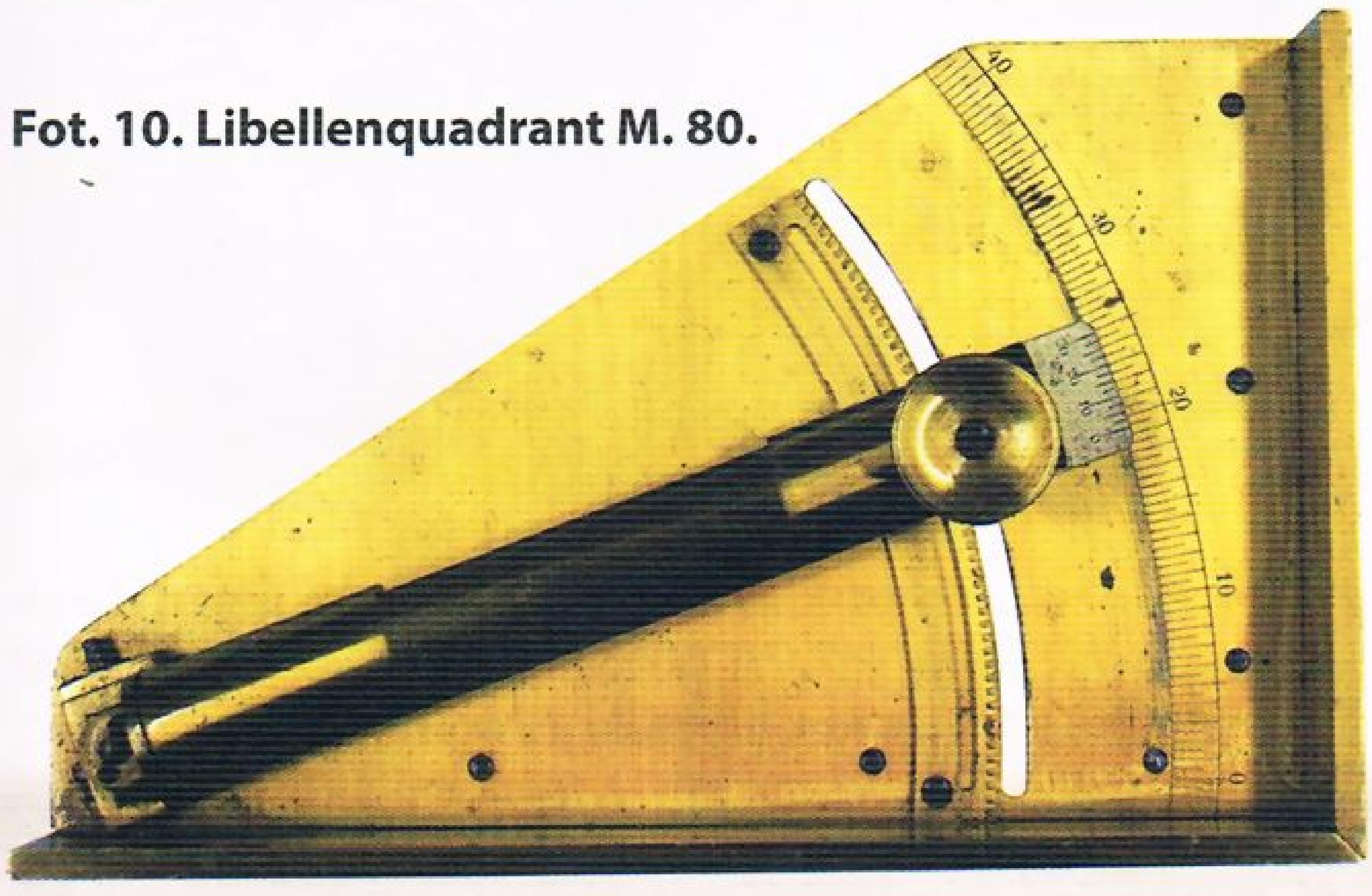

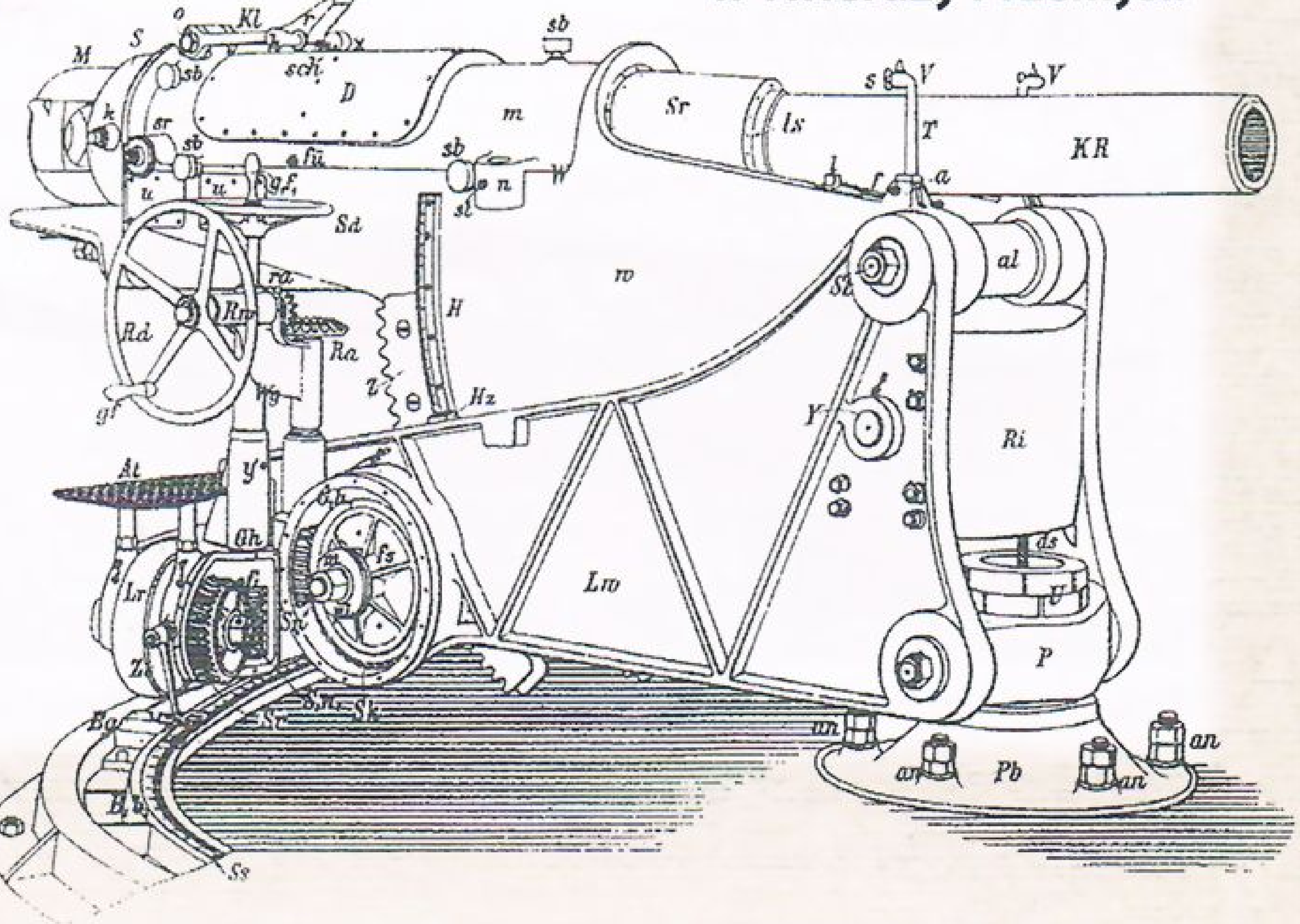

Fot. 11. 12 cm Minimalschartenkanone M. 96. Tego typu konstrukcje zainstalowano w Twierdzy Przemyśl.

Fot. 12. Haubice pancerne 15 cm M. 94 fortu XIII. Zdjęcie wykonane po odbiciu Twierdzy Przemyśl w VI 1915 roku.

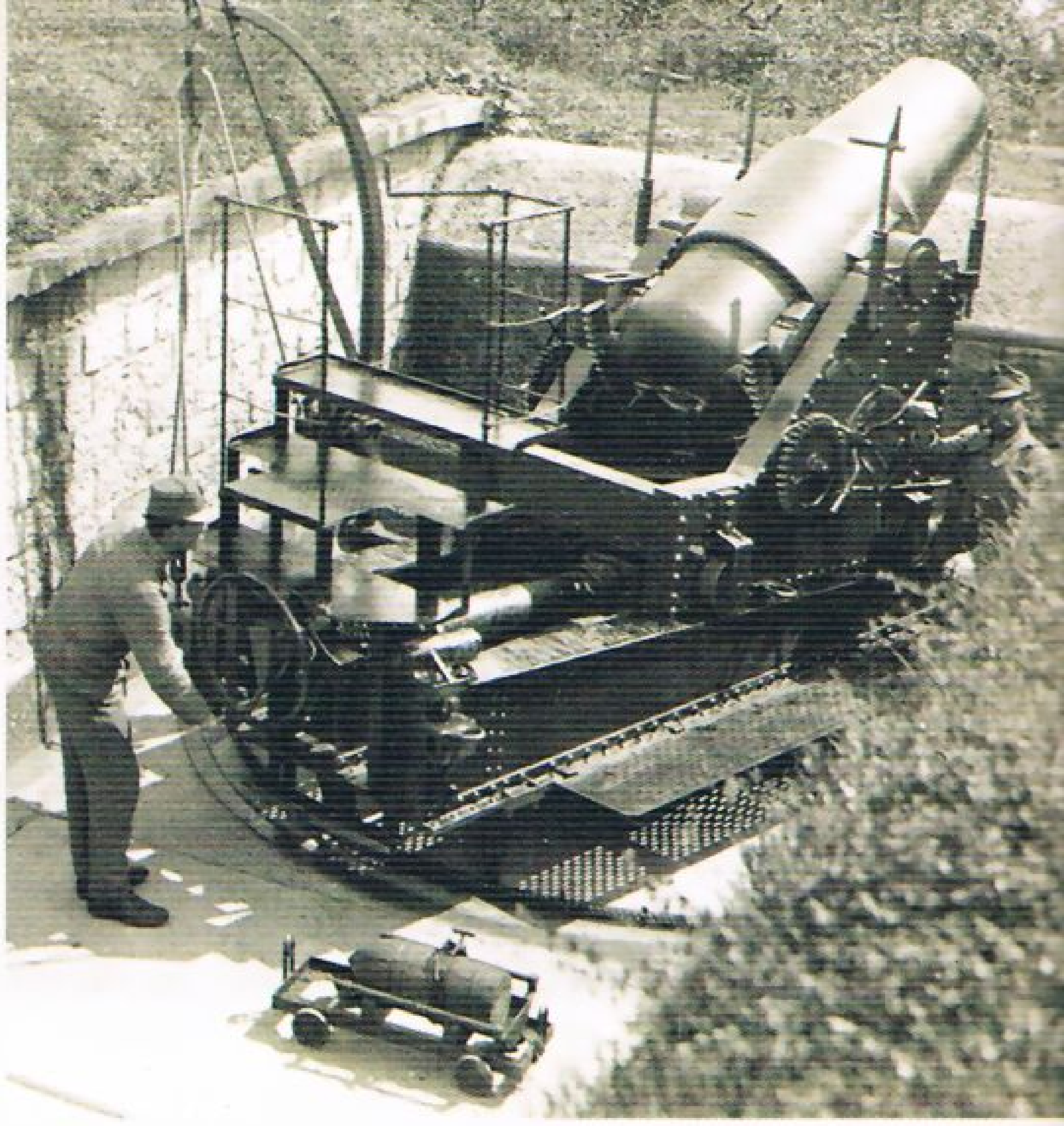

Fot. 13. 21 cm moździerz M. 73 zainstalowany w nadmorskim forcie. Tego typu moździerz użyto podczas manewrów w Twierdzy Przemyśl do próbnego ostrzelania wybranego fortu celem sprawdzenia jego odporności na ogień artyleryjski.

nana z żelaza, do niej przykręcano mosiężny łuk. Po łuku poruszał się mosiężny element z poziomicą. Dodatkowo umieszczano wskaźnik, który ułatwiał ustawienie odległości. W dolnej części łuku wkręcano śrubę z oczkiem do sznura, dzięki czemu celowniczy mógł mieć kwadrant zawsze pod ręką. Bardzo specyficzną odmianą tego kwadrantu była wersja wykorzystywana do armat kazamatowych, które mogły ostrzeliwać, oprócz fos, także przedpole fortu. Kwadrant nosił oznaczenie 9 cm Richtbogen M. 92 für Kasemattkanonen. Konstrukcja identyczna jak zwykłego kwadrantu M. 92, jednak skalowanie było indywidualnie dopasowane do armat, z zaznaczeniem kątów, przy których można było ostrzeliwać przedpole fortu.

Pod koniec lat 80. XIX w. pojawiła się potrzeba wzbogacenia parku artyleryjskiego o działo uzupełniające artylerię polową, zdolne do stromotorowego ostrzeliwania umocnień wroga, o dużej mocy niszczącej. Miało być ono mobilne i spełniać rolę łącznika pomiędzy artylerią oblężniczą, a mobilną artylerią polową. W ten sposób wprowadzono 15 cm haubicę M. 94. Później poddano ją modyfikacji, w wyniku czego powstała kolejna wersja oznaczona jako 15 cm haubica M. 99. Na początku XX w. w obu haubicach zwiększono kąt podniesienia luf. Pociągnęło to za sobą wzmocnienie kół, które nie wytrzymywały obciążeń podczas strzelania przy górnych kątach podniesienia lufy. Nowe wersje oznaczono jako M. 94/4 oraz M. 99/4. Haubica stała się podczas I wojny światowej swoistym wołem roboczym. Do jej

Fot. 14. 21 cm moździerz M. 80. W ręku artylerzysty doskonale widoczny kwadrant uniwersalny.

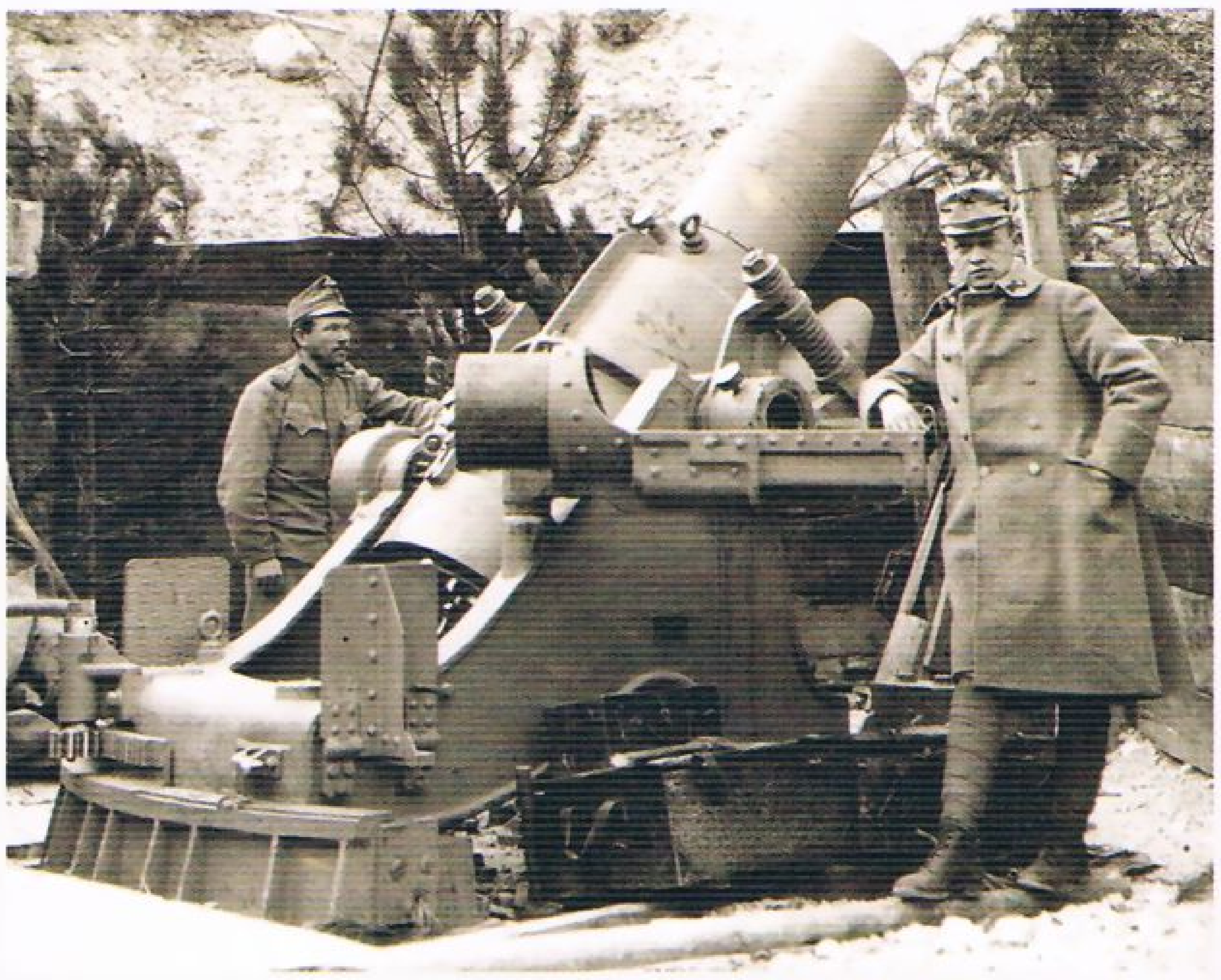

Fot. 15. 24 cm moździerz M. 98/7. Ten typ moździerza znajdował się w rękach obrońców Twierdzy Przemyśl w latach 1914-15. Fot. z kolekcji Petera Hocha.

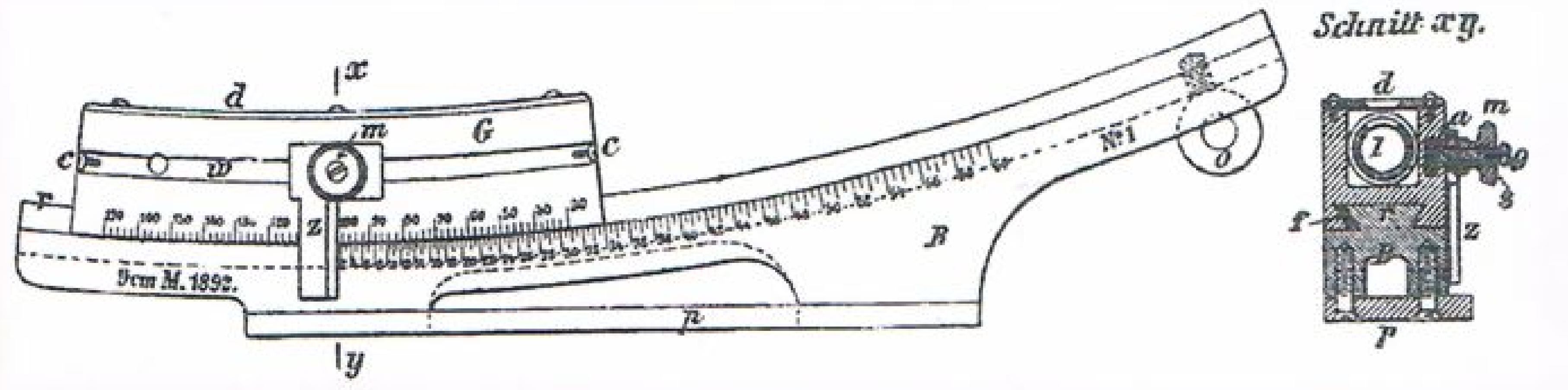

Fot. 16. Kwadrant w formie łuku do armaty 9 cm M. 75 – 9 cm Richtbogen M. 92

Fot. 17. 9 cm Richtbogen M. 92 w wersji z ażurową podstawą.

obsługi używano kwadrantu uniwersalnego oraz Libellenquadrant M. 80. W kolejnych latach wprowadzono także Libellenquadrant M. 4 (opisany w dalszej części artykułu).

Postęp technologiczny oraz nowa koncepcja użycia artylerii spowodowały, że pod koniec lat 90. XIX w. pojawiła się potrzeba wprowadzenia nowocześniejszych dział. Dotyczyło to zarówno artylerii polowej, jak i górskiej. Na szczęście nie osiągnięto porozumienia w kwestii podstawowej armaty polowej, dzięki czemu wprowadzono jedynie 7 cm armatę górską M. 99, a także 10 cm haubicę górską oraz polową M. 99 (fot. 18).

Konstrukcje te należały do przestarzałych już w momencie włączenia do parku artyleryjskiego. Zgodnie z ideą, aby ułatwiać pracę celowniczym, do wszystkich tych dział wprowadzono kwadranty w formie łuku. W odróżnieniu od innych kwadrantów, ich głównym zadaniem było sprawdzenie ustawień celownika przeziernikowego, a później celownika panoramicznego. Kwadranty wykonywano z żelaza, natomiast skalę wytłaczano na płytkach z blachy niklowej, które łączono ze stalowym łukiem kwadrantu. W przypadku 7 cm armaty górskiej kwadrant (7 cm Richtbogen M. 99) posiadał górną skalę do 4400 m oraz dolną wyskalowaną w tysięcznych (do 400) (fot. 19).

Kwadrant do 10 cm haubicy, niezależnie czy górskiej czy polowej, określany jako 10 cm Richtbogen M. 99, posiadał skalę do 5 tys. m oraz dolną wyskalowaną w tysięcznych (do 400). Umieszczoną na łuku poziomicę można było przesuwać na dwa sposoby. Po zwolnieniu blokady suwać swobodnie, natomiast do dokładnego ustawiania używano górnego pokrętła. Sam łuk przymocowany był do stopki za pomocą zawiasu, natomiast drugi koniec łuku poruszał się po ramce, w której znajdowały się otwory blokujące. Umożliwiało to zwiększenie kąta nachylenia łuku. Kwadranty sygnowano odbiorem wojskowym na niklowej blaszce, dokładnie w taki sam sposób jak inne kwadranty. Dodatkowo wybijano oznaczenie typu, np. 7 cm M. 99 czy 10 cm M. 99 oraz kolejny numer produkcyjny. Na spodzie stopki często spotyka się sygnaturę wytwórcy: K.u.k. Artill--Zeugsfabrik (oznaczenie c.k. Arsenału Artyleryjskiego, stosowano także skrót AZF – patrz zdjęcie 17).

Fot. 20. 8 cm armata polowa M. 5.

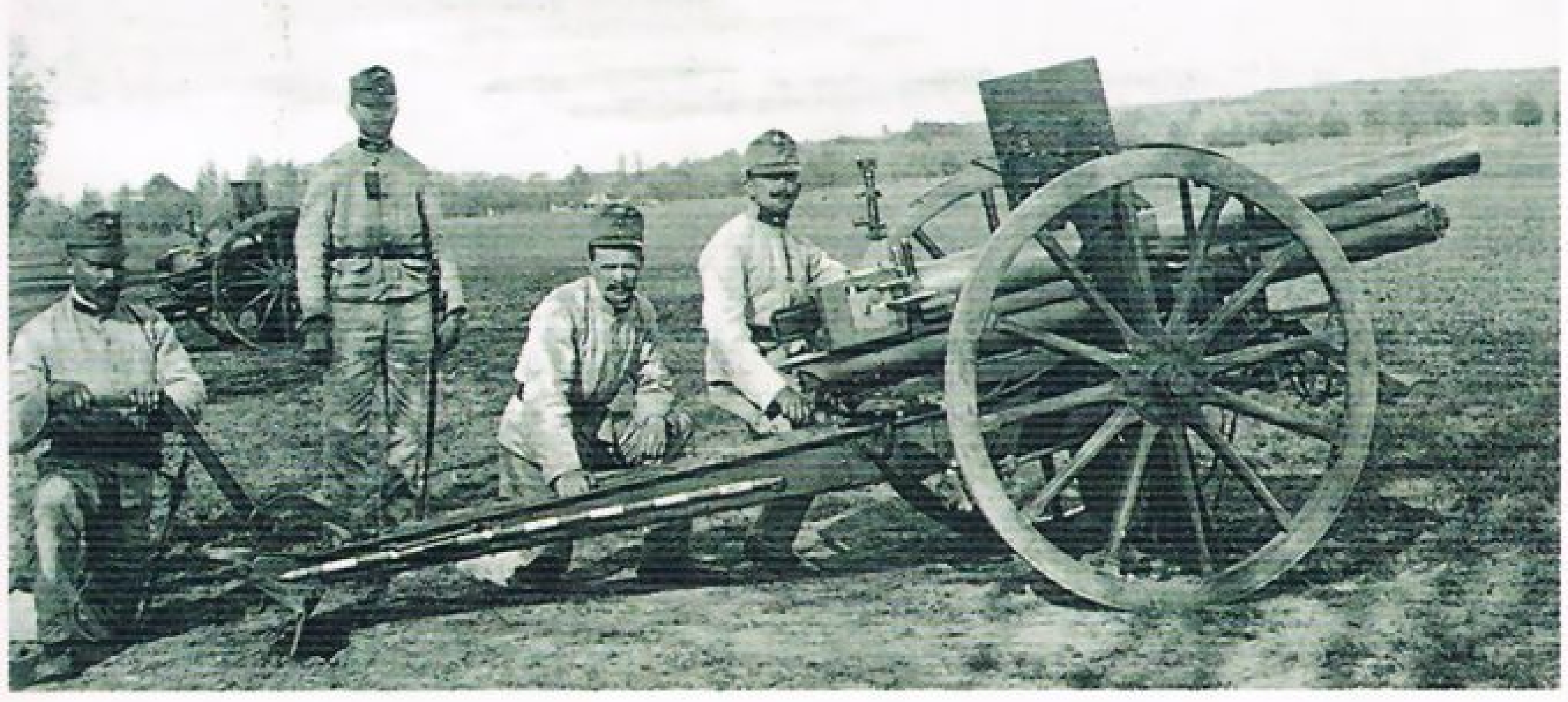

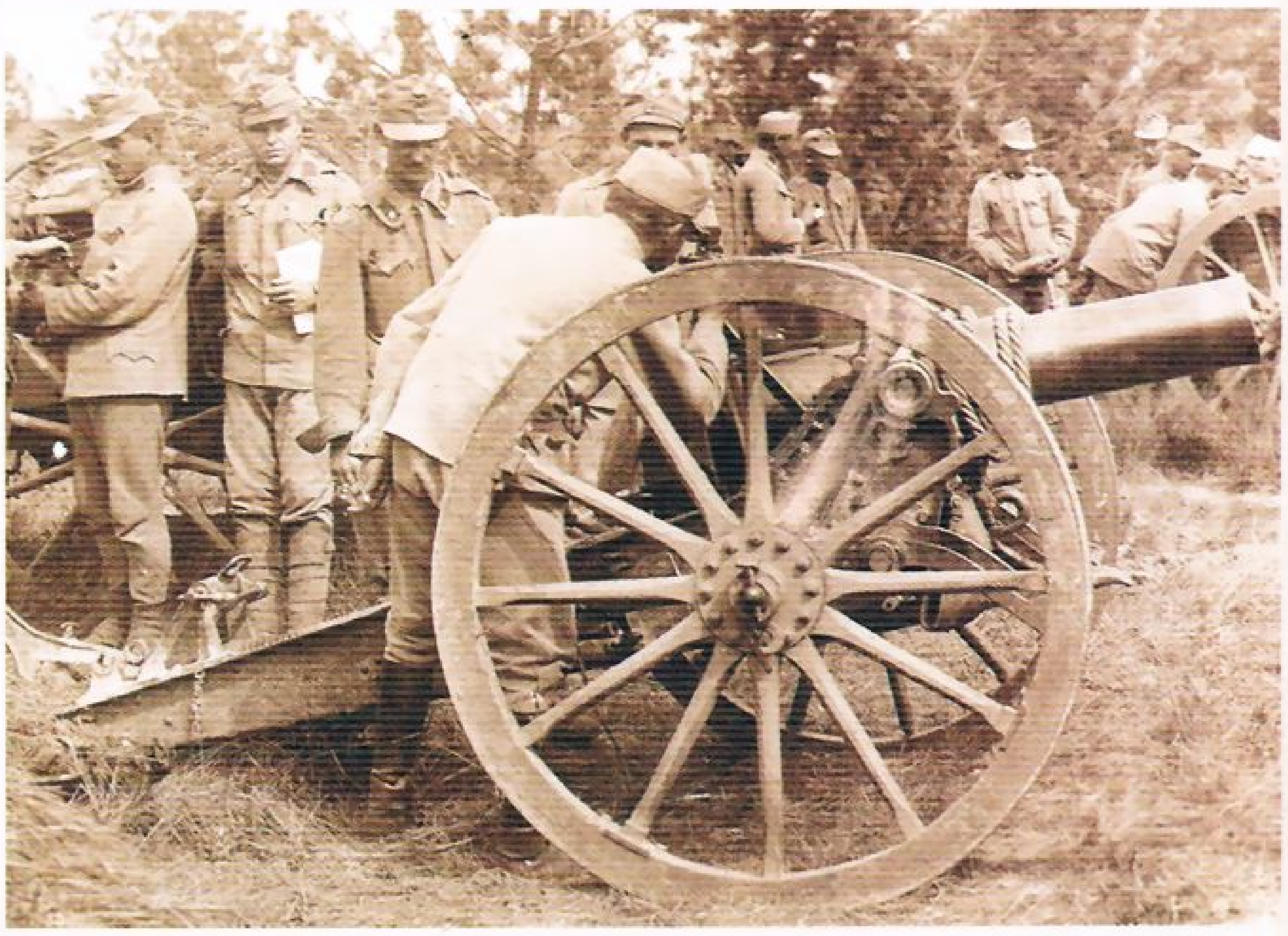

Fot. 18. 10 cm haubica polowa M. 99. Artylerzysta spogląda przez celownik panoramiczny, na lufie haubicy dobrze widoczny kwadrant łukowy – 10 cm Richtbogen M. 99. Fot. z kolekcji P. Hocha.

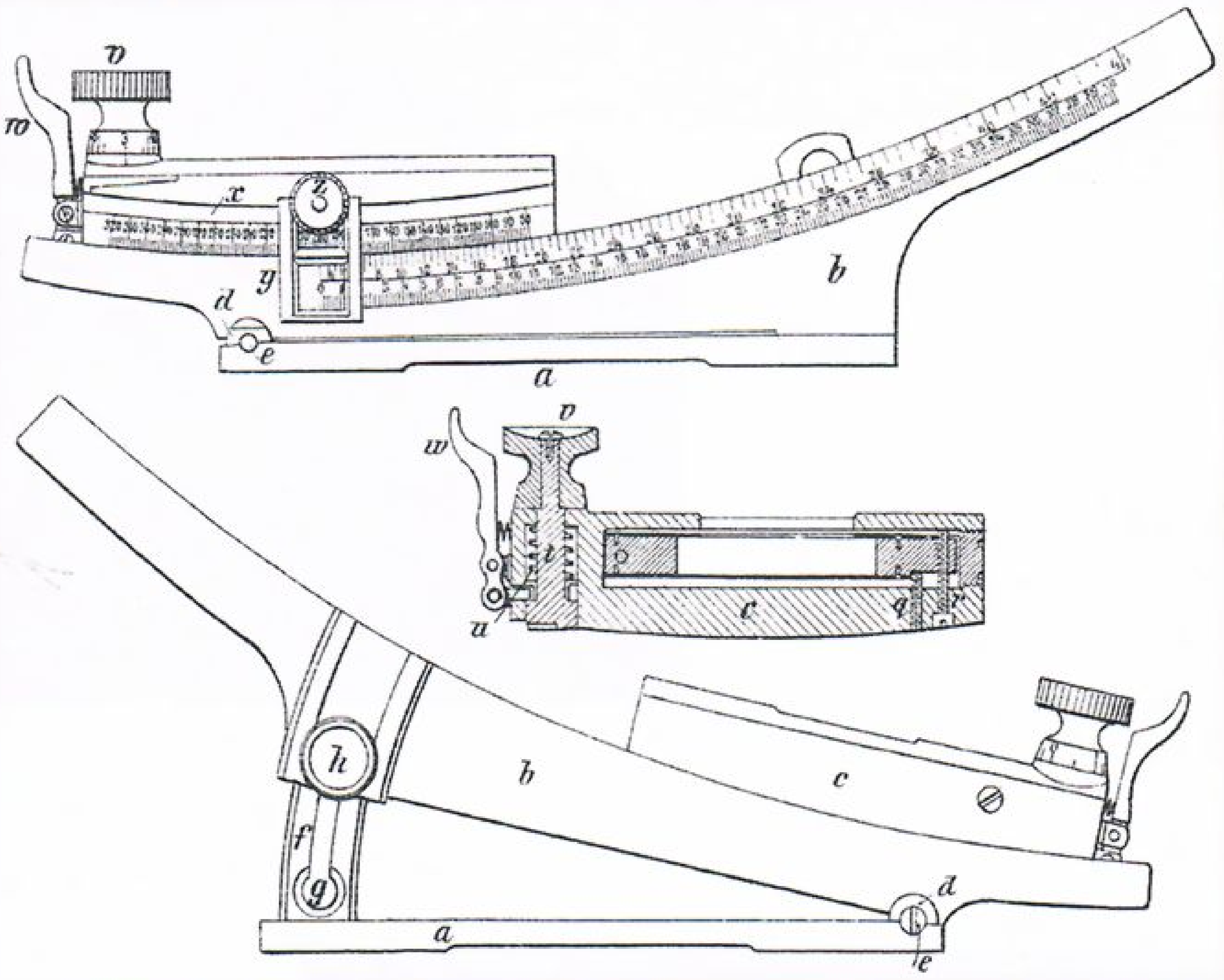

Fot. 19. Kwadrant łukowy dla 7 cm armaty górskiej M. 99 – 7 cm Richtbogen M. 99.

Gdy po wielu mniej lub bardziej udanych projektach dział polowych zdecydowano się na wyposażoną w oporopowrotnik armatę 8 cm M. 5 (fot. 20), o lufie wykonanej ze stal-brązu, również do niej przewidziano użycie kwadrantu w formie łuku. 8 cm Richtbogen M. 5 miał prawie identyczną konstrukcję jak kwadranty do 7 i 10 cm dział M. 99. Posiadał skalę do 7 tys. m oraz dolną, wyskalowaną w tysięcznych (do 410) (fot. 21).

Całkowicie wyskalowany w tysięcznych był kwadrant Libellenquadrant M. 4 (fot. 22, 23). Był to w zasadzie drugi, najbardziej uniwersalny kwadrant używany przez c. k. artylerzystów. Ramię z poziomicą poruszało się po ząbkowanym łuku wyskalowanym do 800 tysięcznych. Całość była wykonana z mosiądzu. Można odnieść wrażenie, że bardzo przypomina francuski niveau de pointage modèle 1888, wykorzystywany przez Wojsko Polskie do 1939 r., jednak austro-węgierski odpowiednik był bar-

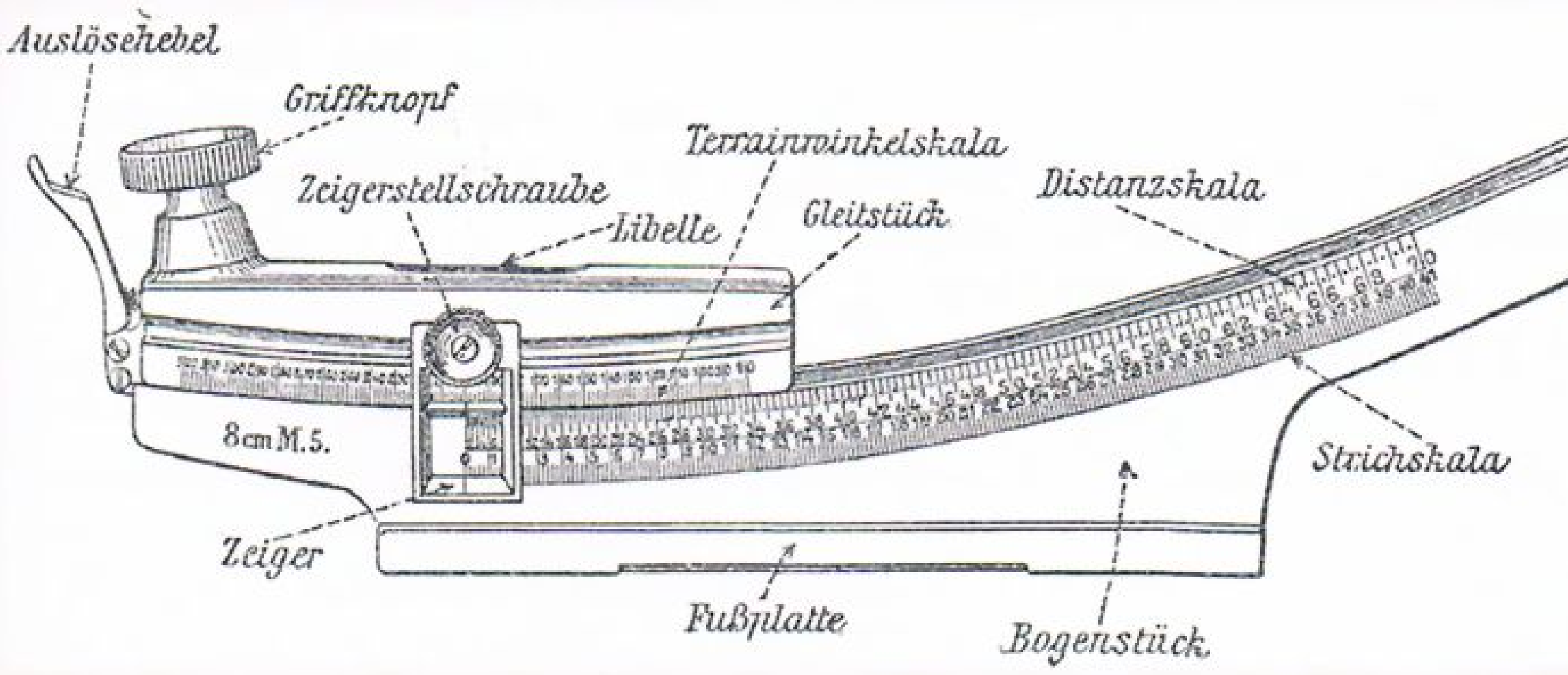

Fot. 21. Kwadrant łukowy do armaty polowej N. 5 – 8 cm Richtbogen M.5.

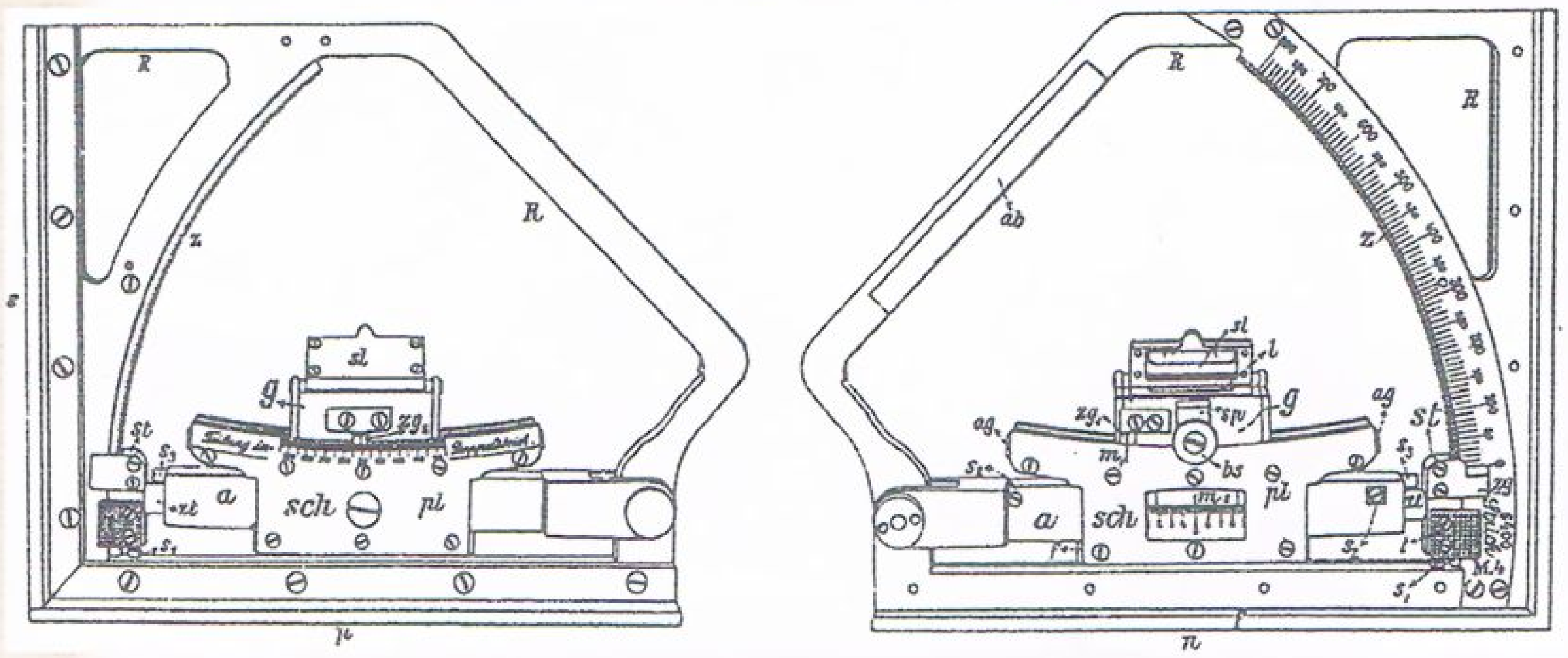

Fot. 22. Kwadrant typu M. 4 – Libellenquadran M.4

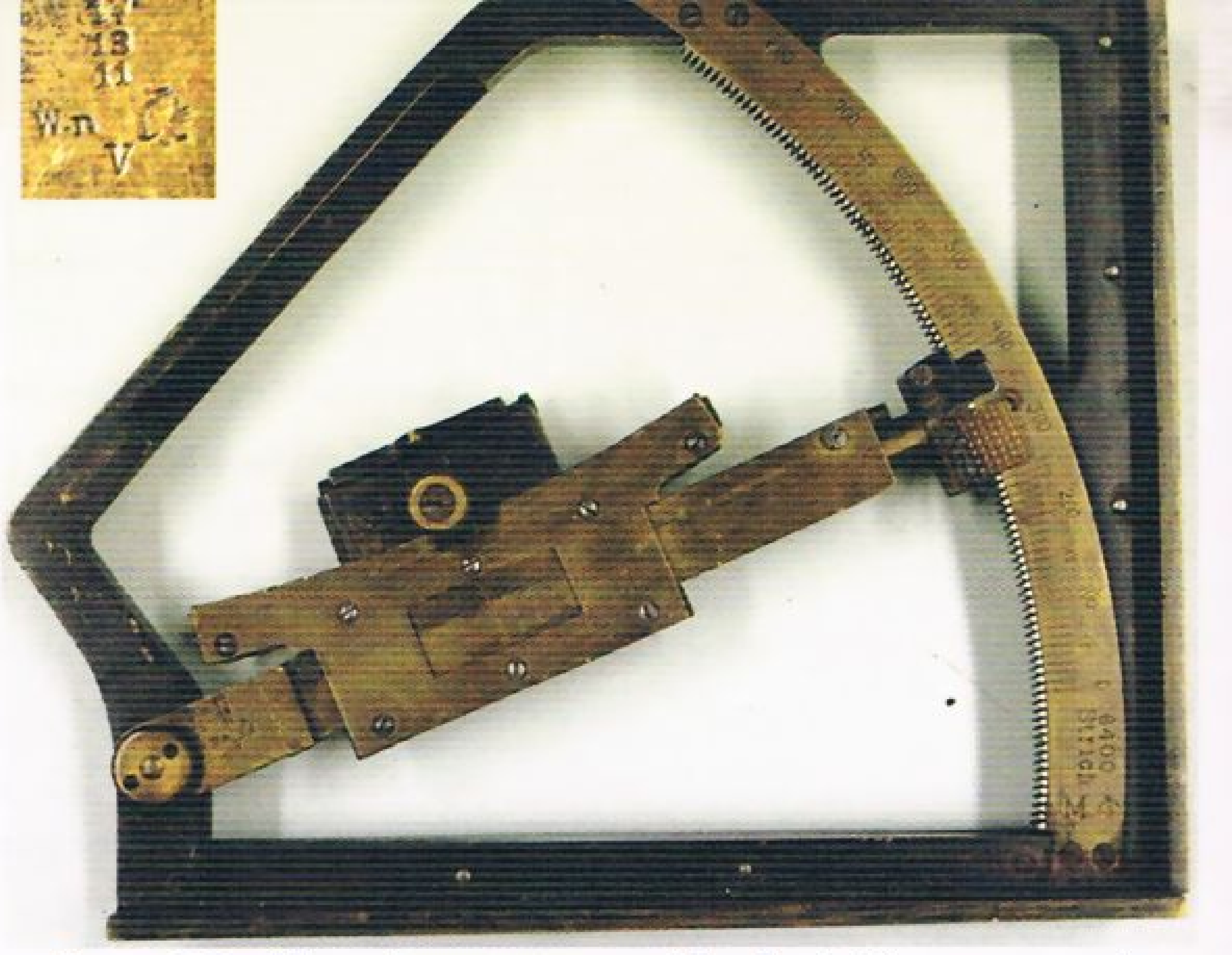

Fot. 23. Kwadrant typu M. 4, którego można śmiało nazwać weteranem wojennym. Wyprodukowany w 1911 r., dwukrotnie trafiał do naprawy. Kolejne odbiory wojskowe z lat 1913 i 1917. Pamiątka rodzinna.

Fot. 24. Artylerzyści wykorzystują kwadrant M. 4 do nadania odpowiedniego nachylenia lufie moździerza 30,5 cm M. 11.

dziej masywny. Sama poziomica zabezpieczona była przykrywką, w której od środka zainstalowano lusterko, ułatwiające obserwację zgrania bańki powietrza ze znacznikami. Kwadrant sygnowano oznaczeniem typu M. 4 oraz nabijano standardowe odbiory wojskowe. Przechowywany był w drewnianym etui. Wszystkie egzemplarze, które oglądałem, były malowane czarną farbą poza skalą i ramieniem poziomicy. Kwadrant zgodnie z instrukcjami wykorzystywano do 10 cm haubic górskich M. 8 i M. 10, 15 cm haubic M. 94 i M. 99 wraz z modyfikacjami oraz do jednego z najsławniejszych moździerzy Wielkiej Wojny – 30,5 cm moździerza M. 11 (fot. 24). Często stosowano go także do nowoczesnych dział Zakładów Škody, np. do 15 cm haubicy polowej M. 14 (fot. 25). Z powodzeniem stosowano go także do mocno już przestarzałych dział, które w trakcie I wojny światowej, czasy świetności miały już dawno za sobą (fot. 26).

Ostatnim typem kwadrantu była cała rodzina kwadrantów M. 14 (fot. 27).

Zbudowane były w trochę odmienny sposób. Stalowy korpus stanowił podstawę, do której mocowano mosiężne koło z trzema skalami. Najbardziej na zewnątrz znajdowała się skala w tysięcznych (do 800). Następnie umieszczano skale z odległościami np. dla granatu z największym ładunkiem miotającym, czy granatu – szrapnela. Dla armat ze scalonym nabojem występowała tylko jedna skala, gdyż nie było możliwości zmniejszania czy zwiększania ładunku prochowego. Ponieważ każdy z tych kwadrantów był dedykowany do konkretnej armaty czy haubicy, nie jest celowym dokładne opisywanie skal, które mogły występować w innej kolejno-

Fot. 25. 15 cm haubica polowa M. 14 Irma podczas nadawania nachylenia lufie za pomocą kwadrantu M. 4. Fot. z kolekcji P. Hocha.

Tabela 1. Działa artylerii fortecznej. W tabeli podano oryginalne nazwy dział oraz kwadrantów.

Typ armaty	Typ kwadrantu	Uwagi
6 cm Kasemattkanone M. 99	nie ma	tylko do przestrzeliwania fos.
8 cm Kasemattkanone M. 94	nie ma	tylko do przestrzeliwania fos.
9 cm Kasemattkanone (M. 75/96) in hölzerner Kasemattlafette	9 cm Richtbogen M. 92 für Kasemattkanonen	tylko dla armat mogących ostrzeliwać przedpole.
9 cm Kanone M. 4	9 cm Richtbogen M. 92	
8 cm Minimalschartenkanone M. 94	Libellenquadrant M. 80	
8 cm Minimalschartenkanone M. 98	Libellenquadrant M. 80	
12 cm Minimalschartenkanone M. 80	Libellenquadrant M. 80	ostatnia wyprodukowana (1885 r.) w zakładach Kruppa wieża do dział 12 cm, zamontowana na krakowskim forcie „Skała".
12 cm Minimalschartenkanone M. 96	Libellenquadrant M. 80	
8 cm Panzerkanone M. 94	Libellenquadrant M. 80	
8 cm Senkpanzerkanone M. 2	Libellenquadrant M. 80	
10 cm Panzerhaubitze M. 5	10 cm Richtbogen M. 99/5	
15 cm Panzermörser M. 80	allgemeine Libellenquadrant	
15 cm Panzerhaubitze M. 94	Libellenquadrant M. 80	

Fot. 26. 15 cm moździerz M. 80 nadal w służbie. Doskonale widoczny kwadrant M. 4 oraz 15 cm szrapnel M. 80 z zapalnikiem M. 93

Fot. 27. Kwadrant M. 14 do 15 cm haubicy polowej M. 14.

Tabela 2. Działa górskie, polowe i artylerii oblężniczej. W tabeli podano oryginalne nazwy dział oraz kwadrantów.

Typ armaty	Typ kwadrantu
7 cm Gebirgskanone M. 75	allgemeine Libellenquadrant
7 cm Gebirgskanone M. 99	7 cm Richtbogen M. 99
7 cm Gebirgskanone M. 8	7 cm Richtbogen M. 99
7 cm Gebirgskanone M. 9	7 cm Richtbogen M. 99
7.5 cm Haubitze M. 14 (armata górska tzw. „chińska" wg oficjalnej nomenklatury była haubicą.	instrukcja Škody pozostawia wiele niejasności – sugeruje odrębny typ kwadrantu, nie przedstawiając jednak jego opisu.
8 cm Feldkanone M. 75	allgemeine Libellenquadrant
8 cm Feldkanone M. 5 i M. 5/8	8 cm Richtbogen M. 5
9 cm Feldkanone M. 75 i M. 75/96	allgemeine Libellenquadrant 9 cm Richtbogen M. 92
10 cm Feldhaubitze M. 99	10 cm Richtbogen M. 99
10 cm Gebirgshaubitze M. 99	10 cm Richtbogen M. 99
10 cm Gebirgshaubitze M. 8	Libellenquadrant M. 4
10 cm Gebirgshaubitze M. 10	Libellenquadrant M. 4
10 cm Feldhaubitze M. 14	10 cm Libellenquadrant M. 14
12 cm Kanone M. 61 i 61/95	allgemeine Libellenquadrant Libellenquadrant M. 61 Libellenquadrant M. 80
12 cm Belagerungskanone M. 80	Libellenquadrant M. 80
15 cm Kanone M. 61 i 61/95	allgemeine Libellenquadrant Libellenquadrant M. 61 Libellenquadrant M. 80
15 cm Belagerungskanone M. 80	Libellenquadrant M. 80
15 cm Mörser M. 78	allgemeine Libellenquadrant
15 cm Mörser M. 80	allgemeine Libellenquadrant
15 cm Batteriehaubitze M. 94 M. 99 in der hohen Batterielafette M. 94	Libellenquadrant M. 80
15 cm Batteriehaubitze M. 99/4	allgemeine Libellenquadrant Libellenquadrant M. 80 Libellenquadrant M. 4
15 cm Feldhaubitze M. 14	15 cm Libellenquadrant M. 14 Libellenquadrant M. 4
18 cm Belagerungskanone M. 80	Libellenquadrant M. 80
21 cm Mörser M. 73	allgemeine Libellenquadrant
21 cm Mörser M. 80	allgemeine Libellenquadrant
24 cm Mörser M. 98 i 98/07	allgemeine Libellenquadrant
30,5 cm Mörser M. 11	Libellenquadrant M. 4
42 cm Haubitze M. 14	Libellenquadrant M. 4 jako uzupełnienie kwadrantu systemowego zintegrowanego z celownikiem.

Gebirgskanone – armata górska, Feldkanone – armata polowa, Feldhaubitze – haubica polowa, Belagerungskanone – armata oblężnicza, Mörser – moździerz, Batteriehaubitze – haubica bateryjna, Haubitze – haubica, allgemeine – ogólny, powszechny.

ści, co miało miejsce przy kwadrantach produkowanych przez różne firmy, np. Otto A. Ganser i J. Petravič. Ramię z poziomicą znajdowało się po drugiej stronie. Środkowym kołem połączonym kołem zębatym z ramieniem poziomicy, można było wprowadzić poprawkę ze względu na kąt nachylenia terenu. Na dużym kole nabijano nazwę producenta, np. Otto A. Ganser Wien, i nr produkcyjny. Typ działa wybijano również na mosiężnym kole, np. 15 cm M. 14 FHb. Inny producent (J. Petravič) sygnował swoje kwadranty typem działa wybijanym na stalowym korpusie. Kwadranty malowano na czarno i umieszczano w drewnianych pudełkach. Odbiory wojskowe były identyczne jak przy wszystkich innych kwadrantach. Tego typu kwadranty stosowano m.in. do 10 i 15 cm haubic polowych M. 14, ale również do 3,7 cm działka piechoty M. 15.

Jak widać z przedstawionego opisu, kwadranty ewoluowały wraz z postępem techniki. Stawały się coraz bardziej zaawansowane. Zmieniały swój kształt, chociaż zasada ich działania pozostała taka sama. Miały pomagać w ustawieniu luf dział pod odpowiednim kątem. Dziś, po latach, kiedy już nie są narzędziami pracy artylerzystów, stanowią interesującą pamiątkę po artylerii monarchii austro-węgierskiej.

ZDJĘCIA POCHODZĄ Z PRYWATNEJ KOLEKCJI AUTORA.

Przypisy:

[1] Napoleon po skończeniu nauki w paryskiej l'École Militaire został przydzielony do artylerii, był więc artylerzystą z krwi i kości, który wielokrotnie wykazał ogromne znaczenie tej formacji na polu walki.

[2] Znacznie upraszczając i uśredniając można przyjąć, że w chwili wybuchu I wojny światowej statystyczna armata mogła ostrzeliwać cele oddalone o ponad godzinę marszu – ok. 6-10 km, podczas gdy artyleria Napoleona precyzyjnie ostrzeliwała cele oddalone o ok. 1 km.

Łukasz Chrzanowski

Autor publikacji dotyczących rozwoju techniki artyleryjskiej na przełomie XIX i XX wieku, ze szczególnym naciskiem na artylerię austro-węgierską. Popularyzator nauki.

Pili sake, jedli ryż… czyli japońska wojna od kuchni

TOMASZ BIENEK

Temat japońskiego uzbrojenia i wyposażenia z okresu II wojny światowej jest raczej mało znany polskim kolekcjonerom, a większość entuzjastów militariów Kraju Kwitnącej Wiśni koncentruje się na broni białej, której legendarnym symbolem stał się samurajski miecz. Chciałbym zatem przybliżyć może nieco mniej efektowne, jednak bardzo ciekawe, wyposażenie kuchenne japońskiego żołnierza z II wojny światowej.

Fot. 2

Fot. 3

W 1868 roku Japonia pod rządami cesarza Mutsuhito weszła w epokę Meiji, czyli „Epokę Światłych Rządów". Wzorowane na europejskim porządku reformy, dotknęły wszystkich gałęzi państwa, w tym i armię. Pomimo kopiowania rozwiązań z Zachodu, japońscy projektanci ekwipunku polowego tworzyli własne wzory, które choć oparte w ogólnym zarysie na europejskich, stanowiły autonomiczne koncepcje. W nowoczesnej armii japońskiej przetrwały też tradycyjne, związane z długowiekową kulturą tego kraju, elementy wyposażenia kuchennego, jak choćby czarki do picia sake lub, nieco większe, do herbaty.

Przy rozważaniach na temat japońskiego ekwipunku warto też wspomnieć o odmiennym systemie datowania przedmiotów. Jest on zupełnie inny niż ten, do którego przywykli kolekcjonerzy europejskiego sprzętu i wynika z japońskich tradycji, gdzie chronologię określa się na podstawie okresu panowania konkretnego cesarza.

Okres II wojny światowej przypada na Erę Shōwa (jak na ironię nazwa ta oznacza „Erę Oświeconego Pokoju"). Era Shōwa zaczęła się w 1926 r., gdy na tron cesarski wstąpił cesarz Hirohito. Tym samym każdy następny rok, był kolejnym rokiem Ery Shōwa. Dla kolekcjonera oznacza to, że np. manierka wyprodukowana w 17 roku Ery Shōwa, pochodzi z roku 1942. „Europejski" 1939 rok to 14. rok Ery Shōwa, a II wojna światowa skończyła się w 20. roku tej Ery. Ot, co kraj, to obyczaj…

Na początku Ery Shōwa silne tendencje imperialistyczne, nacjonalistyczne i militarystyczne, w połączeniu z geopolityczną sytuacją Cesarstwa Japonii, były czynnikami sprawczymi postępującego rozwoju armii oraz modernizowania uzbrojenia i ekwipunku. Zanim wybuchła wojna światowa, Japonia już od dawna brała udział w militarnym konflikcie. W 1931 roku japońska armia dokonała inwazji na Mandżurię, zakończonej sukcesem i stworzeniem okupacyjnego, marionetkowego państwa Mandżukuo, a 1937 rozpoczęła się ośmioletnia wojna z Chinami, w wyniku której Japonia zdobyła kontrolę nad znacznym obszarem terytorium państwa chińskiego. Już wtedy Japończycy dysponowali dość nowoczesnym, nie odbiegającym standardami od innych armii świata, ekwipunkiem, także tym związanym z wyżywieniem żołnierza. Sprzęt ten używany był do samego końca wojny.

Podstawową i najczęściej spotykaną regulaminową manierką, była opra-

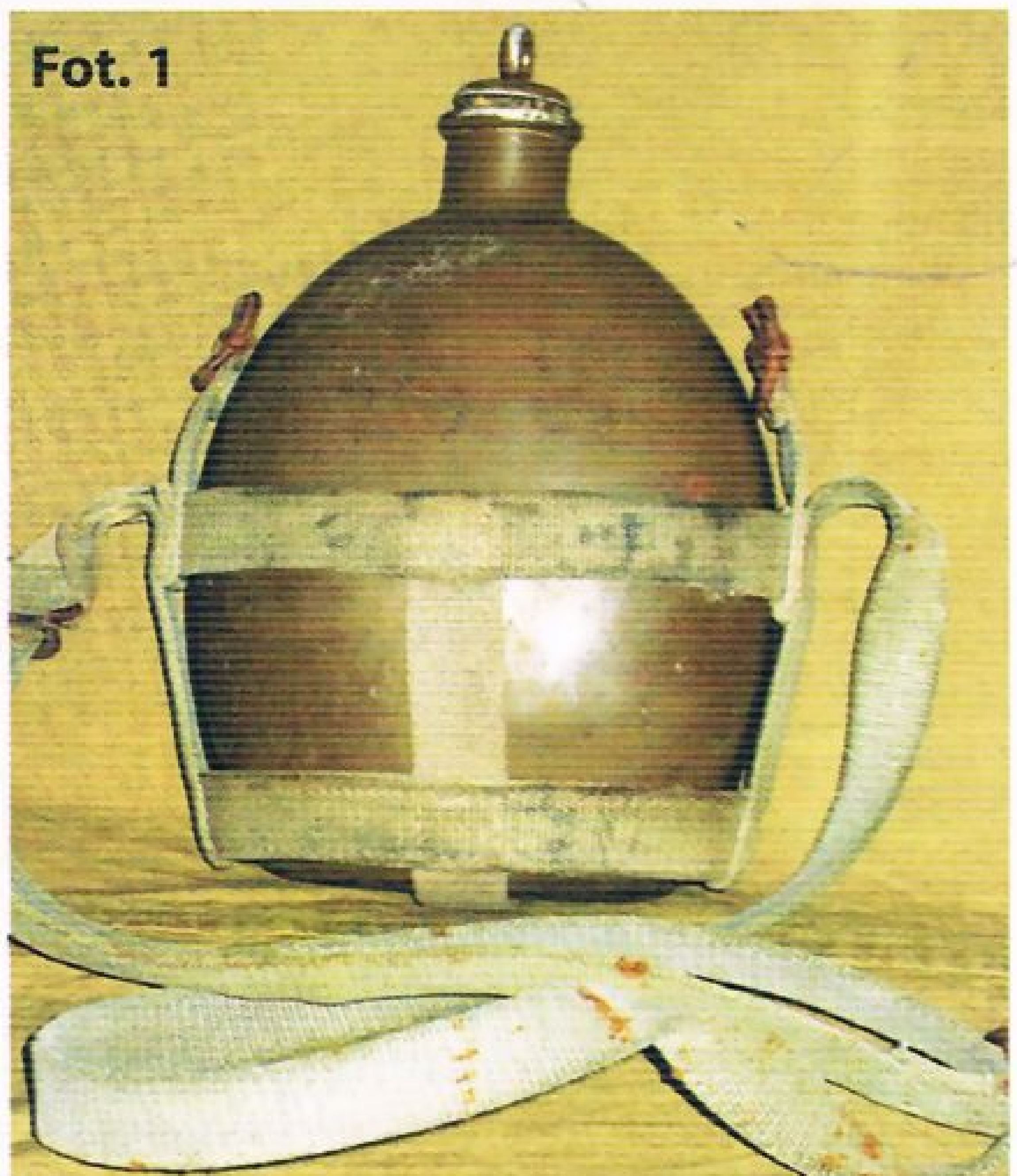

Fot. 1

cowana w 1933 r. aluminiowa manierka o pojemności litra, określana w większości publikacji zachodnich jako „type 94", rzadziej, jako wz. 1934 (fot. 1). Aluminiowa butla malowana była jednolicie na kolor khaki. Zatyczka początkowo wykonywana była z korka w aluminiowej oprawce z oczkiem, przez które przechodził skórzany pasek, mocowany na obu końcach do metalowych sprzączek w parcianym oplocie manierki. Z biegiem lat wojny pojawiły się też oszczędnościowe korki, w całości wykonane z drewna (fot. 2) lub gumy, a skórzany pasek zastąpiono tasiemką z materiału (fot. 3). Pod koniec wojny manierki tego wzoru robiono ze stali, pojawiły się też modele kamionkowe.

Drugą pod względem popularności w japońskich szeregach była mniejsza manierka starego typu, określana jako „type 30" lub wz. 1887 (fot. 4). Na polu walki po raz pierwszy pojawiła się podczas wojny rosyjsko-japońskiej 1905 roku, a w służbie w cesarskiej armii dotrwała z powodzeniem do 1945 roku, gdyż w ograniczonym zakresie produ-

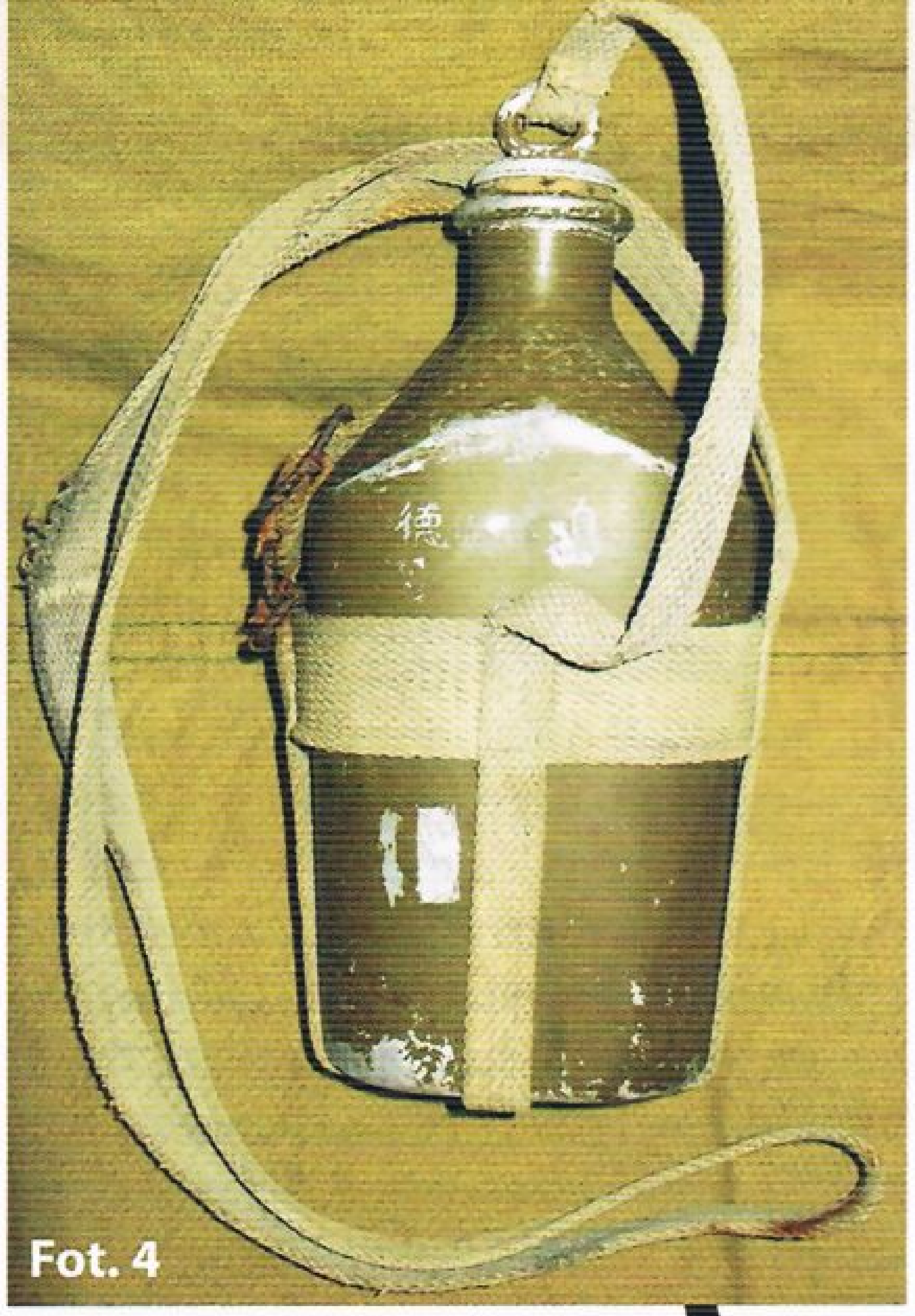

Fot. 4

Fot. 6

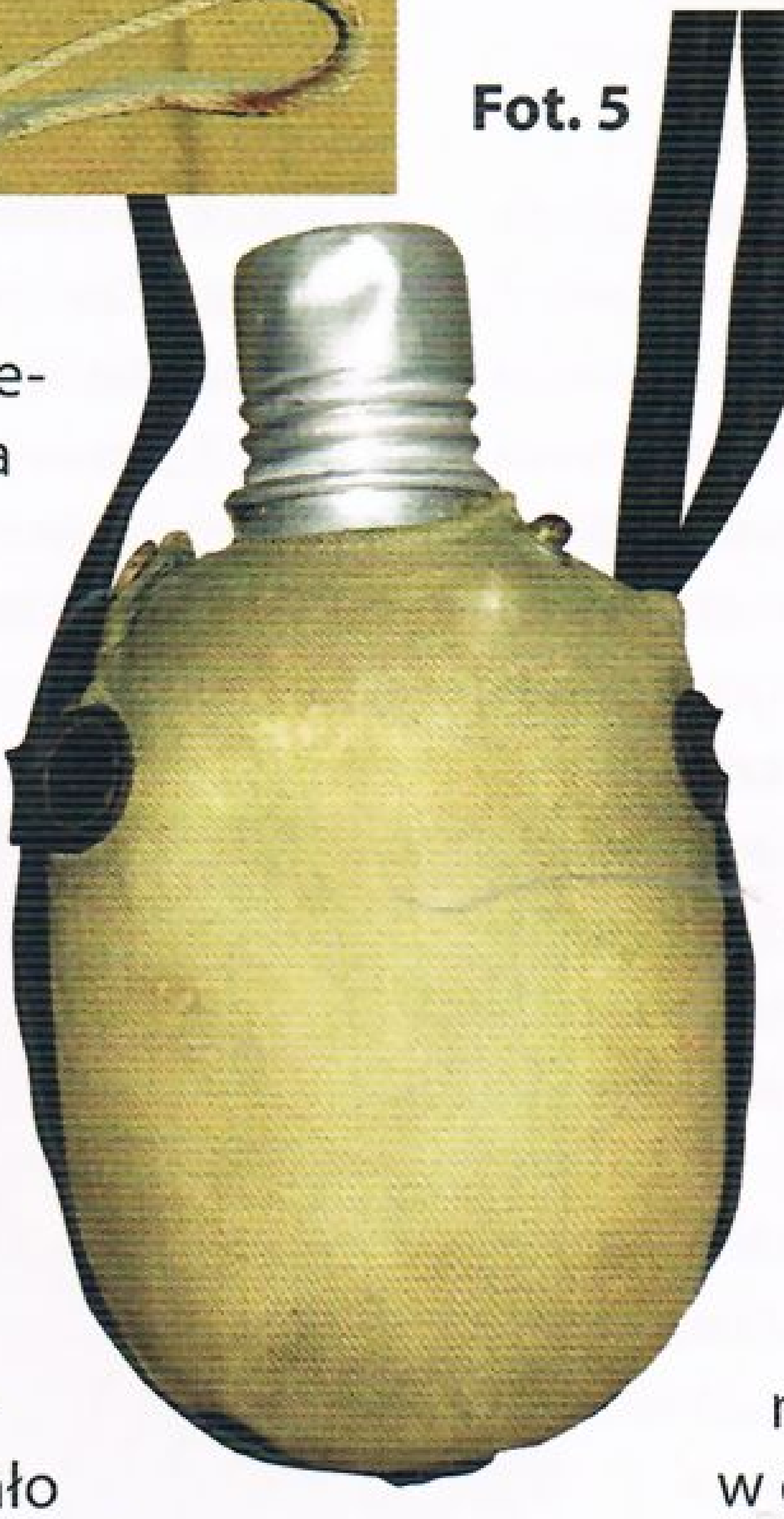

Fot. 5

kowano je niemal do samego końca wojny. Manierka wz. 1887 występowała w dwóch odmianach – w oplocie z pasków parcianych lub skórzanych. Miała pojemność pół litra, co pozwalało dwa razy napełnić żołnierski kubek. Bardzo często manierki tego typu określa się mianem „manierek oficerskich", co jest błędem. Co prawda zdarzało się, że wydawano je czasem oficerom, niemniej jednak na zdjęciach częściej można zobaczyć manierki wz. 1887 w posiadaniu szeregowców czy podoficerów. W armii japońskiej istniał jednak model oficerskiej manierki, był on „ulepszoną" wersją manierki wz. 1934. Od żołnierskiej wersji różniła się ona pełnym pokrowcem filcowym z pionowym rozcięciem pośrodku (nie z boku, jak w manierkach Wehrmachtu) zapinanym na cztery nity. Manierka ta miała też charakterystyczny, wąski i długi kieliszek nakręcany na gwintowaną szyjkę. Dno było płaskie, co umożliwiało postawienie manierki np. na stole. Manierki oficerskie produkowano głównie z aluminium, pod koniec wojny pojawiły się także odmiany szklane i fajansowe.

Bardzo często mianem manierek oficerskich nazywa się też małe manierki kupowane przez wojskowych – zarówno oficerów, jak i szeregowców – prywatnie (fot. 5). Miały pojemność ok. 250 ml i pełniły raczej rolę tzw. piersiówek na sake. Wykonane były z aluminium i posiadały mały kubeczek nakręcany na szyjkę, płócienny pokrowiec oraz wąski pasek nośny ze skóry lub parciany. Pokutujący wśród kolekcjonerów pogląd, że są to manierki oficerskie, bierze się zapewne z faktu, iż niektórzy producenci tych manierek umieszczali na kubku mały kompas. W rzeczywistości opracowane zostały w celach komercyjnych, a przed wojną często służyły uczniom w drodze do szkoły.

Odmienny model manierki stosowano w cesarskiej marynarce wojennej (fot. 6). Od modelu wojsk lądowych różnił się zakręcanym na szyjce korkiem-kieliszkiem, mocowanym za pomocą łańcuszka do paska, na którym noszono manierkę. Umieszczana była w zakrywającym całą butlę płóciennym pokrowcu, sznurowanym z jednego lub z obu boków. Manierki te stosowały przede wszystkim oddziały piechoty morskiej. Ze względu na specyfikę działań wojennych na Pacyfiku, a więc m.in. konieczność dokonywania destanów czy obronę wysp, Japończycy na równi z Amerykanami wprowadzali do walki oddziały piechoty morskiej, uzbrojone nawet w broń pancerną. W publikacjach zachodnich jednostki te określane są mianem SNLF – od angielskiego terminu Special Naval Landing Forces. Manierki marynarki wykonywano z aluminium, pod koniec wojny ze stali.

W szeregach armii cesarskiej stosowano kilka modeli menażek. Najczęściej

Fot. 7

spotykanym był dość podobny do niemieckiej menażki wz. 31 – aluminiowy, nerkowaty model o identycznej niemal pojemności, z klamerką do przewlekania troka na wypukłej stronie kociołka. (fot. 7). Menażka składała się z trzech części: kociołka, pokrywki i wewnętrznej

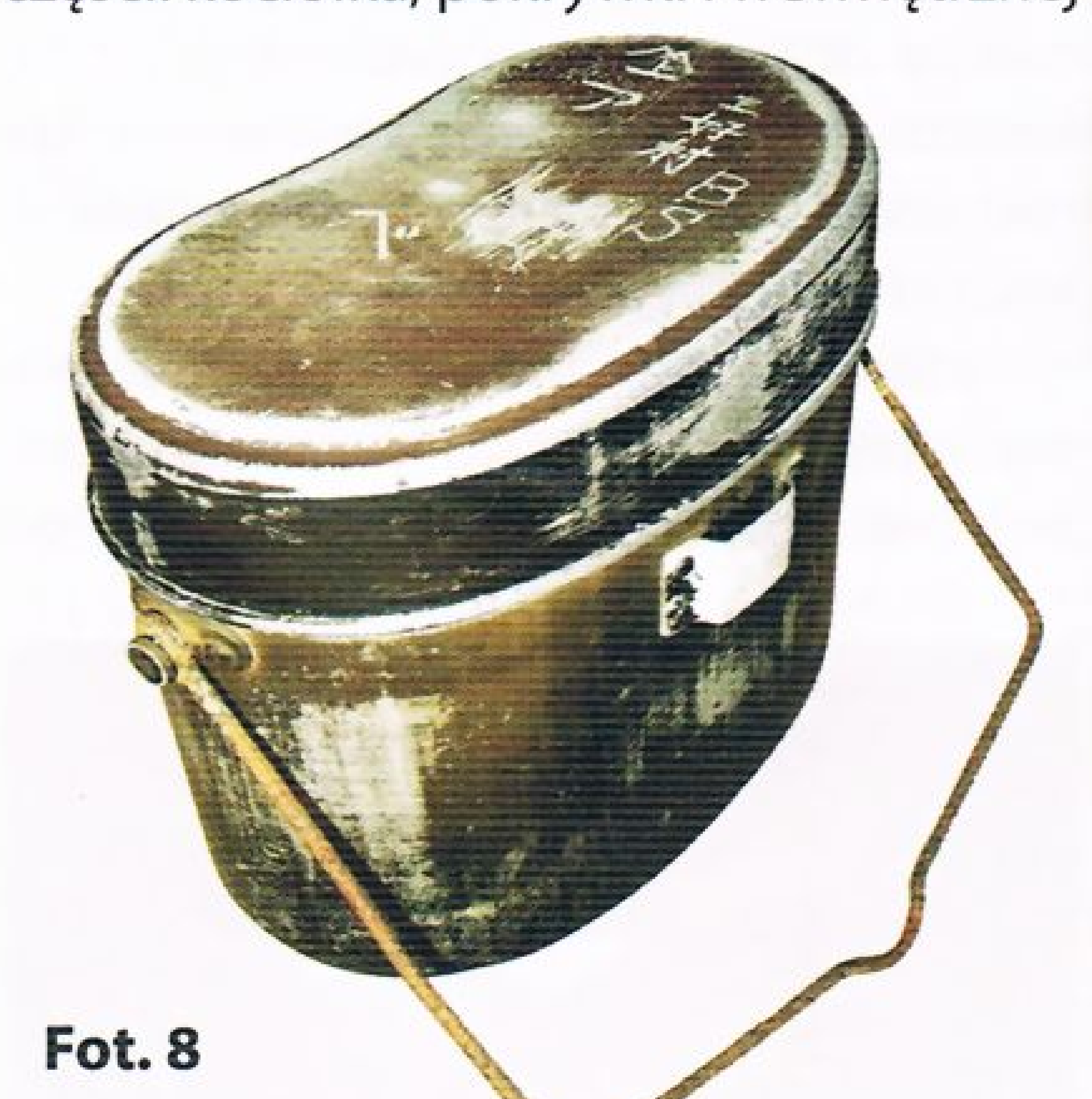

Fot. 8

aluminiowej tacki. Powszechną praktyką było podpisywanie swoich menażek przez żołnierzy japońskich. Na zdjęciu nr 8 widać standardową menażkę z japońskimi inskrypcjami na pokrywce, obok których pojawiły się inicjały ame-

Fot. 9

rykańskiego żołnierza (B.S.) – jej zdobywcy, który przywiózł ją do USA.

Używano też nieco większych menażek starego typu (fot. 9), także produkowanych z aluminium. Występowały one

Fot. 10

w kilku wersjach. Bardziej zaawansowany typ posiadał dwie klamerki do przewlekania troka – na kociołku i pokrywce (fot. 10). Menażki te również posiadały wkładany do środka aluminiowy talerzyk. Prezentowany na zdjęciu nr 10 egzemplarz, należał do żołnierza o nazwisku Oohira. Innym charakterystycznym elementem menażek starszego typu jest składany, łańcuchowy pałąk kociołka.

Istniały dwa prostokątne modele menażek dla oficerów. Najbardziej popularna wersja była nieco mniejsza od ogólnowojskowego wzoru, i także posiadała przy kociołku pałąk ze stalowego drutu (fot. 11 i 12). Wcześniejszy model nie miał pałąka, był po prostu wąskim i długim na 22 cm aluminiowym pudełkiem – oczywiście z obowiązkową wewnętrzną tacką.

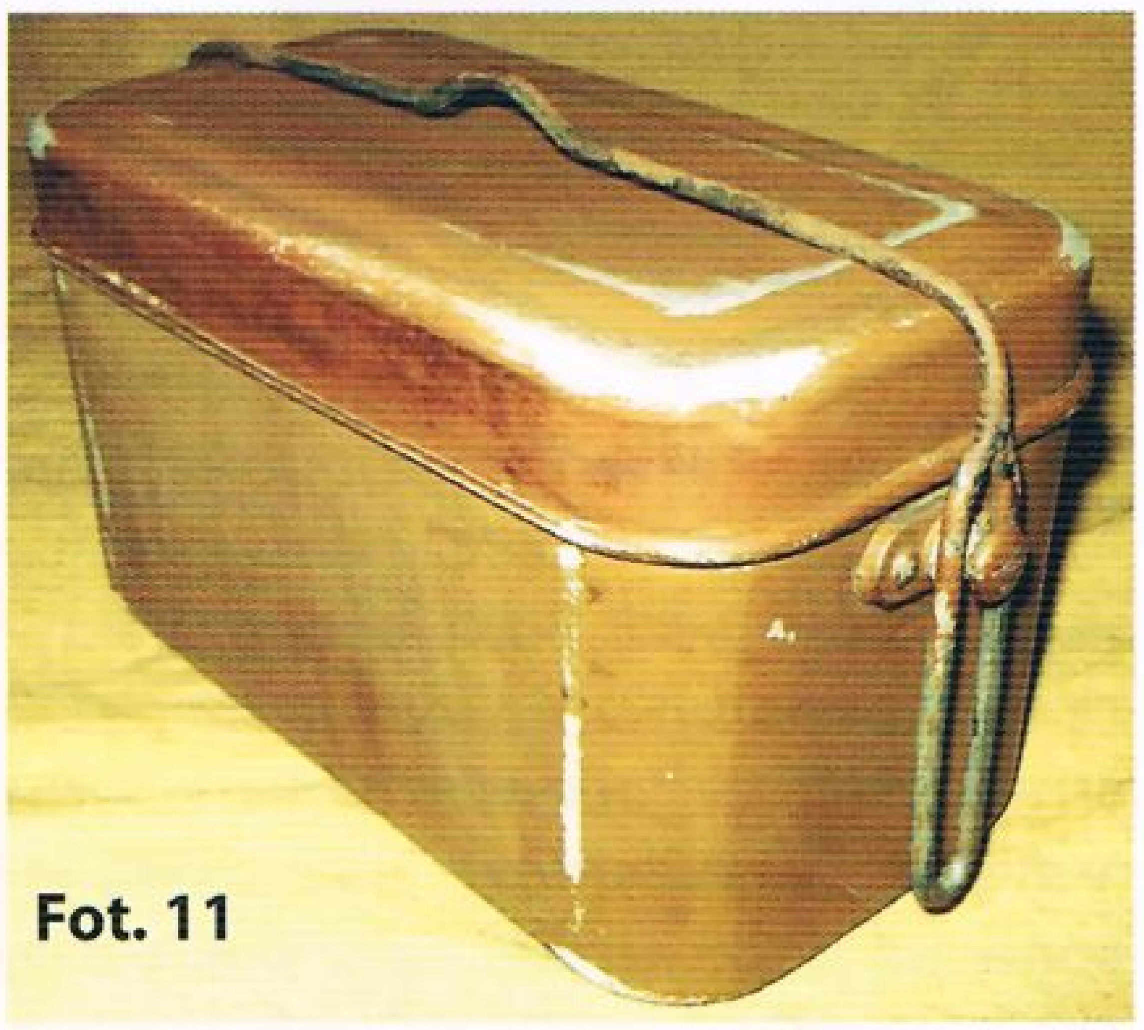

Fot. 11

Japońscy żołnierze używali też zbiorowych menażek złożonych z czterech części. Wielkością podobne były do menażek starszego typu, składały się jednak z dwóch dużych kociołków, z których węższy wchodził niemal w całości do wnętrza szerszego. Oba kociołki miały składane pałąki. Menażka tego wzoru miała pokrywkę i wewnętrzną tackę chowaną do mniejszego kociołka.

Pod koniec wojny, w związku z krytyczną sytuacją gospodarczą Japonii, do produkcji wprowadzono, w niewielkim zakresie, oszczędnościowe menażki z drewna (techniką wykonania zbliżone do koszyków na truskawki, które widzimy na współczesnych targowiskach) oraz menażki z fajansu. Z wiadomych względów menażki te mogły służyć jedynie jako naczynia do konsumpcji, a podgrzewanie czy gotowanie w nich czegokolwiek, było niemożliwe.

Zarówno menażki, jak i manierki japońskie przystosowane były do użycia w warunkach arktycznych. Żołnierzom wydawano wtedy wyściełane od środka futrem pokrowce o odpowiednim kształcie, do których chowano naczynia z ciepłą zawartością, by dłużej zachować wysoką temperaturę.

Na aluminiowych elementach sprzętu kuchennego umieszczone są z reguły sygnatury wytwórców. Jeden z najpopularniejszych producentów, o nazwie Nigiriya, sygnował swoje wyroby symbolem dłoni trzymającej pęk strzał (fot. 13). Przedmioty z tej wytwórni uznawane są przez japońskich kolekcjonerów za produkty najwyższej klasy. Drugim co do wielkości koncernem dostarczającym armii kuchenny sprzęt, był Osaka Aluminium. Menażki, manierki i inne przedmioty z tej wytwórni sygnowane są europejskim napisem tej treści na tle globu.

Fot. 12

Żołnierze japońscy nie używali niezbędników w europejskim rozumieniu tego słowa. Zdecydowana większość otrzymywała tradycyjne, drewniane pałeczki. Niektórzy oficerowie posiadali kupowane prywatnie pałeczki z kości słoniowej. Zdarzały się też pałeczki wykonywane przez żołnierzy własnoręcznie – ze stali, aluminium lub innych tworzyw pozyskanych z rozbitego sprzętu. Często na końcach do trzymania umieszczano łuski z karabinu Arisaka. Widelce, łyżki i noże zdarzały się bardzo sporadycznie, a jeśli już, to raczej wśród wyższych oficerów. Można było je także spotkać w kasynach oficerskich, o ile podawano „europejską" potrawę, niemożliwą do skonsumowania pałeczkami. Europejskie menu pojawiało się najczęściej podczas wizyt gości zza granicy, attaché wojskowych lub dyplomatów. W polu, przy przyrządzaniu posił-

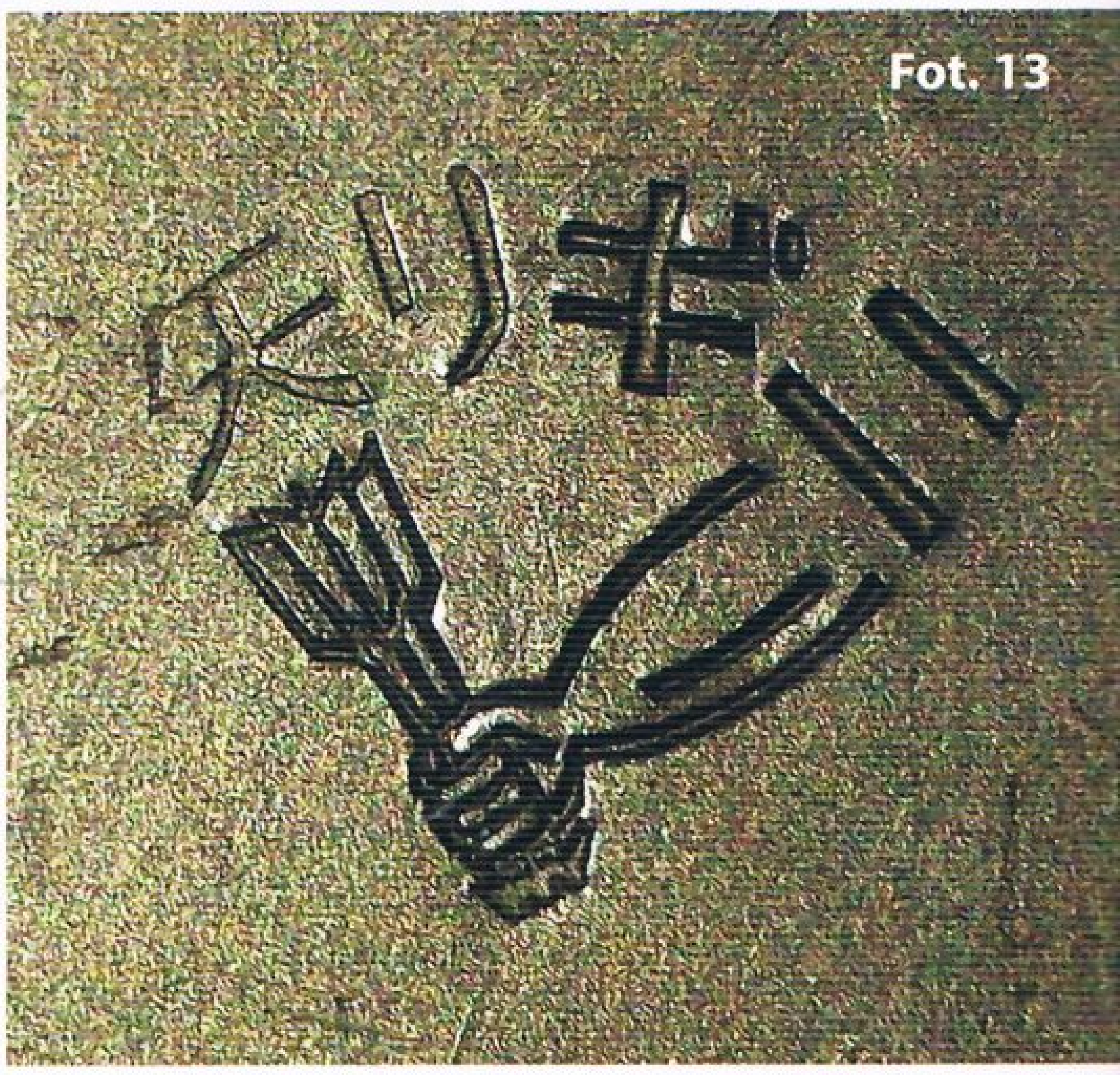

Fot. 13

ków, żołnierze korzystali z tradycyjnych składanych noży – higonokami.

Posiłki żołnierzy japońskich w dużej mierze opierały się na tradycyjnej kuchni Kraju Kwitnącej Wiśni. Na stołach zarówno w koszarach, jak i w polu, królował ryż, ryby i sake. Popularna była wołowina, wieprzowina i drób, oczywiście przyrządzane po japońsku. Pito też japońskie piwo i herbatę.

W koszarach lub w placówkach tyłowych do spożywania posiłków używano dwóch rodzajów kantynowych misek (fot. 14). W mniejszych podawano zupę, w większych drugie danie. Podczas wojny pojawiły się podobne modele misek, wykonywane z emaliowanej stali oraz ba-

Fot. 14

kelitu. Naczynia należące do wojsk lądowych oznaczano symbolem gwiazdy. Na elementach zastaw marynarki widniał zwykle symbol kotwicy. Do picia wody lub piwa na froncie używano aluminiowych lub stalowych kubków w kształcie filiżanek, bardzo podobnych (zapewne skopiowanych) do francuskich kubków żołnierskich z I wojny światowej. Do picia sake służyły małe czarki, zwykle o średnicy ok. 4 cm. Trunek ten dostarczano w butelkach różnej pojemności i kształtu. Na pobojowiskach Pacyfiku zdarzają się nieraz bardzo finezyjnie wykonane butelki szklane, porcelanowe lub kamionkowe po sake. Wiele z nich podnoszonych jest z dna oceanu, gdyż w przeciwieństwie do europejskiego teatru działań wojennych, na Dalekim Wschodzie archeologia pola bitwy opiera się w znacznym stopniu na nurkowaniu.

W wojsku japońskim funkcjonowały kuchnie polowe zorganizowane na sposób europejski, zarówno o trakcji konnej, jak i motorowej. Na froncie podstawą wyżywienia był dostarczany w workach ryż. Ryżowe ciastka lub inne produkty, jak słodycze przysyłane z domu, przechowywano najczęściej w płóciennych sakiewkach (fot. 15). Większa z toreb pokazanych na zdjęciu, to hokobukuro, przeznaczona także do przenoszenia przedmiotów niezwiązanych z jedzeniem. Istniało też wiele odmian płaskich, prostokątnych pojemników na prowiant (fot. 16). Wykonywano je z aluminium i stanowiły niejako japoński odpowiednik nerkowatych, aluminiowych pudełek na kromki chleba, stosowanych w armii niemieckiej. Pojemniki te, zwykle o wymiarach ok. 20×12 cm, występowały w wielu wersjach, a na ich pokrywkach tłoczono często japońskie znaki oznajmiające do jakiego rodzaju sił zbrojnych należy żołnierz, będący właścicielem pudełka.

Fot. 15

○ ○ ○

W początkowym okresie wojny wyżywienie wojska starano się utrzymywać na wysokim poziomie, z biegiem czasu, pogarszało się ono jednak nieubłaganie. W polu żołnierze bardzo często uzupełniali przydziały, polując na różne zwierzęta lub łowiąc ryby w potokach. Trudna sytuacja aprowizacyjna wiązała się bardzo często ze specyfiką terenu, na jakim przyszło walczyć japońskiemu żołnierzowi. Izolowane garnizony setek wysp i wysepek na Pacyfiku, były pod koniec wojny często pozostawione na łaskę losu, gdy dostarczenie im drogą morską lub lotniczą jakiegokolwiek zaopatrzenia, było niemożliwe. Ze względu na całkowite panowanie Amerykanów w powietrzu i na wodzie, niemal każdy okręt japoński szedł błyskawicznie na dno. Zatapiano nawet rybackie łodzie, którymi próbowano dostarczać zaopatrzenie pierwszej potrzeby. Równie trudna była sytuacja na lądzie – podczas ciągłych walk w dżungli, w trudnym terenie, niemożliwym do przebycia nawet dla koni, o pojazdach nie wspominając, regularne dostarczanie zaopatrzenia było wprost niewykonalne. Na znacznie oddalonych od siebie wyspach Japończycy wegetowali w straszliwych warunkach.

W ostatnim roku wojny, w Japonii bombardowanej nieustanie przez amerykańskie lotnictwo, panował wielki głód. Dotknął on także wojsko, czego dowodem są zdjęcia Japończyków, poległych podczas obrony Iwo Jimy czy Okinawy, skrajnie wychudzonych. Ocenia się, że wskutek chorób i głodu zmarło 60 proc. spośród 1,74 mln japońskich żołnierzy, którzy zginęli podczas wojny na Pacyfiku.

Fot. 16

Z krańcowym niedoborem żywności w armii japońskiej pod koniec wojny, wiąże się makabryczny aspekt tego konfliktu, który jeszcze długo po jego zakończeniu, był tematem tabu. Kanibalizm. Dramat obu stron konfliktu stał się w pewnym momencie tematem wojennych filmów, których akcja toczy się na Dalekim Wschodzie. Pojawia się także we wspomnieniach japońskich weteranów. Ofiarami byli cywile z okupowanych terytoriów, których od samego początku wojny japońscy żołnierze traktowali z wyjątkowym okrucieństwem; co dotyczy zwłaszcza Chińczyków. Żołnierze cesarza Hirohito dopuszczali się niewiarygodnych okrucieństw… Ofiarami byli także alianccy jeńcy, co uwieczniono m.in. w filmie „Cienka czerwona linia", opowiadającym o walkach na Guadalcanal. Tematyki kanibalizmu w armii nie unikali też filmowcy japońscy – najlepszym przykładem jest film pt. „Ognie polne" Kona Ichikawy z 1959 roku.

To jednak temat na zupełnie innym poziomie rozważań.

ZDJĘCIA: TOMASZ BIENEK. PREZENTOWANE EKSPONATY POCHODZĄ Z KOLEKCJI AUTORA.

Tomasz Piotr Bienek

Entuzjasta historii obu wojen światowych, kolekcjoner żołnierskiego ekwipunku z lat 1914-1945, miłośnik fantastyki i fan rockowej muzy, polskich gór i polskiego morza. Z wykształcenia humanista, z doświadczenia zawodowego reporter w prasie codziennej. Autor rubryki „Wojna od strony kuchni" w „Odkrywcy". Wyznawca maksymy stworzonej i wyśpiewanej przez Marka Grechutę: „Ważne są dni, których jeszcze nie znamy".

Hiszpańska Dywizja Ochotnicza na froncie sowieckim 1941-1943

Feldgrau, krew i złoto

PIOTR GALIK

W śmiertelnych zmaganiach dwóch totalitarnych mocarstw – III Rzeszy i Związku Sowieckiego – uczestniczyli liczni przedstawiciele kraju, który podczas drugiej wojny światowej pozostawał oficjalnie neutralny, lecz kilka lat wcześniej był areną wojennej „próby generalnej" – Hiszpanii. Ochotnicy zza Pirenejów w drodze na front znaleźli się na ziemiach polskich. „Sojusznicy naszego wroga", podobnie jak Węgrzy, pozostawili po sobie nienajgorsze wspomnienia wśród mieszkańców wschodnich obszarów II Rzeczypospolitej...

„Rosja jest winna!"

W połowie lat 30. XX w. Hiszpania, kraj w którym ostre konflikty narodowe, społeczne i polityczne od ponad wieku rozdzierały jedność państwową, osiągnął apogeum bratobójczej wrogości. Poziom wewnętrznej agresji i wzajemnej nienawiści współobywateli stał się tak wysoki, że w końcu doszło do największej, narodowej tragedii w nowożytnych dziejach tego kraju – wojny domowej. Mocarstwa totalitarne natychmiast wykorzystały okazję, by sprawdzić w warunkach realnego pola walki umiejętności i uzbrojenie swoich wojsk, udzielając pomocy stronom konfliktu. Faszystowskie Włochy i nazistowskie Niemcy wsparły konserwatywno-narodowe powstanie generała Francisco Franco, a Związek Sowiecki (i sympatyzujące z nim środowiska lewicowo-liberalne w wielu krajach Zachodu) udzieliły pomocy anarchistyczno-marksistowskim władzom Republiki Hiszpańskiej. Zarówno Berlin i Rzym, jak też Moskwa, nie zaangażowały się w hiszpańską wojnę domową bezinteresownie. Poza korzyściami propagandowo-ideowymi liczyły się perspektywy uzyskania cennych stref politycznych i gospodarczych wpływów na zachodzie Europy.

Zwycięstwo Hiszpanii narodowej nad ludową (1939 r.) przyniosło jednak bolesne rozczarowanie Hitlerowi i Mussoliniemu. Caudillo (wódz, oficjalny tytuł dyktatorski) Franco nie zamierzał bowiem zrewanżować się swoim „sponsorom" inaczej, niż tylko werbalnymi deklaracjami wdzięczności. W istocie pogardzał zarówno Hitlerem jako osobą, jak i narodowym socjalizmem jako ideologią antykatolicką i barbarzyńską.

Przekonanie to pogłębiło się szczególnie po zawarciu antypolskiego sojuszu Berlina z Moskwą, znienawidzoną „promotorką" lewicowego rządu madryckiego, z takim trudem obalonego przez powstańców. Antypatia była zresztą wzajemna, dla nazistowskich przywódców o plebejskim pochodzeniu wyniosły arystokrata i gorliwy katolik Franco był postacią antypatyczną, a minister spraw zagranicznych III Rzeszy, Joachim von Ribbentropp w prywatnej wypowiedzi nazwał swego hiszpańskiego odpowiednika, Ramóna Serrano Súñera (*nota bene* zwolennika sojuszu z Niemcami) „jezuicką świnią"...

Ostatecznie Hiszpania zachowała neutralność, mimo nacisków dyplomatycznych, nie atakując Francji ani Wielkiej Brytanii (Gibraltaru) w 1940 r., a bezpośrednie spotkanie Franco i Hitlera, który osobiście usiłował nakłonić dyktatora Hiszpanii do udziału w wojnie, zakończyło się wynikiem dalekim od oczekiwań Berlina. Hitler kwaśno skomentował tę konferencję słowami: „*Wolałbym dać sobie wyrwać trzy lub cztery zęby, niż raz jeszcze przejść przez to*".

Wybuch wojny na Wschodzie w czerwcu 1941 r. zmienił jednak nastawienie znacznej części hiszpańskiej

Francisco Franco (uśmiechnięty) i Adolf Hitler (raczej mniej zadowolony) po zakończeniu konferencji w Hendaye, rok 1940.

Hiszpańscy ochotnicy w drodze na front sowiecki, lato 1941 r.

„Rosja jest winna!" – Masowa demonstracja w Madrycie, jedna z wielu jakie przetoczyły się przez hiszpańskie miasta po wybuchu wojny III Rzeszy z Sowietami.

opinii publicznej wobec Niemiec. W Madrycie i innych miastach odbyły się masowe demonstracje pod hasłem „Russia es culpable!" („Rosja jest winna" – chodziło o niedawno zakończoną hiszpańską wojnę domową). Tłumy demonstrantów domagały się zgody na udział w „krucjacie antykomunistycznej", by zdławić „bezbożny bolszewizm" w jego gnieździe. Franco postanowił zatem wykorzystać te nastroje, by dodatkowo umocnić swoją pozycję polityczną i zminimalizować wpływy sympatyzującej z ideologią faszyzmu „Falangą" – masową organizacją polityczną, której lojalności nie był pewien. Caudillo wyszedł także naprzeciw postulatom pragmatycznie nastawionych członków dowództwa sił zbrojnych, popierających wysłanie na front wschodni oddziałów, które mogłyby zdobyć doświadczenie bojowe w warunkach odmiennych, niż niedawne zmagania w kraju. Postanowił zatem zgodzić się na utworzenie hiszpańskiej formacji ochotniczej, walczącej w mundurach Wehrmachtu. Oczywiste było tu nawiązanie do niemieckiego „Legionu Kondor", którego żołnierze nosili uniformy armii hiszpańskiej.

Ostatecznie, 27 VI 1941 r. z rozkazu Franco rozpoczęto rekrutację ochotników do dywizji piechoty przeznaczonej do walki z Armią Czerwoną. W ciągu pierwszego tygodnia od otwarcia punktów werbunkowych zgłosiło się do nich ponad 40 tys. osób, a wkrótce okazało się, że liczba zapisanych dziesięciokrotnie przekroczyła planowany stan oddziału. Tak liczny napływ chętnych do służby pozwolił na przeprowadzenie ich starannej selekcji. Wielu oficerów i podoficerów, weteranów wojny domowej, zgłaszało się do służby w charakterze szeregowych żołnierzy, gdyż nie było już wolnych etatów dowódczych. Największą część przyjętych w szeregi stanowili członkowie i sympatycy „Falangi", z dumą noszący swoje organizacyjne niebieskie koszule. Stały się one nieformalnie znakiem rozpoznawczym hiszpańskich ochotników, a ich jednostkę zaczęto wkrótce nazywać „Division Azul" („Błękitna Dywizja").

Drugim co do liczebności środowiskiem politycznym, reprezentowanym w dywizji, byli monarchiści („karliści", zwolennicy linii dynastycznej księcia Carlosa de Borbon), wyróżniający się jaskrawoczerwonymi beretami. W ramach ujednolicenia uniformów, karliści otrzymali błękitne koszule „Falangi", a falangiści założyli czerwone berety, w ten symboliczny sposób demonstrując jedność ponad podziałami. Wkrótce jednak ochotnicy mieli przywdziać typowe mundury Wehrmachtu.

13 VII 1941 r. w porozumieniu z Niemcami rozpoczęto szkolenie i organizację hiszpańskiej formacji ochotniczej w oparciu o standardowe wzorce Wehrmachtu. Tak więc Division Azul formalnie stała się 250. Infanterie-Division, a ochotnicy zostali przydzieleni do pułków i batalionów, noszących oficjalnie niemiecką numerację. Wydano niemieckie sorty mundurowe, uzbrojenie i wyposażenie, a jedyną oznaką przynależności narodowej żołnierzy 250. Dywizji stała się naszywana na prawym rękawie munduru tarcza w barwach państwowych Hiszpanii, zwanych tradycyjnie Sangre y Oro („krew i złoto"). Powszechnie praktykowano jednak wykładanie kołnierzy niebieskich koszul na kołnierze niemieckich kurtek mundurowych, podobnie jak noszenie rozmaitych hiszpańskich odznaczeń i oznak wojskowych lub partyjnych, a często także katolickich symboli religijnych. Ogółem dywizja hiszpańska liczyła 641 oficerów, 2272 podoficerów i 15780 szeregowych żołnierzy, wcielonych do trzech pułków piechoty, pułku artylerii, batalionu saperów, przeciwpancernego, rozpoznawczego, łączności i rezerwowego, kompanii szturmowej oraz pododdziałów medycznych i logistycznych. Na czele

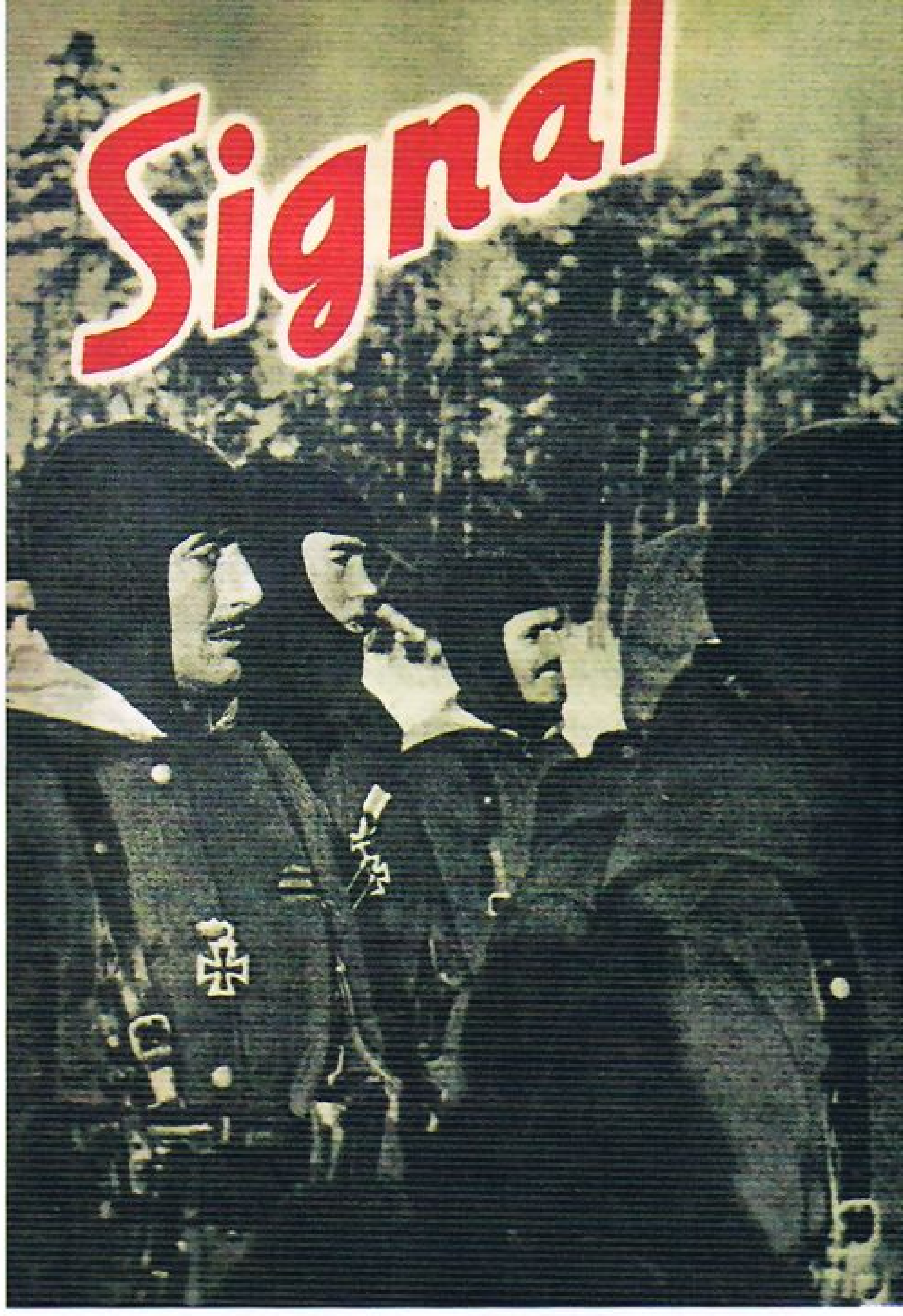

Niemiecka propaganda z chęcią eksponowała udział hiszpańskich sprzymierzeńców w wojnie z Sowietami pomimo utrzymywanej w tajemnicy krytycznej oceny ich pozafrontowego stylu bycia…

sztabu dywizyjnego stanął doświadczony dowódca, gen. Agustín Muñoz Grandes, znany z nieposzlakowanej opinii i wielkiej lojalności wobec Franco. Z powodu wysokiego poziomu doświadczenia wojskowego większości ochotników – weteranów wojny domowej – okres szkolenia na poligonie Grafenwöhr w Bawarii skrócono do zaledwie 6 tygodni. 31 lipca hiszpańscy żołnierze III Rzeszy złożyli nieco zmodyfikowaną przysięgę, obowiązującą w jednostkach niemieckich. Niemieckich dowódców raził nie tylko typowy dla „południowców" luźny stosunek do zasad dyscypliny wojskowej, ale nawet sam wygląd większości Hiszpanów, którzy nie przypominali mitycznych „nordyków", prezentując zdecydowanie „niearyjski" typ urody. Oficjalnie jednak – dla celów propagandowych – nowych sojuszników starano się traktować z wielką, choć nieszczerą życzliwością…

Przez Kresy ku wrogowi

Od 7 do 28 VIII 1941 r. trwał sukcesywny transport żołnierzy, broni i mułów jucznych oraz koni pociągowych Division Azul na wschód. Po pokonaniu w wagonach kolejowych blisko 1200 km, Hiszpanie dotarli do Suwałk, a następnie

zgromadzili się w miejscowościach Raczki, Cimochy i Sejny oraz w rejonie Augustowa. Stamtąd do ówczesnej linii frontu pozostawało jeszcze około tysiąca kilometrów. Dowództwo niemieckiej 16. Armii, której podporządkowano Hiszpanów, postanowiło wydać dywizji sojuszniczej rozkaz przemarszu pieszego, co trudno uznać za szczególną szykanę, gdyż także znakomita część Dywizji Piechoty Wehrmachtu pozbawiona była luksusu przewozu mechanicznymi środkami lokomocji.

Trudno jednak nie wspomnieć o niechęci, z jaką oficerowie Wehrmachtu obserwowali zachowanie sprzymierzeńców, a szczególnie ich brak uprzedzeń wobec „podludzi": Polaków i Żydów. Hiszpańscy żołnierze, motywowani do walki z Sowietami żarliwym antykomunizmem, nie podzielali bowiem rasistowskich poglądów, obowiązujących z mocy prawa w III Rzeszy. Doskonale wiedzieli, że większość mieszkańców ziem podbitych przez Sowiety nie żywi najmniejszej sympatii wobec reżimu Stalina, nie jest zatem wrogiem, lecz przeciwnie – naturalnym sprzymierzeńcem. Krytykowane przez nazistów „fraternizowanie się z elementami obcymi rasowo", jak w służbowych raportach określano dzielenie się żywnością z mieszkańcami miejscowości na trasie przemarszu (Suwałki–Grodno–Lida–Wilno–Mołodeczno–Mińsk–Orsza–Witebsk) było zjawiskiem powszechnym. Weseli, skłonni do zabawy i biesiady, życzliwi i hojni Hiszpanie budzili sympatię mieszkańców Kresów dawnej Rzeczypospolitej, pozytywnie odróżniając się od Niemców, w najlepszym razie obojętnych, a zwykle wrogo traktujących „tubylców". Żołnierze „Błękitnej Dywizji", w ogromnej większości gorliwi katolicy, chętnie uczestniczyli w nabożeństwach, odwiedzali kościoły i odprawiali msze polowe, dopuszczając do udziału w nich także miejscowych. Według relacji Grzegorza Józefa Koszczuka, wówczas mieszkańca Ejszyszek: *„w kościele miało miejsce nabożeństwo. Zakrystian Stefan Smykowski gdzieś się zaprzepaścił. Nie było i księży w kościele. Jako ministrant nie bardzo zrozumiałem, co się dzieje. Przybył generał ze świtą i pomagałem mu włożyć komżę i ornat, podałem mszał, naczynia do mszy, po czym kazano mi odmaszerować. Z ciekawości stałem w kątku koło wielkiego ołtarza. (...) Pierwszy raz w życiu widziałem i słyszałem orkiestrę, która rozmieściła się na chórze, grając na »złotych« trąbach, trąbkach. Kościół ejszyski był wypełniony szeregami żołnierzy. To było coś nie do opisania. (...) W odróżnieniu od ponurego wyrazu twarzy niemieckich wojaków pozostało mi w pamięci niesamowite wesołe usposobienie Hiszpanów. Wiało od nich ludzkim optymizmem, życzliwością".*

Naszywka w hiszpańskich barwach narodowych noszona jako jedyny symbol przynależności narodowej na niemieckim mundurze 250. Infanterie-Division. Wersja oficjalna („krew i złoto") często zastępowana była odmianą zmodyfikowaną – opatrzoną niemieckim Żelaznym Krzyżem i pękiem strzał – symbolem hiszpańskiej „Falangi".

Co godne podkreślenia, Hiszpanie okazywali humanitarne podejście wobec sowieckich jeńców wojennych, niekiedy czynnie reagując na brutalne traktowanie ich przez Niemców. Przykłady takiego postępowania zamieszczone zostały nawet w polskiej prasie konspiracyjnej: *„W Grodnie (...) oddział hiszpański maszerując ulicą napotkał oddział pędzonych przez Niemców jeńców sowieckich, którzy błagali o żywność. Jakaś kobieta rzuciła im spoza parkanu kilka paczek. Gdy w odpowiedzi na to jeden z konwojentów, Niemiec, strzelił do kobiety, a inny rzucił się z kolbą na podnoszących paczki jeńców, bijąc ich z całej siły, Hiszpanie złamali szeregi i wyciągnąwszy sztylety pośpieszyli bolszewikom na pomoc. Wywiązała się formalna bitwa niemiecko-hiszpańska, z czego korzystając bolszewicy w liczbie około 200 rozbiegli się".*

Z czasem, gdy dywizja walczyła już na froncie pod Wołchowem i w okolicach Leningradu, hiszpańscy „urlopnicy" niekiedy odstępowali broń i wyposażenie polskim konspiratorom, a ich bijatyki z niemieckimi „towarzyszami broni" przybrały charakter nieomal rytualny. W walce z Armią Czerwoną Hiszpanie wykazywali się jednak wielką walecznością i poświęceniem, czym budzili podziw swoich – nawet tych krytycznie nastawionych – sojuszników.

Krew na śniegu – Nowgorod i Krasny Bor

Chrzest bojowy Division Azul miał miejsce nocą z 12 na 13 X 1941 roku. Hiszpanom powierzono rozległy odcinek frontu w trudnym, bagienno-lesistym terenie w okolicach jeziora Ilmeń i rzeki Wołchow w rejonie Nowogrodu. Piechurzy hiszpańscy w śmiałym ataku opanowali przyczółek po sowieckiej stronie rzeki, a w kolejnych dniach sukcesywnie poszerzali wyłom w nieprzyjacielskich liniach obronnych. W przeciwieństwie do Niemców, Hiszpanie nie unikali walki na bagnety, wielokrotnie zmuszając wroga do odwrotu w bezpośrednim starciu. Zdeterminowane oddziały sowieckie ze składu 52. Armii trafiły na godnego siebie przeciwnika. Pomimo silnych mrozów Hiszpanie, ata-

Wielu Hiszpanów znalazło grób w rosyjskiej ziemi.

kowani przez przeważające siły, w wielodniowych, uporczywych bojach zdołali utrzymać swój odcinek frontu. Walki na froncie wołchowskim trwały aż do lata 1942 roku. Wiosenne roztopy nie przyniosły poprawy warunków bytowania i walki – przeciwnie, śnieg i lód zastąpiło błoto i chmary komarów, tak więc oprócz strat bojowych szeregi dywizji uszczuplały także choroby zakaźne i nieodpowiednie wyżywienie żołnierzy, trapionych dolegliwościami gastrycznymi. W efekcie stany bojowe oddziałów dywizji zmalały tak bardzo, że za konieczne uznano przeniesienie jej do innego, spokojniejszego sektora frontu.

W sierpniu 1942 r. 250. Infanterie-Division przeniesiona została w okolice Leningradu, obejmując odcinek obronny pomiędzy miejscowościami Krasny Bor i Puszkin nad rzeką Iżorą, dopływem Newy. Udział w oblężeniu „kolebki rewolucji" miał w założeniu być okazją do odpoczynku i uzupełnienia stanów pododdziałów dywizji, jednak sprawy przybrały nieoczekiwany obrót. Sowieci przeszli bowiem wówczas do zdecydowanych prób deblokady Leningradu. Jednym z najkrwawszych bojów „Błękitnej Dywizji" stała się walka o Krasny Bor. W lutym 1943 r. Armia Czerwona, uskrzydlona wieściami o wielkim zwycięstwie pod Stalingradem, rozpoczęła operację „Polarna Gwiazda", której celem było przerwanie niemieckich linii wzdłuż strategicznej drogi Moskwa–Leningrad. Oddziały 55. Armii sowieckiej, wsparte licznymi czołgami, podjęły zmasowane ataki na odcinku bronionym przez Hiszpanów, pozbawionych skutecznej broni przeciwpancernej. Waleczni obrońcy Krasnego Boru zmuszeni zostali zatem do samobójczych niemal ataków na nacierające czołgi przeciwnika przy użyciu min, wiązek granatów i butelek z benzyną. Co znamienne – żołnierze hiszpańscy jedynie wyjątkowo poddawali się wrogowi, wybierając raczej śmierć z bronią w ręku. Przewaga liczebna Sowietów była miażdżąca – przeciętnie na kompanię obrońców przypadał pułk atakujących. Straty Hiszpanów były tak wielkie, że w kompaniach piechoty pozostawało po kilkunastu zdolnych do walki żołnierzy. 10 lutego, kiedy „Błękitna Dywizja" wykrwawiła się tak, że praktycznie przestała funkcjonować jako jednostka bojowa, natarcie sowieckie niespodziewanie osłabło. Wieczorem utrzymywane ostatkiem sił linie obrońców zostały wzmocnione oddziałami sojuszników – Łotyszy i Flamandów, walczących podobnie jak Hiszpanie u boku Niemców. Wkrótce walki na tym odcinku frontu dobiegły końca. Armia Czerwona przesunęła linię frontu o ok. 3 km, lecz nie zdołała przełamać obrony przeciwnika, tracąc ok. 11 tys. poległych i rannych. Hiszpańska dywizja straciła ponad 2,5 tys. ludzi (w tym zaledwie 91 jeńców!), a zatem połowę swojego ówczesnego stanu bojowego.

Pyrrusowe zwycięstwo „błękitnych" nad „czerwonymi" przyczyniło się do nieuchronnego w świetle wydarzeń międzynarodowych odwołania Hiszpanów z frontu wschodniego. Franco uznał bowiem, że z nawiązką spłacił „honorowy dług" wobec III Rzeszy, a nie miał zamiaru trwać po stronie skazanej na porażkę. Hiszpański Caudillo podjął decyzję o wycofaniu dywizji już wiosną 1943 roku, lecz na skutek próśb niemieckiego dowództwa przedłużył jej pobyt na froncie do 10 października. Pożegnanie z dotychczasowym sprzymierzeńcem (Hiszpania ogłosiła wówczas ścisłą neutralność) miało charakter przyjazny i honorowy. Wielu hiszpańskich żołnierzy otrzymało niemieckie odznaczenia bojowe, w tym legendarne Krzyże Żelazne. Do kraju powróciła jedynie część Hiszpanów, bowiem około 3 tys. postanowiło zdezerterować, pozostając w służbie niemieckiej w charakterze „europejskich ochotników" w Waffen SS i Wehrmachcie.

Powroty ze Wschodu

Demobilizowani „błękitni ochotnicy" wyjeżdżali w kolejnych transportach kolejowych z przyfrontowego Wołosowa do niemieckiego miasta Hof, gdzie zdawali mundury, broń i wyposażenie, a stamtąd znów koleją do kraju. Pierwsza grupa weteranów przekroczyła granicę Hiszpanii 29 X 1943 roku. Witano ich – i następne transporty – jak narodowych bohaterów. Jako ostatni do kraju powrócił dowódca dywizji (23 XII 1943). Wielu kombatantów otrzymało hiszpańskie odznaczenia za waleczność, awanse i etaty w armii, inni wybrali powrót do życia cywilnego, tworząc bardzo zintegrowane środowisko, zapewniające wsparcie moralne i materialne potrzebującym, a zwłaszcza inwalidom wojennym i rodzinom poległych towarzyszy broni. Dla części hiszpańskich ochotników pobyt na Wschodzie trwał jednak znacznie dłużej. 219 jeńców wojennych, którzy przeżyli surowe warunki obozów pracy na Syberii, zwolniono z nich dopiero po śmierci Stalina. Do ojczyzny przybyli drogą morską 2 IV 1954 r., witani z najwyższymi honorami w Barcelonie.

Tak dobiegła końca historia ochotniczej dywizji hiszpańskiej, sojuszników naszego wroga, którzy jednocześnie byli wrogami drugiego z naszych wrogów…

Literatura, ilustracje:
1. J. Scurr, „Germany's Spanish Volunteers 1941-1945", London 1987
2. J. M. Bueno Carrera, „La Division Azul y La Escuadrilla Azul", Madrid 1991
3. W. J. Muszyński, „Błękitna Dywizja", Warszawa 2002
4. C. C. Jurado, „Blue Division Soldier", Oxford 2009

Piotr Galik
Historyk, pisarz, erudyta. Długoletni współpracownik i przyjaciel „Odkrywcy" i konsultant z dziedziny wojskowości, chociaż jego ogromna wiedza obejmuje wiele innych dziedzin z zakresu historii. Kolekcjoner-falerysta.

REKLAMA

Przegrane zwycięstwo... Bitwa pod Trutnovem

PAWEŁ KUKUROWSKI

O wojnie prusko-austriackiej 1866 roku (zwanej też wojną siedmiotygodniową) uczą się w szkołach polscy gimnazjaliści i licealiści, gdyż był to ważny etap na drodze ku zjednoczeniu Niemiec pod egidą Prus. Na ogół jednak, na lekcjach historii poświęconych temu zagadnieniu, pada nazwa tylko jednej bitwy: pod Sadową, stoczonej 3 lipca 1866 r., która zakończyła się wielką klęską Austriaków. Mało kto wie, że tą decydującą batalię poprzedziło kilka bitew na mniejszą skalę. Wszystkie zakończyły się dotkliwymi porażkami Austriaków – z jednym wyjątkiem: pod Trutnovem udało się im się odnieść zwycięstwo. Było to jednak zwycięstwo przegrane...

Jednym z pruskich korpusów przeznaczonych do ataku na Czechy, był I. Wschodniopruski Korpus Armijny pod dowództwem gen. piechoty Adolfa von Bonina. Otrzymał on zadanie utrzymywania połączenia pomiędzy 1. a 2. Armią pruską, i miał być gotowy do wzmocnienia którejś z nich. W tym celu został skierowany w rejon Görlitz. 6 VI 1866 r. przybyły tam ostatnie eszelony tego korpusu. W następnych dniach oddziały korpusu pomaszerowały w stronę Jeleniej Góry. Korpus otrzymał rozkaz nadzorowania dróg z Reichenbachu, Frýdlantu i Trutnova. Gdy jednak okazało się, że główne siły Austriaków znajdują się na Morawach i mogło się wydawać, że z tego powodu zagrożony jest Górny Śląsk, pruski król Wilhelm I nakazał dalszy marsz na wschód. I. Korpus pomaszerował więc przez Miedziankę, Świdnicę i Niemczę do Ziębic.

17 VI 1866 r. austriackie naczelne dowództwo zdecydowało się skoncentrować armię w Czechach. Wskutek tego I. Korpusowi nakazano telegraficznie (jedną z nowości użytych w tej wojnie po stronie pruskiej było zastosowanie do celów wojskowych telegrafu) marsz w kierunku na Kamienną Górę. Po rozkazie króla Wilhelma z 22 czerwca formacji został przypisany kierunek: Lubawka–Trutnov. Nieco dalej na wschód maszerował przez Hrabstwo Kłodzkie na Nachod pruski V. Korpus. Pomiędzy nimi poruszał się przez Broumov i Police nad Metují do Dvůr Králové Korpus Gwardii. Z punktów, które I. Korpus osiągnął 26 czerwca wieczorem, prowadziły do Trutnova dwie drogi: pierwsza – z Lubawki przez Kralovec, Bernartice i Zlatá Olešnice, druga – z Chełmska Śląskiego przez Okrzeszyn i Poříčí. Pierwszą z tych dróg wykorzystała pruska 1. Dywizja Piechoty (DP), drugą – 2. Dywizja Piechoty.

27 VI 1866 r. Prusacy wyruszyli o 4 rano. Po drodze natknęli się na mały oddział austriackich dragonów z pułku Windischgrätz, którzy obserwowali Prusaków. Oddział ten po krótkiej potyczce wycofał się do Trutnova. Ok. 8:00 rano pruska kolumna gen. von Clausewitza przybyła jako pierwsza na punkt spotkania pod Poříčí (miała krótszą drogę). Spóźniona druga kolumna gen. von Grotzmanna dotarła tam o godzinie 10. Przez te dwie godz. dywizja gen. Clausewitza wypoczywała, bez zajęcia Trutnova i wzgórz leżących za nim. Później czyniono jej z tego powodu wyrzuty. O 10:00 pruska straż przednia awangardy zbliżała się do Trutnova. Pruski mjr von Jastrzembski z 1. Litewskiego Pułku Dragonów udał się na małe wzgórze, aby przyjrzeć się terenowi. Dostrzegł nagle na wzgórzach przed nim austriacką piechotę – były to oddziały z brygady płk. Fryderyka Mondela. Austriacy również dostrzegli Prusaków i otworzyli ogień. Jastrzembski wycofał się.

W międzyczasie przybył pod Trutnov pruski oddział kawalerii płk. von Koblinskiego. Na szpicy posuwały się trzy plutony 1. szwadronu 1. Litewskiego Pułku Dragonów. Jego dowódca, rotmistrz von Hagen, zauważył austriackich kawalerzystów z 2. Pułku Dragonów księcia Windischgrätz i zdecydował się atakować.

Początek bitwy – starcie kawalerii

Hagen poszedł do szarży. Wkrótce dołączył z pomocą mjr. von Jastrzembski z 3. szwadronem. 5. szwadron miał postępować na lewym skrzydle jako eszelon. Prusacy dysponowali siłami 2 ¾ szwadronu, Austriacy – 4. szwadronami (wliczając w to pluton ułanów). Skutkiem tego było gwałtowne starcie kawaleryjskie (w sumie brało w nim udział ok. 1100 żołnierzy), które rozegrało się u podnóża wzgórza Šibenik. Jak to często bywa na wojnie, obie strony twierdziły później, że w tym starciu przeciw-

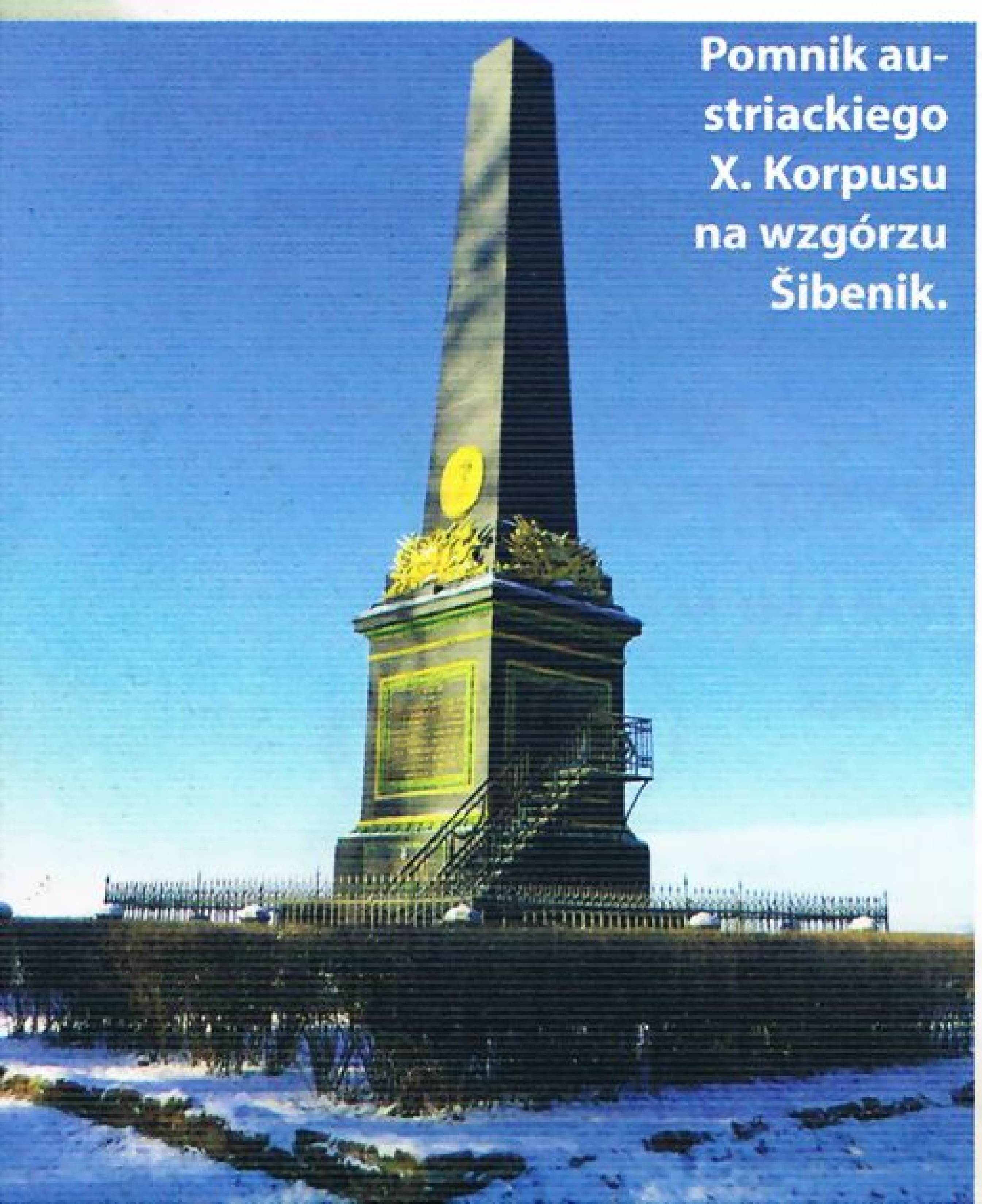

Pomnik austriackiego X. Korpusu na wzgórzu Šibenik.

Karkonosze widziane ze wzgórza Šibenik.

nik poniósł porażkę, a tak naprawdę, zakończyło się ono bez wyraźnej przewagi którejś ze stron: zarówno Prusacy, jak i Austriacy przerwali walkę, i wycofali się. Walka kawaleryjska była tylko wstępem do wydarzeń, które w następnych godzinach miały się rozgrywać w rejonie Trutnova.

„Zdrada trutnovian"

Do Trutnova, jako pierwsza pruska jednostka piechoty, wkroczył 2. batalion 1. Pułku Grenadierów. Jego 6. i 8. kompania wmaszerowały na trutnovski rynek. Zmęczeni długim marszem przez góry pruscy żołnierze ustawili broń w kozły i rozłożyli się w podcieniach kamienic. Panował wśród nich beztroski nastrój. Nagle zaczęły świstać kule. Prusacy byli kompletnie zaskoczeni! Co się stało? Aby to zrozumieć, należy cofnąć się do poprzedniego dnia.

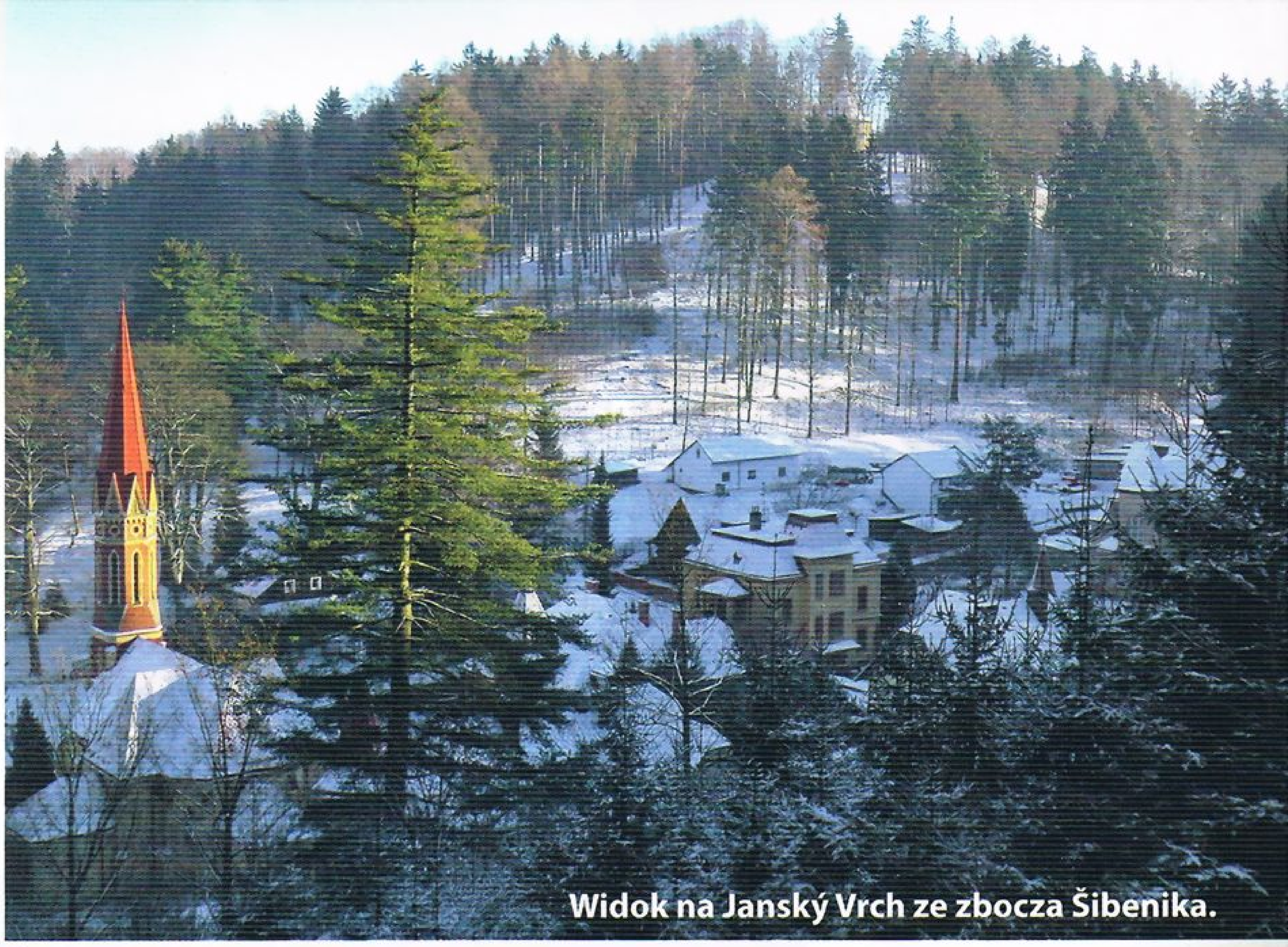

Widok na Janský Vrch ze zbocza Šibenika.

Drogowskaz ścieżki edukacyjnej „Śladami wojny 1866 roku pod Trutnovem" na wzgórzu Šibenik.

26 czerwca dowódca austriackiego X. Korpusu, feldmarszałek lejtnant[1] Ludwik Karol Wilhelm baron von Gablenz, otrzymał w Jozefovie – kwaterze głównej dowódcy Armii Północnej, feldzeugmeistra[2] Ludwika Rittera von Benedeka, rozkaz, by następnego dnia do godziny 8 obsadzić Trutnov i powstrzymać nadchodzących od strony Lubawki Prusaków. Wskutek tego gen. Gablenz wydał podległym sobie czterem brygadom, które znajdowały się w rejonie Jaroměřa (ok. 25 km od Trutnova), rozkaz do wymarszu. Znajdująca się najbliżej brygada Mondela rzeczywiście przed 8 rano obsadziła pozycje na wzgórzach nad miastem, natomiast pozostałe trzy brygady wyruszyły w drogę o wiele za późno i w rezultacie włączały się do bitwy pojedynczo, przez cały dzień. Miało to drogo kosztować Austriaków...

Wróćmy jednak do sprawy ostrzelania Prusaków na trutnovskim rynku.

Otóż krótko po ich wmaszerowaniu do miasta, lub w tym samym czasie, część austriackich strzelców z brygady Mondela, niezauważona przez samych trutnovian oraz Prusaków, zeszła ze wzgórz na południe od miasta i przeniknęła aż do domów górnego przedmieścia Trutnova. Stamtąd otworzyli ogień do niczego nie spodziewających się Prusaków. Wśród zdezorientowanych pruskich żołnierzy powstało wrażenie, że to mieszkańcy miasta strzelali do nich z domów. W ten sposób narodził się mit „zdrady trutnovian", który szybko podchwyciła i rozdmuchała pruska prasa relacjonująca przebieg wojny, przy czym, oprócz strzelania do Prusaków, będzie się zarzucać trutnovianom lanie na głowę pruskim żołnierzom wrzątku i rozgrzanego oleju, w czym miały brać udział nawet dzieci...

Choć opowieści te można włożyć między bajki, gdyż nie są niczym innym niż produktem wojennej propagandy, do dziś mit ten pokutuje w publikacjach o wojnie 1866 r., także polskich.[3] Co więcej, cała ta sprawa zakończyła się wyjątkowo przykro dla grupy 19 obywateli na czele z burmistrzem Trutnova, dr. Rothem, którzy z powodu rzekomej zdrady zostali internowani przez Prusaków i spędzili 80 dni w twierdzy w Głogowie.

Walka o wzgórza nad Trutnovem

Po początkowym zaskoczeniu pruska awangarda rozwinęła się i rozpoczęła walkę z austriacką brygadą Mondela, która stała na wzgórzach na południe od Trutnova. Były to: mierzący 508 m n.p.m. Janský Vrch (zwany także Wzgórzem Kaplicznym – od znajdującej się na nim barokowej kaplicy św. Jana Chrzciciela), położone na północny-wschód od niego wzgórze Chmelnice (510 m n.p.m.) oraz leżące na zachód od Janskeho Vrchu wzgórze Šibenik o wysokości 509 m n.p.m.

Austriacy mieli do dyspozycji siedem batalionów piechoty i baterię dział. Pułkownik Mondel rozmieścił swe siły w ten sposób, że bateria artylerii (8 armat) i 1. batalion 24. Pułku Piechoty (pp) pozostały na stanowiskach przy wsi Humburky, 3. batalion 24. pp obsadził Janský Vrch, zaś wzgórza Chmelnice bronił 2. batalion tego pułku oraz 12. batalion strzelców z połową szwadronu ułanów. Na wzgórzu Šibenik został rozmieszczony niewielki oddziałek austriackich strzelców. W drugiej linii znajdował się 10. Pułk Piechoty.

Do zdobycia tej pozycji atakujący Prusacy skierowali tyle samo batalionów, co mieli obrońcy, tj. siedem. Były to oddziały z 1. Brygady Piechoty (BP) 1. DP: 1. Pułk

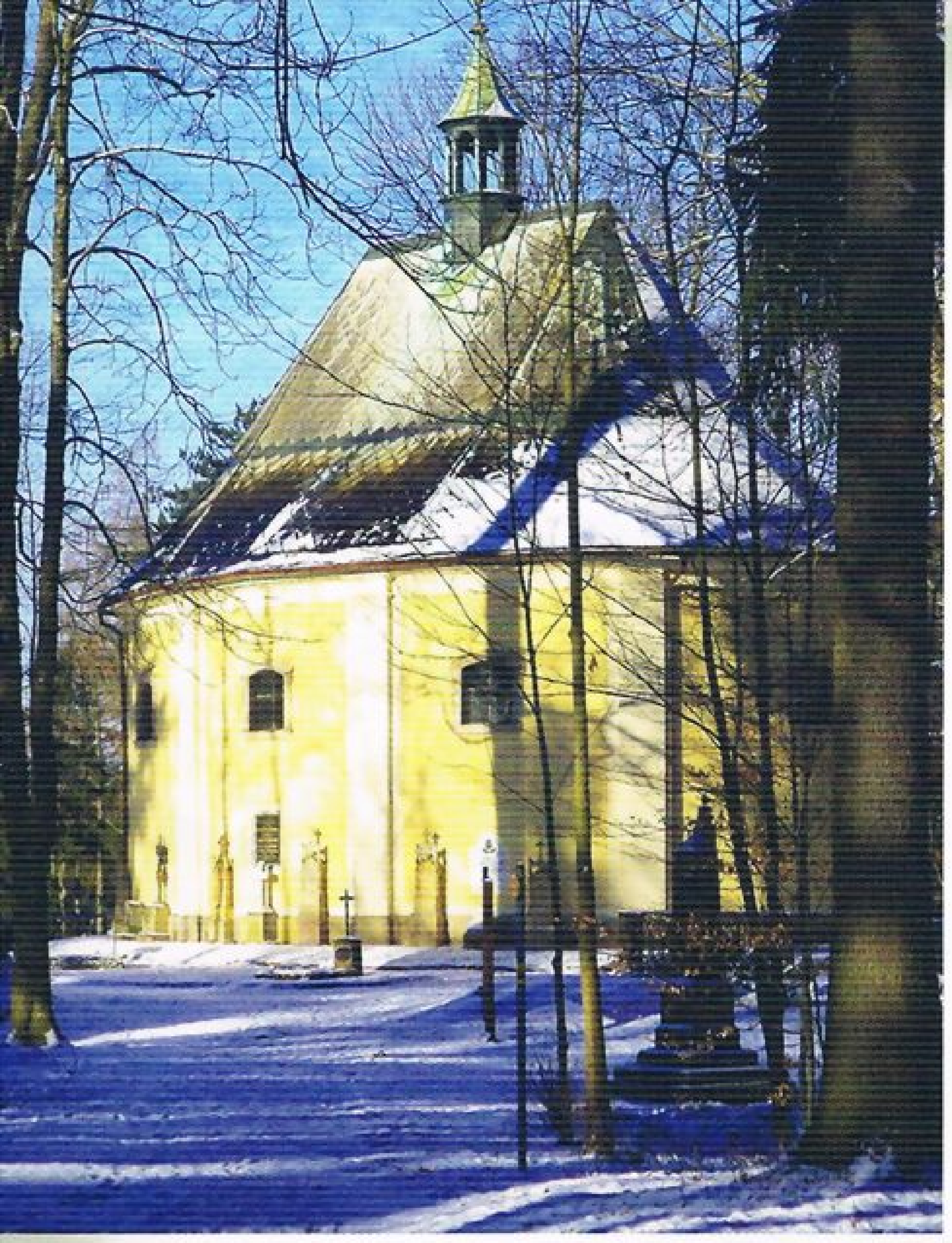

Barokowa kaplica św. Jana Chrzciciela na szczycie Janskeho Vrchu – niemy świadek dramatycznych zmagań sprzed 150 lat…

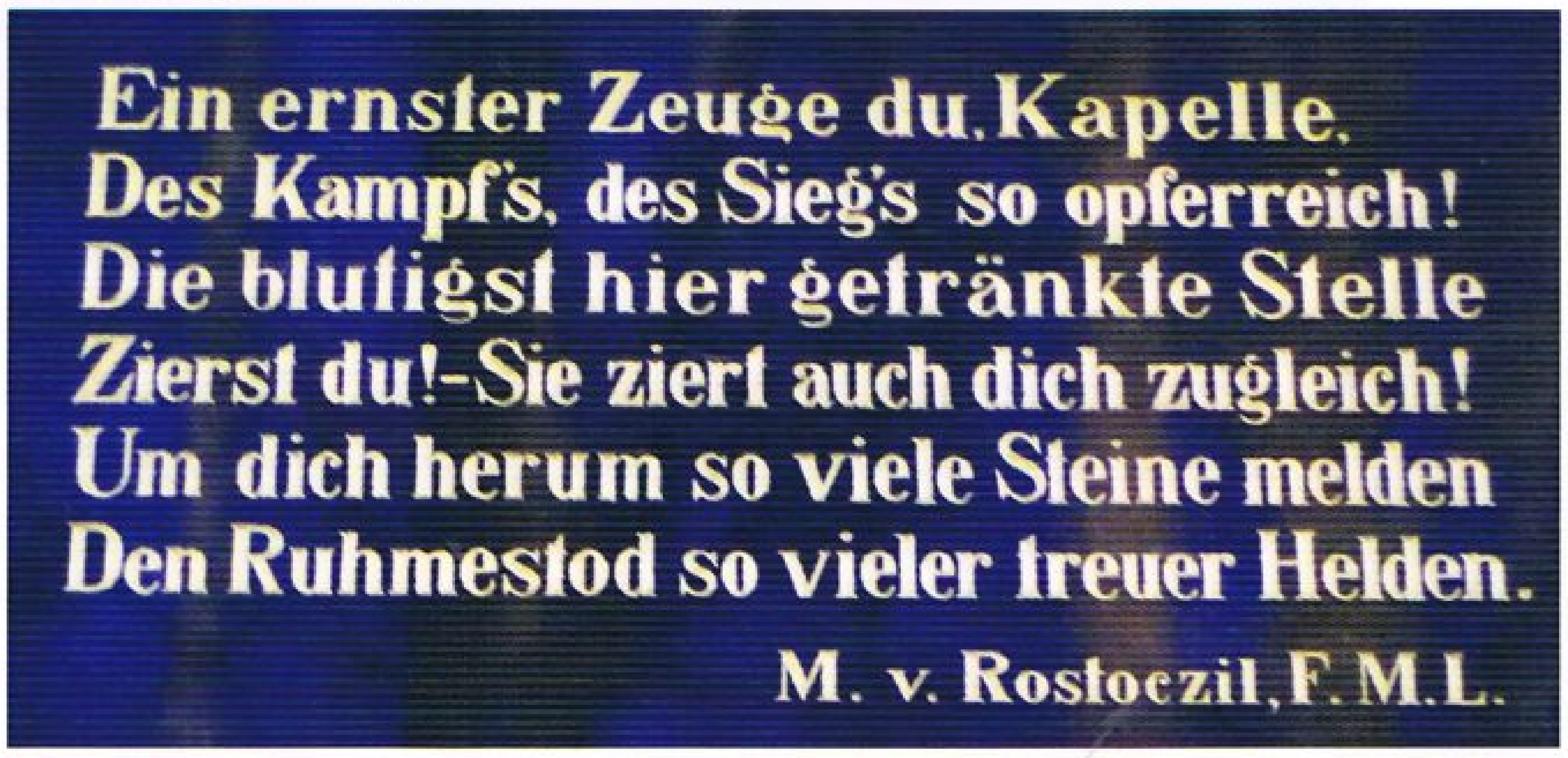

… i wmurowana w jej ścianę pamiątkowa tablica z wierszem: *„O kaplico – ty ważny świadku walki, zwycięstwa tak pełnego ofiar! Krwią tu nasiąknięte miejsce. Zdobisz! Ono jednocześnie zdobi ciebie! Wokół ciebie tak wiele kamieni głosi sławę śmierci tylu wiernych bohaterów”* (tłum.: P. Kukurowski).

Grenadierów, 41. pp oraz 1. batalion strzelców. Uprzedzając nieco fakty, powiem, że Prusakom zdecydowanie nie szło zdobywanie pozycji austriackich. Trzeba obiektywnie stwierdzić, że teren był dobry do obrony.[4] Rozkaz ataku na Janský Vrch otrzymały: 1. i 4. kompania 1. Pułku Grenadierów.

Nastąpił wtedy znamienny epizod. Austriacki mjr Anton Lipoščak, z broniącego tego wzgórza 3. batalionu 24. pp, wyszedł z żołnierzami ze swojej chronionej pozycji i zaatakował obie wspomniane, pruskie kompanie. Nastąpiło to bez rozkazu „z góry". Prusacy krwawo odparli atak austriackich żołnierzy. Po raz pierwszy w tej bitwie okazało się, jak zabójczą bronią były iglicowe karabiny, w które wyposażona była pruska piechota. Pierwszy, lecz niestety, dla Austriaków, nie ostatni…

Prusacy zaczęli ostrzeliwać nieprzyjaciela na wzgórzach z okien i dachów trutnovskich domów. 5. i 8. kompania 1. Pułku Grenadierów znajdowały się u stóp Šibenika. Tam dostały się pod ostrzał strzelców obsadzających to wzgórze. Pruski mjr Scheuermann, dowódca 2. batalionu 1. Pułku Grenadierów, rozkazał 8. kompanii wypędzić oddziały przeciwnika z Šibenika. Jeden pruski pluton, przy bardzo małych stratach własnych, wyrzucił słaby oddział Austriaków. W tej walce uczestniczyły też pruskie pododdziały z 2. i 3. kompanii 41. Pułku Piechoty. Šibenik został zajęty, i stamtąd Prusacy mogli atakować lewą flankę Austriaków na Janským Vrchu. Wkrótce jednak wzgórze znalazło się pod ogniem austriackiej baterii artylerii, ulokowanej koło wsi Humburky, który powstrzymał dalszy marsz Prusaków. Frontalny atak dwu pruskich batalionów grenadierów został powstrzymany. Po wyjściu z Trutnova, na odkrytej przestrzeni, dostały się one pod ostrzał. Batalion fizylierów z 1. Pułku Grenadierów stracił wielu ludzi, gdy dostał się pod ogień Austriaków. Krótko po tym dowódca pruskiej 1. DP, gen. von Grotzmann, wydał temu batalionowi rozkaz do ataku na Chmelnice. Do walki o Janský Vrch włączyli się pruscy strzelcy z 1. batalionu strzelców. Wszystkie próby posunięcia się naprzód, zostały jednak powstrzymane przez Austriaków. Zdobycie austriackich pozycji frontalnym atakiem wydawało się być niemożliwe. Dowódca pruskiego korpusu zdecydował się więc na okrążenie prawej flanki Austriaków i o godz. 11:30 wydał stosowny rozkaz, kierując tam trzy bataliony 44. Pułku Piechoty. Krótko potem gen. von Bonin wzmocnił ten oddział kolejnymi trzema batalionami z 45. pp, później jeszcze batalionem fizylierów 5. Pułku Grenadierów, w końcu także 1. batalionem 4. Pułku Grenadierów. Ostatecznie więc na prawą flankę brygady Mondela wysłano aż 8 batalionów. Wskutek tego manewru zagrożeni Austriacy wycofali się. W tym czasie 11. kompania, pluton strzelców z 10. kompanii, a później także 9. kompania 41. pp zaatakowały wzgórze Chmelnice. Do ataku na Janský Vrch wysłano 4. i 7. kompanię 41. pp, 7. kompanię 1. Pułku Grenadierów i 2. kompanię strzelców. W czasie, gdy Prusacy wspinali się po zboczu, Austriacy wycofywali się, i gdy pruscy żołnierze wdrapali się wreszcie na górę, zastali szczyt opuszczony. Tylko w kaplicy św. Jana był jeszcze niewielki austriacki oddział, który się częściowo bronił. Ok. 30-40 żołnierzy austriackich dostało się tam do niewoli.

Odwrót brygady Mondela

Odwrót austriackiej brygady Mondela odbył się niemal bez zakłóceń ze strony Prusaków. Dlaczego? Otóż przeciwnik Austriaków – pruska 1. BP maszerowała tego dnia 6 godzin (od 4 do 10 rano), po czym niemal natychmiast weszła do walki, którą prowadziła 2 godziny. Prusacy byli najzwyczajniej w świecie zmęczeni! Jednakże po upływie pół godziny pruscy strzelcy oraz większa część 41. pp pod dowództwem płk. von Koblinskiego podjęła pościg. 1. Pułk Grenadierów zebrał się w Trutnovie. 1.,2.,3. i 8. kompanie 41. pp, które znajdowały się na Šibeniku nie mogły posuwać się naprzód, gdyż wciąż znajdowały się pod silnym ogniem artylerii i pozostały na tym wzgórzu. Pruski pościg nie był prowadzony zbyt długo. Oddziały posuwały się powoli w stronę wsi Humburky i Starý Rokitník.

Nadeszła teraz pruska brygada Buddenbrock i zaatakowała. Gdy pruscy żołnierze z 41. pp usłyszeli sygnał „Całość zbiórka", który został dany w Trutnovie i dotyczył tylko żołnierzy z 1. Pułku Grenadierów, wrócili do miasta i tylko 5. i 10. kompania 41. pp, część jego 11. kompanii i pluton 1. batalionu strzelców pozostały w linii. Główne zadanie miało przypaść brygadzie Buddenbrock. Na jej szpicy znajdowali się fizylierzy z 45. pp, następnie muszkieterzy z tego samego pułku. Pododdziały 4. i 5. Pułku Grenadierów oraz 41. i 45. pp, jak również 1. batalionu strzelców wkrótce się wymieszały (krótko mówiąc – zapanował zupełnie niepruski bałagan!). Przybyła także pruska 4-funtowa

bateria artylerii Böhnke, której 6 dział zostało ze znacznymi trudnościami przeciągnięte przez wzgórza. Bateria otworzyła ogień do Austriaków z położonego niedaleko Starego Rokytníka wzniesienia. Austriacy zajęli teraz pozycje koło wsi Nový Rokitník.

Pruskie 1., 4., 10. i 11. kompanie z 44. pp przystąpiły do ataku na wzgórza 530 i 500, przepędzając Austriaków w stronę Starego Rokitníka. Następnie Prusacy zajęli bez trudu Starý Rokitnik. W tym czasie zajęto też Humburky.

Austriacy podciągnęli w międzyczasie trzy kolejne baterie artylerii. W ten sposób mieli już do dyspozycji 32 działa. Wywiązał się pojedynek artyleryjski, wskutek którego wspomniana pruska bateria Böhnke została zmuszona do wycofania się.

Nadejście brygady Grivičiča

W tym czasie dowódca austriackiego X. Korpusu, gen. Gablenz, czynił starania, aby ściągnąć na pole bitwy swe pozostałe brygady. Pierwsze wsparcie zostało zapewnione przez brygadę płk. Georga Grivičiča. Stała ona rano pod Jaroměřem (ok. 6 godz. marszu od pola walki). Rozkaz do wyruszenia wydano jej o godz. 8:30. Ok. 14:30 austriacka brygada dotarła na pole bitwy. Żołnierze złożyli swe tornistry i ruszyli w bój. Na północny-wschód od Nowego Rokitníka, na zboczu które było zwrócone w stronę Starego Rokitníka, płk Grivičič ustawił swoją brygadę. Patrząc od prawej do lewej, w pierwszej linii stały: dwie kompanie z 16. batalionu strzelców, 1. i 2. batalion 23. pp, 1. batalion 2. pp, pozostałe cztery kompanie 16. batalionu strzelców. W drugiej linii: 3. batalion 23. pp, 2. i 3. batalion 2. Pułku Piechoty.

Pierwsza linia poszła w dół zbocza, uporządkowała się pod osłoną grupy drzew i zrobiła krótki odpoczynek, aby nabrać sił przed atakiem. Pułkownik Grivičič sądził, że szybki atak na bagnety wyrzuci Prusaków z ich pozycji. Miał w pierwszej linii 24 kompanie, a 18 kompanii drugiej linii można było podciągnąć do wsparcia. Razem 42 kompanie, co odpowiadało sile 28 pruskich (austriacki batalion liczył sześć kompanii, zaś pruski cztery). Prusacy dysponowali w tamtym miejscu 14 kompaniami, a więc połową sił Austriaków. Grivičič, mając dwukrotną przewagę liczebną, był pewny sukcesu i zaatakował, nie czekając na wsparcie artylerii. Okazało się to katastrofalnym błędem…

Nastąpił teraz atak nowoprzybyłej austriackiej brygady. Grivičič zagrzał swe oddziały krótką przemową (wygłoszoną w języku węgierskim), i przy dźwiękach marsza Radetzky'ego poprowadził je przeciw Prusakom. Austriacy posuwali się naprzód w zwartych szykach z głośnymi okrzykami. Prusacy pozwolili się im zbliżyć, a gdy ci podeszli dostatecznie blisko, otworzyli do atakujących ogień ze swych karabinów iglicowych.

Pruska piechota była już w tym czasie wyposażona w szybkostrzelną broń gwintowaną – odtylcowy karabin iglicowy Dreysego wz. 1847 kal. 15,4 mm. Dawał on olbrzymią przewagę na polu walki nad Austriakami uzbrojonymi w ładowany od przodu karabin typu Lorenz wz. 1854 kal. 13,9 mm. Pruska „iglicówka" miała trzykrotnie większą szybkostrzelność, a ponadto można ją było przeładowywać w pozycji leżącej, co w dawało strzelcowi lepszą ochronę w defensywie.

Atakujący Austriacy dostali się pod krzyżowy ogień pruskich „iglicówek" – z lewej strony ze wzgórza 520, z prawej z zabudowań wsi Starý Rokitník. Pruskie kule przerzedzały straszliwie austriackie szeregi. Szczególnie ucierpiały oba bataliony 23. pp i znajdujący się na ich skrzydle dywizjon strzelców.[5] Austriacy wycofali się – ich pierwszy atak został odparty przez Prusaków. Straty Austriaków były niewyobrażalne – 23. pp stracił najwięcej ludzi ze wszystkich austriackich pułków uczestniczących w bitwie. A ta bynajmniej wcale się nie kończyła…

Mimo fiaska pierwszego ataku dowódca austriackiej brygady wcale nie zamierzał się poddawać. Zreorganizował swoje wykrwawione oddziały i szykował się do kolejnego natarcia. Pomoc miał mu zapewnić kombinowany oddział jazdy, piechoty i artylerii pod dowództwem księcia Rohana, który miał za zadanie obejść z flanki pozycje Prusaków. Nauczeni doświadczeniem Austriacy, postanowili kolejny atak poprzedzić ogniem artylerii.

Wyparcie Prusaków i ponowna walka o wzgórza nad Trutnovem

Ok. godziny 16 na placu boju zjawiła się trzecia austriacka brygada – brygada generała-majora Adolfa Wimpffena. Rankiem stała ona w rejonie miejscowości Žireč i powinna była wyruszyć o godz. 10, ale została powstrzymana przez przemarsz oddziałów z brygady Grivičiča i wyruszyła w drogę dopiero ok. 12:30. Podczas gdy austriacka piechota ustawiała się między Novym

Pomnik ku czci poległych oficerów i żołnierzy pruskiego 43. Pułku Piechoty, którzy bronili Janskeho Vrchu.

Jeden z masowych grobów żołnierzy na północnych zboczach Janskeho Vrchu.

Rokitníkiem a Humburkami, 36 austriackich dział otworzyło zmasowany ogień na pozycje pruskie. Nieliczne pruskie oddziały, które stały pod Humburkami, zostały – wg Richarda Schmitta (autora pruskiej monografii bitwy) – „pozostawione samym sobie": bez wsparcia artylerii i odwodów. Były to pododdziały: 41., 44. i 45. pp, 1. batalion 4. Pułku Grenadierów, batalion fizylierów 5. Pułku Grenadierów i pluton strzelców. Prusacy trwali na stanowiskach pod ogniem austriackich dział, teraz jednak kierowało się przeciw nim uderzenie brygady Wimpffena. Liczyła ona siedem batalionów. Na prawo od drogi do Trutnova posuwały się w pierwszej linii 1. i 3. batalion 13. pp, w drugiej 2. batalion tego pułku. Na lewo od drogi do Trutnova atakował w pierwszej linii 2. i 4. batalion 58. pp, w drugiej 1. i 3. batalion tego pułku. Brygada Wimpffena natknęła się początkowo na poważny opór, który stawiły pruskie kompanie, jednakże przewaga liczebna Austriaków była zbyt wielka. Prusacy opuścili swe pozycje i zaczęli się wycofywać. Każda pruska kompania obrała taki kierunek, z jakiego wcześniej przyszła. Oddziały z pruskiej 2. DP (brygada Buddenbrocka) wycofywały się przez wzgórze Kacíř (530 m n.p.m.) i Kriblice w stronę Poříčí. 41. Pułk Piechoty cofał się na Šibenik i Janský Vrch. Za nimi postępowały oddziały austriackie.

Dla Prusaków istniała jeszcze szansa zatrzymania Austriaków na linii wzgórz. W tym momencie sięgnęli oni po 2. BP 1. Dywizji Piechoty. Składała się ona z 3. Pułku Grenadierów i 43. Pułku Piechoty. Z pierwszego z wymienionych pułków dwie kompanie (2. i 4.) zostały wcześniej odkomenderowane do ochrony bagaży, był więc w sile 10-ciu kompanii. 43. Pułk Piechoty wystawił do walki 8 kompanii, gdyż jego 2. batalion użyto do osłony artylerii. Prusacy posłali więc w bój 18 kompanii (4,5 batalionu). Chodziło im o to, by możliwie najdłużej utrzymać wzgórza na południe od Trutnova. Gdyby Austriacy je zdobyli, mogliby ostrzeliwać dolinę Upy i wycofujących się nią Prusaków. W tym bowiem czasie (ok. godz. 17) dowódca pruskiego korpusu, gen. von Bonin, podjął decyzję o odwrocie całości podległych sobie sił.

Dowódca pruskiej 2. BP, generał-major von Barnekow, rozkazał obu batalionom 43. pp obsadzić wzgórza na południe od Trutnova, podczas gdy 10 kompanii 3. Pułku Grenadierów zajęło pozycje pod Kryblicami, aby w ten sposób chronić zagrożoną przez brygadę Grivičiča lewą flankę. 43. Pułk Piechoty był rozmieszczony następująco: 1. kompania na Janským Vrchu – przy kaplicy i w lasku, 4. kompania na lewo od niej – wysunięta nieco na południowy-wschód, 2. i 3. kompania w drugiej linii. Batalion fizylierów miał obsadzić południowo-wschodnią część Janskeho Vrchu, jednakże jego dowódca zauważył nieprzyjacielską piechotę posuwającą się w stronę Lasu Kryblickiego, dlatego kazał zająć swojemu batalionowi zalesione wzniesienie na południowy-wschód od wzgórza Chmelnice i południowy-zachód od Kryblic. Prusacy mieli dziesięć kompanii: 1.-4. i 9.-12. z 43. pp, jak również dwie z 41. pp: 1. stała na wzgórzu Chmelnice, a 7. na wzgórzu Šibenik.

Przeciwko tym siłom (2,5 batalionu), pozbawionym artylerii, kierowała się teraz brygada Wimpffen w sile 7 batalionów, wspierana przez 36 dział. Richard Schmitt pompatycznie napisał: „Walka, która teraz rozgorzała, należy do najsławniejszych, jakie zna historia wojny 1866 [roku]". Prawe skrzydło austriackiej brygady Wimpffena – 13. pp – uderzyło na pruskich fizylierów z 43. pp, którzy znajdowali się w lesie na południowy-zachód od Kryblic. Z przodu szedł 3. batalion, za nim 2. Austriacy podeszli na 300 kroków do Prusaków. Dowódca batalionu fizylierów, mjr Koehn von Jaski, kazał podkomendnym otworzyć silny ogień do nieprzyjaciela, wskutek czego austriackie tyraliery wycofały się na wzgórze. W tym momencie Prusacy ruszyli do szturmu. Atak się powiódł i pruski batalion zmusił Austriaków do ucieczki. Prusacy zajęli wzniesienie i na pożegnanie posłali wycofującym się istną ulewę kul.

W tym czasie także pruski 1. batalion 43. pp znalazł się w wirze walki. Ok. 16:30 Austriacy przepuścili atak na Janský Vrch wspierany przez ogień artylerii. Jeden z pierwszych austriackich granatów artyleryjskich zabił dowódcę 1. batalionu, mjr. Fryderyka von Hüllesheima, którego zastąpił kpt. von Normann. Ok. godz. 17 szeregi austriackich strzelców z 58. pp podeszły pod wzgórze i próbowały je zająć. Austriacy atakowali trzy razy, ale za każdym razem byli odrzucani. Następnie zaatakowały, podążające za liniami strzelców, masy żołnierzy 58. pp w zwartym szyku, ale także ten atak został odparty. Pruscy piechurzy wręcz masakrowali Austriaków ogniem swych karabinów iglicowych. W tym momencie dowódca pruskiego 43. pp, płk von Treskow, wydał batalionowi rozkaz zejścia ze wzgórza i wyrzucenia wroga. Prusacy zepchnęli austriackich żołnierzy, którzy wycofali się w nieładzie do wsi Humburky. Stojąca na Šibeniku pruska 7. kompania 41. pp brała udział w tej walce i wspierała 1. batalion 43. Pułku Piechoty.

Ok. 17:30 uderzenie Wimpffena definitywnie się załamało. W ciągu pół godziny austriacka brygada straciła 1450 zabitych i rannych, którzy zalegli na polu walki – 20 proc. swego stanu! Był to kolejny już, w opisywanej bitwie, straszliwy pokaz niszczycielskiej siły pruskiego karabinu skonstruowanego przez Johanna Nikolausa Dreysego, wobec którego austriaccy piechurzy byli bezbronni.

Impas w bitwie. Atak brygady Knebela

W bitwie nastąpił teraz impas. Z punktu widzenia Austriaków była to faza krytyczna, gdyż nie powiodło się im przełamanie pruskiej obrony na wzgórzach Trutnov wciąż pozostawał w rękach Prusaków, a co za tym idzie – pruski korpus nadal miał otwartą drogę w głąb Czech (dowódca austriackiego X. Korpusu nie wiedział, że

Pomnik na cmentarzu wojskowym w Poříčí, upamiętniający poległych w bitwach wojny 1866 r. żołnierzy austriackich i pruskich.

jego pruski przeciwnik – gen. von Bonin – już w tym momencie się wycofywał). Tymczasem na plac boju nadciągała ostatnia, austriacka brygada z X. Korpusu – brygada generała-majora Alberta Knebela. Wyruszył on ze swymi oddziałami ok. 10:30 rano z Dubenca i ok. 17:00 dotarł pod wieś Humburky. Generał Gablenz rozkazał Kneblowi ustawić swe oddziały między Novym Rokitníkiem a Humburkami, gdzie miały stać w odwodzie – jako osłona prawej flanki przed nadciągającą pruską 1. Dywizją Gwardii. Gen. Knebel ujrzał teraz pobity austriacki 58. pp, który wycofał się do wsi Humburky. Chociaż nie miał rozkazu atakować, zdecydował się przeprowadzić natarcie na Janský Vrch. Pomimo stwierdzenia obecności nowej austriackiej brygady, obsadzająca wzgórze Šibeník pruska 7. kompania 41. pp otrzymała rozkaz wycofania się do Trutnova. W ten sposób prawa flanka Prusaków była niechroniona. Pozostało 8 pruskich kompanii, które miały odpierać atak 7 austriackich batalionów. Austriacy mieli ponad trzykrotną przewagę liczebną. Ustawienie brygady Knebela było następujące: 1. pp stał w pierwszej linii, 3. pp w drugiej linii, 28. batalion strzelców na prawym skrzydle, brygadowa bateria artylerii na lewym skrzydle.

Ok. godz. 18 rozpoczął się atak Austriaków. Austriaccy strzelcy podążyli w stronę leżącego na południowy-wschód od Janskeho Vrchu kamieniołomu, i wspierani przez 1. batalion 3. pp uderzyli na fizylierów pruskiego 43. Pułku Piechoty. Prusacy musieli się wycofać. Odwrót był uporządkowany, a pruscy żołnierze zabrali nawet swoje złożone przed walką tornistry i przekroczyli rzekę Upę w tym samym miejscu, w którym ją wcześniej forsowali. Także pruski 1. batalion 43. pp stał się teraz celem ataku. Jako pierwszy próbował wspiąć się na Janský Vrch austriacki 1. batalion 1. pp, ale został odparty ogniem pruskich „iglicówek", a jego dowódca – ppłk Henryk von Habermann – poległ. Na czele nowego ataku stanął sam dowódca tego pułku – płk du Rieux. Wyczerpani żołnierze wspinali się mozolnie stromym zboczem, jednak zostali ponownie zasypani gradem kul przez 3. i 4. kompanię pruskiego 43. pp i zmuszeni do wycofania się. Na prawo od 3. i 4. kompanii stały 1. i 2. kompania 43. Pułku Piechoty. W tym miejscu austriacki 2. i 3. batalion 1. pp próbowały się wspiąć na Janský Vrch. Zdołały dotrzeć tylko do połowy wysokości zbocza, gdy zostały ostrzelane przez pruską piechotę i zmuszone do ucieczki.

Austriacki atak 1. pp na Janský Vrch nie powiódł się, ale pułk ten wcale nie zamierzał rezygnować ze zdobycia szczytu, i wspierany przez drugą linię znów poszedł do ataku. Było duszno, powietrza nie poruszał najmniejszy powiew wiatru, a dymy prochowe snuły się nad Janským Vrchem. W takiej scenerii Austriacy ponowili szturm na wzgórze. 2. batalion 1. pp prowadził mjr von der Sloot, 3. batalion tego pułku mjr Pilati. Cesarscy znów znaleźli się pod niszczącym ogniem pruskich „iglicówek", ale parli niepowstrzymanie naprzód i prawie jednocześnie austriackie 1. i 3. pp znalazły się na szczycie wzgórza, i zdobyły kaplicę. Austriacki mjr Alfred Pilati, który jako jeden z pierwszych wspiął się na Janský Vrch, poległ. Ten sam los spotkał dowódcę 3. pp, 45-letniego płk. Adolfa Pehma oraz innego oficera tego pułku – ppłk barona Wilhelma Stenglina.

Teraz pruskiemu 43. pp nie pozostało nic innego, jak wycofanie się. Pruskie kompanie zebrały się w pobliżu przędzalni na szosie do Poříčí. Razem z całym I. Korpusem maszerowały całą noc i przekroczyły austriacko-pruską granicę. O 3:30 dotarły na biwak na południe od Lubawki. W następnych dniach w 1. batalionie 43. pp brakowało 8 oficerów oraz 238 podoficerów i szeregowych, zaś w batalionie fizylierów tego pułku 1 oficera oraz 77 podoficerów i szeregowych. Żaden zdrowy żołnierz pułku nie trafił do austriackiej niewoli, poza dwoma lekarzami, którzy zostali przy rannych. Jak zawzięcie bronili się Prusacy, pokazuje zużycie amunicji. Batalion fizylierów wystrzelił 22-23 tys. nabojów, a 1. batalion ponad 38 tys.!

Na lewym skrzydle doszło jeszcze do walki pruskiego 3. Pułku Grenadierów z austriackim 3. Pułkiem Piechoty. Pierwszy atak Austriaków został odparty przez dwa pruskie bataliony. Ok. godz. 19 austriacki 3. pp ponownie uderzył na 2. batalion 3. Pułku Grenadierów. Dowódca pruskiego pułku – płk von Blumenthal, poprowadził osobiście 1. i 3. kompanię do kontrataku i ponownie odrzucił wroga. Ok. godz. 20 zaszło słońce. Dowódca pruskiej 2. BP, von Barnekow, rozkazał opuścić pozycje. Pruscy grenadierzy stracili w tej walce 5 oficerów oraz 76 podoficerów i szeregowców. Prusacy wszędzie znaleźli się w odwrocie. I. Korpus przekroczył granicę i 28 czerwca ok. godz. 3 pruskie oddziały przybyły na swoje stare biwaki pod Lubawką i Chełmskiem Śląskim na Dolnym Śląsku.

Przegrane zwycięstwo

W ten sposób dobiegła końca bitwa pod Trutnovem. Zakończyła się ona strategicznym sukcesem Austriaków, którzy odparli atak pruskiego I. Korpusu, w rezultacie czego Prusacy wycofali się z powrotem na pozycje wyjściowe. Taktyczne rezultaty bitwy były jednak dla zwycięzców katastrofalne! Podczas gdy pokonani Prusacy stracili łącznie 56 oficerów oraz 1282 podoficerów i szeregowych (w tym: 15 oficerów oraz 229 podoficerów i szeregowych zabitych, 41 oficerów oraz 967 podoficerów i szeregowych rannych oraz 86 podoficerów i szeregowych zaginionych)[6] oraz 78 koni, to z szeregów austriackiego X. Korpusu ubyło łącznie aż 191 oficerów oraz 4596 podoficerów i szeregowych (w tym: 66 oficerów oraz 1038 podoficerów i szeregowych zabitych, 104 oficerów oraz 1796 podoficerów i szeregowych rannych, 803 podoficerów i szeregowych zaginionych oraz 21 oficerów i 959 podoficerów i szeregowych wziętych do niewoli) oraz 109 koni. Oznacza to, że straty Austriaków były ponad 3,5-krotnie większe od pruskich! Był to – jak wspomniałem już – skutek użycia przez Prusaków iglicowych karabinów Dreysego. W pozostałych bitwach austriacko-pruskich wojny 1866 r. stosunek strat kształtował się na ogół między 1:4 a 1:6 na korzyść Prusaków.

Wielką tragedią Austriaków było to, że poświęcenie tysięcy ich żołnierzy tak naprawdę poszło na marne. Zwycięstwo to bowiem wcale nie poprawiło sytuacji austriackiej Armii Północnej, zaś jej dowódca, gen. Benedek, nakazał gen. Gablenzowi (rozkaz ten Gablenz otrzymał 28 czerwca o godz. 7:30 rano) opuścić bez walki Trutnov i wycofać się ze swoim korpusem w kierunku południowym. Jeszcze tego samego dnia austriacki X. Korpus miał stoczyć kolejną krwawą bitwę z Prusakami – tym razem z Korpusem Gwardii. Ale to już zupełnie inna historia...

Polskie akcenty

Rzadko pamięta się, że w bitwie pod Trutnovem w szeregach X. Korpusu armii austriackiej walczyli nasi rodacy. Trzy pułki piechoty (10., 24. oraz 58.) rekrutowały swych żołnierzy z Galicji Wschodniej. Dwa spośród nich (10. i 58.) zaliczały się do tych austriackich pułków, które pod Trutnovem poniosły najwyższe straty…

Żołnierze austriackiego 12. batalionu strzelców pochodzili z Galicji i Bukowiny, podobnie jak kawalerzyści z 9. Pułku Ułanów. Na tablicach umieszczonych na obelisku na wzgórzu Šibenik, można odczytać polsko brzmiące nazwiska poległych w bitwie oficerów – np. z 58. pp: porucznik „Julius Brodzki" oraz podporucznicy „Michael Jezierski" i „Julius Baczkowski". Galicyjskim 24. pp (brygada Mondela) dowodził Polak – płk Franciszek Zaremba (1810-1886). Jego dowodzenie pułkiem w bitwie pod Trutnovem oraz dzień później pod Novym Rokitníkiem spotkało się z wysoką oceną przełożonych i zapewniło mu odznaczenie prestiżowym Orderem Żelaznej Korony III klasy.

Pole bitwy dzisiaj

Po zniesieniu z pola bitwy rannych, miejscowa ludność przystąpiła do chowania poległych. Ciała zakopywano w miejscach, gdzie je znaleziono. Początkowo groby oznaczano drewnianymi krzyżami lub krzyżami sporządzanymi z resztek uzbrojenia i sprzętu wojskowego, które wbijano w miejscu pochówku. Po zakończeniu wojny prusko-austriackiej, drewniane krzyże na grobach oficerów zastępowano często kamiennymi pomnikami, które fundowały najczęściej rodziny poległych lub oficerowie walczących tam pruskich i austriackich jednostek. W leśnym parku na wzgórzach ponad Trutnovem do dziś znajduje się ok. 20 masowych grobów, oznaczonych najczęściej metalowym krzyżem z datą „1866" osadzonym na piaskowcowym cokole.

Nie jest znana ani liczba, ani narodowość pochowanych tam żołnierzy. Do dziś zdarzają się przypadki zlokalizowania zapomnianych już żołnierskich grobów z czasów bitwy.

Janský Vrch, miejsce najcięższych walk, nie był po bitwie w żaden sposób uporządkowany. Dopiero podczas remontu pobliskiego parku w latach 1879-1880 doszło do przesunięcia w okolice kaplicy dwunastu pomników zaginionych z innych miejsc w Trutnovie. W ten sposób powstał przepiękny, leśny cmentarz wojskowy. Obecnie w kaplicy św. Jana Chrzciciela urządzone jest niewielkie muzeum bitwy pod Trutnovem, czynne od maja do września w soboty i niedziele, w godzinach 13-18. O bitwie przypomina też wmurowana w ścianę kaplicy tablica z wierszem w języku niemieckim.

Na wzgórzu Šibenik w 2. rocznicę bitwy – 27 VI 1868 r. – odsłonięto monumentalny pomnik ku czci austriackiego X. Korpusu. Na uroczystości był obecny m.in. gen. Gablenz. Żeliwny pomnik o wadze 50 t ma kształt ostrosłupa o wysokości 17 metrów. W 1905 r. zbudowano kryptę, w której złożono przywiezione ze Szwajcarii szczątki gen. Gablenza. Po 1945 r. pomnik popadał w ruinę, ale w 2005 r. zakończyła się jego renowacja (trwająca aż 12 lat!).

Od 2007 r. przez wzgórza, o które walczono w 1866 r., prowadzi edukacyjna ścieżka „Śladami wojny 1866 pod Trutnovem". Z rozmieszczonych przy niej tablic informacyjnych można poznać poszczególne etapy bitwy, uzbrojenie i wyposażenie obu stron etc. Ścieżka jest dobrze oznakowana, a dodatkowo Urząd Miasta w Trutnovie zebrał informacje z tablic i wydał w formie folderu (dostępny także w języku polskim, choć miejscami tłumaczenie jest doprawdy dziwaczne). Warto więc się wybrać do Trutnova (to tylko 20 km od granicy z Polską, jadąc od strony Lubawki) i przejść się wspomnianą ścieżką edukacyjną. Ze wzgórza Šibenik rozciąga się wspaniała panorama Trutnova i czeskich Karkonoszy (widać Śnieżkę!), a pobyt na Janským Vrchu pozwoli na chwilę odetchnąć od codziennego pośpiechu. Tam, przy kaplicy, w ciszy, łatwo można sobie wyobrazić bitewny zgiełk i wspomnieć setki poległych żołnierzy, którzy spoczęli z dala od domów… A gdy już skończycie spacer po wzgórzach, zejdźcie do samego miasteczka. Trutnov ma piękną starówkę, a poza tym miasto słynie z lokalnego browaru „Krakonoš" produkującego dobre piwo, które można nabyć w firmowym sklepie w bardzo atrakcyjnych cenach.

Autor dziękuje Markowi Włodarczykowi za wspólną wyprawę na pole bitwy pod Trutnovem oraz Tomaszowi Woźnemu za pomoc w tropieniu polskich wątków związanych z bitwą.

Przypisy:

[1] Feldmarszałek lejtnant – stopień generalski w armii austriackiej, odpowiednik pruskiego generała-porucznika.

[2] Feldzeugmeister – stopień generalski w armii austriackiej, odpowiednik pruskiego generała piechoty.

[3] Np. w publikacji Ryszarda Dzieszyńskiego „Sadowa 1866", wydanej w serii „Historyczne Bitwy", 2007

[4] Interesujące wyjaśnienie trudności ze zdobyciem wzgórz nad Trutnovem podaje w monografii bitwy Richard Schmitt, który pisze, iż większość żołnierzy z Prus Wschodnich po raz pierwszy w życiu… zobaczyła góry. Dopiero pod ogniem strzelających doń Austriaków pruscy piechurzy mieli się uczyć, jak należy wspinać się na strome zbocza!

[5] Dywizjon był podstawową jednostką taktyczną austriackiej piechoty (ok. 350 żołnierzy). Batalion tworzyły 3 dywizjony.

[6] Zestawienie nie uwzględnia pruskich jeńców, którzy zostali uwolnieni następnego dnia wskutek bitwy pod Novym Rokitníkiem. Było ich całkiem sporo (np. austriacki por. Johann Wowes z 3. pp podczas walk w rejonie kaplicy na Janským Vrchu wziął do niewoli pruskiego majora i 200 żołnierzy!).

Literatura:

1. E. Durschmied, „Czynnik zwrotny w bitwach od Troi do Zatoki Perskiej", Warszawa 1999
2. V. Grof, M. Kejzlar, „Śladami wojny 1866 roku pod Trutnowem", Trutnov 2012
3. Order of Battle – North Army 1866, www.austro-hungarian-army.co.uk/nordarmy.htm [dostęp 9.II 2015]
4. H. Ritter von Roth, „Achtzig Tage in preussischer Gefangenschaft und das Treffen bei Trautenau am 27. Juni 1866", Trautenau 1884
5. J. Rydel, „W służbie cesarza i króla. Generałowie i admirałowie narodowości polskiej w siłach zbrojnych Austro-Węgier w latach 1868-1918", Kraków 2001
6. R. Schmitt, „Die Gefechte bei Trautenau am 27. und 28. Juni 1866", Gotha 1892
7. J. Sikorski, „Zarys historii wojskowości powszechnej do końca wieku XIX", Warszawa 1972
8. H. Skala, „Das Treffen bei Trautenau (Trutnov) am 27. Juni 1866", www.kuk-wehrmacht.de/gefechte/18660627t.html [dostęp 9 II 2015]

Paweł Kukurowski

Wrocławski historyk. Interesuje go wojenna przeszłość Śląska, działania militarne w górach na przestrzeni wieków, walki niemieckich jednostek na froncie wschodnim podczas I wojny światowej oraz historia alpinizmu. Członek honorowy Stowarzyszenia na Rzecz Zabytków Fortyfikacji „Pro Fortalicium" oraz członek Stowarzyszenia Aktywnej Ochrony Cmentarzy z I wojny światowej w Galicji „Crux Galiciae". W wolnych chwilach zapalony turysta górski.

odk księgarnia odkrywcy

„Śląski Rocznik Forteczny" tom V, praca zbiorowa, opr. miękka, str. 292, wyd. Pro Fortalicium. Cena: 39,20 zł
W piątym tomie „Śląskiego Rocznika Fortecznego" znalazły się następujące artykuły: Punkty oporu niemieckich pozycji „b-1 Stellung" położonych na terenie województwa śląskiego w 70. rocznicę ich budowy. Badania terenowe i turystyka, stan obecny; Fortyfikacje radzieckie z okresu II wojny światowej w Przemyślu; Bitwa o kopalnię „Michał" – próba graficznego odzwierciedlenia przebiegu walk; Sprawa umieszczenia jeńców ukraińskich w Sosnowcu podczas wojny polsko-bolszewickiej – zarys; Po drugiej stronie lustra – uzupełnienie; Kwestia pochówku żołnierzy armii radzieckiej na terenie Zagłębia Dąbrowskiego w latach 40. XX wieku.

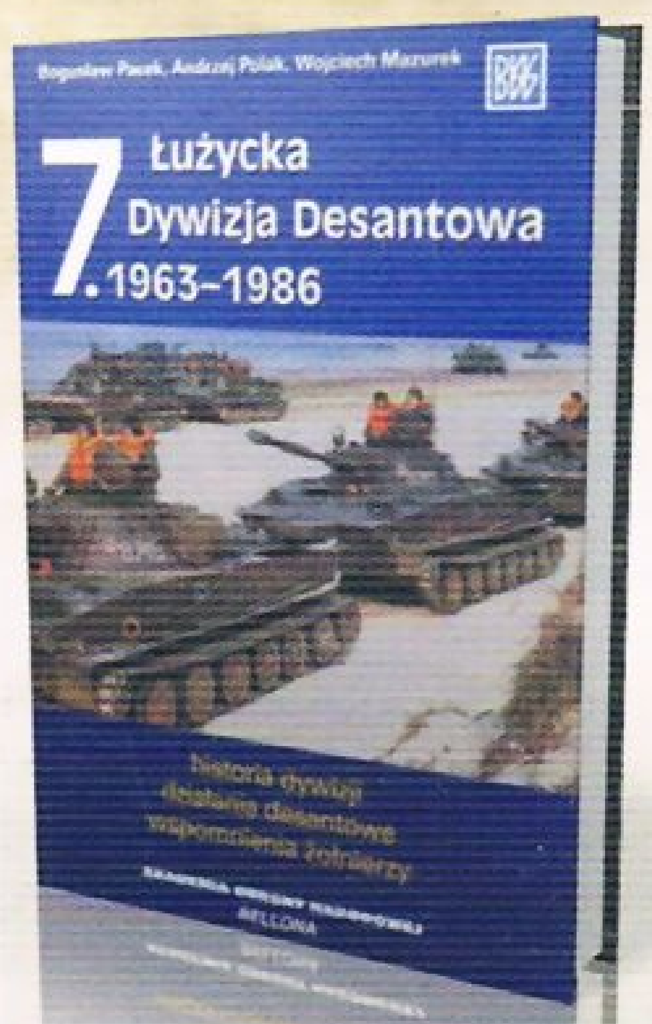

„7. Łużycka Dywizja Desantowa 1963-1986", praca zbiorowa, opr. miękka, str. 350, wyd. Bellona. Cena: 38,20 zł
7. Łużycka Dywizja Desantowa wchodziła w skład Pomorskiego Okręgu Wojskowego. Popularna nazwa związku, stosowana w środkach masowego przekazu to „Niebieskie Berety". Niniejsza publikacja stanowi monografię 7. Łużyckiej Dywizji Desantowej. Jest jednocześnie podsumowaniem konferencji naukowej zorganizowanej w Gdańsku z okazji 50-lecia powstania Dywizji. Pracę podzielono na trzy części. Pierwsza obejmuje zagadnienia operacyjnego i taktycznego wymiaru działań desantowych na wybrzeżu. W kolejnej części ujęto wspomnienia i relacje ze służby w oddziałach i pododdziałach Niebieskich Beretów. Zwieńczeniem monografii są materiały źródłowe, zbiory fotograficzne, archiwalne oraz z obchodów jubileuszu 7. Łużyckiej dywizji Desantowej.

Anna Zapalec „Druga strona sojuszu", opr. twarda, str. 474, wyd. Muzeum II Wojny Światowej. Cena: 65,90 zł
Monograficzne opracowanie losu żołnierzy brytyjskich w Polsce w czasie IIwojny światowej to nowatorska praca na polskim rynku wydawniczym. Ten, momentami sensacyjny, temat nie był dotąd zbyt szeroko podejmowany. Opisywanej tu operacji ratowania jeńców brytyjskich z niewoli niemieckiej na ziemiach polskich nadano kryptonim „Dorsze". W pracy Anny Zapalec jej przebieg przedstawiono w następujących rozdziałach: Od kampanii polskiej do kampanii francuskiej (1939-1940); Żołnierze brytyjscy w niemieckich obozach jenieckich na ziemiach polskich (1940-1945); Pomoc żołnierzom brytyjskim ze strony Polskiego Państwa Podziemnego; W polskiej konspiracji; Brytyjskie operacje specjalne w Polsce 1944-1945.

Lucjan Siewiorek „Hełmy niemieckie w polskich strażach pożarnych po II wojnie światowej", opr. twarda, str. 88, wyd. Napoleon V. Cena: 70 zł
Hełmy używane przez polskich strażaków w pierwszych latach po zakończeniu II wojny światowej można zobaczyć nie tylko w zbiorach pamiątek związanych z historią pożarnictwa, ale także w kolekcjach militariów. Spowodowane jest to tym, że na potrzeby straży pożarnej przerabiano często niemieckie hełmy bojowe. Autor w pracy nad publikacją korzystał z zasobów muzeów i kolekcji prywatnych. Książka podzielona jest na następujące rozdziały: Polskie pożarnictwo po II wojnie światowej; hełmy strażackie; Hełmy niemieckie użytkowane w polskich strażach pożarnych; dostosowanie hełmów wojskowych i paramilitarnych do potrzeb pożarnictwa; Odznaki i oznaki umieszczone na hełmach; Bibliografia; Fotografie archiwalne; Hełmy niemieckie adaptowane dla potrzeb pożarnictwa zachowane w kolekcjach muzealnych i prywatnych.

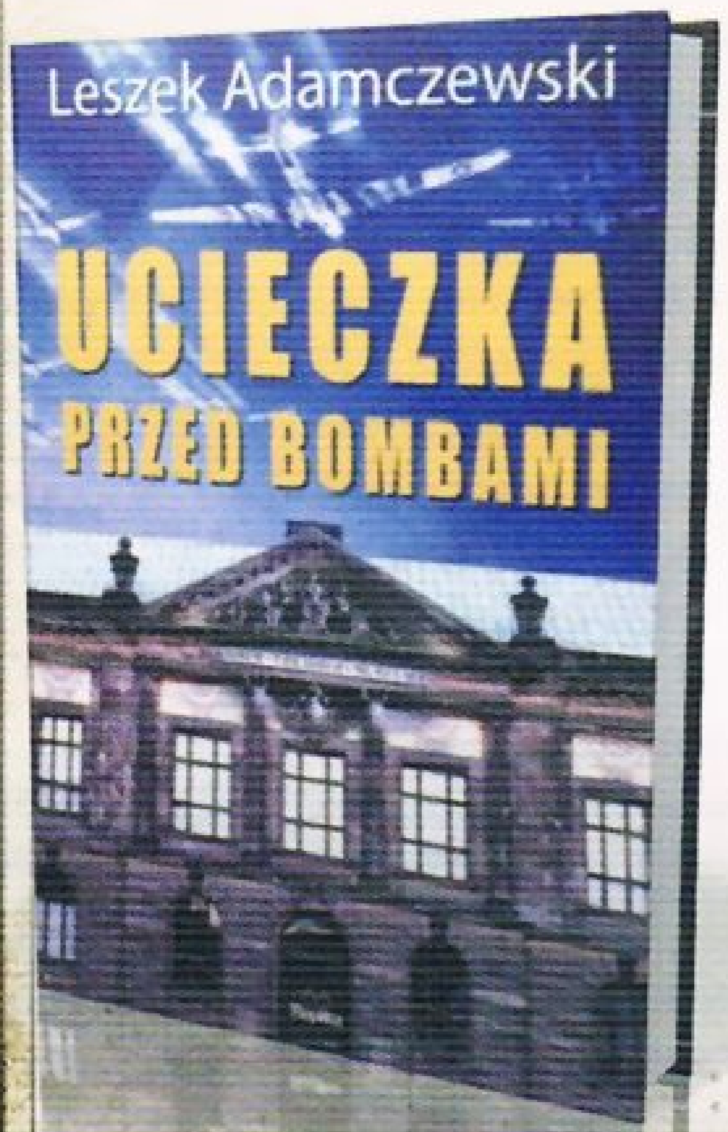

Leszek Adamczewski „Ucieczka przed bombami", opr. miękka, str. 359, wyd. Replika. Cena: 36,30 zł
„Ucieczka przed bombami" jest opartą głównie o zachowane dokumenty polskie, niemieckie, rosyjskie i amerykańskie, sensacyjną historią losów skarbów kultury z Kraju Warty, ewakuowanych przez Niemców z zagrożonych alianckimi bombardowaniami miast Warthegau, przede wszystkim z okupowanego Poznania, ale także Łodzi, Gniezna i innych. Autor podąża tropem transportów ewakuacyjnych do fortyfikacji międzyrzeckich i kopalni soli w Grasleben, w okolice Drezna i na Dolny Śląsk. Autor przedstawia też niektóre wydarzenia z okolic, do których trafiły poznańskie skarby, jak bombardowanie Drezna czy budowę gigantycznej kwatery Adolfa Hitlera koło Wałbrzycha.

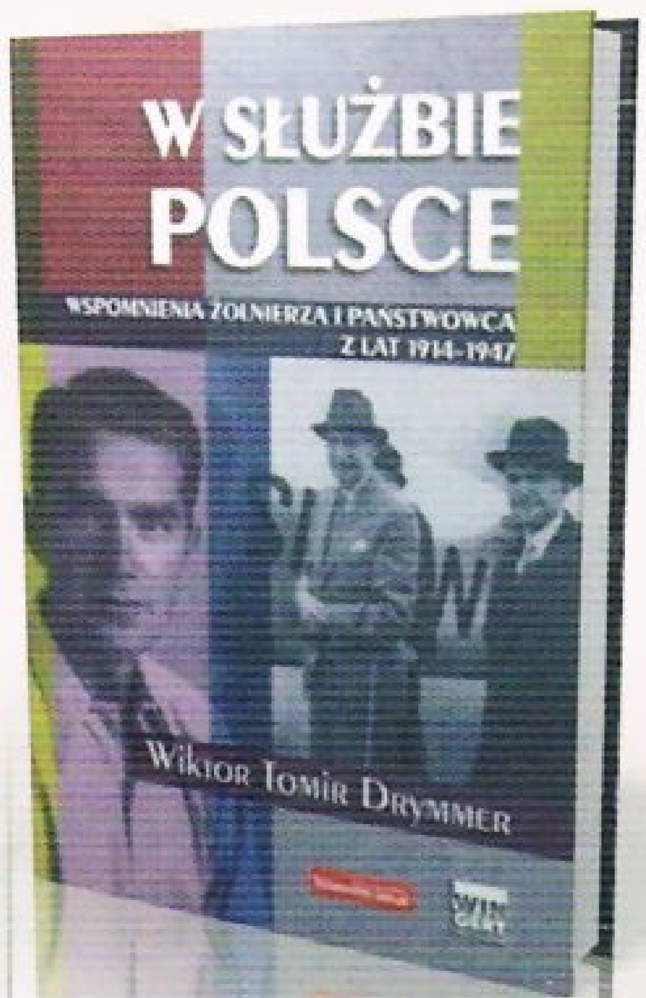

Wiktor Tomir Drymmer „W służbie Polsce", opr. miękka, str. 451, wyd. Arkadiusz Wingert. Cena: 43,40 zł
Wiktor Tomir Drymmer, piłsudczyk, peowiak, żołnierz I Brygady, uczestnik wojny z Rosją bolszewicką, kawaler VM, oficer II Oddziału Sztabu Generalnego, polski attaché wojskowy w Estonii (1923-1927). Po powrocie z Tallina przeszedł do pracy w centrali MSZ, szybko awansując; w 1931 r. objął stanowisko dyrektora Wydziału Personalnego a od 1933 r. kierował równolegle Departamentem Konsularnym MSZ. Należał do grona najbliższych współpracowników ministra Józefa Becka. We wrześniu 1939 r. kierował ewakuacją MSZ i korpusu dyplomatycznego do Rumunii. Z pamiętnikarskiej relacji Drymmera najwięcej dowiemy się o dziejach dyplomacji polskiej doby II RP, ale przede wszystkim ma ona niezastąpioną wartość jako źródło dla historii zbudowanej w krótkim czasie od podstaw służby zagranicznej. Wspomnienia obfitują w niepozbawione przenikliwości analizy i wyważone oceny.

Znajdź nas na
www.odk.pl

Przyjdź
na ul. Narutowicza 46 w Łodzi

Odkryj z nami historię na now

odk księgarnia odkrywcy

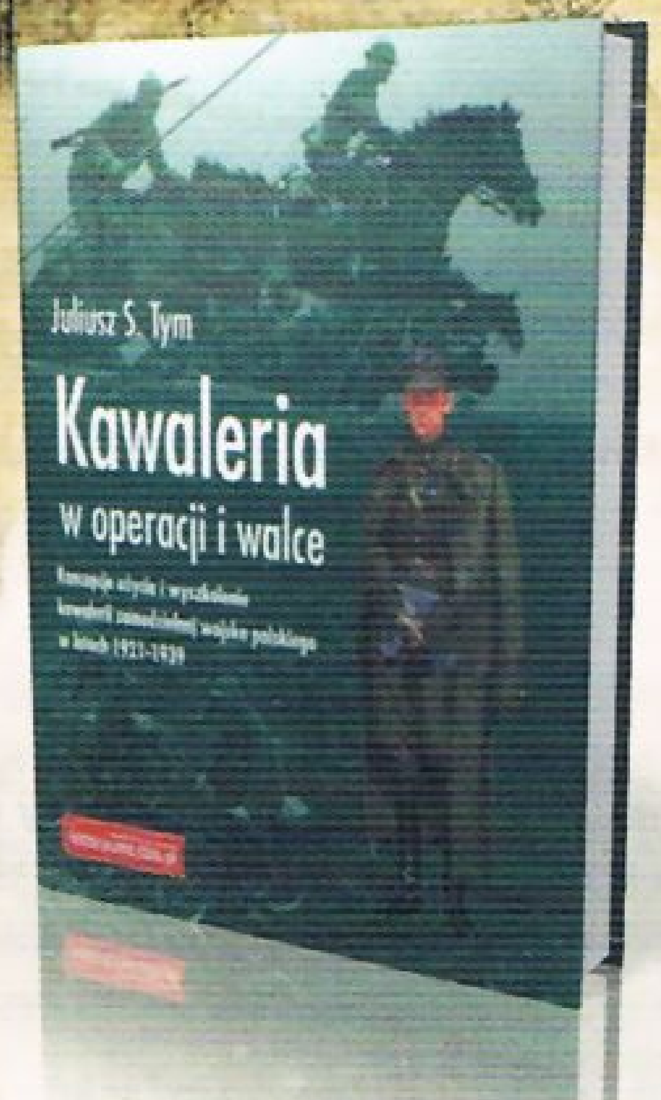

Juliusz Tym „Kawaleria w operacji i w walce", opr. miękka, str. 570, wyd. historyczna.com.pl. Cena: 62,90 zł
Niniejsza praca jest próbą całościowego przedstawienia problematyki koncepcji operacyjnego użycia oraz taktyki kawalerii samodzielnej Wojska Polskiego w latach 1921-1939. Dążąc do możliwie pełnego przedstawienia omawianej problematyki, niezbędne było szersze spojrzenie na kwestie sztuki wojennej Wojska Polskiego II Rzeczypospolitej, celem sformułowania właściwych ocen i wniosków. Stąd też, aby w sposób całościowy i syntetyczny nakreślić tytułowy problem, autor uznał za zasadne ujęcie podjętej problematyki w szerszym spektrum obejmującym czynniki zarówno polityczno-militarne, jak i finansowo-ekonomiczne, warunkujące funkcjonowanie Wojska Polskiego w okresie zakreślonym ramami chronologicznymi niniejszego opracowania.

Wiesław Klempisz „Urodzony 22 lipca", opr. miękka, str. 311, wyd. Eliotpol. Cena: 44,10 zł
Autora poznajemy na tle wydarzeń, które miały miejsce między 1 IX1939 a 30 IX 1944 roku. Wiesław Klempisz, rodowity warszawiak przedstawia wojenne wypadki z punktu widzenia 14-letniego chłopca, harcerza, który wychował się w rodzinie, gdzie patriotyzm był jedną z największych wartości. Następnie czytamy o działalności Wiesława Klempisza w konspiracji, w ramach warszawskiego Kedywu AK (prowadzenie magazynu broni, udział w akcjach bojowych), a następnie jako żołnierza elitarnej 9. Kompanii „Żniwiarz" (był celowniczym karabinu maszynowego). Ze wspomnień dowiemy się o pobycie Klempisza w stalagu, o wyzwoleniu przez Amerykanów, podróżach po okupowanych Niemczech, służbie w Kompanii Wartowniczej oraz o powrocie do kraju w 1947 r. Autor kończy swoje wspomnienia na roku 1955, kiedy został zwolniony z więzienia.

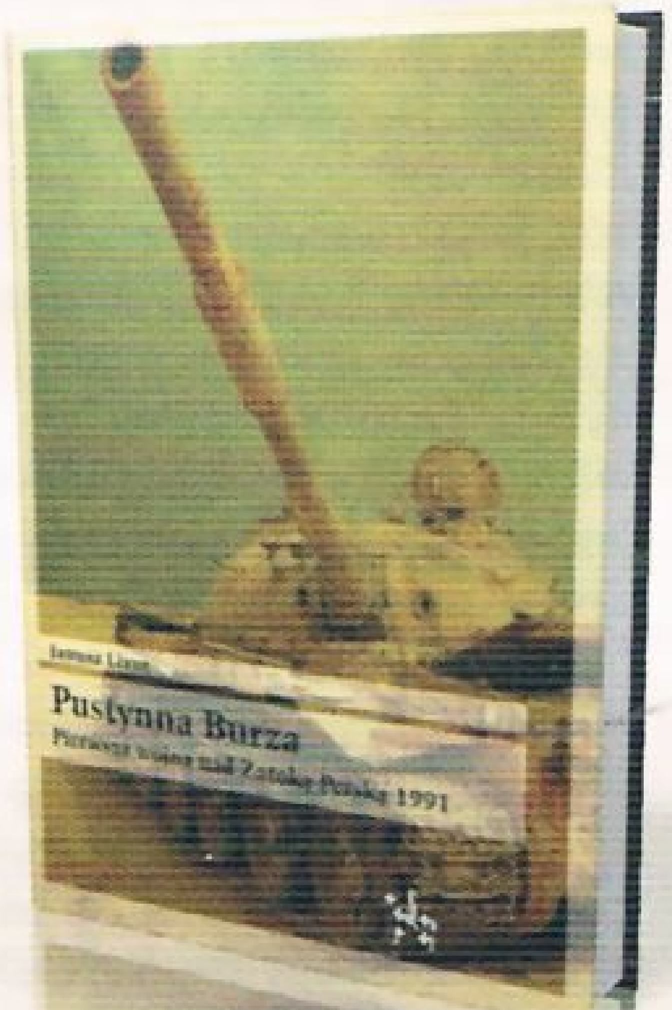

Janusz Lizut „Pustynna Burza", opr. miękka, str. 472, wyd. Inforteditions. Cena: 49,90 zł
Pustynna Burza była bez wątpienia jednym z największych i najbardziej spektakularnych konfliktów zbrojnych drugiej połowy XX wieku. Zarówno pod względem militarnym, jak i politycznym, a nawet kulturowym stanowiła ona niezwykły fenomen. Nagromadzenie nowoczesnych środków walki było bezprecedensowe. Na polu bitwy użyto „inteligentnych" broni o wielkiej sile rażenia i zabójczej precyzji, wykorzystano najnowsze rozwiązania taktyczne i osiągnięcia techniki. Konflikt ten był również pierwszą w historii „wojną medialną", relacjonowaną 24 godziny na dobę przez światowe agencje informacyjne. Publikacja zawiera następujące rozdziały: Burza nadciąga; Wykuwanie tarczy; Burza nad Bagdadem; Miecz opada; Po burzy.

Jarosław Strenkowski „Uzbrojenie i ekwipunek WP 1918-1939", opr. twarda, str. 128, wyd. Regionalna Izba Historyczna. Cena: 70 zł
Praca przedstawia katalog zbiorów Regionalnej Izby Historycznej w Zambrowie. Materiał stanowiący treść niniejszej publikacji zawiera eksponaty związane z uzbrojeniem i wyposażeniem Wojska Polskiego w okresie międzywojennym. Militaria występują w publikacji w kontekście istnienia przed II WŚ w Zambrowie Mazowieckiej Szkoły Podchorążych Artylerii, Szkoły Podchorążych Piechoty oraz stacjonowania 71. pułku piechoty. Podstawowym walorem katalogu, oprócz materiału zdjęciowego, są zwięzłe, treściwe opisy łączące wojskową jasność stylu z bogatą faktografią. Zbiory Regionalnej Izby Historycznej zaprezentowano w następujących rozdziałach: Broń palna; Broń biała; Umundurowanie i ekwipunek; Przyrządy optyczne; Odznaki pamiątkowe; Żetony Spółdzielni Wojskowych Garnizonu Zambrów; Archiwalia.

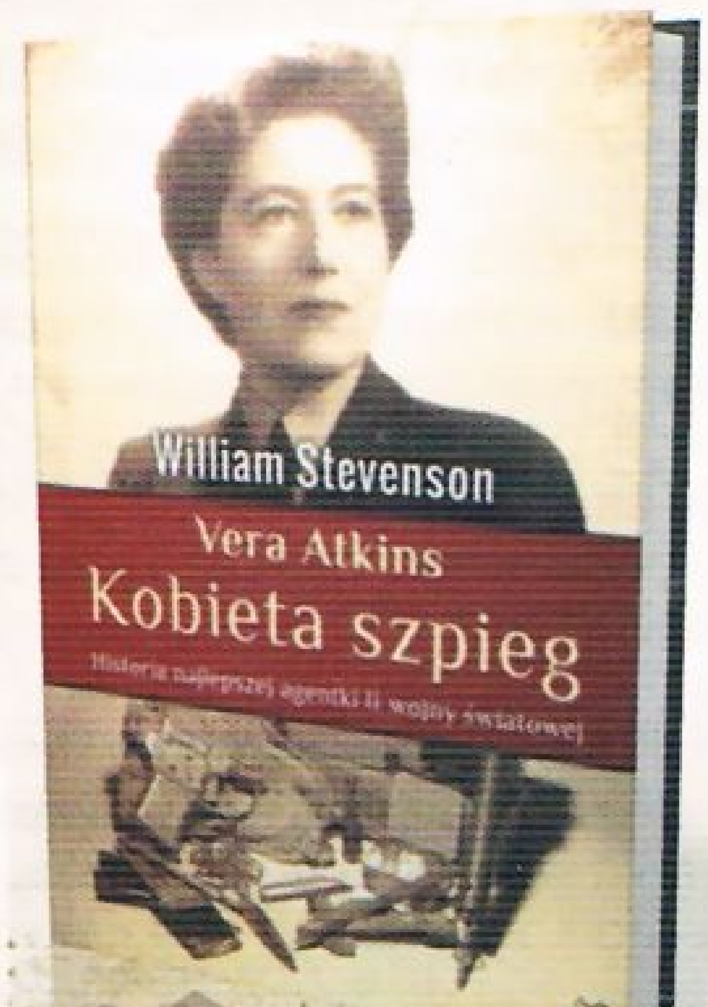

William Stevenson „Vera Atkins. Kobieta szpieg", opr. miękka, str. 416, wyd. Replika. Cena: 40,90 zł
William Stevenson stworzył poruszający obraz pracy agentów, którzy „skrócili wojnę o wiele miesięcy". To zarazem książka, dzięki której Vera Atkins zyskuje wreszcie należne sobie miejsce w panteonie najwybitniejszych szpiegów XX wieku. Dotąd bowiem jej osiągnięcia były skrywane za zasłoną milczenia. To właśnie Stevensona Atkins uznała za jedyną osobę godną tego, by zgłębić i opisać jej niezwykłe życie. On także ze swej strony dotrzymał danego Atkins słowa i książkę o niej opublikował dopiero po śmierci Very w 2000 roku. W ten sposób powstał niesamowity portret kobiety, której inteligencja, uroda oraz bezgraniczne poświęcenie stało się kluczem do odwrócenia kolei II wojny światowej.

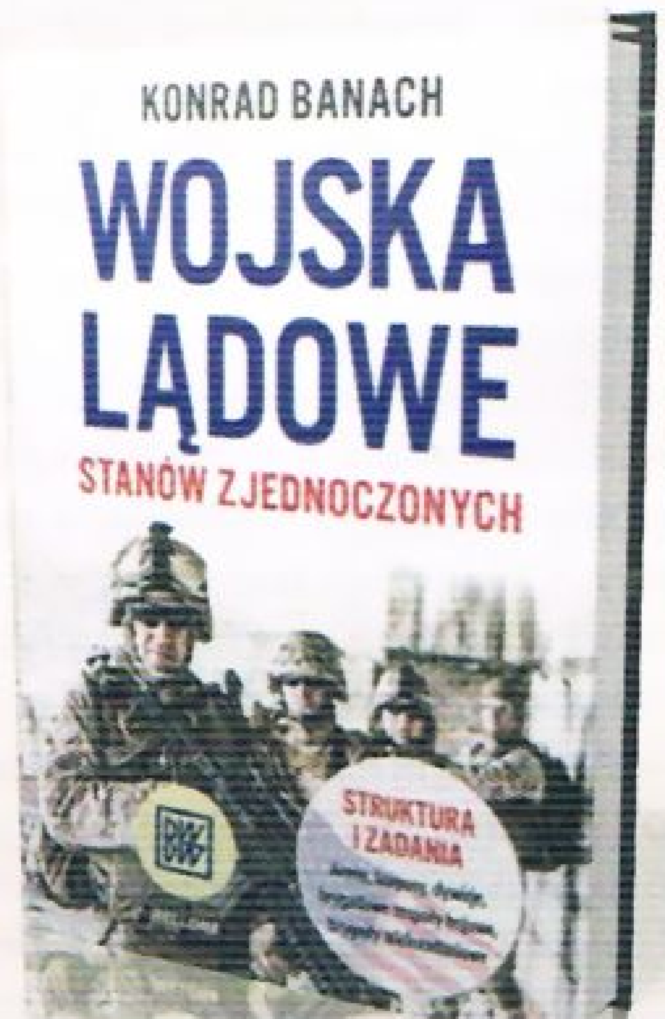

Konrad Banach „Wojska lądowe Stanów Zjednoczonych", opr. miękka, str. 376, wyd. Bellona. Cena: 47 zł
W polityce międzynarodowej współczesnego świata nadal ważną rolę odgrywa potencjał wojskowy państwa. Największym potencjałem dysponują obecnie Stany Zjednoczone Ameryki Północnej. Książka przedstawia struktury organizacyjne amerykańskich sił lądowych w końcu 2012 roku. Jest to armia w strukturze najbardziej rozbudowanej po „zimnej wojnie". W książce przedstawiono polityczną kontrolę nad siłami zbrojnymi, centralne instytucje sztabowe, dowództwa operacyjne, armie, korpusy i dywizje. Przedstawiono także najważniejsze elementy uderzeniowe sił lądowych – brygadowe zespoły bojowe oraz wspierające je wielozadaniowe brygady wsparcia w postaci brygad lotnictwa bojowego, brygad ogniowych, brygad obserwacji pola walki oraz wzmocnionych brygad manewrowych.

Książki można zamawiać na stronie Księgarni www.odk.pl, telefonicznie 42 631 10 97, 42 630 71 41 (pon.-pt. godz. 10-18) lub 42 634 89 93 (24 h – automat) lub e-mailem na adres: zamowienia@odk.pl

ODK

kolekcja ODKRYWCY

WOJCIECH STOJAK
„OSTATNI »KLUB POSZUKIWACZY SKARBÓW« I INNE OPOWIEŚCI".
To lektura obowiązkowa dla każdego miłośnika historii. Nie wystarczy jej polecić – bo rekomendować można dobry artykuł lub film. Ją należy przeczytać. Do książki dołączona jest płyta z nagraniem jednego z odcinków „Klubu Poszukiwaczy Skarbów".

26,-

36,-

Niezwykle elegancki pendrive USB o pojemności 4 GB. Czarny, skórzany zatrzask ochrania łącze. Duży, chromowany uchwyt ułatwia przypięcie pendriva do kluczy lub innego przedmiotu. Smycz w komplecie.

6,-

ORYGINALNA SMYCZ „ODKRYWCY"
Długość 47 cm; mocowanie do telefonu komórkowego plus karabińczyk.

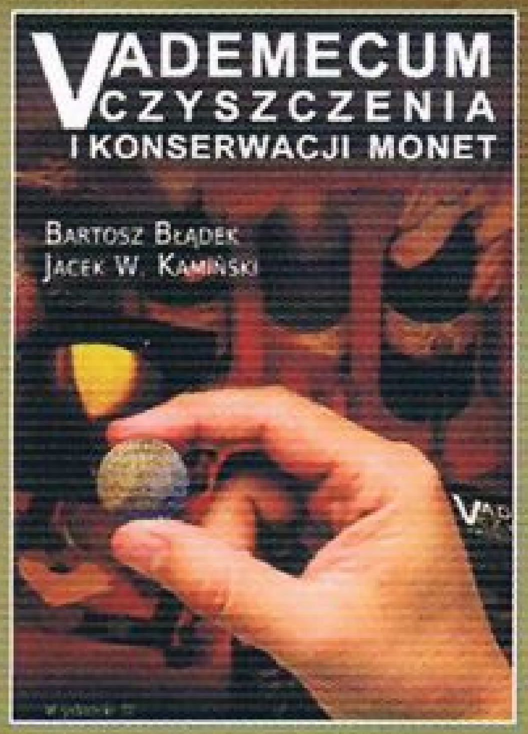

„VADEMECUM CZYSZCZENIA I KONSERWACJI MONET"
Pierwsza tak wyczerpująca temat pozycja na rynku polskim. Bogato ilustrowana ukazuje wiele praktycznych metod – krok po kroku. Do wykorzystania nawet dla mało doświadczonych kolekcjonerów. Metody prezentowane w książce można także zastosować do wielu innych, delikatnych, starych i zniszczonych wyrobów metalowych w tym, wydobytych z ziemi.

35,50

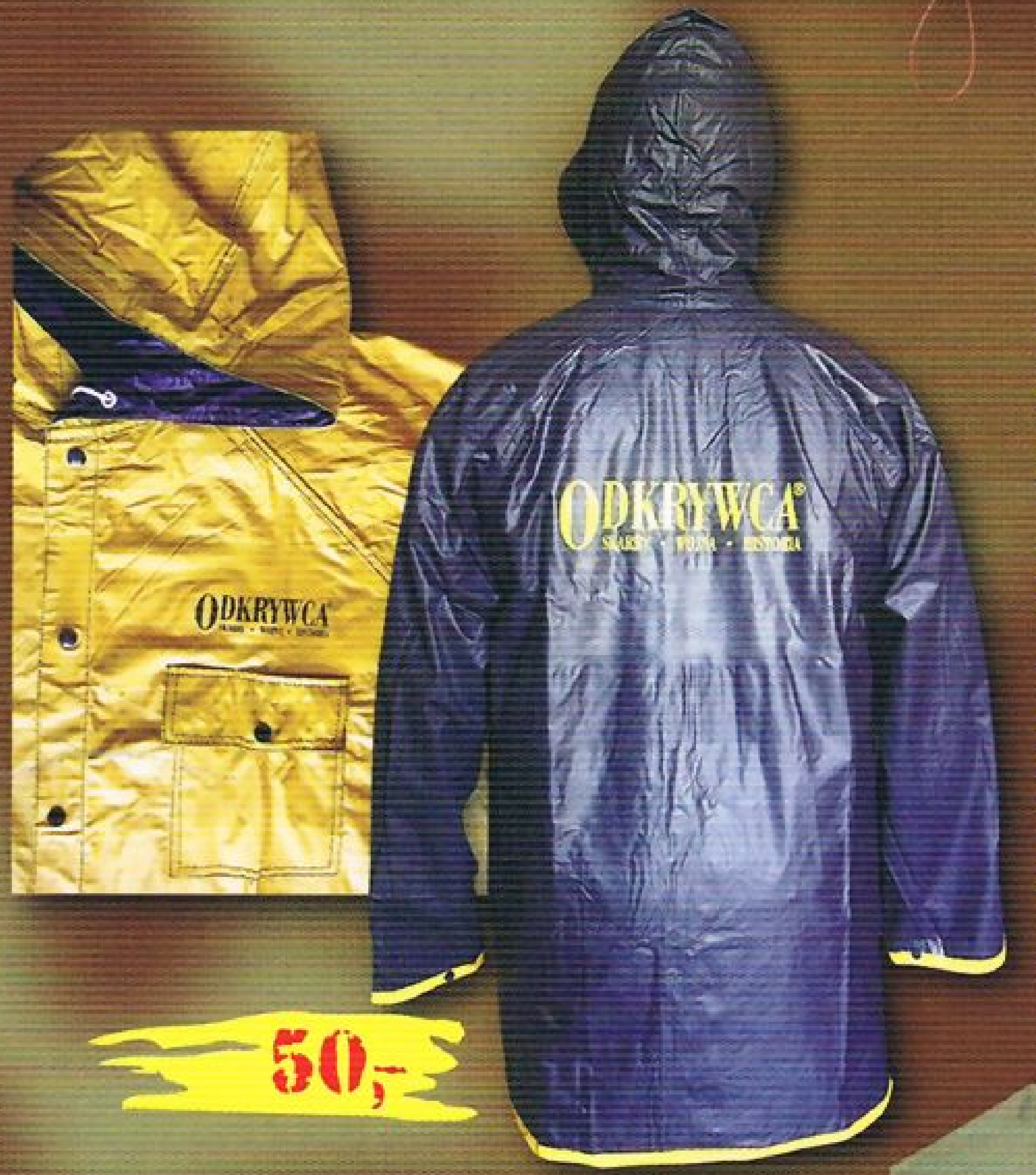

PŁASZCZ PRZECIWDZESZCZOWY
Z zatrzaskami i kapturem. Dwustronny (możliwość wywrócenia na drugą stronę) żółto/granatowy. Z miękkiej nieprzemakalnej tkaniny gumowej; klejone, płaskie szwy. Napisy w kolorach żółtym i granatowym. Rozmiar XL, XXL

50,-

20,-

METALOWY KUBEK
termiczny z uchem. Przykrywka z otworem do picia, środek metalowy. Pojemność 400 ml. Kolory: niebieski i czerwony.

Koszulki „Odkrywcy" z miękkiej 100% bawełny. Kolor czarny i oliwkowy w rozmiarach: S, M, L, XL, XXL. Koszulki idealne do wszystkich kamuflaży. Napis „Odkrywca" z przodu i z tyłu.

20,-

Oferta dostępna, aż do wyczerpania zapasów. Czas realizacji zamówienia do 4 tygodni. Zwrotów nie przyjmujemy.

ZAMÓWIENIE 3/194

Wypełnione zamówienie prosimy przesyłać na adres:
„ODKRYWCA", ul. Kaszubska 4, 50-214 Wrocław

nazwa artykułu	rozmiar	kolor	cena	ilość	wartość
				razem:	

Płatne przy odbiorze. Koszt przesyłki ponosi zamawiający.

imię i nazwisko ....

kod pocztowy .... miejscowość ....

ulica .... nr domu ....

telefon ....

Wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych do celów sprzedaży wysyłkowej w Kolekcji „Odkrywcy" zgodnie z Ustawą o ochronie danych osobowych z 29.08.97

podpis zamawiającego ....

Wyrażam zgodę na wystawienie faktury VAT bez mojego podpisu

UWAGA PRENUMERATORZY!

Zachęcamy Państwa do wykupienia prenumeraty miesięcznika „Odkrywca". Jest to gwarancją:

► stałej, niższej ceny,
► szybkiej dostawy pod wskazany adres,
► otrzymania upominków i dodatków – jedynie dla prenumeratorów.

Prenumeratę mogą Państwo zamówić i opłacić:

► bezpośrednio online pod adresem: http://instytut.odkrywca.pl
lub
► dokonać wpłaty bezpośrednio na konto wydawnictwa:

Instytut Badań Historycznych i Krajoznawczych (IBHiK) sp. z o.o.
ul. Wojska Polskiego 15c, 62-500 Konin
Numer konta: **98 2490 0005 0000 4520 6153 2533**

Dla wpłacających z zagranicy:
BIC / SWIFT – ALBPPLPW
PL98249000050000452061532533

Przy zamówieniu i opłaceniu prenumeraty należy podać: dokładne dane imienne i adresowe oraz informację, od którego numeru ma się rozpocząć prenumerata.. Koszty manipulacyjne związane z zamówieniem i opłatą ponosi zamawiający.

Cena prenumeraty:

► krajowa roczna – **147** zł; półroczna – **73,50** zł
► zagraniczna półroczna: **123,90** zł (list zwykły); **141,90** zł (list priorytetowy).
► Roczna – dwa razy droższa.

Szczegółowe informacje na temat warunków prenumeraty uzyskają Państwo w Dziale Prenumeraty redakcji „Odkrywcy" pod numerem:

71 329 71 71

e-mail: prenumerata@odkrywca.pl

lub pisząc na adres: Redakcja „Odkrywca", ul. Kaszubska 4, 50-214 Wrocław

Uwaga! Do nabycia numery archiwalne:
SZCZEGÓŁY wewnątrz numeru na STRONIE 47

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych po cenie innej niż detaliczna, ustalona przez Wydawcę, jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

Uzupełnij swoje archiwum zanim wyczerpie się nakład! Dział prenumeraty: 71 329 71 71